

p

i

m

# ANTOLOGIA 2017/2018

Edycja: powieść obyczajowa

Kurs Kreatywnego Pisania  
Miasta Literatury UNESCO

s

n



L

i

p

m

# ANTOLOGIA 2017/2018

Edycja: powieść obyczajowa

s

n



 Kraków

kbf★

 KRAKÓW  
UNESCO CITY  
OF LITERATURE

l

# Spis treści

Wstęp | 4

## TEKSTY WYRÓŻNIONE | 8

Radosław Jakubiak – Ministrant | 9

Joanna Mazur – Cioce, cioteczki i ciotuchny | 32

Agnieszka Migacz – Nietoperz pod sufitem | 47

## POZOSTAŁE TEKSTY | 74

Agata Berniak – Ż | 75

Anna Górna – „Ostatnia rola Jacka Harforda” | 95

Nina Igielska – Oddech | 124

Anna Januchta-Barańczyk – Korzenie | 148

Iwona Krasicka – Myśliwi | 178

Hubert Michalak – Sezon w Teatrze Młodego Widza | 194

Aneta Pondo – Blizna | 219

Maciej Rożen – Dr Startup | 238

Marta Wroniszewska – Rodzina Dzikiego | 267

O autorach | 292

Kurs Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO | 297

## Wstęp

Stephen King – jeden z najbardziej poczytnych pisarzy na świecie i jednocześnie nauczyciel kreatywnego pisania – w podręczniku „Jak pisać? Pamiętnik rzemieślnika” polecał zbudowanie „skrzynki z narzędziami”, czyli językowego zaplecza, z którego młody pisarz będzie mógł korzystać w każdej sytuacji. Przestrzegał również przed przysłówkami, bowiem uważał, że to właśnie nimi wybrukowane jest pisarskie piekło oraz zachęcał, śladem Marka Twaina, do prostego, bezpośredniego stylu i narracji. Katarzyna Bonda, podobnie jak Zadie Smith, kategorycznie radzi – załóż notes lub dziennik i zapisuj w nim wszystko, co wyda ci się interesujące. Wspomnienia i dobre pomysły mają w końcu do siebie to, że lubią uciekać w niepamięć. Zresztą to właśnie w dzienniku Susan Sontag znajdziemy wpis, który najpełniej podkreśla to, co staramy się przekazać młodym twórcom: „Pisarz, podobnie jak sportowiec, musi ćwiczyć codziennie. Co dzisiaj zrobiłam, żeby utrzymać formę?”.

Takich porad znajdziemy w podręcznikach, literackich blogach i kanałach na YouTube niezliczone ilości, i gdyby spróbować zebrać je wszystkie w całość, zapewnilibyśmy sobie nieprzerwany strumień publikacji w czołowych wydawnictwach na najbliższe lata. W końcu nie ma się czemu dziwić – pisarki i pisarze od lat zmagają się ze sztuką, która należy do bodaj najtrudniejszych; do żywych operacji na tkance języka, które mogą obrócić w niwecz – wystarczy zaledwie kilka nadmiarowych zdań, nieprzemyślany wątek, niedobrana narracja. Dobra porada jest na wagę złota i wie o tym każdy początkujący pisarz.

Podobnie jak wspomniani wcześniej twórcy, a także dziesiątki tych, którzy nie zostali wymienieni powyżej, my również uważamy, że pisa-

nia można się nauczyć – najlepiej od starszych kolegów po fachu, bo w końcu dlaczego mamy wymyślać koło od nowa? Z tego powodu dla dwanaściorga uczestników Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO, który w tym roku był poświęcony powieści obyczajowej, przygotowaliśmy blisko sto godzin warsztatów i wykładów z osobami, które książki od lat piszą, wydają, redagują, sprzedają i promują książki. Sylwia Chutnik poprowadziła wykład o mocnych i słabych stronach bohatera literackiego, Mariusz Czubaj zdradził jak nie pogrzebać dobrego materiału na dialog w książce, czyli jak dać się bohaterowi „wygadać”, a Anna Dziewit-Meller opowiedziała o umiejętności researchu – bo w końcu od niego również zależy sukces książki. Uczestnicy zmierzali się nie tylko z zadaniami pisarskimi, lecz także ze sztabem redaktorów i agentów literackich, którzy przygotowali ich do złożenia propozycji wydawniczej, negocjowania warunków umowy oraz opowiedzieli o niełatwej sztuce zaistnienia na rynku. Nad wiarygodnymi relacjami między bohaterami czuwał prof. Bogdan de Barbaro, który poprowadził warsztaty z elementami psychodramy o rolach rodzinnych, motywach zachowania i sposobach dialogowania w rodzinie. Z kolei o całokształt pisarskiej edukacji naszych adeptów od początku do końca dbał Filip Modrzejewski, który wspólnie z autorami nieustępliwie poprawiał i dopracowywał kolejne rozdziały pierwszych powieści kursantów. Dzięki wyłożonej pracy autorów i prowadzących przez pięć intensywnych miesięcy możemy zaproponować Wam – droga Czytelniczko, drogi Czytelniku – lekturę dwunastu fragmentów przyszłych powieści Absolwentów Kursu Pisania.

Antologię tekstów otwierają trzy teksty trojga wyróżnionych przez organizatorów absolwentów Kursu: „Ministranta” Radosława Jakubia-ka, czyli mocnej, gatunkowej prozy w stylu *noir*; „Cioć, ciotuchn, cioteczek” Joanny Mazur, która serwuje nam lekką, żartobliwą historię obyczajową z opowieścią rodzinną w tle, oraz „Nietoperza pod sufitem”

Agnieszki Migacz, która sięga do świata nastolatków, prezentując nam znakomitą powieść dla młodzieży. W pozostałych tekstach trafimy i na dojrzałą prozę psychologiczno-obyczajową, i historię z wątkami sensacyjno-kryminalnymi, i nawet horror z elementami powieści środowiskowej. Każda z nich jest świeża, oryginalna i wyjątkowa, i jesteśmy przekonani, że znajdziesz w każdej z nich, Czytelniczko i Czytelniku, coś, co Cię wzruszy, rozbawi i skłoni do refleksji.

Wierzmy, że pisarskie rady są ważne, ale także w to, że nawet największa antologia cytatów nie zrobi z każdego piszącego – pisarza. Wierzmy także, że pisanie można się nauczyć, ale również w to, że żadna szkoła kreatywnego pisanie nie gwarantuje stuprocentowego sukcesu. Podczas rozmów z absolwentami zarówno tej edycji kursu, jak i dwóch poprzednich, wyłania się bardzo niejedolity obraz tego, czym taka szkoła jest dla nich. Część opisuje ją jako trening własnych sił, próbę wytrwałości i walki z prokrastynacją; naukę mobilizacji i próbowania dalej, nieustannie i pomimo niepowodzeń. Niektórzy podkreślają, że to nauka pokory oraz umiejętności przyjmowania konstruktywnej krytyki, a także hodowania grubej skóry, która przydaje się niedługo później, bo już na etapie pierwszej konfrontacji z rynkiem wydawniczym. Zdaniem większości kursy pisanie to także nauka czytania – bo niezależnie od tego jak wiele tuszu wylalibyśmy na papier, bez czytania nie wiedzielibyśmy jak właściwie opowiedzieć historię. Żeby pisać, trzeba czytać – parafrazując słowa Olgi Tokarczuk, która wielokrotnie nazywała siebie najpierw czytelniczką, a dopiero potem pisarką. Kursy pisanie są wreszcie nie tylko zbiorem praktycznych porad i wskazówek, lecz także szansą na poznanie ludzi, którzy dzielą ten sam cel i pasję. Takie próby zwykle kończą się sukcesem – jak w przypadku tegorocznej grupy, która z dwanaściorga nieznajomych, przyjezdnych ze wszystkich krańców Polski, stała się w ciągu ostatnich miesięcy paczką znajomych. Znajomych, którzy nawet po zakończeniu kursu wspierają się w pisarskich

próbach; którzy wysyłają sobie nawzajem teksty i którzy kontynuują pisarskie spotkania, mimo że zajęcia już dawno się skończyły. Obok pierwszego debiutu naszego absolwenta, Ahsana Ridhy Hassana, takie spontaniczne gesty cieszą nas najbardziej.

Jest jednak coś, czym kurs pisania nie jest – uniwersalną receptą jak zostać pisarzem (na szczęście!), choć nadal w opinii większości pokutuje takie przekonanie, skądinąd zupełnie niesłuszne. Moim zdaniem oferujemy coś znacznie bardziej wartościowego – uwagę, konstruktywną krytykę i wsparcie, których debiutant potrzebuje najbardziej. Jeśli jest coś, co absolutnie każdy uczestnik kursu wynosi z zajęć, to z pewnością nie listę pięciu czy dziesięciu porad jak zostać pisarzem, tylko świadomość, że nie ma drogi na skróty – są tylko nieustanne próby. Czytelniczko, Czytelniku – oto i one.

Oliwia Fryc  
Koordynatorka Kursu Kreatywnego Pisania  
Krakowa Miasta Literatury UNESCO

p

i

m

**Teksty wyróżnione**

s



L



Radostaw Jakubiak

## Ministrant

### REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Radek Jakubiak pracuje nad powieścią noir i wszystko wskazuje na to, że jest to początek cyklu. Bogata językowo, ironiczna, drapieżna i wulgarna zawiera sporo elementów obyczajowych. Kawalek mocnej, soczystej literatury z pazurem, wyczuciem konwencji i poczuciem humoru.

## ROZDZIAŁ 1

No ja pierdolę i teraz ten pedał z Warszawy będzie kupował bilet przez pół godziny. Bo se, kurwa, musi kupić z czterodniowym wyprzedzeniem. Tam i kurwa, z powrotem. I teraz, kurwa, będzie jeszcze wybierał miejscówkę, żeby mieć pewność, że posadzi tę swoją pedalską dupę pod oknem. I tak, pedale, nie będziesz oglądał jebanych widoczków, bo będziesz trzymał przed ryjem jakąś jebaną literaturę w oryginale. Bo przecież byś, chuju, po polsku nie zrozumiał, bo ci się tłumaczenie nie podoba. Dwudziesty pierwszy wiek, wszyscy kupują bilety na pociąg przez internet, a ten frajer musi kupować jak zwierzę, w okienku na dworcu. A całe to jebane PKP będzie ten bilet na rozpierzdolonej igłówce drukować. Cały świat jest w epoce, kurwa, lasera, a te pizdy używają igłówek. I jeszcze teraz, pedale, popierdol karty. No kurwa, mówiłem. Schowaj złotą, wyciągnij platynową, bo ci się na niej okres rozliczeniowy kończy, więc ma być ta i właśnie teraz sobie o tym przypomniałeś. Kończy ci się okres, więc mnie lepiej nie wkurwiał. No już, udało się, kupiłeś, i tak jutro będziesz przy tym samym okienku zmieniał czas wyjazdu, bo cię twój klient wyrucha i przeniesie termin spotkania, ale na razie ci się udało, więc wypierdalaj.

– Do Nowego Targu poproszę, na ten za siedem minut.

– Normalny?

– Nie, ze zniżką dla emerytów.

– Pan żartuje.

– Nie. Ja nigdy nie żartuję.

– A ja nigdy bym nie powiedziała, młodo pan wygląda. – O proszę, komplementariara. Gdyby nie robota, zaraz bym się z nią umówił na bzykanie.

– Ja też bym nie powiedział, że mnie z CBS po piętnastu latach wiernej służby ukochanej ojczyźnie wy..., znaczy wyślą na emeryturę. Ale wie

pani, polityka. Jak zmienia się władza, to w PKP też macie wiosenne porządki. Tyle że pewnie was, kasjerek, nie ruszają. Jedno dobre w takiej robocie.

– Przy oknie?

– Wolę korytarz. Nie trzeba się przeciskać, jak się człowiek idzie wylać. I byle nie środek. Człowiek na środku jest otoczony przez ludzkość ze wszystkich stron, a to może być męczące.

– Proszę. Życzę szczęśliwej podróży.

Miałem nadzieję, że będzie szczęśliwa. A będzie, jak figurantka od razu pójdzie z gachem w ślinę albo coś w tym stylu i nie będę się musiał pierdolić z tymi całym warsztatami. Skręcę figle na kamerze i jutro będę mógł dzwonić do klienta, że żona jest porobiona. Ale na to raczej nie mogłem liczyć. Prawdopodobnie nie podejrzewa, że jest śledzona, ale w pociągu jedzie masa ludzi, zawsze może się nawinąć jakiś losowy znajomy. Jak w miarę ogarnia rzeczywistość, nie będzie ryzykować. Znaczący wiem, że świeża miłość i ogarnianie rzeczywistości wzajemnie się wykluczają, ale mimo wszystko. Kilka lat już robię w rogaciznie i wiem, że jakieś resztki rozsądku im mimo wszystko zostają. A nawet jak nie im, to ich gachom. Szczególnie jak też są oficjalnie zajęci.

Z drugiej strony opcja spędzenia dwóch tygodni w górach w pensjonacie – i jeszcze będę miał za to płacone – jest kusząca. Tyle że będę musiał wytrzymać z tymi debilami od pisania. Dam radę, może nawet wśród uczestniczek będzie jakaś fajna dupa. Na pewno wszystkie pisarki są zdrowo pierdolnięte, ale w końcu mówimy o ruchaniu, nie muszę z nimi gadać. O literaturze, he, he.

Wskoczyłem do pociągu ostatnimi drzwiami, zaraz ruszył. Najpierw znajdę swoje miejsce, zostawię walizkę i pójdę poszukać figurantki. Sprawdzę, jaka jest sytuacja, czy jedzie sama, czy z nim, a jak z nim, to jak bardzo z nim. A potem zobaczymy, co dalej. Miejscówkę miałem w drugim wagonie za tym, co wszedłem, i na razie nigdzie po drodze

kobiety nie widziałem. Dobrze, że jechaliśmy w samym środku dnia. Wieczorem i w nocy ludzie zaciągają zasłonki od strony korytarza i chuja bym zobaczył. Albo raczej, właśnie bym nie zobaczył. Dotarłem na miejsce, zostawiłem bagaż, powiesiłem kurtkę na haczyku, wyjąłem z kurtki portfel, byłoby słabo, gdyby mnie ktoś opierdolił w podróży, i wyszedłem się rozejrzeć.

Szedłem przez korytarze, wgapiając się w kolejne przedziały. Społeczeństwo jechało na wakacje, emeryci i renciści sunęli do sanatoriów, prawie cały jeden wagon był zajebany planktonem, który startował na kolonie. Najgorzej. Ciekawe, w jakim stylu. Bo teraz nie ma, że kolonie to jest plaża, morze albo góry, niecierpliwe oczekiwanie na wolny taniec na dyskotece, pierwsze w życiu macanie dziewczyny po cyckach, jak już ci się uda dostać w nocy do tych dziewczyn, bo wychowawczynie zamiast pilnować mikrobów, też się poszła macać z przystojnym ratownikiem. Nie, teraz masz, kurwa, obozy tematyczne. Harry, kurwa, Srotter, językowe, z adrenaliną, survival dla pierdolonych małych komandosów i obóz reżysersko-kulinarny. I same takie gówna. Wiem coś o tym, bo moja Zuza też pojechała na kolonię motocrossową. To akurat jej się przyda. Umiejętność jazdy na motorze jeszcze nikomu nie zaszkodziła. No może z wyjątkiem tych, co się zabili. Dobra, lepiej o tym nie myśleć, chciała jechać, to co miałem jej zabraniać.

Wagon za wagonem, wars, po drodze dwa bezprzedziałowe, dotarłem do końca, nigdzie jej nie było. Spokojnie. Mogła akurat siedzieć w kiblu, jak przechodziłem obok jej miejscówki. Obrócę po całości z powrotem i jak będzie trzeba, to jeszcze raz. Jak nie dopadła jej megasraczka, czy coś w tym stylu, to wróci na swoje miejsce i na pewno ją znajdę. Ruszyłem i w połowie składu trafiłem na przedział z zaciągniętymi zasłonami. W tamtą stronę go olałem, teraz już zajrzę. Jeżeli jadą razem, to nawet jeżeli rączki trzymają przy sobie, zaciągnięcie zasłony

byłoby rozsądnym ruchem. Tisze jediesz, dalsze budiesz – do pociągu akurat to powiedzenie pasuje jak ulał. Wbiłem się do środka.

Nie było jej, był za to jakiś pedofil w koloratce, siedział vis-à-vis wczesnej dwudziestki, nawijał makaron na uszy (pewnie o tym, że Bóg jest miłością i że jak będzie chciała, to z chęcią jej tego swojego Boga przedstawi) i jeszcze jakaś trójka ludzi, co wyglądali tak, że nawet w paradokumentach, co to w nich grają sami naturszczycy, dostaliby tylko role statystów. Jedno miejsce, to środkowe, było puste.

– Szczęść Boże – zagadałem, co na rozum było całkiem bez sensu, bo skoro siedziała tam czwórka cywilów, to nie było powodu dopasowywać się do żargonu jednego czarnego. Ale księża tak mają, oni jakoś tak zawijają świat wokół siebie, że czujesz się w obowiązku znalezienia się wobec ich szczególnej pozycji. – Czy tu ktoś siedzi?

Sam nie wiem, po chuj spytałem, bo gdyby akurat było wolne, to co miałbym zrobić? Podziękować i wyjść byłoby całkiem z dupy, a usiąść też nie mogłem – przecież dwa przedziały dalej figurantka mogła odgrywać specjalnie dla mnie główną rolę w komedii romantycznej czy melodramacie, jak kto woli, a ja ze swoją kamerą nie powinienem był tego przegapić.

– Wolne, proszę siadać – zachęcił mnie klecha.

No i chuj, wjechałem się. Ale w sumie nie taki wielki problem. Usiądę, pojedę do najbliższej stacji. Wtedy udam, że niby wysiadam, i tak zostanie mi sporo czasu na szukanie.

Czarny cały czas czarował lasencję. Założę się, że poznał ją przed chwilą w pociągu. Założę się, że usilnie pracuje, żeby jeszcze tego wieczora nadziać ją na bolca. Albo jeżeli wysiądą na różnych stacjach, a najfajniejsze dupy mają to do siebie, że zawsze wysiadają na innej stacji, to pracuje na solidny podkład pod wieczorne klepanie niemca po hełmie. Laska akurat na podkład nadawała się znakomicie, dobrze była zrobiona, wyraźny makijaż z czerwoną szminką, w tym odcieniu

czerwieni, co to obiecuje ten sam kolor bielizny, długie blond włosy, kształtne cycki objętości piłki do ręcznej, spódniczka do pół uda i czarne rajstopy. Wiecie, ten typ, że nawet gdyby w ogóle zrobiona nie była, to i tak wszystkoma tak bardzo na swoim miejscu, że od razu chce się ją zerznąć. A ksiądz na starcie ma sto punktów i kredki, bo kobiety kręcą zajęci faceci, a jak są zajęci przez Boga, to już w ogóle. Więc on coś jej pościemnia, ona będzie wpatrywać się w niego swoimi sarnimi oczami, pociągają się o siebie nogami, bo przecież tak ciasno w tych kolejowych przedziałach, utrwali sobie jej obraz, a wieczorem przywoła go sobie oczyma duszy, kiedy będzie marszczył rązingera, będzie jak znalazł. Zaczęłam słuchać, co tam nawija. Akurat włączyła mu się faza na dłuższy monolog.

– Wszyscy znają pewne wątki z historii Jakuba, jak to oszukał swojego ojca, wchodząc w rolę swojego starszego brata Ezawa, jak to przyśniła mu się drabina, po której przemieszczały się anioły, albo jak innej nocy walczył z Bogiem i ten mu uszkodził biodro. To zresztą ciekawe, że do języka weszło powiedzenie „pięta Achillesa”, a „biodro Jakuba” nie pełni żadnej symbolicznej funkcji. A mogłoby przecież symbolizować koszty, jakie się ponosi, gdy osiąga się to, co niemożliwe. Tak jak niemożliwe jest zwycięstwo w walce z Bogiem, a jednak Jakub tego dokonał. Ale ciekawy jest też ten mniej znany moment w jego biblijnej biografii, pomiędzy snem o drabinie a walką z Bogiem, długi moment, trwający ponad dwadzieścia lat. Przebywał wtedy u brata swojej matki, Labana. Żeby być precyzyjnym, ukrywał się u tam przed swoim bratem, który pałał żądzą zemsty za kradzież ojcowskiego błogosławieństwa.

Gościu, błagam, skończ z tym. Podryw na Biblię, to jest najgorsze, co mogłeś wymyślić. To znaczy, jakbyś mieszkał w Ameryce i był obwoźnym sprzedawcą Biblii, to jeszcze, miałbyś wtedy pretekst, żeby wbić się na chatę, byłaby historia jak z monterem kablówki czy innym hydraulikiem,

ale na litość, nie jakieś gadki o wizycie u wujka. A ten twardo – leciał dalej.

– Ten Laban miał dwie córki. Starsza, Lea, miała zgaszone oczy, młodsza, Rachela, była piękna i miła i Jakub natychmiast się w niej zakochał. Umówił się więc z Labanem, że będzie pracował u niego przez siedem lat, a w nagrodę dostanie jego córkę za żonę. Kiedy minął umówiony czas, wujek i przyszyły teść w jednym urzędził huczne wesele. Musiało być naprawdę huczne, bo Laban oszukał siostrzeńca i do łóża dla nowożeńców zamiast Racheli posłał mu swoją drugą córkę Leę, a ten się w ogóle nie zorientował. Kiedy Jakub w końcu zrozumiał, co się stało, było już za późno. Ale jak słusznie podejrzewasz, to jest dopiero początek tej historii. Jakub w tej sytuacji...

Pociąg się zatrzymał. Facet spod okna zaczął się szamotać, że jego stacja, prawie by przegapił, zaczął w popłochu ściągać bagaż i przescikać się do wyjścia. Czarny przerwał opowiadanie. Trudno się buduje nastrój opowieści o gościu, co na całe życie związał się nie z tą kobietą, co trzeba, jak ci walizka nieogarniętego pasażera na łeb leci. Wstałem i wyszedłem. Robota czekała, figurantka się sama *in flagranti* nie złapie. Ale nawet urzekła mnie ta historia snuta przez księdza, więc żałowałem, że nie dowiem się, czy Jakub wybrnął z tego syfu. Ciekawe, co by było, gdybym to ja związał się, zamiast z moją eks, to z jej starszą siostrą. Są tak różne, a pewnie skończyłoby się zupełnie tak samo. Ale nie mam co narzekać. Ja zawsze mogę sobie znaleźć nową dupę. A ksiądz ma generalnie przejebane z tym, jak ulokował uczucia. No bo wybrał sobie tego siwego z brodą i jak trafił, to dobrze, ale jak nie? Jak po śmierci przywiata go ten z ośmioma rękami i trąbą słonia, i spyta, Zenek (czy jak tam ma na imię), cóżeś ty uczynił? Złemu bogu służyłeś, po prawdzie to on w ogóle nie istnieje. I co ja mam teraz z tobą zrobić? Krowy wpierdalałeś za życia, a krowa to święte zwierzę jest, i jak ja mam ci to wybaczyć?



Dotarłem do końca pociągu, znowu zaglądając do wszystkich przedziałów. I jeszcze raz, w drugą stronę. Nie było jej i nie chciało być inaczej. W końcu zadzwoniłem do męża i wszystko się wyjaśniło. Nagle zachorowała, jakaś grypa żołądkowa, leci jej z obu końców, nie wiadomo, z którego bardziej (nie doprecyzowywał tego). Nie, nie uprzedził mnie, bo to i tak nie miało żadnego znaczenia, przecież mi płaci za każdy dzień, więc dla mnie nawet lepiej, że kasa mi leci na konto, mimo że nie będę musiał nic robić, a ona za dwa dni dojedzie na miejsce i wtedy będę potrzebny, nie mógłbym mieć wszak dwudniowej obsuwy jak ona, boby to się wydało podejrzanе.

Ej, gościu, nie decyduj za mnie, co dla mnie lepiej, gównie o tym wiesz. A poza tym nie ucz mnie, co jest podejrzanе, a co nie, lata robię w branży podejrzeń, nigdy nie miałem wpadki, więc serio, kurwa, wyluzuj. Oczywiście nie powiedziałem mu tego, jak to mówią, nasz klient nasz pan. Mam dwa dni czekać, on mi za to wisi kaskę, chuj, poczekam.

Wróciłem na swoje miejsce. Zachciało mi się jarać. Potwornie mi się zachciało. Nie to, żebym jakoś specjalnie był wkurwiony tą niezapowiedzianą sraczką niewiernej żony. Mam w dupie wszystkie sraczki wszystkich niewiernych żon tego świata. Po prostu wieczność już nie paliłem. Zgodnie z biblijnym przelicznikiem, w którym sześć dni od stworzenia świata do stworzenia człowieka odpowiada czterem i pół miliardom lat, na które czas trwania tego procesu szacują amerykańscy naukowcy, ostatni raz sztachnąłem się jakieś trzy i pół miliarda lat temu. I w każdej erze, w każdym wieku, w każdym roku, w każdej minucie, sekundzie, w każdej nanokurwasekundzie od tamtego momentu czułem zasysający, jak największa czarna dziura w samym środku wszechświata, głód nikotyny. Gdyby przypląnęła do mnie złota rybka i obiecała, że spełni moje trzy życzenia, to natychmiast wybrałbym ramkę fajek, napełnioną zapalniczkę i jeszcze od razu otwartą paczkę fajek, żeby nie musiał się pierdolić z rozrywaniem tej folijki. I właściwie to przy każdym kiosku,



przy każdej kasie w supermarkecie, w każdej knajpie ta rybka do mnie podpływała ze swoją propozycją. Na szczęście do tej pory udawało mi się ją skutecznie przekonać, żeby spierdalała tam, gdzie glony rosną. Po prostu pięć dni temu postanowiłem, że chcę osobiście zatańczyć na weselu mojej córki, a nie wisieć w wersji czarno-biały portret w antyramie z czarną przepaską – więc żeby zrealizować to postanowienie, muszę chociaż trochę zadbać o swoje zdrowie.

Żeby zająć myśli czymś innym, wyciągnąłem książkę „Bitwa o Midway. Burza nad Pacyfikiem” i zatopiłem się w lekturze. Kiedy po jakimś czasie wyrzałem za okno, na horyzoncie wyłaniały się góry. Minęliśmy już Kraków. Kolejne kilometry i godziny nabite w służbie nabijania konta. Przestrzeń i czas to są podstawowe narzędzia w mojej robocie. Jeżdżenie za ludźmi, czekanie na ludzi. Dwa tysiące kilometrów, bo dostałeś cynk, gdzie przebywa ojciec z porwanym dzieckiem. Nie było chuja. Dwanaście godzin pod blokami na jakimś wypizdowie, bo figurantka wbiła o dwudziestej do swojego gacha i liczyłeś, że wyjdą gdzieś razem. Nie wyszli, rano wyszła sama. Osobiście wolę nabijać kilometry niż godziny, przynajmniej coś się dzieje. Tyle że nie da się nabijać samych kilometrów. Każdy kawałek przestrzeni idzie pod rękę z czasem. Co ciekawe, w drugą stronę to już nie obowiązuje. Można godzinami odparzać sobie dupę na fotelu zaparkowanego samochodu i nie przemieścić się nawet o milimetr. Chyba że weźmiemy pod uwagę zapierdalanie globu dookoła własnej osi, plus dookoła Słońca, plus dookoła centrum galaktyki, plus ruch gdzieś w chuj, w kosmos, bo wszechświat się rozszerza. Ale Ziemia zapierdala, a nikt z nas tego nie czuje, ja na pewno nie, więc się nie liczy.

## ROZDZIAŁ 2

W Nowym Targu miałem przesiadkę na autobus. Usiadłem na końcu. Zawsze w autobusach siadam w tym ostatnim rzędzie. Sam nie wiem, może taki nawyk, żeby mieć wszystko pod kontrolą, móc wszystkich obserwować, samemu nie będąc widzianym. A może po prostu tam zazwyczaj jest więcej miejsca, bo ludziom się nie chce przepychać na koniec, a nawet jak ktoś się przepcha, to i tak nie usiądzie na fotelu obok, tylko zostawi jeden buforowy. Chwilę po mnie do środka wbił ksiądz z pociągu, razem z tą dziunią. No proszę, to mu się przyfarcilo. Laska nie tylko nie wysiadła na innej stacji, ale nawet ma tę samą przesiadkę co on. Będą jeszcze jaja, jak się okaże, że oni razem ze mną na warsztaty jadą. Chociaż zdziwiłbym się, gdyby ksiądz dostał od swoich szefów zgodę na uczestnictwo. Pisanie może być bardzo niebezpieczne, lepiej nie ryzykować. Czytanie zresztą też. Jak mówi pismo episkopatu – błogosławieni, którzy nie piszą i nie czytają, tylko klepią utarte formułki, albowiem do nich będzie należeć Królestwo Niebieskie. A wcześniej na własność posiadą ziemię. Tę ziemię. Co ja mówię, posiadą. Polskę już posiadli. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że nadal pamiętam osiem błogosławieństw, siedem grzechów głównych i wszystkie inne wyliczanki. Sześć lat bycia ministrantem nie poszło na marne. Znajomość pięciu przykazań kościelnych na pewno mnie ocali, kiedy na czterech koniach przybędzie zbawić nas apokalipsa.

Piętnaście minut i dojechaliśmy do Białki. Z przystanku szczęśliwie nie było daleko do pensjonatu. Dwupiętrowy budynek. Ostry, spadzisty dach, kamienna podmurówka, balkony dookoła. Góralska typówka. Dom stał w głębi, od drogi oddzielały go zabudowania gospodarcze i ogród, za nim rozciągała się łąka. Drzwi otworzyła mi gospodyni. Jej wygląd dawał do zrozumienia, że cokolwiek przez najbliższe dni się wydarzy, na pewno dobrze sobie pojem. Dostałem pokój na pierwszym

piętrze. Wiecie, taki, jakiego można spodziewać się w górskim pensjonacie – boazeria na ścianach, dwa sosnowe łóżka ustawione osobno, szafa na ciuchy, stół, cztery krzesła, elektryczny czajnik i telewizor z wystawki w Niemczech. Sheraton to nie był. Umówmy się, przyjechałem na jakiś jebany kurs pisania powieści, a nie doroczny zjazd wyższego menedżmentu największego banku w Polsce.

Miał ze mną mieszkać jakiś facet. Przyjedzie wieczorem albo jutro rano. Liczę, że będzie miał ochotę wieczorami się napić, jakoś muszę przetrwać te dziesięć dni. Postanowiłem wyjść poszukać jakiejś flachy, żeby mi sklepu nie zamknęli. Po drodze minąłem trzy laski. Szły w kierunku mojego pensjonatu. Ale nie wyglądały na takie, co miałyby brać udział w kursie pisania. Rasowe tipsiary, a nie da się napierdalać w klawiaturę z dolepionymi tipsami. Byłoby to strasznie niewygodne, a i tak by się połamały. Więc pewnie szły gdzieś obok, jakieś sąsiadki w wypoczynku, postanowiłem później ustalić, skąd dokładnie są, taka wiedza może się przydać. Jak to mówią, flacha, dupa, darcie ryja twe-mu szczęściu zawsze sprzyja.

Dotarłem do sklepu. Jakaś sieciówka, co to wszędzie wygląda tak samo. Półki były takie same, ustawienie półek było takie same, na półkach leżały towary tych samych marek i nawet za ladą stała ta sama kobieta co w całej Polsce. Pod tym względem tęsknię za komuną. Samej komuny mi nie żal, w ogóle, wiadomo, było gorzej, ale brakuje mi peerelowskiej różnorodności. Bo w tamtej czerwonej urawniłowce, pod tamtymi czerwonymi sztandarami z wyszytym złotą nicią słowem „Równość”, w tamtym kraju, w którym wszyscy mieli być jednakowi i wszystko miało być jednakowe, więcej było różnic niż teraz. Pełne sklepy są pełne tak samo. Puste były puste na swój wyjątkowy sposób. Pustka miała swoje linie papilarne, swoje imię i nazwisko i jeszcze PESEL. W jednym geesie nazywała się woda kolońska Brutal i wyrób czekoladopodobny z masy tłustej Kaprys, w innym pakuły Iniane i her-

bata Popularna, w jeszcze innym Konserwa Turystyczna i Suchary Beskidzkie. A do tego dużo z tych towarów pochodziło od okolicznych producentów, więc wystarczyło zmienić województwo i już mogłeś trafić coś, czego do tej pory nie znałeś, a nie tak jak teraz, że masz wszędzie ten sam jogurt z globalnej korporacji, więc nawet zmiana kontynentu cię nie uratuje. Podszedłem do lady.

– Czegoś bym się napił. Co pani poleci?

– Jakąś wodę?

– Czy ja wyglądam jak ryba?

– To może gazowaną? Ryby nie piją gazowanej.

– Dobrze, ma pani u mnie sto punktów i kredki. Jakąś flachę bym wziął. Co kupuje sołtys?

– Nie mogę powiedzieć. Ochrona danych osobowych.

– Robi się mrocznie, jak w szwedzkim kryminale. Dobra, to wezmę jakiegoś łiskacza, tego co jest w promocji. Ma kolor, to zawsze mogę udawać, że to soczek. Może poczekam, aż pani skończy pracę i razem się napijemy?

– Ja nie piję takich mocnych. Ale może mój mąż będzie miał ochotę się z panem napić.

– Z obcymi nie piję.

– Przecież mnie też pan nie zna.

– Znam. Znam te piękne, czarne oczy, to głębokie spojrzenie, więcej mi nie potrzeba.

Roześmiała się i zawięta butelkę w papier. Zapłaciłem zbliżeniowo, puściłem do ekspedientki oko i wyszedłem.

Kiedy wróciłem do mojego pokoju, zobaczyłem na drugim łóżku walizkę, kilka rozrzuconych ciuchów, kosmetyczkę na nocnym stoliku, w powietrzu czuć było zapach dobrych perfum. Naprawdę dobrych, gdybym nie wiedział, że to męskie, to chyba by mi stanął. Przyjechał mój współlokator na najbliższe dni. Wyglądało na to, że szybko się

ogarnął po podróży i gdzieś poszedł. Cóż, dopóki nie wróci, będę musiał łączyć w samotności. Nalałem sobie solidną porcję whisky do szklanki i włączyłem telewizor.

Zacząłem przelatywać po kanałach z nadzieją, że choć na jednym będą dawali coś interesującego. Na jednej stacji jakaś gruba świnia uprawiała kanibalizm, czyli wpierdalała schabowego, przy okazji tłumacząc, że ona wie lepiej, jak się powinno smażyć kotlety. Na innej był polski kabaret, jacyś kolesie przebrali się za debili, zupełnie niepotrzebnie, bez przebierania było po nich widać, że są debilami i natrzęsali się z niedorozwojów, bo to przecież takie śmieszne, że ktoś jest opóźniony, boki, kurwa, zrywać. Na kolejnym kanale leciała relacja z mistrzostw świata w lekkiej atletyce. Akurat trafiłem na moment, jak dziennikarz rozmawiał z naszym zawodnikiem tuż po biegu. Przytoczył słowa jego trenera, który stwierdził, że najszybciej biegał dwa lata wcześniej i już nigdy tak szybko biegał nie będzie. Sportowiec najpierw zrobił wielkie oczy, bo on tego nigdy od swojego trenera nie słyszał, nie trzeba mieć pieprzonego doktoratu z psychologii sportu, żeby wiedzieć, że taki komunikat niespecjalnie motywuje do treningu, a kiedy już do niego dotarło, co właśnie usłyszał, grzecznymi słowami odpowiedział dziennikarzowi, żeby spierdalał, i sam się oddalił, przerywając wywiad. Więcej emocji w tym było niż w samym bieganiu. Swoją drogą, jak myślę o polskiej lekkoatletyce, to rozpiera mnie duma narodowa. Najlepsi jesteśmy w ciskaniu młota, kuli, dysku – jeżeli sport jest zastępczą wojną, to wszystkie te konkurencje symbolizują otwartą walkę, bohaterskie jebnięcie we wroga ciężkim przedmiotem. Nie to co biegi czy skoki, które kojarzą się ze spierdalaniami w podskokach. Ale tego wieczoru nasi niczym nie rzucali, więc zmieniłem stację. Na następnej dawali „Poszukiwaczy zaginionej Arki”. Byłem uratowany. Poszukiwaczy mogę oglądać na okrągło. Doszedłem do tego momentu, kiedy Marion przepija wszystkich twardych facetów w barze w Nepalu, i uzupełniłem

szklaneczkę, żeby napić się razem z nią. Moja bohaterka. Gdybym miał taką żonę, nie musiałbym się rozwodzić. Twoje zdrowie, Marion!

Kiedy już naziści zostali ostatecznie pokonani, a Arka ocalona, zrobiło się późno. Ten tajemniczy człowiek, co miał ze mną mieszkać, cały czas nie wracał. Jego strata, opróżniłem całą flachę sam. Tak mnie porobiła, że nawet gdyby ktoś przyszedł w nocy, włączył światło i obijał się o meble, i tak bym nic nie usłyszał. Ustawiłem budzik i poszedłem w kimę.

## ROZDZIAŁ 3

Obudziłem się o dziewiątej. Nadal sam w pokoju, ciuchy współlokatora leżały rozrzucone na jego łóżku tak samo jak wczoraj. Łeb mi napierdalał po wczorajszym picciu. Muszę skończyć z tym łojeniem. Pójdę się wykąpać, zimny prysznic postawi mnie na nogi, mam w tym lata praktyki. Kiedy przechodziłem przez korytarz, przez zamknięte drzwi sąsiednich pokoi, słyszałem szuranie i rozmowy, ludzie się już pojeżdżali. Łazienka była wspólna, jedna na piętro. Rozebrałem się, wszedłem pod natrysk i uświadomiłem sobie, że zapomniałem wziąć ręcznika. Ożeż, kurwa! O jak mi się nie chciało z powrotem ubierać, żeby po niego wrócić. Normalnie by mi się nie chciało, a tu dodatkowo byłem na kacu, kiedy moje ruchy są trzy razy wolniejsze. A znając moje szczęście, to jeszcze się przy zakładaniu spodni wyjebię. Ubrałbym same gacie, ale pod prysznic poszedłem bez. Jak ruszę goły do pokoju, ktoś mnie może nakryć na korytarzu, będzie siara. Wiecie, ludzie są pruderyjni. No ale chuj, jednak spróbuję, do odważnych świat należy.

Ostrożnie otworzyłem drzwi. Nikogo. Z wyostrzonymi zmysłami ruszyłem w kierunku swojego apartamentu. Pierwszy pokój po drodze minąłem bez przygód. Jeszcze jeden i jestem uratowany. I nagle zoba-

czyłem obracając się klamkę i usłyszałem zgrzyt zawiasów. Rzuciłem się z powrotem do łazienki, ale wypierdoliłem się pod samym wejściem. Te jebane góralskie chodniczki muszą się zawijać akurat w strategicznych miejscach. Błyskawicznie wróciłem do pionu i wskoczyłem za drzwi. Przekręciłem klucz w zamku. Mam nadzieję, że jednak zdążyłem, że ta osoba mnie nie zobaczyła. Ktoś zaczął się dobijać. Zajęte! – zawołałem. Po chwili usłyszałem powrotne kroki na korytarzu, skrzypiące zawiasy, znowu ucichło. Odczekałem chwilę i spróbowałem jeszcze raz. Tym razem, na wszelki wypadek, zasłoniłem fiuta t-shirtem. Przebiłem się bezpiecznie przez cały korytarz. Udało się. Wszedłem do swojego pokoju. I zobaczyłem mojego współlokatora. Księdza z pociągu. Idealnie kurwa, doskonały strój na zapoznanie, tyle chociaż dobrego, że zszedł mi poranny wzwód, bo naprawdę zrobiłoby się niedyplomatycznie. Sytuacja miała nawet swoją symboliczną logikę, skoro przed Bogiem wszyscy jesteśmy nadzy, to poziom niżej, przed Bożymi urzędnikami, jesteśmy nadzy prawie, chronią nas tylko listki figowe ( w tym wypadku w postaci koszulki z obrazkiem kaczuśki i napisem DUCK YOU).

– Szczęść Boże – znowu włączyła mi się katolicka konwencja.

– Szczęść Boże – odpowiedział. – Tomek. – Zaraz dodał i podał mi rękę. – My się już wiedzieliśmy w pociągu, cóż za zbieg okoliczności.

– Nie ma zbiegów, są tylko źle ścigani – odpowiedziałem zupełnie bez sensu.

– Od razu widać, że mam do czynienia z pisarzem – roześmiał się. Nie wyprowadzałem go z błędu, miałem swoją rolę do odegrania, więc w sumie dobrze wyszło. –Przejechałem wczoraj nieopatrznie przystanek w Białce, więc nie wysiedliśmy razem. A potem wyszedłem odwiedzić kolegę z seminarium, wikarego z kościoła w sąsiedniej wsi, w Jurgowie. No i zrobiło się późno, nie chciałem po nocy wracać, jeszcze by



mnie jakiś samochód przejechał, więc już u niego zostałem na plebanii.  
– Z jakiegoś powodu musiał mi się wytłumaczyć.

– A ja czekałem z kieliszeczkiem na powitanie, ale nic straconego, nadrobimy – powiedziałem na głos, a w duchu dodałem: ciekawe, jaką ten wikary ma miseczkę, z tego, co pamiętam z wczorajszej podróży, to będzie jakieś B. Zaraz oczami duszy zobaczyłem tę dupę z przedziału i poczułem, jak napływa mi krew, tam gdzie krew lubi napływać w reakcji na takie obrazy. Wziąłem ręcznik i szybko zmyłem się z pokoju, żeby ksiądz nie pomyślał, że to na jego widok tak mi pała drgnęła.

Wykąpałem się, ogarnąłem i zszedłem na śniadanie. Jadalnia znajdowała się w podpiwniczonej części budynku. Było to dość mroczne, podłużne pomieszczenie z małymi okienkami u góry. Pod sufitem były zamocowane oheblowane, grube bale. Udawały elementy konstrukcyjne, ale w rzeczywistości jedyne, co mogły zrobić, to spierdolić się komuś na głowę, gdyby się akurat obluzowały. Na środku sali zestawione stoły łączyły się w jedną długą ławę, zapewne w celach integracyjnych. Krzesła były typowo góralskie, z tymi wszystkim wzorzystymi wycięciami, esami-floresami, serduszkami wyciętym w środku oparcia. Że się komuś tak chciało rzeźbić, zamiast kupić jakieś łatwe w produkcji meble w najbliższej Ikei. Tego to ja nigdy nie zrozumiałem. Na końcu jadalni był kamienny kominek, dawno się w nim chyba nie paliło, bo w wyczyszczonym palenisku stała figurka Żyda z pejsami i pełną sakiewką. Ciekawe, czy obracają go raz w tygodniu, żeby wytrząsnąć z niego monety. Na ścianie, po prawej stronie, znajdował się olejny obraz przedstawiający Giewont. Tego też nie zrozumiałem. Jakbym mieszkał w górach, to chyba bym wolał sobie powiesić jakiś landszafcik z morzem, bo góry miałbym na żywo, tuż obok, ale co ja tam mogę wiedzieć, w końcu nie mieszkam w górach.

Przeszedłem przez salę do szczytu stołu, tam, gdzie zostało wolne miejsce. Przywitałem się ogólnym – cześć, jestem Paweł, i usiadłem. Ludzie



w rewanżu po kolei zaczęli mi się przedstawiać. Chuja z tego zapamiętałem, bo nigdy nie pamiętam imion ludzi za pierwszym razem. Pamiętam twarze, z imionami muszę się oswoić. Czasami nadaję im pseudonimy na własny użytek. Po lewej obok mnie siedziała Anoreksja. Chuda jak mięso w Wielki Piątek, miała tak cienką skórę, że wydawało mi się, że widzę przez nią kości jej czaszki. Dalej był jakiś gościu w średnim wieku z irokezem i wąsem. Nie powiem, odważna aranżacja ryja. Nazwałem go sobie na własny użytek Wściekły Byk. Na tej samej zasadzie, jak się nadawało ksywki za dzieciaka, że na najmniejszego wołaliśmy Dryblas, a ten tu od pierwszego rzutu oka emanował wyjątkowym spokojem. Po jego lewej stronie siedziała Świtezianka, miała rude włosy, poskręcane w gęste sprężynki, uśmiech szeroki jak szczęście świata i czerwone korale, pewnie kupione po drodze w Nowym Targu. Sympatyczne dziewczę. Pewnie się nie zaprzyjaźnimy, ale w drogę sobie też nie będziemy wchodzić. Po drugiej stronie, od końca, usiadł mój ksiądz, tego imię zapamiętałem, Tomasz. Obok było puste krzesło i nieużywane nakrycie, a bliżej mnie siedziała jakaś dupa w ogrodniczkach. Z tych, co jak spytają: kochanie, czy nie jestem gruba, to najpierw musisz jej odpowiedzieć, a następnie wypowiadać się z kłamstwa, jeżeli chcesz pójść w niedzielę do komunii. Obok mnie po prawej siedziała kobieta, która wyglądała jak milion dolarów, większość co prawda wydanych ładnych parę lat temu, ale nadal jej trochę na koncie zostało. Jej imię też zapamiętałem – Magdalena.

W historiach o detektywach, od Sherlocka zaczynając, jest mit geniusza dedukcji, co to spojrzy i wie od razu wszystko. Jakiś mężczyzna ma smar za paznokciami, nalepkę z lotniska we Frankfurcie i czapkę z logo VW – aha, i już wszystko wiadomo, to mechanik samochodowy, który jeździ na saksy do Niemiec. Równie logiczne, że jak ktoś ma pokruszone pyry w brodzie, to znaczy, że jadł właśnie obiad i jest z Poznania. Gdyby był z Warszawy, w brodzie miałby kartofle. Ja, jak patrzę na nowych ludzi, to nic wiążącego nie potrafię o nich powiedzieć. Nie mam zielonego

pojęcia, kim są. Ale mam inny magiczny dar – mogę z pewnością powiedzieć, kim nie są albo czego nie robią. Mógłbym się na przykład założyć o grubą kasę, że ta dupa w ogrodniczkach nie pracuje w ogrodzie, a ta obok mnie po prawej nie jest na co dzień serwisantem Volkswagena w Rajchu.

Śniadanie upłynęło w atmosferze eleganckiego pierdolenia. Zawsze tak jest, jak jest nowa grupa ludzi. Obwąchują się ostrożnie, ą, ę, bułkę przez bibułkę, nikt nie chce puścić towarzyskiego bąka. Poznawanie się nowej grupy ludzi to jest, że podzielę się taką odkrywczą myślą, dokładne przeciwieństwo dobrego rżnięcia – najpierw jest w chuj sztywno, a z czasem klimat wyluzowuje. *Czym przyjechaliście, jak wam się jechało, a nie było tłoku? Skąd jesteś, z Supraśla, znam, tam jest ten arabski kościół, to akurat nie w Supraślu i nie arabski, ale poza tym wszystko się zgadza, a ty, a ja jestem z Genewy, o, niesamowite, tak daleko i chciało ci się do Białki przyjeżdżać na kurs pisania? Chuja tam daleko, nie żyjemy w XIX wieku, podejrzewam, że dostała się do Białki szybciej niż ja z Poznania. Lubię góry, mam nadzieję, że będzie trochę czasu wolnego, żeby zdobyć jakiś szczyt, ja też bardzo lubię, kiedyś dużo jeździłam, ale teraz z małymi dziećmi to jeździmy nad morze, bo na wspinaczkę są jeszcze za małe, o, masz dzieci, ja właśnie niedługo zostanę ojcem, czy mogłabyś podać mi kawałek chleba, mamy termin za miesiąc, nie przejmuj się, podaj rękami, mam nadzieję, że małemu nie będzie się spieszyło na świat przed czasem, bo gdybym musiał wracać w połowie kursu, to nie dowiem się, jak należy kończyć książki, chyba zjem jeszcze jeden kawałek z boczkiem, przepyszny, od razu czuć, że swojski, ale już nie mogę się doczekać, to musi być fantastyczne doświadczenie, no na pewno, mój świat się całkowicie zmienił, ale polecam, a co ostatnio czytaliście. Wyłączyłem się, bo wszyscy zaczęli się przerzucać tytułami, o których nigdy nie słyszałem i nie zamierzałem tego zmieniać. Jedno co mi wpadło w ucho, to coś w stylu „Kompleks pornola” i to mnie akurat*

zaciekawilo, będe musial przeczytac, swietnie to znam, jak sie czlowiek naoglada pornoli, to sie moze nabawic niezlych kompleksow.

Nagle gwałtownie podskoczyłem na krześle. Ktoś za moimi plecami z całym impetem pierdolnął drzwiami. Nienawidziłem tego dźwięku. Od zawsze, jak pamiętam. A pewnie i jeszcze wcześniej. A ten hałas, w tamtym momencie, był najgorszy, bo to był dokładnie TEN hałas – wzmocniony przez brzęczenie niedokładnie spasowanej szyby w drzwiach. Od razu miałbym ochotę wstać i bić. Zacisnąłem pięści, żeby się powstrzymać, a po chwili w polu mojego widzenia pojawił się sprawca, a raczej sprawczyni. No proszę, my się już poznaliśmy. Przynajmniej zaocznie. To była ta laska od księdza z pociągu. Pseudowikary z Jurgowa. Przyjrzałem się jej uważnie i przestałem się dziwić, dlaczego przyszła, kiedy wszyscy już kończyli śniadanie. Musiała się jebać z makijażem co najmniej godzinę, wnioskując po ilości i jakości jej tapety. Dobrze wyglądała, naprawdę dobrze. Pochwalam to. Muszę pogadać z księdzem, może da się namówić i pojedziemy na dwa baty. Chociaż raczej się nie zgodzi, nie mogę być pewien, ale podejrzewam, że gdzieś w Biblii wpisany jest zakaz używania w tych celach oka demona, więc nie będzie chciał mieć grzechu. Ale jeśli to ja będę ją posuwał z tyłu, a on z przodu, to chyba grzechu nie będzie? Będę musiał wysłać zapytanie do papieża Franciszka w tej sprawie, mam nadzieję, że mi odpowie, zanim nasz zjazd się skończy. Ewentualnie mógłbym pójść w oral, to akurat nie jest zakazane przez Kościół, jak tylko nie skończę w ustach, to wszystko będzie prawidłnie i po bożemu – generalna zasada jest taka, że Bóg oczekuje, że każdy wytrysk spermy musi dawać szansę na zapłodnienie. Wiem, bo czytałem wywiad z jedną katolicką publicystką na ten temat.

Zajęła wolne miejsce obok Tomasza, bo jakoś tak się dziwnie złożyło, że właśnie tam było puste. Zauważyłem, że jej pojawienie się wzbudziło wśród części ekipy poruszenie i chyba nie chodziło tylko o impet, z jakim wbiła do jadalni ani o jej wypracowany wizaż. Ktoś spytał: „ty tutaj, też

będziesz z nami uczyć się pisać, przecież już wydałaś książkę, he, he?”. Aha, czyli gwiazda. Ale grzecznie się przedstawiła na wypadek, gdyby ktoś jej jeszcze nie znał – „cześć, jestem Mylai” (wymówiła to oczywiście z angielska – majlaj).

– Ale to jest twoje prawdziwe imię, od chrztu? – Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie spytać.

– Nie – roześmiała się. – To jest imię, które sobie sama wybrałam. W końcu czy to nie dziwne, że coś tak ważnego jak imię wybiera ktoś za nas, a my nie mamy na to żadnego wpływu?

– Kumam. A w takim razie, skąd pomysł na Mylai, dlaczego akurat takie imię sobie nadałaś? – drżylem.

– Kiedyś w radiu skakałam po kanałach i była audycja o jakimś miejscu, gdzieś tam w Azji, co się nazywa Mylai, że coś tam, nie wiem, bo zmieniłam stację, ale samo brzmienie mi się spodobało. – Tak przypuszczałem, nie miałem więcej pytań. Mǃ Lai, miejsce masakry setek Wietnamczyków. Case is, kurwa, closed.

Zbliżała się dziesiąta. Do rozpoczęcia zajęć zostały jeszcze dwie godziny. Postanowiłem przejść się na spacer. Podziękowałem za wspólne śniadanie i szybko się zmyłem, żeby nikomu nie przyszło do głowy, żeby wybrać się ze mną. Czasami potrzebuję wolności od obecności kogokolwiek innego poza sobą samym. Od siebie też bym momentami chciał, gdyby się dało, ale nie da się. Ruszyłem wąską ścieżką prowadzącą przez łąkę do potoku, który płynął kilkaset metrów za naszym pensjonatem. Postanowiłem jeszcze raz pozbierać do kupy całą historię i przemyśleć, jak najlepiej zrealizować zlecenie klienta. Zacząłem od telefonu, który odebrałem tydzień temu.

– Agencja Detektywistyczna „Joe Aleks”, słucham?

– Dzień dobry. Moje nazwisko panu wszystko powie, więc na razie wolę się nie przedstawiać. Dostałem na pana namiary od znajomego, dla którego zrealizował pan zlecenie i bardzo pana chwalił. Tylko

że to była kwestia gospodarcza. Czy zajmuję się pan też sprawami rodzinnymi?

– W tych czasach na specjalizację to wie pan, może sobie pozwolić tylko królowa angielska. Ja oferuję szerokie spektrum usług. W roga-  
ciźnie też jestem dobry. To znaczy przepraszam, sprawy rodzinne, jak  
najbardziej leżą w zakresie moich kompetencji zawodowych. Czego  
pan potrzebuje?

– No niestety, dobrze pan to wyraził. Obawiam się, że jestem  
zdradzany.

– Jak połowa facetów na tym świecie. Bo ta druga jest zbyt naiwna.  
Ale nie wszyscy dzwonią od razu do mnie. Rozumiem, że ma pan jakieś  
przesłanki?

– Żona jest w ciąży.

– W takim razie pogratulować, cieszę się pańskim szczęściem. Ale na  
ten moment bardziej potrzebne byłyby mi informacje, czemu się panu  
włączył tryb Otella.

– Czyj?

– Rogasia z Doliny Roztoki. Nieważne. Co panu każe myśleć, że jest  
pan zdradzany?

– No właśnie ta ciąża. Bo wie pan, ja nie mogę mieć dzieci. Potwier-  
dzone niestety przez lekarza. Nie mogę i już. A skoro żona jest w błogo-  
sławionym stanie, no to coś jest nie tak. W cuda nie wierzę.

– A szkoda, a szkoda. Miałby pan prostsze życie. Co prawda ja bym  
wtedy nie zarobił. No ale dobrze, to ja się chętnie podejmę tego zlece-  
nia. Jak żona ma na imię?

– Maria.

– W takim razie może jej gach ma na imię Gabryś? Odwiedzał was  
ktoś ostatnio o tym imieniu?

– Pan mnie zna, pan już coś wie, skąd to przypuszczenie?

– No bo skoro to dziecko nie jest owocem pańskich lędźwi... – tu zawiesiłem głos na chwilę. Co ja, kurwa, pierdolę, jakich lędźwi, chyba mi zakrystia weszła za mocno, raz ministrantem, całe życie ministrantem.

– ...A żona nie wątpię, że jest gotowa dać głowę, że nie miała poza panem innych kontaktów seksualnych, a do tego ma na imię Maria, to jedynym rozwiązaniem pozostaje Gabryś.

– Jaki w końcu Gabryś?

– No ten archanioł. Gabriel.

– Proszę sobie nie żartować. Mnie to nie śmieszy.

– Ja nigdy nie żartuję. Wie pan, życie potrafi być bardzo ironiczne. Wcale się nie zdziwię, jak naprawdę okaże się, że ten gach ma na imię Gabriel i pracuje jako posłaniec w firmie kurierskiej. Wie pan, przyjeżdża regularnie z dokumentami do pracy żony, tu proszę podpisać, o jaki ma pani piękny charakter pisma, a dłonie dzierżące pióro jeszcze piękniejsze...

– Rozumiem. Może pan już tego nie ciągnąć. Dość bólu zadaje mi moja własna wyobraźnia.

– Ok. Wracając do konkretów, czym żona się zajmuje? – Wróciłem do zbierania danych.

– Jest pisarką.

– Aha. Czyli raczej nie kurier. To lepiej. Ciężko się śledzi samochodem rowerzystę. Jeszcze go można niechcący przejechać. Chociaż pewnie pan nie miałby nic przeciwko, gdyby stała mu się jakaś krzywda.

– Czy tego typu usługi również ma pan w swoim portfolio? – spytał i dodał po chwili milczenia – ...oczywiście proszę nie odpowiadać. W ogóle nie było tego pytania.

## KONSPEKT

Paweł, właściciel agencji detektywistycznej „Joe Aleks”, dostaje zlecenie na dostarczenie dowodów małżeńskiej zdrady. Żeby wykonać to zadanie, jedzie na kurs pisania powieści prowadzony przez podejrzaną o niewierność pisarkę. W trakcie śledztwa, w miejscowości, w której odbywają się warsztaty, ginie mężczyzna. Paweł podejrzewa, że to poszukiwany przez niego kochanek, a wypadek był w istocie zaplanowanym morderstwem. Żeby zweryfikować swoją hipotezę, rozpoczyna prywatne dochodzenie.

Ważnym składnikiem powieści są przeplatające się z wątkiem kryminalnym wydarzenia związane z kursem pisania. Uczestnicy warsztatów reprezentują szerokie spektrum zawodów i pochodzą z różnych klas społecznych. Jest wśród nich naukowcy – fizycy, taksówkarz, artystka, ksiądz, popularna blogerka. Krótkie opowiadania, które piszą na kursie (pojawiają się one w książce jako osobne rozdziały), stają się punktem wyjścia do światopoglądowych dyskusji i ostrych konfliktów.

Mój bohater, brutalny cynik, trafia do obcego sobie świata. Do tej pory nic nie łączyło go z twórczym pisaniem, a teraz musi zagrać rolę aspirującego literata, żeby nie zdradzić prawdziwego powodu swojej obecności na kursie. Pisanie otwiera go na, wypierane do tej pory, pokłady wrażliwości. I to jest prawdziwe niebezpieczeństwo.

Gatunkowo „Ministrant” to czarny kryminał z rozbudowaną warstwą obyczajową.

Joanna Mazur

## Ciocie, cioteczki i ciotuchny

### REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Joanna Mazur pisze bardzo dojrzałą prozę, lekką, z komediowym zacięciem i wyrazistym stylem. Zręcznie odwołuje się do klasyki literatury i znakomicie radzi sobie z językiem. Warto śledzić jej poczynania, bo z pewnością o niej usłyszymy!



Siedzę w tramwaju. Nareszcie. Siedzę i myślę, co by tu robić, bo nim dojadę, robić nie ma co. I nagle tych trzech widzę, na przedzie. Jeden młody, dwóch w średnim wieku. A jeden, niemłody, siedzi obok. Gada. Zaczynam na niego patrzeć. Jak się bokiem obraca, widzę pół twarzy, czyli profil. Mrożek, stwierdzam, wygląda jak Mrożek. Tylko okulary inne. I zaczynam słuchać, co tymi mrożkowymi ustami opowiada. Snuje historie o kobiecie, co do Kanady przyjechała. Pewnie na stałe albo na dłużej, dodaję od siebie. Kanada, czyli raj, niedawno pisano o tym w jakiejś książce. No i ta Opowiadana do paradajzu przybyła. Ale zaraz, jeszcze w drodze z lotniska, a może tydzień później miała wypadek, na hajteju. Wzrok straciła prawie, przez dziesięć lat się nie ruszała. To straszne, rozmyślam. To okropne, przyjechać do obcego kraju, pół świata przelecieć. Po nowy początek, po świeże nadzieje i nagle, w mgnieniu oka, koniec historii, bajka się skończyła zanim się zaczęła.

Zaczynam się przejmować. A ci dwaj, co koło Mrożka siedzą, zupełnie nie. Poskubali skórki na wargach i patrzą. Za szybko. Tylko młody się wierci, niecierpliwi. Mówi, że się nie wyśpi jutro, ale dzisiaj się wyśpi, potem już nie da rady. Zastanawiam się, dlaczego. Jaki jest powód, że się nie wyśpi. Nagle coś mi ćwierka w torebce. SMS. Grzebię, wyciągam telefon. A tam zdjęcie, dwie plamy, jedna niebieska, druga żółta. Pewnie plaża i morze. W poprzek palma, na niej czerwony ciupek. Tropiki, Bahama rama i pytanie: „Czy u was pada?”. No pada, ale jestem w Krakowie. A tu deszcz, jak leje, to czysta poezja, tu o deszczu piszą piosenki. Bo to słowiańska Wenecja jest, to miasto. Tu karnawał trwa wiecznie, ludzie na co dzień biegają w maskach. Dorożki ktoś w karoce zaczarował, każdy koń ma pióropusz, na każdym rogu chłopka w koralach, wystrojona jak na wesele, zawodzi, a pójdźże, panocku, na nasze pierogi, mej izby przestąp progi, w euro możesz, w złotówkach, dolarach zapłacić, tylko wejdź,

zzuj kurtkę, a polejemy ci piwa, wódki i balantajna tyż, jak na bogato zechcesz. I dalejże w taniec chocholi puszcza się turysta, zrazu nieśmiało, z obawą, a jak już mu się mózg zaćmi tym smogiem, piwem, hejnału melodią, to nic, tylko się snuje od baru do baru i funty sobie z karty wypruwa. Potem może wskoczyć do tramwaju, erzacu dorożki, też skrzypi i trzęsie, a końskim łajnem w nos nie bucha. I może podziwiać te kamienice zamglone, księżyc przytroczony do Plant, skrzypka, co gra z playbacku melodie, mariackie wieże. A jak mu się znudzi, do kawiarni może się powlec. Zamówić espresso dla otrzeźwienia, śniadanie zjeść o trzeciej nad ranem. Uważnie tylko musi się rozejrzeć. Żeby strat nie narobić w dziedzictwie kulturowym. Tu nawet szkoda zrzucić ze stołu brudną serwetkę, bo mógł ktoś na niej zostawić poemat. A facet przy piwie ma dlatego tak wypchaną kurtkę, że kryje pod nią czarną pelerynę i stertę wierszy. Ten drugi natomiast, w oknie mlecznego baru, zjada pierogi ustami, co szepczą najlepsze bezrymne strofy i jest, jak piszą w gazetach, aniołem i demonem jednocześnie.

Jak nasze plany? – pyta kolejny SMS. A ja planów nie mam, bo jestem nie w swoim mieście, z mojego miasta, Miasta Bez Kultury, zwiątałam do Miasta Literatury. Ażyl trwa dwa dni zaledwie, ale na ten czas, drodzy państwo, nie istnieję i proszę ode mnie nie wymagać, nie oczekiwać i pytaniami nie zasypywać. Na próżno ta niema odezwa, bo jednak mi dzwoni, rozmowy się domaga. Sięgam po telefon i słyszę:

– No haj, heloł, tu Margo! Poznajesz? Czego nie odbierasz? Ja tu sobie żyły wypruwam, telefony cudze pożyczam, bo własny straciłam. Utopiłam go. W jeziorze Michigan, rozumiesz? Na wycieczce byłam na weekendzie. W Chicago. Super było, grill, i burgery, i żeśmy tak się wygłupiali, że mi w końcu mój Apple chlupnął do wody i zniknął.

I mnie Margowy telefon chlupie, w wyobraźnię. Wygląda jak złota rybka, tyle że zamiast pływać, ucieka w dół, w głębinę. Nie spełni już żadnego życzenia, żadnej rozmowy nie ziści. Będzie tam lśnił na dnie

na wieki, aż go obca cywilizacja kiedyś odkopie, bo w mule na pewno się dobrze zachowa, i zobaczy całe życie mojej Margo. Jej zdjęcia, MMS-y, SMS-y, profil na fejsie, konto na insta, połączenia wychodzące, i, w mniejszej liczbie, przychodzące. To wszystko się znajdzie w jakimś muzeum naszej świetnej cywilizacji, jej iPhone, a z nim, a w nim, ona, moja Margo. Ta, co mi dalej opowiada:

– Zła jestem jak nie wiem, bo tam wszystkie namiary miałam, kontakty i ważne pliki. A tu do Jarka dzwonić musiałam, co z naszym reunionem, jego numer też tam był. Na szczęście mam go na mailu, to mu napisałam, co i jak. Pamiętasz Jarka? On teraz jakimś dyrektorem w Locie jest, nawet mi bilet tańszy załatwił. Bo mówi, że pamięta, jak ja mu zeszyty z polskiego pożyczałam. Bo on zawsze na końcu klasy siedział i drzemał, pokerowe noce odsypiał, a te wszystkie Kamizelki, Katarynki i Chłopi nad Niemnem strasznie go nudziły, aż musiał uważać, żeby na głos nie chrapać, boby się wkopał na całego. Ależ się cieszę na ten zlot klasowy, ale się nagadamy, naśmiejemy, już sukienkę kupiłam, akurat trafiłam, mój rozmiar. Na tym zdjęciu, co ci wysłałam, to słabo wyszła, ale zobaczysz, wyglądam w niej ekstra. Cała jest czerwona, z marszczeniami, od Donny Karan. Na biodrach opływowa, syrenia taka, a czerwień ciemna, bardziej malina niż pomidor. Za kolano, elegancka. Tylko odkryte ramiona ma, ale to mi szal najwyżej pożyczysz, pewnie masz jakiś czarny. Nie wiem, czy rajstopy koronkowe do tego brać, czy gładkie, pewnie bez wzorków lepsze. I jeszcze kolczyki, Swarovskiego chyba, takie przezroczyste, długie, rozumiesz, jak sople lodu, żeby tę czerwień schłodzić. Chyba że jak będę miała czarny szal, to dodatki też czarne, z połyskiem. I wtedy pończochy kabaretki, jak szaleć, to szaleć, nie? Ale nie wiem jeszcze, jaki styl będzie lepszy. Wiesz, muszę ostrożnie, żeby nie przeholować, bo zaraz powiedzą, że mi gust w tej Ameryce zbadziewiał. A jak się wszystkie laski na szaro i czarno odstawią, to też ta czerwień średnio

będzie pasować. Tutaj bym się tak nie przejmowała, tu mogę więcej. Ostatnio jak byłam na paradzie na 4 Lipca, to się za biedronkę przebrałam, miałam czarne czułki, kropki z tektury wszędzie i nawet sobie dorobiłam nóżki wokół kiecki, na plecach. Czad, mówię ci. Ale to inna impreza, z moimi z klasy to by nie przeszło. Tyle lat ich nie widziałam, ciekawa jestem, kto przytył, kto wyłysiał. Trzydzieści lat minęło, jak poloneza z Markiem tańczyłam na studniówce, wyobrażasz sobie. Bo mnie ciężko. I jak dostałam tego mejla o zlocie, to zdecydowałam, wezmę, co mi tam, przylecę, stać mnie teraz. Prześpię się u ciebie, pogadamy wreszcie, a nie tak, przez telefon tylko. Cieszę się, bardzo, nie mogę się doczekać, cudnie, że to już, nie za tydzień, tylko za sześć dni!

Kicham, prosto w szalik. Chyba mam gorączkę. Margo przecież znikła z mojego życia, jeśli nie na zawsze, to na dobre. Jakieś dwadzieścia lat temu przepadła w otchłani dziejów, czyli we wnętrzu boeinga 767, unoszącego ją w stronę ziemi obiecanej: amerykańskiego uniwersytetu. Co Margo tam robiła, pozostawało w sferze moich domysłów, co jakiś czas podsycanych jej telefonicznymi opowieściami. Teraz domysły zastępuje przerażenie. Jak to: u mnie spać będzie? Gdzie? Na kanapie? Nawet nie w salonie, tylko w pokoju dziennym, do kuchni prowadzącym? Margo przez tydzień, może dwa. Margo wiecznie gadająca, Margo bezgrzeszna, wszechwiedząca, Margo powinność rodzinna, Margo ciotka z Ameryki, mityczna, choć prawdziwa, wysyłaczka paczek, posiadaczka dolarów, źródło pocztówek, przykład dla dzieci i młodzieży, jedyna success story naszej rodziny. Powitam ją na swoim progu, żegnając się ze spokojem. A potem załęgnie się u mnie, otworzy walizki i usta, i zasypie mnie bogactwem swojej osobowości. O matulu, kto mnie utuli! Żegnaj, książko nadczytana, żegnaj, francuski słownik, żegnaj, do kaligrafii zeszytiku, żegnaj, śniadanie w łóżku jedzone, żegnaj-

cie kubki z herbatą niedokończoną, uciechy me drobne, ale codzienne, bo oto nadchodzi, *koma trzy\**, i nie ma jak przed nią zatrzasnąć drzwi!

Przykładam czoło do szyby, patrzę za okno deszczem schlapane, chcę oko pocieszyć dekadentckim czarem odrapanych murów. I te mury są, owszem brudne, obskubane, ale coś jakby nieznanne. Inne kształty zacieków, inne plamy rdzy na bramach. Zaczynam się lepiej rozglądać, napisy na przystankach czytać, potem na mapce. I nie zgadza się teraz nic zupełnie. No to wyciskam do cioci Beni Krakowskiej i mówię: ciociu, pardon, chyba przejechałam przystanek. I daję opis mętny mojego położenia. Ciocia w rozpacz popada natychmiastowo:

– Dziewczyno – woła, jak góral wśród hal – sześć przystanków przejechałaś, wysiadaj jak najszybciej. Tutaj zupa wyparowała do połowy, ziemniaki na węgiel spalone, Mała wybrudziła sukienkę, tort urodzinowy roztopiony, świece cały czas wymieniamy na nowe, bo już dwa komplety poszły w ramach ćwiczeń, a ciebie nie ma, a ciebie brak!

To biorę i wysiadam. Przestrzennie i głucho. Panowie zawiani, ulice nieposprzątane. Znowu kicham, zasłaniam się rękawem. Naciągam kaptur, bo wciąż leje. Idę na drugi przystanek. Tam też pusto, tylko dziecko, chłopczyk na oko sześciolatek, na ławce siedzi, wymachuje nogami i patrzy na mnie spod grzywki. Na kolanach trzyma sporego czarnego królika, a w koszyku obok coś mu się wierci. Kura!

– Jaki ładny królik – zagajam, żeby czekanie skrócić rozmową.

– On ma na imię Stefan – odzywa się dziecko, zezując na mnie znad króliczych uszu. – A ona – pokazuje brodę na kurę – nazywa się Tota.

– Tota?

– No bo ile razy mama znajdzie wyskubane kwiatki, woła „To ta kura”!

\* Cytat z wiersza Antoniego Słonimskiego pt „Alarm”

– A ty? Kim jesteś?

– Nazywam się Alik. I mam jeszcze kota. I umiem stać na głowie!

A ty? Jak masz na imię?

– Mam na imię Dorota.

– Dodota? –powtarza.

– Tak, Dodo-Ta, jak żeńska odmiana gatunku dawno wymarłego ptaka. Dziwaczka, choć nie kaczką.

– A może Dodita? – nie daje za wygraną Alik, zaśmiewając się z własnego dowcipu. Może i Dodita, jak skamieniała Lolita, zastygły w wapieniu ślad po lizakach i lalkach. Metr pięćdziesiąt osiem, w kolorowych skarpetkach i szarych trzewikach. W wieku szkolnym nazywana Dotką, bo byłam mała i niewiele znacząca jak kropka, bez której każda litera może się obyć.

– Możesz mówić mi Dora – proponuję.

– Dlaczego? Pada najczęściej zadawane dziecięce pytanie.

– Bo jestem dora-ny przyłóż! – oznajmiam znienacka i nie całkiem zgodnie z prawdą.

– A moja babcia to Baba Jaga. O. Tam. Stoi.

Faktycznie, pod tablicą informacyjną tkwi starsza kobieta w białym berecie i szaliku, białej kurtce i jasnej spódnicy. Parasol za to ma czarny. Trzyma w ustach papierosa, widać, że dym otula ją chętnie, z szacunkiem należnym wieloletniej palaczce. Kłaniam się lekko, bo nie jestem pewna, czy mnie widzi. A ona już kiwa głową, peta wdeptuje w trawę i podchodzi do mnie.

– W czymś pomóc? – pyta. Tak, owszem, potrzebuję klucza do innego wymiaru na jakieś trzy tygodnie, potem mogę wracać, choćby znów na ten przystanek. Uśmiecham się i pytam tylko, czym na Drugiego Pułku dojechać, bo mi się to i owo pomyliło, zagapiłam się, zagadałam, i cóż, głupia sprawa, kiedy trzeba, nie wysiadłam. Zaraz tłumaczy, że

czwórka, ona będzie dobra, zawiezie gdzie trzeba, ku rodzinnej biesiadzie i za spóźnienie wymówkom.

Dziękuję za pomoc, ale na tym nie kończy się rozmowa, bo Alik najwyraźniej chce jeszcze pogadać.

– A ja hymn umiem! – wypala, dumny z osiągnięć edukacyjnych.

– O, naprawdę? – dziwię się, dla zachęty.

– No, jak chcesz, to zaśpiewam: Marsz, marsz, Dąbrowski z ziemi lwowskiej do polskiej! – daje próbkę swoich umiejętności.

– Hm, to się niezupełnie zgadza – kręcę głową i zerkam na opiekunkę Młodego Talentu.

– Babcia mnie nauczyła! – oburza się Alik. Ach, tak, my też ze Wschodu, z Wołynia. Ciotki nawet jeszcze żyją, uśmiecham się do niej, a ona zaraz, gdzie, skąd, z jakich okolic, a może nazwisko jej podam. Mówię, co mi szkodzi, nazwisko nie przetrwało do mnie, moje inne zupełnie, krótsze, mniej eleganckie, tym przebrzmiałym bardziej się można pochwalić. O, proszę Lusię pozdrowić w takim razie, wymienia imię jednej z ciotek. Lusja w Krynicy teraz mieszka, to zadzwonię, pozdrowię, ale od kogo? Od Nineczki z Dubna, już ona będzie wiedziała, już ona sobie przypomni, miałyśmy po tyle lat co Alik teraz, w tym wieku już się rzeczy trzymają głowy, zostają w niej na zawsze. Nagle odwraca się, idzie, sięga do mniejszego koszyka, coś z niego wyciąga. Pęczek lawendy. Niech pani trzyma, wąża, na katar dobre, niech pani zasuszy potem i przy sobie nosi. Na szczęście. Bo nam już ósemka jedzie, musimy się zbierać. Bierze od wnuka królika, do drugiej ręki koszyki i tylko Alik się jeszcze ogląda, macha do mnie.

Pa pa! Cześć i idę jeść! – rzuca żarcik na pożegnanie. I wsiadają do tramwaju, oznaczonego postawionym do pionu znakiem nieskończoności.

Zostaję sama. Zaczynam krążyć, okolice oglądać dokładnie. Na horyzoncie gmaszysko jakieś wielkie, jakby Sukiennice rozrośnięte.



Podchodzę bliżej, patrzę, industrialny renesans, a nad nim napis *Huta imienia Sendzimira*. Aż mam ochotę zajrzeć, co tam dalej jest, do jakiej Narnii wiedzie ta brama, ten szyld. Albo do których kręgów piekieł. Ale się cofam, bo zamiast chodnika prowadzi tam tylko żółtym piachem wysypana dróżka, a taki zamieniony w błoto pył trzewiki mi wybrudzi na pewno.

Nagle podjeżdża czwórka, więc lecę, biegnę, wsiamam. I za pół godziny pukam do właściwych drzwi. Jak ta owieczka zaginiona zostaje przyjęta, zaganiają mnie do łazienki, mam ręce myć i grzywkę mokrą od deszczu suszyć. Z trudem się dalej przedzieram, nie przez las witających rąk, ale stosy wypełniających przedpokój paczek. Nie tylko ja, najwidoczniej, wykorzystałam rodzinny spęd do własnych celów. Nie tylko mnie przyszło do głowy tu i tam zajrzeć, kupić to, czego u siebie znaleźć bym nie mogła. Nic nie mówię, bo rodzina zniecierpliwiona. Bo oni już by pierwsze danie zjedli. No prawie. Bo Maleństwo wciąż wali w talerz i pertraktuje warunki spożycia zupki. Spoceni rodzice i dziadkowie zabawiają i namawiają na przemian. „Nieciem!” – słychać coraz głośniejsze, a w końcu słowa przechodzą w krzyk, a potem wrzask. Reszta zgromadzonych zmusza się do milczenia. Wymieniamy z spojrzenia z Rodzicielką, krzywiąc się i przysłaniając uszy. Tylko Matrona, bliżej nam nieznana kuzynka Mania, ze strony Rodziny Nabytej, siedzi spokojnie, metodycznie wrzucając grzanki do porowego kremu. Sama jest matką czwórki dzieci, wystarczająco dużych, by mogły wytrzymać bez niej jeden weekend. Na wrzaski uodporniona, je miarowo i pewnie, a potem, nad pustym talerzem, spogląda w stronę Maleństwa, uśmiecha się lekko, uśmiechem doświadczonej kobiety, co przez niejednego krąg zaklęty matczynych tajemnic przeszła, i radzi, żeby Maleństwu posypać samych grzanek do talerza.

– Niech se ciamka, a zupy takiej ostrej szkoda dziecku dawać – orzeka. Poskutkowało. Talerz wypełnia jadalna grzechotka z grzanek,



Maleństwo się ucisza, rodzice zasiadają mu po prawicy i po lewicy, na swoje miejsca rozprasza się kombinowany pakiet dziadków. Nawet ciotka Benia, nestorka rodzinna, siada prościej i podnosi wzrok znad gazety. To jest ten moment, idealna chwila na obwieszczenie.

– Mam wam coś do powiedzenia! – oznajmiam uroczyście, modląc się w duchu, żeby nie zaczęli robić aluzji do mojej życiowej stabilizacji.

– Gonia przyjeżdża ze Stanów! – wyrzucam jednym tchem, na wszelki wypadek. Robi się zamieszanie. Maleństwo upuszcza łyżkę. Ciocia Benia zaczyna krztusić się grzanką, a Wuj Nabyty wywraca kieliszek czerwonego wina, ochlapując sobie koszulę i rujnując sukienkę sąsiadki. Przyglądam się odruchowo mojej szmaragdowej bluzce, sprawdzając, czy nie dosięgła jej czerwona kropla. Zieleń jest dalej nieskazitelna, nabieram więc powietrza i powtarzam głośniej:

– Margo, nasza „Ciotka z Ameryki”, vel Gonia, przylatuje za tydzień! Ze Stanów!

– Przyjeżdża, no to przyjeżdża. Pobędzie i pojedzie, w czym problem – wzrusza ramionami Wuj Rodzony, ugodowy, bo z pełnym żołądkiem.

Nie tego się spodziewałam, nie takiego przyjęcia mojej nowiny. Trochę krzyku, trochę wzruszenia i przerażenia, tego chciałam od nich, a nie tylko phi i machnięcia ręką. I dalej się gapię w Naszą Gwiazdę Trzyletnią, jak ładuje łapę w ziemniaka. Nie tego, zupełnie nie tego mi było trzeba. Nie daję za wygraną. Jakieś fajerwerki, iskry albo przynajmniej efekty dymne chcę z nich wykrzesać. Niechby się chociaż zdenerwowali na tyle, żeby musieli wyjść na papierosa.

– No ale... ktoś będzie musiał po nią do Warszawy, na lotnisko, pojechać i ją przywieźć!

Cios jest może i słaby, ale celny. Bo w tym właśnie sęk, że nie mam ani samochodu, ani prawa jazdy. Ha! Rodzino, wykaż się teraz, przejmij! Uśmiecham się miło, mrugam, mając nadzieję, że mi oczy od tego zbłękitnieją i zrobią się większe:

– Bo ja, jak wiecie, nie dam rady!

– No, ona nie może – stwierdza Wuj, jakby z niesmakiem. Cisza, lęk i drżenie zawisły nad rodzinnym stołem i napawałabym się nimi przez następne piętnaście minut, gdyby nie głos znad parującej fasolki:

– Heniek ją przywiezie!

To Matrona Mania, zamiast nakładać sobie na talerz, zarządza tymczasowym kryzysem. Jedną ręką wstrzymuje lecącą ze stołu serwetkę, drugą wprawia w ruch bieg rodzinnej historii.

– Ale Heniek jej nie zna – zauważam przytomnie.

– To pozna. Ty ją znasz przecież, no nie? Jak pojedziecie razem, to dacie radę i ją rozpoznać, i przywieźć.

Nie mam jak zaprzeczyć, jak się wywinąć. Heniu, Mani braciszek, zostaje mi sprzedany z datą odroczoną, ale pewną. Henio, z przydomkiem Monsieur Buc, nadanym potajemnie przez żeńską część naszej rodziny. Dwa tygodnie z Goską, cała doba z Heniem, robi się coraz lepiej. „Nieciem!” Mam ochotę krzyknąć, biorąc przykład z jubilatki. Maleństwo tymczasem, syte i uczczone, obsypane prezentami, wysmarowane tortem, siedzi i przysypia. Impreza skończona.

Idę się pakować, zaraz jedziemy do domu, tam muszę się szykować, prać pościel, ręczniki, firanki, sprzątać i pucować, bo gość, z zagranicy, ma stacjonować u mnie. Zaczynam snuć plan, jakby tego gościa komuś na trochę odsprzedać. Rodzicielce się nie da, to pewne.

– Jesteście przecież jak siostry – tłumaczy – jak chce, niech nocuje u ciebie, co u mnie się będzie męczyć, mogę ci obiad dla niej ugotować i tyle.

Decyduję, że zadzwonię do Kaśki, w końcu nie ja jedna za siostrę Margę mogę robić, było nas na podwórku więcej. Kaśka przecież z nami wiecznie się bawiła, zna Goškę z tych czasów i z późniejszych, z moich opowieści.

– Halo – mówię – Kasiu, niespodziankę mam. Margo przyjeżdża.

– Jaka Margo?

– Jak to jaka! Gocha, Gonia, nasza Królowa Margo podwórkowa. Ta, co zawsze w dwa ognie wygrywała, zjadała całą skórkę z chleba, tę najbardziej wypieczoną i nigdy swojej oranżady nie miała.

Kaśka mruczy chwilę, jakby włączały jej się trybiki, oranżada w proszku, opluwana i chowana w rękę, pół słona od potu, pół słodka od cukru, w końcu jej się przypomina i towarzyszące okoliczności. Zbieranie drobnych, wybór kolorów i smaków, choć wszystkie były cudowne, bo sztuczne. I Margo z umazaną na czerwono lub żółto buzią, wylizująca łapczywie ze swoich i cudzych, z reguły brudnych, dłoni, ten najmniej zdrowy i higieniczny dziecięcy smakołyk. Bo jej rodzice na to nie pozwalali, musiała się więc ze swoim oranżadowym nałogiem kryć. Zwłaszcza po tym, jak dostała w tyłek od ojca za pobrudzenie sukienki naszym boskim proszkiem, zrobiła się ostrożna i przebiegła, nigdy nie brała do kieszeni pełnych torebek, tylko zjadała całość na miejscu, nawet jeśli ją miało potem mdlić i potrzebowała się zmuszać do zjedzenia obiadu.

Pomagałyśmy Margo ukrywać te i inne grzeszki, i z reguły nasze działania były skuteczne. Raz tylko nie dałyśmy rady. Kiedy Margo postanowiła pewnego popołudnia spojrzeć na świat z innej perspektywy i wspięła się na najwyższe w okolicy drzewo.

– Heh, pamiętasz, jak na sam czubek tej jodły przy bloku wlaźła? – pyta Kaśka i słyszę, jak uśmiecha się do wspólnych wspomnień.

– Pewnie. Nie wiem tylko, po co. Żeby udowodnić chłopcom? Żeby coś sprawdzić? Jak Szczepaniakowa to zobaczyła, to mała zawału nie dostała, aż jej poduszka z balkonu spadła, co ją wietrzyć wyszła. Poleciała po rodziców. Na milicję i pogotowie chciała dzwonić.

– Pamiętam, jak mi kiedyś Kamilka na dach wleźć próbowała, ten od garażu, też się strachu najadłam. Na szczęście złapałam w porę za nogę i ściągnęłam ją stamtąd. Bo Aga to nie, ona raczej ostrożna jest,

nawet na huśtawkę usiąść się bała, jak była mniejsza. Teraz też na szczęście nigdzie tak się nie pcha, no chyba że ją koleżanki namówią. A w ogóle to jak to się wtedy skończyło?

– No przecież...

Niedane mi tej historii opowiedzieć, bo właśnie Kaśce dzwoni drugi telefon. Od córki. Musi kończyć, i to natychmiast. Plan trzeba odłożyć. Zrewidować, dopracować. O ile zdążę. Bo właśnie mi Mania daje kontakt do Henia. Bo ona już to i owo ustaliła, ale powinnam i osobiście z Heniem pogadać. Żeby dogadać szczegóły naszej podróży za mniej niż jeden uśmiech. Próbuję Mani dziękować za pomoc. Potem, poganiama energicznie, łapię walizkę, cmokam każdego bez wyjątku i biegnę za Rodzicielką. Do pociągu, jak najszybciej.

Lekko zziajane, wsiadamy wreszcie. Wagon bezprzedziałowy, przestrzeni dużo, bagaż na szczęście niewielki. Z ulgą wsuwam się na swoje miejsce. Przede mną, na tylnej stronie oparcia poprzedniego siedzenia, widzę naklejony duży, barwny obrazek. Dwoje młodych ludzi z uśmiechem zachęca do udziału w zabawie, wskazując zgodnie tęczowe Koło Fortuny. Mam wrażenie, że zaraz wytoczy się na mnie i dostanę nim prosto między oczy.

## KONSPEKT

Pewnego sobotniego dnia do Doroty Makary, spokojnej 48-letniej singielki cieszącej się weekendowym pobytem w Krakowie, dzwoni nagle ze Stanów jej kuzynka Margo i zapowiada swój przylot na obchody trzydziestolecia matury. Dorota i jej rodzina starają się zorganizować podróż i pobyt dawno niewidzianej krewnej. Ustalają, że do stolicy pojedzie ją odebrać Dorota z Heniem, bratem dalekiej kuzynki. Podczas podróży z lotniska Henio na żądanie Margo podwozi dwie starszki, które na odchodnym obdarowują współpasażerów życzeniami szczęścia.

Chwilę po tym, gdy kobiety opuszczają auto, następuje zawierucha, na drogę padają drzewa, omal nie zgniatając samochodu i jego pasażerów. Cała trójka zostaje na kilka godzin uwięziona w aucie. Kiedy przybywa wezwana na ratunek straż, Heniuś zawiera nowe przyjaźnie, a Dorota dowiaduje się o prawdziwej przyczynie przyjazdu Margo.

Po tej przygodzie Margo ma nadwerżoną kostkę i nerwy oraz przekonanie, że jest pod wpływem działania czarów. Na dodatek zlot maturalny zostaje odwołany. Oddając się rekonwalescencji, Margo czyta o czarownicach i ich praktykach. Kiedy Margo zaczyna snuć coraz śmielsze teorie na temat mocy tajemnych, zaniepokojona Dorota postanawia działać. Stara się znaleźć odpowiednią terapię. Wie, że model „jedz, módl się i kochaj” w tym przypadku nie zda egzaminu: z modlitwami u Margo krucho, jeść więcej raczej nie powinna, a kochanie przysporzyło jej ostatnio wystarczająco dużo kłopotów. Dorota szuka inspiracji w ulubionej bajce z dzieciństwa i tak jak jej imienniczka przywiodła Blaszanego Drwala, Stracha na Wróble i Tchórzliwego Lwa do realizacji ich marzeń, postanawia wesprzeć Margo w drodze do odnalezienia nowej siebie.

Poddaje Margo pomysł na prześledzenie dziejów rodziny i sporządzenie drzewa genealogicznego oraz rodzinnej kroniki. Margo i Dorota udają się w odwiedziny do nesterek rodu mieszkających w Starej Willi Zdrojowej w Krynicy Zdroju. Ciotki są bardzo wiekowe i dziwne, serwują Margo prawdziwe i zmyślone historie rodzinne.

Margo dowiaduje się nadzwyczajnych rzeczy na temat powiązań swojej rodziny z Nikiforem Krynickim, pomnikiem mickiewiczowskiej Zosieńki oraz krewnymi rządzącymi w demonicznej Starej Willi Zdrojowej. Na szczęście zanim odkryje, ile w dostarczonych informacjach jest prawdy, musi wrócić do Średniego Miasta we wschodniej Polsce na wznowione obchody trzydziestolecia matury. W trakcie przygotowań do imprezy zaczyna się orientować, jak bardzo pobyt w Krynicy Zdroju jej pomógł.

Dorota poczuwająca się do roli przewodniczki i opiekunki Margo jest zadowolona z dobrze wykonanego zadania. Zamyka za wychodzącą na imprezę Margo drzwi i nucąc „Somewhere over the rainbow”, włącza swój ulubiony stary film: „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”.

Planowana książka jest powieścią psychologiczno-obyczajową z elementami realizmu magicznego. Napisana wartkim, potocznym językiem, przeznaczona jest dla każdego czytelnika szukającego chwili wytchnienia od rzeczywistości.

Agnieszka Migacz

## Nietoperz pod sufitem

### REKOMENDACJA ORGANIZATORÓW KURSU

Agnieszka Migacz sięga do świata nastolatków, z wyczuciem i zrozumieniem pokazuje ich codzienność, emocje i problemy. To pierwsza książka z planowanego cyklu młodzieżowych powieści przygodowych. Zachwyca oryginalnością i znajomością realiów.

Wieża kościoła. Najwygodniejszy punkt widokowy.

Można stąd zobaczyć każdy budynek we wsi. Policzyć ludzi pijących pod sklepem. Porównać liczbę domów nowych i starych, biednych i bogatych. Zastanowić się, ile jeszcze minie czasu, zanim poniemieckie rudery okalające szkolne podwórko zupełnie się rozpadną. Z tej perspektywy można zbierać dane statystyczne. Albo pisać ustawy. Tak, to wygodne miejsce.

Zejście na dół oznacza stanięcie twarzą w twarz z wrogiem. Własny strach. Zwielokrotnienie go i zamienienie w strach przeciwnika. Gniew. Nienawiść.

To nieracjonalne. Nieetyczne. Być może również nieskuteczne.

Najwyższa pora to zrobić.

Ogarnij się wreszcie, drogi Batmanie. Kolejny dzień, jak cię tu nie ma. Przyszędłbyś. Odpowiedziałbyś mi na parę pytań. Na przykład, jak to jest uczyć się w bogatej szkole, wiesz, takiej gdzie WF nie odbywa się na pegieerze, bo od tego jest sala i boisko.

Macie w ogóle w Ameryce coś takiego jak pegieer? Muszę sprawdzić w Google'u.

Może ty nawet nie wiesz, czym tak naprawdę jest pegieer, drogi Batmanie? Myślisz na przykład, że to zawsze był taki plac otoczony rozpadającymi się budynkami, trochę nowszymi i brzydszymi od tych poniemieckich. Bo widzisz, trudno to sobie wyobrazić, ale to miejsce kiedyś działało. Cała wieś tam pracowała, dopóki wszystko nie zostało zamknięte. Tak mówił dziadek. I w ogóle mówił dużo różnych rzeczy, ale ja się na tym nie znam. Wszystko płczę tak bardzo, że potrafi mi wyjść, że mój dziadek walczył o to, żeby dziadkowie i babcie moich szkolnych kolegów skończyli na bezrobociu. Oczywiście bzdura.



Jedno jest pewne: pegieer kiedyś działał i ludzie tam pracowali, a teraz nie działa i nie pracują.

Swoją drogą, ojców i dziadków ludzi z mojej klasy też chętnie bym ci pokazała. Powiedziałybyś mi, czy to normalne, że dorośli faceci potrafią się pobić o butelkę wódki.

Tak, te pytania są ważne. Ale jak już przyjdiesz, trzeba będzie przede wszystkim wbić do szkoły i przywalić komu trzeba. Są tu ludzie, którzy chcą mnie zniszczyć. Potrzebuję, żebyś pomógł mi odwrócić rolę. To my powinniśmy ich zniszczyć.

Ale ty się ociągasz, drogi Batmanie. Dlatego muszę siedzieć w ławce i słuchać tej baby, której stąd nie wykopałeś. A powinieneś, jakem Joanna Marczyk.

Glindzi i glindzi. Prawie płacze, tak ją wzrusza piękno „Pana Tadeusza”. Piękna Zosia, nie samosia, dla niej kurki, nie dwururki, bo z dwururki to się strzela i cierpienie się powiela. W zeszłym roku było o Zosi, teraz o polowaniu. Trzeba było rok odczekać, bo nie godzi się, żeby mieszać takie sprawy. Jeszcze by komuś wyszło w wypracowaniu, że Zosia latała po lesie ze strzelbą, o tak, w białej sukience z kwiatami we włosach i ze strzelbą. Wszyscy strzelają, (sru!) niedźwiedź pada, (bum!) Asesor i Rejent kłóć się, kto trafił, (ła, ła, ła, ła, ble, ble, ble!) aż tu nagle wyskakuje Gerwazy (tada!) i mówi: „Wy idioci, przecież to Zosia trafiła!”.

– Ewelinko, a czy ty wiesz, co to jest dwururka? – pyta babsztyl.

– Yyyy? – odpowiada Ewelinka. Matko, czemu ten babsztyl ją męczy?

– Ha, ha, może to i dobrze – śmieje się baba – bo to wiedza bardziej dla chłopców. Może któryś z chłopców wie?

Podnoszę rękę i rozkoszuję się zdziwieniem babsztyla.

– Dwururka to taka strzelba z dwiema lufami – mówię.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – babsko cmoka. – A skąd ty, Asiu, wiesz takie rzeczy? Tatuś ci tego raczej nie powiedział?

Jędrza. Doskonale wie, że tata zostawił mamę jeszcze przed porodem. Chyba przed. Właściwie nie wiem dużo na ten temat.

Czasem mam wrażenie, że cała wieś wie o moich rodzicach więcej niż ja. Dosłownie każdy ma jakieś zdanie na ten temat.

– Jak coś się nazywa dwururka, to pewnie ma dwie rury. Jest napisane, że Rejent z tego strzelał, czyli prawdopodobnie to strzelba. Nie pierwszy raz jestem jedyną osobą, która zna jakieś stare słowo. Znam ich sporo, głównie dlatego, że dziadek jest moim drugim najlepszym przyjacielem po tobie i jedyną osobą, która poleca mi książki. To znaczy jedyną osobą, która poleca mi dobre książki. Bo mama też mi dużo poleca. Na przykład „Anię z Zielonego Wzgórza”. Okropność. I jeszcze ma czelność mówić mi, że ta dziewczyna jest do mnie podobna, bo obie mamy wyobraźnię. Ciarki mi przechodzą po plecach, jak pomyślę, że mogłabym być jak Ania. Nie jestem do niej ani trochę podobna, prawda, drogi Batmanie?

– Ten twój stary pewnie uciekł, bo nie wytrzymał, jak usłyszał, że z takiej kurwy jak twoja stara ma wyjść druga kurwa – słyszę głos z ławki za mną. A potem śmiech.

Śmiejcie się, śmiejcie.

Jeszcze zobaczycie.



– Moja wnuczka zawsze miała wolność. Prawda, czasem robiła dziwne rzeczy. Może trochę ją rozpuściliśmy z córką. Zresztą, my też żadni dyplomaci, to i jak mieliśmy dziecko nauczyć, żeby się zachowywało, bo ludzie to czy tamto. Ale niech mi nikt nie próbuje wcisnąć, że to nasza wina, to, co się tu dzieje. – Mężczyzna nerwowym ruchem poprawia na sobie koszulę. Jeszcze wczoraj ubranie go nie obchodziło. Dzisiaj naj-

wyraźniej kwestia tego, żeby zagięcie, które zostało po wczorajszym niechlujnym prasowaniu, zostało niezauważone, stała się ważna. Daremny trud. Dziwne byłoby, gdyby szare oczy rozmówczynie cokolwiek pominęły. Już łatwiej uwierzyć, że widzą przez ludzi i sprzęty jak przez powietrze.

Na twarzy starszego człowieka maluje się zakłopotanie.

A przecież on i kobieta po drugiej stronie biurka znajdują się od dawna. Nawet od bardzo dawna.

Mężczyzna przechyla się w jedną stronę i w drugą. Szuka wygodnej pozycji na krześle.

– Zmieniłaś się, Margo, psiakrew. I ja z tobą na wagary chodziłem?

Kobieta wzrusza ramionami, przykrytymi kwiecistą chustą. Siwe włosy falują pod wpływem niecierpliwego ruchu głowy. Chociaż może słuszniej byłoby powiedzieć, że się wiją. Każde pasmo porusza się po swojemu.

– Mówiłeś o swojej wnuczce. O Asi.

Mężczyzna wzdycha. Z Margo, swoją koleżanką z ławki, kiedyś się przyjaźnił. Tyle że teraz jest w gabinecie pani Gosi, szkolnego psychologa. Widzi tam za biurkiem staruszkę z fryzurą i ubraniem jednej z tych starszych pań, które kolekcjonują obrazki z odpustów i wciskają w swoje wnuki domowe ciasto. Przy tym patrzą na niego oczy, które mogłyby należeć do generała weterana, ale na pewno nie mogłaby mieć ich ani Margo, ani pani Gosia, ani babunia Małgorzatka. Połączenie wszystkich tych elementów w jedną postać nie jest łatwe. Tak, chyba właśnie to jest największy problem.

Dziadek Asi wraca do tematu. Widocznie rozumie, że nie ma co się rozpraszać.

Mówi przecież o ważnych sprawach. O tym, jak jego wnuczka poszła do podstawówki, jak zaczęła zamykać się w sobie, jak wreszcie rzuciła się na swojego wuja, który chciał ją tylko nastraszyć. Teraz wuj ma bli-

zny po zadrapaniach. Inna sprawa, że nikt go specjalnie nie żałuje. Zawsze przychodził nieproszony, wszystkich ustawiał i sypał idiotycznymi żarcikami. Sprawiał wrażenie przekonanego, że tytuł wujka (skąd inąd nienależący mu się formalnie ze względu na zbyt dalekie pokrewieństwo) uprawnia go do wstrząsania całym domem.

Pani psycholog mówi: „aha”, a mężczyzna opowiada, że tylko raz rozmawiał z wnuczką o tym, co dzieje się w szkole. Było to niecały rok wcześniej. Mała chodziła do piątej klasy. Dziewczynka została wyciągnięta na środek sali, pobita, zwyzywana. Wsadzili jej głowę pod kran i o mało się nie utopiła. Kilkanaście osób patrzyło i nikt nie pomógł. Dziadek nie dowiedziałby się niczego, gdyby przypadkiem nie znalazł wnuczki zapłakanej. Mała jest twarda. Aż za bardzo. Druga taka chwila załamania, kiedy Asia gotowa była mówić, mogła się już nie zdarzyć.

Matka Asi nie wie o niczym, a dziadek wie niewiele. Dokładnie tyle, ile powiedział. Nie może pójść do nauczycieli, bo mała mu zabroniła. Boi się zemsty. Ten chłopak, który jest dla niej najgorszy, pochodzi z rodziny dyrektora, pana Blazki. Stąd bierze się brak reakcji ze strony szkoły, chociaż w obrębie tak małej placówki właściwie nic nie może się ukryć.

– Dlatego do ciebie napisałem – mężczyzna patrzy na rozmówczynię ze skupieniem. Widać, że ma dosyć. Chce zrozumieć, do kogo mówi. Poczucie gruntu pod nogami. – Znam cię nie od dziś i wiem, że umiesz załatwiać takie sprawy. Że tak to zrobisz, że gówniarze będą, że tak powiem, nieszkodliwi. Bo zrobisz to? Nie po to chyba przyjechałaś z Warszawy, żeby to tak zostawić.

– Marian, zmiłuj się. Jestem tylko psychologiem szkolnym. Kiedy mówisz o załatwieniu sprawy, chyba nie myślisz, że załatwię ich?

– No – Marian krzywi się lekko – żeby aż załatwić, to może i nie. Nie tak zupełnie. Ale wiesz. W życiu różnie bywa.

Mężczyzny nie ma już w gabinecie. Zasłonięte zieloną roletą okno jest uchylone. Włosy leżącej na biurku siwej peruki poruszają się pod wpływem wiatru.

Na krześle wisi kwiecista chusta. RzUCA się w oczy w tym ascetycznie urządzonej sypialni. Nie ma tu drugiej rzeczy, która wydawałaby się równie idiotyczna i zbędna. A przecież nawet ona jest elementem strategii.

Margo oddycha głęboko i równo. Dźwięk przecinającego powietrze nunchaku najwyraźniej działa na nią kojąco. Kobieta płynnie zarzuca broń przy prawym, a potem przy lewym uchu. I jeszcze raz, tuż nad przyciętymi centymetr przy skórze szpakowatymi włosami. Sięgająca do kostek spódnica z second handu sprawia, że Margo wygląda teraz jak postać z gry lub filmu fantasy stylizowanego na średniowiecze.

– Już nie pamiętasz o nim, Margo? Jak możesz mówić o legalnych środkach po tym, co się z nim stało? Na miłość boską, kiedy patrzę w oczy mojej Asi, widzę jego spojrzenie – takie słowa muszą dzwonić w uszach na długo po tym, jak zostały wypowiedziane. Mimo to twarz kobiety jest spokojna. Jakby takie zdania mogły ulotnić się z człowieka dzięki regularnym wydechom i być rozbite przez młóćące powietrze kawałki drewna.

Tak było trzeba. Nie można było powiedzieć inaczej. Legalne środki to oczywiście bajka, ale stara przyjaźń nie uprawnia do takiej szczerości. I żadne odwoływanie się do duchów z przeszłości tego nie zmieni. Wie o tym każdy mściciel. Każdy, kto kiedykolwiek bił w worek treningowy, robił pompki albo rozbijał nagą dłońią deski w nadziei, że pozwoli mu to zapomnieć o zawodzie na twarzy bliskiej osoby.

To swoją drogą zastanawiające, że po Ziemi chodzi tylu ludzi, którzy nie używają broni w miejscu pracy. Jak oni właściwie z tym żyją?



Absolutną ciszę klasy przerywa dźwięk otwieranych drzwi. Jedna z uczennic wzdryga się tak mocno, aż telefon spada jej na podłogę.

W drzwiach pojawia się kobieta okryta chustą w kwiaty.

– Pozwolisz na chwilę, Kamil? – pyta, patrząc na młodego nauczyciela, kończącego właśnie pisać na tablicy zadanie.

– Pora zacząć robotę – mówi Margo, kiedy tylko drzwi klasy się zamykają.

– Ciszej – krzywi się mężczyzna. Korytarz jest pusty, ale nikt, kto nie umie przeświecić ściany, nie może ręczyć, że dzieci nie podsłuchują pod drzwiami. A kto umie, ten wie na pewno, że to robią. – Ja tu siedzę od września. Jest już listopad i wciąż się nie drę, chociaż nie raz chciałem.

– A ja siedzę tu od trzech dni i to jest koniec moich możliwości. Mogę wiedzieć, co to było to, co napisałeś na tablicy? – głos Margo cichnie, ale nie łagodnieje.

– Wnioski z lektury, dwukropek?

– Właśnie. Czy naprawdę za dużo wymagam, kiedy mówię, że poziom lekcji ma być niski? Jeszcze ktoś zacznie myśleć, że chcesz reformować szkołę. I tak już rzucamy się w oczy, bo jesteśmy nowi. Nie wnioski z lektury, dwukropek. Czasowniki we fragmencie lektury, dwukropek. Mam nadzieję, że nie sprawdzałeś zadań domowych.

– Aż tak źle ze mną nie jest. Wiesz przecież. Nie chodzi o to, że nie umiem spłaszcząć dzieciom mózgow. Mnie się po prostu nudzi.

– Tobie się zawsze nudzi. Jutro masz po raz pierwszy sprawdzić zadanie domowe. Pacjent ma się czuć jedyny gnębiony. Jeżeli on nie wyjdzie z równowagi i nie znajdzie się tam, gdzie ma się znaleźć, nogi z dupy powyrywam.

Kamil bierze głęboki wdech. Podejrzenie głęboki, swoją drogą, jak na polonistę. Nawet młodego. Widać, że coś trenuje, chociaż próbuje to

ukryć pod luźną koszulkę. Uczniowie pewnie się nabrali. Ale nie każdego da się w ten sposób oszukać.

– Będziemy uczyć czytania ze zrozumieniem? – mężczyzna skończył zdanie, po czym zaczął wydmuchiwać nadmiar powietrza. Ile mu to zajmie? Jedną sekundę, dwie, trzy, piętnaście...

Kobieta w chuście kiwa głową.

Kamil kończy wydychać i wraca do klasy.

Tymczasem w sali obok siedzi rozparty w ostatniej ławce dumny członek rodziny Blazków, prawdziwy władca szkoły podstawowej, najwyższy kapłan Świętej Bezkarności, Miłosz.

Aktualnie zajmuje się mruganiem do kolegów, którzy wiedzą, że w kieszeni jego bluzy znajduje się paczka papierosów, i ignorowaniem katechetki, która usiłuje wierzyć, że ten prostopadłościenny kształt to paczka czegośkolwiek innego.

Pełen kartonik. Akurat do wypalenia przy szkolnej furtce, w oczekiwaniu na jakąś bezbronną ofiarę. Tak właśnie umacnia się pozycję w szkolnej hierarchii.

To jednak nie wystarczy. Potrzebny jest wrodzony talent. Zdolność balansowania między byciem debilem a kujonem. Inteligencja pozwalająca przekonać wszystkich, że dobra ocena nie jest wynikiem pracy ani zła głupoty.

Teraz na przykład Miłosz nie rozwiąże ani jednego z równań widniejących na tablicy. Ale ze sprawdzianu dostanie pewnie piątkę, jak to już nieraz bywało. A potem będzie się przechwalał, że wcale się nie uczył i zaraz zaatakuje tych, którzy się uczyli.

Jedno trzeba Miłoszowi przyznać. Chłopak jest mistrzem PR-u.

Wracamy do domu, drogi Batmanie. Dziadek ma dzisiaj zawieźć mnie do miasta, do biblioteki. Trzeba będzie znowu spytać bibliote-



karek, czy są nowe komiksy z tobą. To niepoważne, że mają tego tak mało.

Te komiksy, które są w bibliotece, znam już wszystkie na pamięć, chociaż nie zawsze mogę je czytać. Właściwie mogę tylko, jak mamy nie ma w pobliżu, bo jak ona widzi, że je czytam, paskudnie się krzywi. Bo przemoc i w ogóle. W każdym razie trzeba będzie wypożyczyć „Anię z Zielonego Wzgórza”, żeby mama widziała, że nie wracam z biblioteki z pustymi rękami.

O mojej mamie wiesz już pewnie wszystko, ale i tak powiem ci po raz kolejny, bo taką mam potrzebę. Od tego się ma wyobrażonych przyjaciół, żeby słuchali.

Siedzi na tej wsi i nosa nie wystawia. Pracuje zwykle w domu, obrabiając zdjęcia, więc do miasta jeździ tylko czasem, żeby sfotografować jakiś ślub albo coś takiego. Częściej jednak fotografuje wiejskie uroczystości. Nawet na zakupy do miasta jeździmy zwykle tylko ja i dziadek. Koleżanki mamy mieszkają w większej wsi, bliżej miasta. Spotykają się często, gadają o jakichś strasznie nawiedzonych rzeczach i zachwycają się, jak wspaniale żyje się na wsi. Dziadek mówi na nie chłopomanki, niezupełnie rozumiem dlaczego.

O mieście mama mówi tylko jedno. Że za nic nie zamieszka tam z powrotem. Że dość się nacierpiła, cokolwiek to znaczy.

Ciekawa jestem, czy gdyby Gotham było wsią, komiksy podobałyby się mamie bardziej?

Asia prężnym, marszowym krokiem przechodzi przez szkolną furtkę. Nagle słyszy za sobą przekleństwo. Odwraca się.

Widzi czterech chłopaków zagradzających drogę powrotną.

Miłosz, Adam, Tobiasz i Rafał, czyli nie będzie dobrze. Przydałbyś się, Batmanie, przydałbyś się.

Do szkoły. Nie, tam stoją. Do domu. Daleko. Nogi. Za krótkie. Ich dłuższe. Krzyczeć. Powinam. Słuchaj się gardło. Chociaż ty. Cholera.



Margo słyszy cichy, jakby zduszony krzyk. Podnosi głowę. Podchodzi do okna. Nie odsłania rolety. Patrzy tylko przez szparę, bo okno mimo chłodu ma otwarty lufcik.

Czterech chłopców stoi dookoła drobnej dziewczynki. Trudno ich zidentyfikować, bo gabinet psychologiczny jest na drugim piętrze, a dzieci są w kurtkach i czapkach.

— Już nie pamiętasz o nim, Margo? Jak możesz mówić o legalnych środkach po tym, co się z nim stało? – mówił dziadek Asi, jeszcze nie tak dawno, w tym samym gabinecie. Niezależnie, kim był ten „on”, patrząc teraz na Margo, nie można zarzucić jej, że o nim nie pamięta. Tak nie wygląda człowiek zdolny zapomnieć o czyimkolwiek cierpieniu.

Pani psycholog zaciska wargi. Jej wzrok kieruje się w stronę szafki, do której ostatnio schowała nunchaku. W środku są i inne ciekawe rzeczy, ale Margo najwidoczniej zamierza powstrzymać się od ich użycia. Odwraca się z powrotem do okna.

Tym razem widzi, jak jeden z chłopców powoli podchodzi bliżej dziewczynki. Chłopak cały czas coś mówi, ale Margo nie potrafi z tej odległości odróżnić słów. Mała cofa się krok po kroku, aż odbija się od chłopca stojącego za nią.

Margo klnie i biegnie w stronę drzwi. Zatrzymuje się przy nich i na korytarz wychodzi statecznym krokiem, przystojnym starszej pani. Widzi wychodzącego z gabinetu dyrektora Blazkę i uśmiecha się sztucznie. Na aktorkę by się nie nadawała.

Dyrektor odwdzięcza się szerokim uśmiechem. O wiele za szerokim. Kto nigdy nie spotkał Blazki, ten nie wie, że tak szeroki uśmiech może w ogóle powstać bez poszerzania nożem lub kąpieli w chemikaliach. Zwłaszcza u osoby o tak bladej cerze. Trudno powiedzieć dlaczego, ale taka cera zupełnie nie komponuje się z radosnym wyrazem twarzy.

Kiedy pani psycholog wychodzi przed szkolną furtkę, jeden z chłopców chwyta dziewczynkę za oba ramiona i pcha. Mała upada, a chłopcy rozbiegają się. Zobaczyli, że ktoś dorosły idzie.

Margo podbiega do dziewczynki. Rozpoznaje Asię.

Mała podnosi się powoli.

– To woda z kałuży – mówi, ścierając rękawem ślinę Miłosza ze swojej twarzy. – Dużo pada ostatnio.

Margo nie odzywa się. Zaciska usta i patrzy za ostatnim z chłopców, który jeszcze nie zniknął na końcu ulicy.

W tym czasie Blazko w pokoju nauczycielskim wsypuje cukier do kawy. Jedna łyżeczka, druga, trzecia, czwarta. Wystający brzusek pana dyrektora będzie szczęśliwy. Mężczyzna uśmiecha się tak szeroko, jak tylko on potrafi i stuka łyżeczką w kubek z napisem: „Super szef”.

Wygląda przez okno. Widzi, że na ulicy wnuk jego brata popycha jakąś dziewczynkę. Na twarzy pana Blazki przez moment widnieje niesmak. Mężczyzna krzywi się i drapie w prawe zakole. Ale już po chwili pojawia się pani psycholog, która podnosi dziewczynkę i na twarz dyrektora wraca promienny uśmiech.

Noc. Na ulicy Bzowej nie ma oświetlenia. Jedynym źródłem światła są lampy na Główniej, a to daleko. Mężczyzna zmierzający chwiejnym krokiem w stronę PGR-u wlepią oczy w ciemność. Zobaczył ruch gdzieś między domem Troczków a domem Karolaków. Potrząsa głową i mamrocze coś niezrozumiałego. Następnym razem postara się wypić mniej. Tymczasem trzeba skupić się na innym zadaniu. Dojść do własnego łóżka na dwóch nogach.

Gdyby się zatrzymał i rozejrzył uważniej, zobaczyłby czarną sylwetkę przekradającą się między budynkami. Może nawet dałby radę dojrzeć, jak ciemna postać podchodzi do niedużego domu, gdzie miesz-

ka Marcin Kowal z żoną i dziećmi. I jak wchodzi przez okno do sypialni trzeciego kowalowego syna, Rafała.

## IV

– Za chwilę oddam głos pani psycholog, ale wcześniej sprawdzę zadanie domowe – Kamil ma dzisiaj tak przymilny głos, aż dziwne, że dzieci nie domyślają się, że coś knuje. – Rafałku, czy mógłbyś nam przeczytać, co napisałeś w odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego dobrze widzi się tylko sercem”? – nauczyciel kieruje wzrok na ostatnią ławkę. Siedzący w niej uczeń wygląda na wyjątkowo zmaltretowanego.

– Nie mógłbym – burczy Rafał. Błyskawicznie napina się i nadyma.

Nie ma sensu dziwić się zachowaniu Rafała. Dzieciak jest jednym z piątki rodzeństwa w, delikatnie mówiąc, nieszczególnie bogatej rodzinie. Ani bystry, ani wysportowany. W szkolnym społeczeństwie jego miejsce jest tylko odrobinę nad dnem. Dlatego właśnie każdy, kto spróbuje strącić go jeszcze niżej, zostanie potraktowany z całą brutalnością, na jaką Rafała stać. Choćby nawet chłopak miał najlepszy dzień i wręcz się palił do bycia uprzejmym.

Ten dzień zdecydowanie taki nie jest. Ostatniej nocy Rafał obudził się i zobaczył czarną maskę tuż przy swojej twarzy. Dużą, okoloną rozczochranymi, czarnymi włosami. Człowiek w masce przykrył mu usta dłońią. Chłopak poczuł intensywny, drażniący zapach i zapadł z powrotem w sen. Kiedy się obudził, znalazł na pościeli list. Treść listu, delikatnie mówiąc, nie była przyjemna.

A teraz jeszcze polonista, blondynek w różowej koszuli, chce od niego jakiegoś zadania.

– Dlaczegoż to nie mógłbyś? – pyta Kamil i zerka w stronę pani psycholog, jakby chciał się upewnić, że jego uprzejmość jest wystarczająco wkurzająca.

– Bo nie zrobiłem – warczy Rafał. Dodaje pod nosem przekleństwo i kopie najbliższe krzesło.

– Proszę pana, a Rafał powiedział, że ma się pan odpierdolić – wypala Laura, dziewczynka siedząca akurat na tym krześle, które zachciało się kopnąć Rafałowi.

– Rafałku, dlaczego tak brzydko mówisz? – interesuje się Kamil.

– Bo to zadanie jest pedalskie! – mówi Rafał tak głośno i wyraźnie, jak pani w przedszkolu uczyła. Sądząc po minie, najchętniej dorwałby Kamila i zamienił mu miejscami mózg i zawartość jelit.

Ale nauczyciel nie wygląda na człowieka, w którego organizmie miałyby za chwilę zajść poważne zmiany.

– Nie sądzi pani, że Rafałek ma poważny problem z panowaniem nad emocjami? – pyta, zwracając się w stronę staruszki.

Kobieta spogląda na Rafała z zainteresowaniem.

– To wasza ostatnia lekcja, prawda? Przyjdiesz po niej do mnie, Rafałku, pogadamy. A tymczasem mam dla was prezentację o radzeniu sobie ze stresem.

– Chodź, chodź, chodź, Rafałku – mówi pani psycholog i silną ręką prowadzi Rafała do gabinetu – poczekasz tu na mnie chwileńkę, ja zaraz wrócę, porozmawiamy sobie.

Rafał w gabinecie. Drzwi zamknięte. Teraz na pierwsze piętro, do szóstej klasy.

Dzieci właśnie wstają i zaraz będą wychodzić. Pani psycholog truchta do nauczycielki.

– Pani Kasiu, mówiła pani, że z jedną dziewczynką jest problem, że jakaś dziwna.

– A tak, pani Małgosiu, właśnie wczoraj ja się pytam, kto z chłopców wie, a ona podnosi rękę, wyobraża sobie pani?

– O, to jest poważna sprawa, pani Kasiu. To może świadczyć o poważnych powikłaniach. Ja ją wezmę na rozmowę. Która to?

– A tamta, szara koszulka, czarne włosy. Złota kobieta z pani.

– Oj tam zaraz, od tego tu jestem. Porozmawiamy sobie z tą małą i wszystko będzie w porządku, niech panią o to głowa nie boli.

Rafał i Asia siedzą w gabinecie pani psycholog, jedno po jednej stronie biurka, drugie po drugiej, każde przy swojej kartce papieru. Pani Gosia oddała swoje miejsce Rafałowi, a sama krąży wokół dzieci. Co chwila daje im nowe zadania. Podtyka pod nosy przybory do rysowania. Częstuje cukierkami z trzymanej w ręku torebki. Nieustannie coś mówi. O relacjach w klasie. O relacjach w rodzinie. W międzyczasie o swojej przyjaciółce. I o psie dziecka siostrzeńca przyjaciółki tej przyjaciółki.

– Proszę pani, już późno, mama będzie się martwić – Asi udaje się przeciąć potok wymowy pani Gosi.

– O, jaka dobra dziewczynka. Dobrze, że pamiętasz o mamie. Oczywiście, możesz jej wysłać SMS, że wrócisz później niż zwykle.

– Myślałam raczej o tym, żeby po prostu pójść już do domu.

– Tak, tak, zaraz pójdziesz. A teraz weź kredeczkę w takim kolorze, w jakim chcesz i narysuj swoje negatywne emocje z całutkiego dnia. Ty też, Rafałku, o tak. A teraz drzemy karteczki.

Wychodzę ze szkoły. Wiatr ociera się o dachy poniemieckich ruder okalających podwórko. Wilczur dziadka też czasem tak się o mnie ociera. Nie ma złych zamiarów. To tylko zabawa. Ale czasem naprawdę myślę, że zaraz mnie przewróci. Wzdrygam się, bo usłyszałam trzask. Chyba kolejna dachówka spadła.

Jak myślisz, drogi Batmanie, co według metody pani Gosi mam napisać na karteczce i podrzeć? Nazwać to dziurami w dachu, czy raczej plamami dachówek, wiszącymi w pustce?

Czuję zimno. W głowie przestają mi latać karteczki i kredeczki. Już nie będzie pisanie i darcie. Teraz jestem na dworze, w ciemności. Obok mnie stoi Rafał.

Chłopak szczyrzy zęby.

– No, wreszcie dzień w miejscu dla ciebie. U psycholki. W końcu do kogoś dotarło, że trzeba cię leczyć – tak mniej więcej mówi, tylko zamiast przecinków i kropek używa „kurw”.

– Ty też trochę tam dzisiaj siedziałeś, idioto – powiedziałabym, gdybym nie miała instynktu samozachowawczego. Chyba właśnie tak mama to nazywa. W każdym razie nie mówię nic, bo mam ten instynkt czy cokolwiek to jest. Idę w kierunku furtki.

Wychodząc ze swojego gabinetu, pani Gosia o mało nie wpada na dyrektora.

– O, a pan ciągle w pracy?

– Taki los, pani droga, taki los. Nie takie rzeczy się robi dla dobra dzieciaków – odpowiada dyrektor, ruszając razem z panią Gosią w stronę głównego wyjścia i zapinając jednocześnie fioletowy sweter. Uśmiecha się. – A pani, widzę, też późno schodzi ze swojego stanowiska, che, che.

– To takie zabawne? – głos pani psycholog w pierwszej chwili brzmi jak groźba. Jednak kobieta szybko się opanowuje. – Przełożenie służbą, nieprawdaż? A przy takich dzieciakach jak te z pańskiej szkoły służba jest przyjemnością – szczebiocze dla równowagi. Niedobrze. Przesolonej zupy nie naprawia się, dodając cukru.

– W takim razie i przełożenie przyjemnością – zauważa dyrektor. Znowu się uśmiecha. Aż obrzydzenie bierze.

Na szczęście wychodzą już z budynku. Przechodzą przez furtkę w szkolnym ogrodzeniu i każde z nich idzie w swoją stronę.

– Błazen – mruczy Margo, kiedy tylko dyrektor niknie jej z oczu.

Skąd ten Rafał bierze słownictwo? Wyławia ze ścieku? Niech sobie wyławia skąd chce, ale czy serio musi rzucać tym we mnie? Nie żebym była nachalna, drogi Batmanie, ale to jest ten moment, kiedy powinie- nieś przyjść. No, może trochę później, bliżej ostatniej chwili. Ale wiesz, już parę razy mnie olałeś i nie przyszedłeś, tak że nie dziw się, że nie bardzo ci ufam akurat w tej kwestii.

– Słyszysz mnie? LOL. E, słuchaj, jak starszy mówi! – chłopak szarpie mnie za ramię, próbuje obrócić w swoją stronę. Wyrwam się, idę szybciej. To tylko Rafał. Raczej nic mi nie zrobi, kiedy reszty nie ma.

Jednak tym razem jest wyjątkowo wkurzony.

– Masz stać i słuchać, bo teraz ja, kurwa, mówię! – drze się prosto w moje ucho. Podnosi rękę. Kulę się.

Jęk. Jego, nie mój. Nie mój? Podnoszę głowę. Czy ja śnię, drogi Batmanie, czy ty też widzisz tu jakiegoś gościa ubranego na czarno, z czarną maską zakrywającą całą twarz?

Ciemna postać trzyma Rafała za wystającą spod rozpiętej kurtki ko- szulkę tuż przy szyi. Chłopak stoi na palcach. T-shirt ciągnie go w górę. Że też ta bluzka się nie rozerwie?

– Co było w liście? – pyta cicho mężczyzna. Wiatr unosi jego długie, czarne włosy. Jeszcze nie widziałam, żeby komuś czupryna fruwała tak wysoko. Chyba tylko w kreskówkach i komiksach. Pewnie sztuczne, dlatego takie lekkie. W każdym razie efekt jest.

– Eee? – stęka chłopak.

– Co było w liście? – powtarza tamten i potrząsa Rafałem.

– Że mam przestać być dupkiem.



– I co, przestałeś? – szepcze czarna postać i przybliża twarz Rafała do swojej. – Nie przestałeś. Zwymyślałeś nauczyciela i chciałeś pobić koleżankę. Jesteś dupkiem, Rafale, dupkiem do kwadratu.

– Starczy – kobiecy głos dobiega zza pleców czarnej postaci. Rafał szarpie się. Chce zobaczyć, kto mówi. Jednak ze swojej pozycji jest w stanie zobaczyć tylko guziki koszuli człowieka w czarnej masce. Nawet jeśli spojrzy w górę, będzie widział tylko rząd zmniejszających się guzików. I ciemną, nieruchomą twarz na jego końcu.

Ręka, trzymająca Rafała, opada. Chłopak opiera pięty na chodniku.

– Wszystko w porządku, chłopczyku? – słyszy. Kobieca dłoń kładzie się na jego ramieniu. – Chodź, pójdziemy do mnie. Chcę, żebyś do mnie poszedł – mówi staruszka, owinięta kwiecistą chustą.

Patrzę prosto w czarną maskę. Przedstawia twarz, męską twarz bez wyrazu i bez znaków szczególnych. Patrzę masce w otwory na oczy. Jest ciemno, nic nie widać, nawet białek. Czy białka nie powinny być widoczne nawet w zacienionych szparach maski?

– Już w porządku – szepcze czarna postać.

Wtedy zrywam się do ucieczki.

– Jesteśmy gotowi ci wybaczyć – mówi radośnie pani Gosia, stawiając przed Rafałem kakao. – Oczywiście pod pewnymi warunkami.

Chłopak otula dłońmi kubek. Rzuca niespokojne spojrzenie na regał z książkami zajmujący całą ścianę po prawej. Wiedzie wzrokiem po reszcie mieszkania pani psycholog. Książki są wszędzie. Otaczają go.

Rafał zawiesza na chwilę wzrok na jednej z książek leżących na stole przed nim. Potężny, krwistoczerwony tom, z głową ułożoną z czarnych ludzików na okładce.



Po minie Rafała łatwo stwierdzić, że u niego w domu jest może jedna książka. Kucharska. Nie trzeba też być psychologiem, żeby zauważyć, że chłopak dawno uznał panią Gosię za wariatkę, ale nie spodziewał się, że jest z nią aż tak źle. I że od tego momentu postanawia jej nie drażnić.

Pani Gosia siada na kanapie obok Rafała.

– Nie patrz na mnie jak na ludożercę – mówi. Wyglądałaby na uroczą staruszkę, gdyby jej uśmiech nie był taki sztuczny. – Zostałeś potraktowany tak łagodnie, że aż czuję niesmak. Starczy ci cukru w tym kakao, czy jeszcze dosypać?

## V

Powiem ci, Batmanie, że już zdążyłam się przyzwyczaić do myśli, że nie przyjdiesz pomóc. Naprawdę, nie było mi z tym aż tak źle. Poradziłabym sobie.

A tu spada mi nagle z nieba takie coś, niby jak ty, ale tylko trochę. To jest jakiś absurd. Gdzie peleryna, ja się pytam. Gdzie te spiczaste superu-  
szy? Ja tu chciałam ciebie, drogi Batmanie, a nie jakąś podróbę.

Co to w ogóle ma być, żeby jakiś facet mnie uratował. Ja chciałam, żebyś przyszedł, to prawda. Ale tak sobie myślałam, że może ty byś nie dał sobie rady i wtedy ja uratowałabym ciebie. Zgłaszałam się do roli Catwoman, ewentualnie Batwoman, w ostateczności Batgirl, ale nie ratowanej panienki, przepraszam bardzo.

Co to ma być za pomaganie mi bez mojej zgody? Co tu się w ogóle dzieje i czemu ja o niczym nie wiem? A jak ten gościu będzie chciał czegoś w zamian? A jak któregoś dnia zamiast nich zaatakuje mnie?

I jeszcze ten babsztyl. Niech mi ktoś powie, dlaczego to właśnie my jesteśmy tą jedyną klasą, która nadal ma z nią polski. Czy tej babie nie

starczy, że podstępnie zagarnęła muzykę i plastykę? Zdecydowanie powinna odpocząć. Wyjechać gdzieś. Najlepiej daleko.

– Dziewczynki w ramach zadania domowego napiszą, kto jest dla nich wzorem kobiecości, a panowie męskości. Tylko się nie pomylicie, bo będę was musiała wysłać do pani psycholog jako osoby, które nie znają własnej płci, ha, ha, ha.

Ha. Ha. Ha.

– Jak tam, Rafałku, zadanko domowe zrobione? – Kamil przywołuje na twarz swój nieśmiertelny uśmiech.

– Zrobione, to na piątek i to na dzisiaj.

– Przyjdź po lekcji i pokaż, będziesz miał dodatkową ocenę. Rozumiem, że twoja wczorajsza niechęć do lektury była wyłącznie kwestią złego nastroju, mam rację?

– Jak najbardziej.

– To dobrze, to bardzo dobrze, a teraz przejdźmy do lekcji. Dzisiejszy temat: „Jesteś odpowiedzialny za to, co oswoiłeś”.

– O Boziu, jak ta Natka się ubrała. Wygląda jak tłusta dziwka. W życiu bym takiej spódnicy nie założyła. Malwina w jednej ręce trzyma kanapkę, a w drugiej telefon. Na ekranie wyświetla się zdjęcie ze snapa. Na obrazku jest dziewczyna w krótkiej spódnicy, fotografowana od dołu, tak, żeby jej potężne uda były dobrze widoczne.

– A Magda jeszcze gorzej. Całe cycki na wierzchu – podchwytuje Ewelina.

– Przecież ona jeszcze nie ma cycków – Malwina taksuje wzrokiem stojącą po drugiej stronie korytarza Magdę.

– Nie dość, że pokazuje, to jeszcze nie ma.

– A wiecie, co się stało z Rafałem? – wtrąca Laura, która do tej pory nie mogła mówić, bo smarowała sobie usta różowym błyszczkiem – kompletna ciota ostatnio z niego.

– Noooo. Teraz sobie przypominam, że nawet zadanie z polskiego napisał.

– A wiecie, co ostatnio zrobił? Powiedział Karolowi, temu z drugiej klasy: „Daj mi cukierka, proszę”, no to on mu dał, a Rafał na to: „Dziękuję”.

– Dziękuję?

– Takiemu małemu smarkowi?

– Ale mu Miłosz...

Kałuża pośrodku szkolnego placu zabaw. Przekleństwa Miłosza rozszarpiły Rafałowi prawe ucho. Lewe jest wgniecione w błoto, podobnie jak większa część reszty ciała.

– I nawet nie myśl, żeby kablować! – drze się Miłosz. – Jestem z rodziny dyrektora, pamiętaj o tym.

Rafał klnie i wije się. Próbuje zrzucić z siebie oprawcę, ale nie ma szans. Daje radę tylko obrócić głowę tak, żeby nie zachłusnąć się błotnistą wodą, a i to z trudem.

Miłosz rzuca wyzwiskami, chociaż Rafał, ciągnięty za włosy, bity po głowie i podtapiany, nie ma szans przyjąć ich do świadomości.

– Miłosz – odzywa się Adam, ale robi to za cicho, żeby kolega mógł usłyszeć. On i Tobiasz mieli wołać, gdyby ktoś się zbliżał. Nikt, kto ich zna, nie pomyślałby, że będą mieli problem z rozdarciem się. A jednak.

Kolega, którego mieli ostrzec, krzyczy i bije dalej, ale Rafał zaczyna zachowywać się tak, jakby zauważył coś ważniejszego od Miłosza. Unosi głowę, jak może najwyżej i patrzy w stronę rogu szkoły.

– Miłosz – powtarza Adam. Tobiasz stoi obok niego. Gapi się przed siebie i nic nie mówi.

Miłosz odwraca się.

Zza rogu wygląda czarna twarz i patrzy się na niego.

– Won stąd! – krzyczy Tobiasz. Zza szkoły wynurza się reszta ciemnej postaci. Czarne włosy furkoczą dookoła maski. Miłosz wzdryga się. Tak bywa, kiedy się zrobi przerwę w biciu. Dopiero wtedy czuje się, że zimno i zacina deszcz.

– Won stąd! – Tobiasz chciałby krzyknąć, ale mutacji nie da się oszukać. Z jego ust wychodzi pianie.

Skowyt Tobiasza odblokowuje coś w chłopcach. Z ich ust wytryskuje kulturalne szambo pod potężnym ciśnieniem. Ale człowiek w masce wygląda, jakby go to wszystko nie dotyczyło. Niemal obojętnym ruchem odpycha Tobiasza. Chłopak upada w błoto. Czarny podchodzi do Adama. Adamowi udaje się sparować cios. Jest szybki. Co nie znaczy, że ma szansę. Zatrzymał tylko prawą rękę napastnika. Lewa trafia go w brzuch.

Miłosz nie czeka, aż Adam upadnie. Razem z Tobiaszem próbuje zająć mężczyznę od tyłu.

W tym samym czasie dyrektor siedzi w swoim biurze na najwyższym piętrze i wypełnia papierki.

Zza okna wychodzącego na plac zabaw dobiegają go niezrozumiałe krzyki. Dyrektor uśmiecha się szeroko.

– Niech się dzieci bawią – mówi jego mina. – Należy im się.

## VI

O, jesteś. Co się stało? Do tej pory pokazywałeś się tylko w nocy. Wychodziliśmy razem przez okno, żeby ratować świat. Tyle że świat to nie to samo, co nasza szkoła. Wolałabym, szczerze mówiąc, raz a porządnie rozprawić się ze szkołą, a światem zająć się później.

Ale tutaj trudniej sobie ciebie wyobrazić, drogi Batmanie. Za dużo się dzieje. Widać jednak na historii się da. Właściwie dziwne, że do tej pory mi się nie udawało. Akurat na historii nie dzieje się absolutnie nic. O ile dyrektor ma dobry humor.

Zobacz, to właśnie on. Ten, co siedzi i przynudza. Nazywam go Joker, jak już ci pewnie mówiłam. Czy to tylko moje skojarzenie, czy ty też myślisz o Jokerze, jak patrzysz na dyrka? Prawda, ty jesteś nie mniej niż ja uprzedzony do bladych ludzi, którzy uśmiechają się za szeroko.

Jeśli mimo tych uprzedzeń wydaje ci się, że to taki miły, spokojny człowieczek, ten dyrektor, to znaczy, że nie widziałeś, co potrafi zrobić, jak się wścieknie. Mówię ci, on czasem wpada w taką histerię, że głowa boli.

Słuchasz mnie? Czekał, czekał, oczy ci się świecą na niebiesko. Rozumiem, prześwietlasz budynek, żeby zobaczyć inne pokoje. No dobrze, nie przeszkadzam. Ale powiesz mi potem, co zobaczyłeś, dobra?

Tylko mi nie powtarzaj, że to, co robisz, to nie prześwietlanie. Ja wiem, coś tam ukryte w telefonach przekazuje obraz do twojej maski. Dla mnie to i tak jest prześwietlanie, okey?

Miłosz ma matematykę na drugim piętrze. Jest cały i zdrowy, chociaż na pewno ukrywa parę siniaków pod ubraniem.

Adam i Tobiasz nie przyszli do szkoły. Nie, żeby byli nie wiadomo jak poturbowani. Ale opatrunki na głowach mają, więc pretekst, żeby się nie uczyć, jest. Obaj mieszkają bardzo blisko szkoły, jeden od wschodu, drugi od północy. Zresztą ta wieś jest tak mała, że wszystkie domy są blisko szkoły. Adam siedzi teraz przed komputerem, a Tobiasz przed play-station. Matka Tobiasza właśnie weszła do jego pokoju, żeby poczęstować syna świeżo upieczonymi ciasteczkami.

Rafał siedzi w klasie na pierwszym piętrze. Jest niewiele mniej pobijany niż Adam i Tobiasz, a do tego ma katar po wczorajszej kąpieli

w kałuży. Tak się złożyło, że akurat on nie mógł nie przyjść. Jego matka jest chora i siedzi w domu. Jakby zobaczyła, że nie wyszedł, dostałby lanie. A przecież nie będzie chodził na wagary gdzieś na zewnątrz. Nie w listopadzie. Już lepiej siedzieć i udawać, że się uczy.

Wzięła mój zeszyt do sprawdzenia zadania. Będzie się działo.

Czyta, czyta, czyta. Oczy jej się powiększają, powiększają, powiększają.

Bum!

Nie, oczy jej nie wybuchły. Chociaż mogłyby.

Gapi się na mnie. Ciekawe, co powie, jak ją odetka.

– Pani Kasia powiedziała, żebym przyszła do pani i pokazała jej to – informuje Asia, siadając przy biurku w gabinecie psychologicznym. Podaje pani Gosi otwarty zeszyt.

Siwa kobieta bierze go i pochyla się nad nim.

„Moim wzorem kobiecości jest Catwoman”, brzmi treść zadania domowego. „Jest bardzo ładna i silna. Niczego się nie boi i jest bardzo konkretna. Nie daje sobie w kaszę dmuchać. Potrafi skopać tyłki całemu mnustwu dużych mężczyzn. Kiedy ktoś pyta, czy szpilki przeszkadzają w chodzeniu, Catwoman wbija mu obcas w łydkę i mówi: »Ja nie wiem. Może ty mi powiesz?« . Jest bardzo sprytna. Potrafi ukraść perły z nieotfieralnego sejf. Chciałabym też taka być i mocno wierzę, że kiedyś będę. Mój dziadek mówi, że wszystkiego da się nauczyć jeśli się wytrwale ćwiczy”.

– I co według pani Kasi mam z tym zrobić? – pyta Margo, podnosząc wzrok znad tekstu.

– Według pani Kasi ma mi pani wyrównać sufit – stwierdza Asia. Rozpoznaje teren. Sprawdza, na jak duże dziwactwa może sobie pozwolić. Widać to od razu po tym jej ironicznym uśmiechu. – Bo ja

mam nierówno. Pod sufitem. Ale ja nie chcę mieć równo, bo na takim nierównym suficie nietoperzom wygodniej się wisi.

Pani psycholog wznosi oczy do nieba. A może raczej do sufitu.

– Zostaw mi ten zeszyt – wzdycha. – Może coś wymyślę.

Śmiech Kamila jest głośny, serdeczny i całkowicie poza kontrolą. Śmiech Margo ledwo da się usłyszeć, a jeszcze trudniej odróżnić go od kilku zwykłych, chociaż szybkich wydechów.

Kamil przewraca kartki zeszytu Asi. Pochyla się nad kolejnym już zadaniem domowym.

– Napisz list do swojego przyjaciela – czyta na głos.

„Drogi Batmanie!

Babsko kazało napisać do Ciebie list. Nie wiem po co, bo przecież mogę do Ciebie mówić w każdej chwili. W każdym razie mama mówi, że mam zrobić to zadanie, chociaż babsztyl i tak go nie sprawdzi, bo jestem chora i w tym tygodniu nie będzie mnie w szkole. Poza tym wszystko jak zwykle. Przyszędłbyś w końcu i załatwił parę osób.

Całuję  
Asia”.

Kąciki ust obojga dorosłych niepewnie wędrują w górę. Ramiona poruszają się lekko, jak przy chichotaniu. Ale tym razem nawet Kamil nie pokazuje zębów w uśmiechu. Przegląda zeszyt dalej. Na papierze roi się od rysunków nietoperzy. Zwłaszcza ostatnia strona cała jest nimi pokryta.

– On jest dla niej realny, ten Batman – konspiracyjnie szepcze Kamil.  
– Nie masz wrażenia, że przekroczył takie stężenie realności w organizmie, żeby wyjść Asi z głowy? – patrzy na Margo i nie zraża się jej miną.  
– No co? Może nawet podsłuchuje nas teraz. Albo podgląda. Rozwinął

się tak, że może już robić nawet te rzeczy, których Asia sama by nie wymyśliła. Nie podnoś brwi, beznadziejna cyniczno-krytyczna kreaturo! „Dobrze widzi się tylko sercem. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”.

– Bzdura, którą powtarzają mało spostrzegawczy ludzie, żeby się usprawiedliwić. Wracając do zeszytu, widzę, że zgadzasz się ze mną, że mała ma wyobraźnię. Nie myślisz, że naszym celem powinno być przede wszystkim wyciągnięcie jej stąd? Kto wie, co z niej będzie, jeśli zacznie mieć w końcu porządną nauczycielkę?

– I co pani postanowiła? – pyta Asia, odbierając swój zeszyt.

Pani Gosia rozkłada ręce.

– Zadźgać panią Kasię i pana Blazkę, a szkołę zburzyć, zaorać i posypać solą – odburkuje. – Tylko nikomu nie mów, bo ten sam los spotka i ciebie.

Asia uśmiecha się uprzejmie, jak to robią grzeczne uczennice, kiedy nauczyciel mówi dowcip. Bierze z biurka zeszyt, wstaje i odwraca się w stronę drzwi. Wtedy na jej twarzy pojawia się niepewność.

Pani Gosia niezupełnie brzmiała jak ktoś, kto żartuje.



## KONSPEKT

Akcja powieści została umieszczona na wsi, w małej (niespełna stuosobowej) szkole. Nauczyciele z wieloletnim stażem w miejscowości dotkniętej bezrobociem, alkoholizmem i przemocą domową, ulegają znieczulicy. Na pewno nie zamierzają ingerować w to, co innym dzieciom robi chłopak należący do rodziny dyrektora.

Główna bohaterka – Asia – nie jest dziewczynką, która mogłaby dostosować się do zastanego porządku. Jej wyobrażonym przyjacielem jest Batman, a idolką Catwoman. Skłonność do fantazjowania, introwertyzm i nieliczenie się z opinią otoczenia nie ułatwiają odnalezienia się wśród rówieśników.

W momencie, w którym zaczyna się akcja książki, dziewczynka jest jedną ze stałych ofiar szkolnej przemocy. Szczycący się swoim pokrewieństwem z dyrektorem Miłosz, postrach całej szkoły, szybko orientuje się, że Asi nie ma kto pomóc.

Sytuacja zmienia się, kiedy o problemach dziewczynki dowiaduje się jej dziadek. W szkole pojawia się dwoje nowych pracowników: pani psycholog, nazywana dalej panią Gosią (rówieśniczka dziadka Asi i jego przyjaciółka ze szkolnej ławy) oraz nauczyciel języka polskiego – Kamil. Zabierają się do rozwiązywania problemów Asi tyleż energicznie co brutalnie. Wkrótce wszyscy szkolni oprawcy wiedzą, że porządku we wsi pilnuje mściciel w czarnej masce. Nie chodzi tu o bajkę wymyśloną, żeby straszyc dzieci. Znęcanie się nad słabszymi naprawdę zaczyna grozić obrażeniami. A kiedy dzieci doświadczą na własnej skórze, że krzywdzenie innych nie leży w ich interesie, niebezpieczny duet zacznie szukać sposobu na dotarcie z tym samym przekazem do dorosłych.

Rozprawienie się z wrogami nie rozwiązuje wszystkich problemów Asi. Kiedy dziewczynka nie jest już ofiarą, z przerażeniem stwierdza, że świat się przestał być jednowymiarowy. Trzeba podjąć decyzję – dorosnąć i wyjść ze świata komiksów czy tkwić w sztucznie uproszczonej rzeczywistości i znaleźć wrogów tam, gdzie ich nie ma.

p

i



L

Agata Berniak

Ż

(fragmenty)

1.

Nie była pewna, na co patrzy. Budynek, który szczyrzył przed nią ubytki, mógł być równie dobrze szopą, meliną lub świątynią satanistów. Na pewno nie domem rodzinnym. Zdobity go dziwne plamy, które przypęły z lasu. Miały taki sam kolor przemoczonego drewna późną jesienią. Ale ściany były grube, nie poddały się działaniu czasu ani natury. Wystarczyłoby je trochę odnowić, może ocieplić i byłyby gotowe znowu objąć czyjś los. Za to na oknach nie można już było polegać. Dawno się poddały, wpuszczając do środka wilgotny wiatr, by przegonił resztki wspomnień. Dom był parterowy, zapadał się z jednej strony. Dach chylił się ku ziemi, wokół leżały klepki i trochę gruzu z komina. Rynny już dawno ktoś wymienił na alkohol, a butelki złożył pod ścianą; przypominały ołtarz dziękczynny. Wokół unosił się intensywny zapach moczu. Poza nim nie czuła nic. Dom powoli przestawał istnieć. Jak mara na bagnisku, widziało we mgle.

Przeszył ją dreszcz.

– Czemu pani nie wchodzi do środka? Zamków już dawno nie ma. Gówniarze rozkradli.

Aneta spojrzała na mężczyznę nieprzytomnie, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Dlaczego zabrakło jej sił właśnie teraz, po tak długiej podróży? Nie mogła się skupić, zrobienie kroku albo odpowiedź wydawały się ponad jej siły. Znowu się pogubiła, mimo że nie było już żadnej innej ścieżki, żadnych innych drzwi. Całą drogę tutaj wypełniały pomyłki. Odwołali jej pociąg, spóźniła się na autobus, zapomniała biletu. Nawet spacer po niewielkiej przecież miejscowości zajął zdecydowanie za dużo czasu.

Zrobiło się późne popołudnie, a przecież dotarła tu przed pierwszą. Kierowca zgodził się wysadzić ją na przystanku, mimo że nie było go w rozkładzie. Przez chwilę zastanawiała się, w którą iść stronę. To było miejsce z gatunku tych, gdzie każdy dom wygląda podobnie. Nic szczególnego, bo nic nie jest znajome. Nic się nie kojarzy, żadne przezrocza nie przysłaniają widoków, jak filtry, które pomagają zlokalizować to co istotne, usunąć nadmiar, zatuszować szpetne. Tu widać wszystko, a każde ze zdań tej opowieści jest równoważne.

Miała tylko adres otrzymany w e-mailu. Numeracja się nie zgadzała. Szalony korowód liczb, który podążał nieznaną drogą. Była już spory kawałek od przystanku, ludzi pojawiało się coraz mniej, będzie musiała pukać do przypadkowych drzwi, jeśli się zgubi. Wolałaby tego uniknąć. Prędzej będzie się włączyć aż do nocy, niż nachodzić ludzi w domach. Nigdy nie potrafiła zagadywać, upraszać o coś czy się targować. Zaczęła dokładniej przyglądać się budynkom w poszukiwaniu cienia porządku. Niektóre z nich stały obok siebie tak jak powinny, piątki koło siódemek z szóstkami naprzeciwko. Ale gdzieś tam pojawiała się, nie wiadomo skąd, jakaś dwójka na końcu. Tu musiały być pola, których nikt już nie uprawiał, pomyślała. Nowymi domami łątano przeciągi i sąsiedzkie zwady. Kto się dorobił, mógł wrócić z miasta

i rozepchać się między miejscowymi swoim majątkiem i dowolnym numerem na tabliczce.

Dom babci musiał być jednym ze starszych. Zaczęła więc wyłapywać wzrokiem kruszące się mury, pokryte mchem powalone płoty, okna uszczelnione styropianem i szmatami.

Jeden dom ją zmylił. Miał kształt i bryłę jak pozostałe, ale był wyremontowany. I to niedawno. Numerem jednak pasował. Obok niego stał drugi. Nie były odgródzone płotem. Różniły się znacznie stanem i położeniem względem drogi. Ten drugi był mniejszy i cofnięty aż pod las. Nie była w stanie dostrzec numeru z takiej odległości. Były to ostatnie dwa domy w tej części wsi. Droga gwałtownie skręcała tu w prawo i pięła się w górę, aż pod niewielki kościół. Dalej była łąka i już tylko las. Trawy dawno nikt tu nie kosił, więc bardzo trudno było obejść parcelę. Płot (a w zasadzie siatka) wyglądał na względnie nowy, miał jednak tylko jedną furtkę. Jeden płot, dwa domy. Nie ma wyboru. Będzie musiała zapukać do obcych.

Długo nikt nie otwierał. Przyjęła to początkowo z ulgą, ale zaraz ogarnęła ją panika. Jechała taki kawał, żeby nic nie załatwić? Zakotała raz jeszcze, mocniej. W końcu usłyszała hałas. Nie była pewna, czy może otworzyć sobie furtkę i wejść na prywatny teren. Ale nie było dzwonka, musiała więc własnoręcznie zmierzyć się z drzwiami gospodarzy. Po chwili uchyliły się, wypuszczając woń stęchlizny. Zaraz za nimi pojawił się mężczyzna w wypłowiałej, flanelowej koszuli. Rzadkie pasma włosów nad uszami i przebarwienia na zębach znacznie go postarzały, co nie pasowało do cery, zupełnie pozbawionej zmarszczek. Musiał mieć wygodne życie, pomyślała Aneta.

– W jakiej sprawie? Znowu z internetem, ile razy można... – wycharczał, odkaszlnął i splunął pod jej stopy. Brzmiało, jakby głos przysechł mu do gardła. Pewnie nieczęsto ma gości.

– Dzień dobry. Szukam domu numer 16. Może mógłby pan... – zaczęła niepewnie.

– Co? Nie ma takiego. Po co pani szuka? – mężczyzna podniósł głos.

– Należy do mojej babci. – Jego złość dodała jej odwagi.

– Niemożliwe. Dom był mojej żony. Trzeci rok mija, jak zmarła, a żadnych wnuków nie mieliśmy.

– Czyli jednak pan coś o nim wie! To ten stary w głębi ogrodu? – już niemal wykrzyknęła z ulgą.

– Kim pani jest i po co się miesza? Jakiś reportaż pani nagrywa? Kręcąc się tu po okolicy z kamerami, co chwilę Bogu ducha winnych ludzi nagabują. Brudy przed publikę wywlekają. Czego pani chce?!

– Mówiłam już. Moja babcia pochodzi z tej okolicy, wychowała się tu, w domu, którego szukam, a który do niej należy. Mam ze sobą wszystkie dokumenty. – Aneta odruchowo wskazała na plecak. Mężczyzna przyjrzał się jej badawczo.

– Jak należy?! – krzyknął – Zostawiła go żonie, już dawno temu. Jak można mieć coś, co nie było już jej? Tyle lat go moja doglądała! Za samą robotę jej się należał!

– Czyli ma pan jakiś akt darowizny albo inną umowę?

– Umowę! Kiedyś ludzie nie potrzebowali takich bredni. A tym bardziej w rodzinie! Wystarczyło się dogadać! – mężczyzna powoli tracił dech, szybka wymiana zdań wyraźnie mu nie służyła.

– Rozumiem, ale jednak w świetle prawa to ja jestem obecną właścicielką. Nie chcę panu robić kłopotów, ale jak mi pan uniemożliwi dostęp do nieruchomości, wrócę z policją. – Aneta trafnie wyczuła jego rosnące przerażenie.

– Od razu z policją! Jaka to nieruchomość! Ta sterta gruzów? Policja jej potrzebna, nie wiem po co?! Człowiek przysługę wyświadcza, a na starość tak mu dziękują. Proszę, niech sobie pani zobaczy tę nieruchomość.

Zaciągnął się i splunął ponownie na ziemię. Trzasnął drzwiami i ruszył bez słowa w głąb ogrodu. Aneta zacisnęła pięści, wzięła głęboki wdech i ruszyła za nim. Na co jej to wszystko?

## 2.

Nie chciała pakować dużo. Cieplesze ubranie, zapasowe skarpetki, koc do pociągu, kanapki, butelka wody, coś do czytania, ładowarka i mokre chusteczki. Ułożyła wszystko na stole. W czym to zabrać? Uświadomiła sobie, że nie posiada żadnej torby, zawsze jeździła z walizką, ale to nie tego typu podróż. Kiedyś na pawlaczu znalazła stary turystyczny plecak, pozostałość po poprzednich lokatorach. Powinien się nadać, pomyślała. Brudny, czerwono-granatowy, ze stelażem. Zdecydowanie za duży na to, co przygotowała. Był bardzo pomięty, przypominał spadochron, który nie otworzył się na czas. Patrząc na niego, poczuła się tak samo beznaziejnie. Lustro pokazywało przetłuszczone, ostatnio mocno wypadające włosy, cerę podziurawioną wypryskami i te wypieki.

– Skąd to wszystko się wzięło?! – cisnęła plecakiem z całej siły o podłogę. Nie upadł nawet w połowie tak efektownie, jakby tego chciała. Kopnęła go i wepchnęła mu w gardło karimatę, zupełnie zbędną, ale może przynajmniej ona zdławi ten szyderczy głosik w jej głowie.

– Tyle lat cisnęłyśmy się w jednym pokoju, bo ty bałaś się wsiąść do autobusu! Byłaś zbyt dumna, żeby wracać na wieś? Po co mam tam teraz jechać? – wyrzuciła w końcu z siebie, ale odbicie w lustrze nic nie odpowiedziało.

Żeby dostać się do domu babci, musiała przejechać przez swoje rodzinne miasto. Cofnąć się, jak przewija się taśmę magnetofonową. Mechanicznie, ołówkiem, do tych odległych czasów. Całą drogę, jaką babcia pokonała w swoim życiu, a którą teraz dało się zamknąć w jednej

kilkugodzinnej podróży. Jedyna wycieczka, na którą się kiedykolwiek wybrała. I tyle mi starczy, mawiała. Nie lubiła nawet wychodzić z mieszkania. Czasy jej sprzyjały, nie musiała nigdzie jeździć, bo nie ułatwiał tego ustrój, a po transformacji wiek.

Odkąd wyremontowali dworzec, nie mogła na nim się odnaleźć. Sieć korytarzy rozprowadzających tłum z kas na perony wciąż nie była oznakowana. Miała niewiele czasu do odjazdu, zbyt późno wyszła z mieszkania. Odnalazła swój pociąg w ostatniej chwili. Czekają ją dwie godziny jazdy. Miejsce obok na szczęście było puste. Wyjęła koc, zdjęła buty i oparła głowę o szybę. Pociągi błyskawicznie ją usypiały.

Konduktor poklepał ją po ramieniu, na chwilę przed jej stacją.

– Poproszę bilet do kontroli – powiedział powoli, wyraźnie znudzony.

– Jesteśmy o czasie? – spytała nieprzytomnie, mocując się z niepokornym plecakiem – Mam przesiadkę o 14.20.

– Na ten pociąg, co leci na Gdynię? – zapytał, nie patrząc na nią

– Nie wiem, chyba tak – odchrząknęła, by głos wrócił na swoje miejsce.

– Odwołany – stwierdził obojętnie konduktor.

– Co? Jak to odwołany?! A ja mam już bilet!

– Nie znam szczegółów, niech pani pyta w kasach. Pewnie podstawią jakieś zastępstwo – rzucił na odchodne, zostawiając zaspaną Anetę i jej brzydki plecak. Ubrała buty, mamrocząc niewyraźnie pod nosem.

Stała niepewnie na małym, dwuperonowym dworcu. Główny budynek był tuż naprzeciwko, wystarczyło tylko przejść przez tory i dziurę w siatce. Wszyscy pasażerowie kierowali się jednak w stronę wyznaczonego przejścia.

– Świetnie się zaczyna – pomyślała.



### 3.

W pewien Poniedziałek Wielkanocny wszystko się zmieniło. Kazali jej znowu iść do kościoła, choć Żaneta bardzo nie chciała. Była ładna pogoda, na podwórku słyszała piski dzieci polewających się wodą, a na mszy była przecież już wczoraj i jeszcze przedwczoraj z koszykiem, a wcześniej ze świecą. Wlokła się więc za rodzicami, którzy jak zawsze szli za szybko i za nerwowo. Babcia nigdy nie chodziła z nimi. Wolała poranne msze, jak najwcześniejsze. Mówiła, że wtedy Bóg ją lepiej widzi, bo nie ma tłumy w kościele. Spóźnili się. W środku nie było już prawie miejsca, może inna rodzina by się zmieściła, ale oni zawsze potrzebowali dużo przestrzeni wokół siebie. Kiedyś myślała, że specjalnie dla niej, ale nigdy nie odważyła się zapytać.

Zostali więc na zewnątrz, przy klombie z trawy i żwiru. Spojrzała na matkę, ta zajęta była śpiewem, ojciec też nie zwracał na nic uwagi. Odeszła w stronę klombu, spojrzała raz jeszcze na rodziców, nic, zielone światło. Przekroczyła płotek i przykucnęła na kępce trawy. Zanurzyła ręce w kamyczkach. Były dosyć brzydkie, zwyczajne, bardziej lub mniej szare. Nabierała garść i rozsypywała, tworząc kręgi. Palce pokryły się kurzem. Po nabraniu kolejnej garści poczuła pieczenie, otworzyła dłoń i zobaczyła plamkę krwi. Wśród kamieni znalazło się rozbite szkło. Przypomniała sobie, jak kiedyś głupi Romek przyniósł butelkę po wódce i rozbił ją pod trzepakiem. Czy to możliwe, że odłamki doleciały aż tutaj? Odrzuciła szkło w stronę kościoła, rękę wytarła o sukienkę i wróciła do przesypywania żwiru. Jak wysoko uda jej się podrzucić garść, żeby spadając, wyleciała poza płotek? Postanowiła to sprawdzić. Co raz szybciej, co raz wyżej. Kamyki głośno rozsypywały się po betonie. Nagle poczuła szarpnięcie, spadający żwir uderzył ją w twarz. Matka stała tuż nad nią, czerwona ze złości. Szarpnęła dziewczynką i zaczęła otrzepywać jej sukienkę. Trochę za mocno. Żaneta nie wiedziała, czy pomaga jej się oczyścić, czy karci,

wymierzając klapsy. Podreptała z powrotem pod kościół, nie zauważając spojrzeń ludzi. Ojciec pozornie nie zwracał uwagi.

– Popatrz na jej rękę – syknął.

Krew spływała po małych palcach, tworząc niewielką kałużę przy nowych lakierkach. Dziewczynka odruchowo wytarła dłoń o sukienkę, zanim matka zdążyła wykręcić jej ramie. Zacisnęła swoje długie palce tak mocno, że udało jej się nawet zatamować krwawienie.

– Mamo, to boli! – krzyknęła Żaneta.

Złe oczy wiernych znowu obróciły się w ich kierunku. Miała wrażenie, że nawet ksiądz na chwilę zamilkł.

– Mam dosyć tego cyrku! Ona jest jeszcze głupsza niż ty! Chciałaś rozejmu na święta, żeby nie gadali? Brawo, udało ci się jak zwykle – zaczął wściekłym szeptem ojciec. – Wieczne pośmiewisko! W imię czego mam się tak męczyć? Tego?

Machnął ręką. Dziewczynka spojrzała na matkę, po jej twarzy płynęły łzy. Kiedy popatrzyła na ojca, ten już mijał bramę wejściową, kierując się w stronę domu.

Kościelny uderzył dzwonkami trzykrotnie. Matka uklękła, dalej ściskając rękę dziewczynki. Żaneta nie wiedziała, co robić, przywarła więc do matki, starając się jak najmniej szarpać. Kolejne dzwonki. Mama potrzebowała ręki, żeby się przeżegnać, więc w końcu puściła. Skóra piekła nie miłosiernie, białe ślady po palcach zaczęły wypełniać się pulsującą krwią. Dziewczynka przyglądała im się z ciekawością. Po chwili, ku jej uciesze, nawet opuchły. Będzie miała czym się pochwalić na podwórku. Uścisk matki spowodował, że sama zacisnęła palce drugiej ręki na garści kamieni. Spojrzała na nie. Trochę drobnicy, ale dwa wydawały się całkiem ciekawe. Były bardzo podobne do siebie. Jeden ostrożnie wsunęła do kieszeni. Drugi trzymała kurczowo, aż do samego końca mszy. Wracając do domu cisnęła go z całej siły do rzeki.

– A jak się znowu spotkacie, to będzie koniec świata – wyszeptała.

## 4.

Była sama w mieszkaniu. Takie sytuacje nie zdarzały się często, za każdym razem głupiała. Wszystkie obowiązki nagle przestawały istnieć. Świat się ujednolicał, nie było przed kim odgrywać spektaklu. Często tak myślała o swoim życiu, jak o scenariuszu do zrealizowania. Nie była tylko pewna, kto jest jego autorem. Kiedy zostawała sama, wszystkie struktury i konwenanse się zacierały. Nie potrafiła wybierać, priorytety stawały się trudnym do zapisania słowem. Powietrze gęstniało, spowalniając każdy jej ruch, tak że mogła mu się przyjrzeć i zastanowić, czy warto go zrobić i dlaczego wygląda przy tym tak groteskowo. Panikowała. Ponieważ mogła zrobić wtedy wszystko, zazwyczaj nie robiła nic. W takich chwilach wypolerowanie mosiężnych klamek stawało się równie ważne jak zaległa korespondencja. Chęć zjedzenia śniadania ustępowała miejsca poszukiwaniom zgubionych rok temu kolczyków. Zapewne głód przypomni o sobie w porze obiadu, a ona będzie się zastanawiać, co się stało z porankiem.

Dziś czuła się słabo, dręczyły ją mdłości. Przeniosła się zatem z łóżka na sofę i otworzyła laptopa. Przerzuci parę newsów na portalu, podglądnie, co u znajomych, może coś obejrzy.

Dzięki Bogu za internet, który oszczędza energię, ratując nas przed nami samymi.

Po drodze przewlokła się jeszcze przez kuchnię. Wkroiła kilka plasterków cytryny do kubka i zalała ciepłą wodą. Może zwalczy nudności albo chociaż ten dziwny metaliczny posmak w ustach.

W dzieciństwie nigdy nie bywała sama. Mieszkanie było zbyt małe, a lokatorów zbyt wielu. Im była starsza, tym rzadziej w nim przebywała i tym bardziej potrzebowała znajomych, by dawali jej pretekst do ucieczki. Puste mieszkanie mogło oznaczać tylko złe wieści, w ich obliczu można było jedynie czekać. Jakakolwiek nadprogramowa czyn-

ność naruszyłaby niepisane zasady. Wszystko miało swoje miejsce i czas. Gdy działo się coś nieplanowanego, trzeba było czekać na babcię, a w najgorszym wypadku robić wszystko tak, jakby ktoś nas obserwował.

– Pamiętaj, zawsze trzeba być ostrożnym. Ludzie widzą więcej, niż nam się wydaje, dlatego musisz być sprytne. Musisz pokazywać tylko tyle, ile sama chcesz. Nawet wtedy, gdy ci się wydaje, że nikt nie patrzy. Pamiętaj o tym – głos babci często pojawiał się w jej głowie, nieproszony.

Ocknęła się na dźwięk wibrującego telefonu. Celnie, nie odrywając wzroku od monitora, złapała go, gdy próbował zsunąć się ze stołu. Od ruchowo chciała odebrać, ale spojrzała najpierw na wyświetlacz.

Matka.

## 5.

W pokoju wciąż było dużo kurzu. Na co dzień nie zwracała na to uwagi, bo babcia nigdy nie dawała mu szans na długie życie. Wczesna wiosna rozleniwiła nawet ją, dlatego dziś promienie słońca, wyciągnęły z kątów wszystkie pretensje, niedokończone kłótnie i zaniechane obowiązki. Było ciepło i leniwie. Dziewczynka przysypiała na dywanie, słuchając rytmicznego odgłosu szczotki. Czterdzieści siedem, osiem, dziewięć, starała się jeszcze liczyć. Jedna po drugiej kruszyły się końcówki włosów i miękko opadały na podłogę. Lubiła uczestniczyć w tym codziennym rytuale. Choć nie wolno jej się było odzywać ani Boże broń czegokolwiek dotknąć. Zakradała się i kładła na dywanie obok tapczanu. Jeśli oddychała naprawdę cicho, udawało jej się pozostać niezauważoną aż do końca zabiegu. Dziś jednak głowa, którą oparła na rękach, opadła z głuchym tąpnięciem na podłogę.

– Mamo! Zabierz ją stąd. Znowu mi przeszkadza!

Usłyszała brzęk szkła w kuchni, szybkie kroki w korytarzu i już silny uścisk na przedramieniu podnosił ją i ciągnął za sobą.

– Chodź, kochanie, pomożesz mi w kuchni. Dziewczynki w twoim wieku powinny już wiele umieć. Nikt się z tobą nie ożeni, jak będziesz się cały dzień lenić.

– Babciu, a czy z mamą się ktoś jeszcze ożeni? – zapytała Żaneta.

– Zobaczmy – babcia odgoniła się od pytania, jak od natrętnego owada. – A tymczasem nie możemy jej przeszkadzać. Musi o siebie zadbać, żeby się podobać.

Wychodząc z pokoju, spojrzała raz jeszcze na bujne orzechowe fale. Nie знаła nikogo, kto miał tak gęste i błyszczące włosy. Babcia nosiła zawsze krótką fryzurę, praktyczną, ale teraz już siwą, jakby ją ktoś narysował ołówkiem. Kiedyś była znacznie ciemniejsza, ale dziewczynka nie wiedziała, w jakim dokładnie kolorze, bo znała ją tylko z kilku sepiowych fotografii, które babcia przechowywała w pudełku po czekoladkach. Ona sama była właścicielką cienkich mysich warkoczy. Włosy odziedziczyła po ojcu i bardzo się ich wstydziła. Na szczęście była to jedna z niewielu rzeczy, jakie jej dał. Mama naprawdę musiała być kimś wyjątkowym, niepodobna do nikogo w rodzinie. Piękna jak porcelanowa lalka. Dziewczynka zawsze się bała, że tata ją kiedyś stłucze, a jej zostaną tylko szmacianki, z żółtą włóczką na głowie, tak trudną do uczesania.

Babcia miała pewien rytuał. Gdyby nie on, byłaby zupełnie przeciętną starszą panią. W spódnicy do połowy łydki, szarych rajstopach i dzierganej kamizelce. Jadła niewiele, ale zawsze do czystego talerza, oszczędzała prąd i wodę, a w telewizji oglądała tylko wiadomości. Czytała książki, choć zajmowało jej to bardzo dużo czasu. Mówiła, że szybko męczą się jej oczy od nadmiaru tekstu. Co innego gazety. Od tych nie mogła się oderwać. W domu było ich zawsze sporo, mimo że

babcia rzadko je kupowała. Znalezione albo darowane. Sprawdziała każdą stronę, dokładnie, a kiedy znalazła to czego szukała, potrafiła przeczytać nawet kilkanaście razy, jakby od tego zależało jej życie.

Rytuał babci zawsze był najważniejszym punktem dnia, a Żaneta, gdy tylko nauczyła się sprawnie czytać, stała się jej niezbędnym pomocnikiem. Rozkładały się na tapczanie, babcia z nożyczkami, klejem i zeszytem, a wnuczka z aktualnym dziennikiem lub jakimś kolorowym magazynem, który akurat udało się od kogoś dostać.

– Pamiętaj, kochanie, że artykuły muszą być o paniach w moim wieku.

– Babciu, ale dlaczego my to ciągle robimy? – jęknęła dziewczynka.

– Jak to? Dla mnie, Żanusiu. Chyba możesz sprawić babci taką małą przyjemność? – spojrzała wyczekująco na wnuczkę, a ta oblała się rumieńcem.

– Tak, babciu, ale..

– Robimy takie bajki. Układamy historyjki o różnych przygodach, które mogłabym mieć, o innych życiach. Dzięki temu mogę zajmować się tobą i mamą, nie muszę mieć dużo pieniędzy i nic złego mi się nigdy nie stanie. To nawet trochę, jakbym grała w filmie.

– Ale dlaczego wycinamy też smutne wieści i nekrologi? – Żaneta nie dawała się łatwo przekonać. Odpowiedź z bajkami i filmem słyszała zbyt często.

– Jakby nie patrzeć, śmierć to też jakaś przygoda. Może moja będzie długa i powolna, więc przynajmniej teraz nacieszę się innymi wariantami – babcia próbowała uciąć rozmowę, robiło się późno, a stos gazet dzisiaj był okazały.

Wspomnienie o śmierci sprawiło jednak, że Żanecie odechciało się pytać dalej. Poczwała, że łzy wzbierają pod powiekami, więc szybko zmieniła temat.

– To ja też będę sobie układać takie historyjki! Ale same wesołe!

Jednak o małych dziewczynkach nie pisano tak często, a gdy dorosła na tyle, by móc spokojnie przebierać w artykułach, dawno już zapomniała o swoim postanowieniu. Jednak przez lata cierpliwie pomagała babci wyklejać kolejne zeszyty. Kolorowe czasopisma stały się tańsze, zaczęły więc zaopatrywać się w kiosku. W dodatku babcia ograniczyła się do jednego czy dwóch tytułów, w których zawsze podawano wiek obok nazwiska, a to znacznie ułatwiało im sprawę.

## 7.

Na podłodze było tak dużo lepkiego brudu, że jej podeszwy zapadały się jak w pierwszym, niepewnym śniegu. W rogu stała wersalka, ale po dokładnym zbadaniu okazała się pocięta i połamana. Ktoś próbował wyrwać z niej sprężyny, jednak nieporadnie, jakby w przyptýwie furii. Materac przypominał nie do końca rozmrożony filet, z którego kucharz na siłę wyrwał ości, robiąc przy tym więcej szkody niż pożytku. Przy kuchennym piecu znalazła dużo starych gazet. Wzięła prawie cały stos i przeniosła pod ścianę pokoju, tę najdalej od okien. Chciał rozłożyć, ale szybko rozkojarzyły ją nagłówki. Zawiesiła się ze zmęczenia, podczytując co bardziej sensacyjne i plotkarskie fragmenty. Musiało upłynąć sporo czasu, bo światło księżycy zaczęło wpadać do wnętrza. Karimata, którą spakowała w przyptýwie gniewu, okazała się zbawieniem, choć była wątpliwej jakości, cienka, z lichej pianki. Kupiona w dużym supermarkecie na promocji, już w koszyku była zbyt krzykliwa. Jej jaskrawożółty odcień nawet w metalicznym półmroku księżycowej nocy wypalał dziurę w podłodze. Rozwinęła ją jedynie na długość ciała, by ukryć jak najwięcej jej potencjalnie zdradliwej powierzchni. Nigdy jeszcze nie posunęła się tak daleko. Spędzenie nocy w takich warunkach, narażanie się na niebezpieczeństwo? Dlaczego nie poszukała prawdzi-



wego noclegu? Sama nie rozumiała swoich wyborów, jakby żył w niej ktoś obcy, kto czasem bierze sprawy w swoje ręce.

Była ciepła sierpniowa noc. Ale nie odczuwała gorąca. Przez puste framugi okien wdzierąca się tak intensywna woń łąki, że żadne inne doznanie nie mogło się przez nią przebić. Aneta nic nie słyszała. Nie czuła nawet niewygodnej, twardej podłogi. Tylko ten zapach. Jej wysuszona miejskim powietrzem śluzówka odwykła od naturalnych aromatów. Nie znała nazw tych roślin. Nie potrafiłaby ich nawet wskazać na zdjęciach. Mieszanka tak słodka, że aż mdła. Z domieszką czegoś cierpkiego, niemal odrażającego. Czegoś, czego nie powinno tam być.

– Może to ja tak śmierdzieć? Ciężko będzie tu zasnąć – pomyślała. Sen był jej jednak bardzo potrzebny. Będzie musiała znaleźć dużo siły, żeby zmierzyć się z tym, co ją tu czeka. Dopiero teraz rozumiała ogrom i powagę swojej misji. Serce waliło jak oszalałe. Czuła, jak szarpie się w klatce, jak uderza o ściany, a echo rozsadza tętnice. Zdecydowanie za głośno. Co zrobi, jeśli ktoś ją tu nakryje? Nie ma przy sobie niczego, czym mogłaby się obronić. Czuła, że musi tu jednak zostać, bez względu na wszystko. Jak pies na grobie zmarłego niedawno właściciela. Podciągnęła wyżej kolana, głowę wtuliła w ramiona. Tej nocy nikt się nie pojawił. Większą jej część przeleżała z mocno zaciśniętymi powiekami, starając się przywołać sen. Przyszedł dopiero nad ranem. Tuż przed świtem. Niebo już szarzało. Groźne światło księżyca rozproszyło się we mgle, która wstawała nad trawami. Zapach także gdzieś się zagubił. Jego brak przywrócił działanie innym zmysłom. Usłyszała budzące się ptaki, a chłód, który zajął miejsce nocy, w końcu pomógł jej zasnąć.



## 8.

Leżała po ciemku, zdenerwowana, przykryta kołdrą, w pełni ubrana, szminkę i tusz do rzęs ściskając w dłoni. Wciąż jeszcze był piątek. Tak bardzo chciała wyjść, spotkać się z koleżankami. Może dziś się uda, pomyślała z nadzieją. Zazwyczaj się nie udawało. Babcia dobrze broniła jej dostępu do świata, a światu do niej. Zarówno perswazją, jak i tapczanem rozłożonym przy drzwiach ich pokoju. Mogła spróbować przejść pod pretekstem konieczności skorzystania z toalety. Jednak wtedy babcia zauważyła, że jest ubrana. Sama wpędzała się w to błędne koło. Pewnie znowu zaśnie, a rano poczuje się jak idiotka, ubrana, z roztopioną w dłoni szminką. Z drugiej strony mogłaby po prostu wyjść, ale przyjemność z zabawy i chwilowej niezależności nie byłaby w stanie wynagrodzić grozy jej powrotu do domu. Już sama nie wiedziała, na kogo jest bardziej wściekła. Na babcię czy siebie? Często zadawała sobie to pytanie. Ale nie było sprawiedliwej odpowiedzi. Babci przynajmniej zależało. Zawsze wiedziała, na jakie spotkanie czy imprezę nie pozwala jej iść. To zdecydowanie matka była powodem tej agresji. Osierociła ją, mimo że spała na tapczanie obok.

Frustracja gotowała się w niej jak roztopiony metal, który stygnąc, powlekał ją zbroją. Tak, zrobi to! One jej nie powstrzymają. Nic się jej nie stanie, furia ją uniesie i obroni. Wstała z łóżka zrzucając kołdrę na podłogę, chwyciła torebkę. Nie zareagowały. Obydwie spały.

– Gorzej niż w bursie! Grzecznie i po bożemu – wyszeptwała. – Zamknęły się w zakonie, a przy okazji mnie pogrzebały!

Nawet nie starała się być cicho. Postanowiła, że trzaśnie także drzwiami. Niech mają! Już wyciągała dłoń w stronę klamki, ale nie zdążyła jej choćby dotknąć. Uprzedził ją wracający właśnie ojciec. Trzasnął drzwiami nawet dwa razy. Zawsze umiał przesadnie zmanifestować swoją obecność. Szkoda, że i tej cechy po nim nie odziedziczyła. Trzasnął, jakby

cały świat do niego należał, a zaraz potem zaczął się śmiać. Ale jakimś dziwnie nie swoim głosem.

– Znowu nie jest sam! – uświadomiła sobie i zamarła. Wiedziała, że w tym miejscu jej zryw niepodległościowy się kończy. Jeżeli babcia postanowi interweniować, rozpęta się piekło, któremu nawet jej nowa zbroja nie stawi czoła. Lepiej będzie ją schować na później, może nawet powlec dodatkową warstwą emocji. Szybko, ale po cichu wycofała się w głąb pokoju i schowała pod kołdrę. Nasłuchiwała. Śmiech kobiety był donośny, ale nie uporczywy. Co on jej robi, dlaczego ona się śmieje? Czy to jest normalne? Żaneta mimowolnie zaczęła sobie wyobrazać, co dzieje się za ścianą. Śmiech kobiety przeszedł w pojękiwania, przerywane dźwięcznymi westchnieniami.

– Ciszej! – usłyszała stłumiony głos ojca.

Przywarła uchem do tapety, bo odgłosy zaczęły zanikać. Czuła podniecenie mieszające się z zażenowaniem. Starła sobie wyobrazić kogoś innego za tą ścianą. Anonimowego mężczyznę i kobietę. Podniecenie narastało, odgłosy niemal zupełnie zniknęły. Słyszała już tylko niewyraźny stukot. Opadła na poduszkę i zamknęła oczy. Szum pobudzonej krwi był odurzający, czuła przyjemne pulsowanie w kroku.

– Nie! – wyrwał jej się głośny szept – Nie! – powtórzyła w myślach. – Nie mogę! To jest złe, zawsze potem dzieje się coś złego!

Jednak mimowolnie zsunęła spodnie i włożyła rękę pod bieliznę. Ucisnęła się z całej siły. Dreszcz przebiegł całe ciało.

– Nie dzisiaj, nie tym razem! Jak będzie bezpiecznie, jak będę sama – walczyła w myślach.

Ręka odmawiała posłuszeństwa. Zaczęła sobie przypominać, co dzisiaj pokazywali w wiadomościach, wszystkie nudne i straszne rzeczy. Wyobrażała sobie, jaka kara może ją tym razem spotkać za zgrzeszenie. Poskutkowało. Powoli zaczynała stygnąć. Odzyskała kontrolę nad ręką. Odwróciła się plecami do ściany.

– Zwierzęta – mruknęła babcia w drugim końcu pokoju.

Żaneta nakryła głowę poduszką i podciągnęła wysoko kołdrę.

Rano prawie nie pamiętała wydarzeń z nocy. Odczekała, aż matka i babcia wyjdą do kuchni, zdjęła z siebie ubrania i inne dowody swojego żalosego planu. Narzuciła koszulę nocną i poszła do łazienki. Stała w progu. Na kaloryferze suszył się czerwony koronkowy stanik. Był tak hipnotyzujący, że zapomniała zamknąć za sobą drzwi. Po chwili w łazience pojawiła się babcia.

– Wstałaś już, dobrze – popatrzyła na Żanetę, a zaraz potem na stanik. – Zwierzęta – mruknęła ponownie i strąciła go na ziemię. – Później się umyjesz, teraz chodź do kuchni.

W ich domu się nie przelewało, dlatego Żaneta przeważnie nosiła ubrania z drugiej ręki. I nigdy w kolorach choć w połowie tak intensywnych jak czerwień stanika. Mamie rzadko udawało się dostać pracę, nigdy nie na dłużej niż kilka tygodni. Zupełnie nie dla tego świata została uszyta. Przypominała niepraktyczną koronkę w miejscu, gdzie potrzeba głębokich kieszeni. Takiej mamy nie można zabrać na klasową wycieczkę ani przedstawić chłopakowi. Taka mama służy do siedzenia na półce pod warstwą kurzu, jak zbędny, ale bliski bibelot. Na tyle osobliwy, że powinno się go zachować dla kolejnych pokoleń ku przestrodze.

– O czym ty tak znowu rozmyślasz? Jedz zupę. Musisz mi pomóc z praniem. Sama nie rozwieszę! – przywołała ją do porządku babcia.

– Nie mieszkamy tu same – odburknęła Żaneta.

– Wiesz, że mama się do takich rzeczy nie nadaje! Jak poproszę, to zrobi wszystko, ale w jej wieku nie powinna nadwerężyć już kręgosłupa.

Wstała od stołu. Zbyt często słyszała te usprawiedliwienia. Może matki tak mają, że chronią swoje dzieci bez względu na ich wiek, aż do śmierci. Przynajmniej tak Żaneta wyobrażała sobie macierzyństwo, jak ochronę nawet przed źle odwirowanym praniem i drzazgami w starych

klamerkach. Ale co ona mogła wiedzieć? Tak na dobrą sprawę, miała przecież tylko babcię, a babcia to zupełnie inna bajka.

## 9.

Telefon cały czas dzwonił. Aneta zdziwiła się, ale odłożyła komórkę z powrotem na stół.

Pomyliła się, pomyślała. Jednak chropowate ziarenko niepokoju, które nosiła w sobie, tuż zaraz pod żebrem, powoli zaczynało pęcznieć. Czowała, jak trze o kość przy każdym oddechu. Zasiało się samo, dawno temu, gdy jeszcze mieszkała z rodzicami. Telefon wisiał wtedy na ścianie, a z matką nie trzeba było rozmawiać, nawet będąc w jednym pokoju.

Na pewno się pomyliła, nacisnęła zły przycisk. Ziarenko pękło z głośnym trzaskiem. Pewnie chciała czegoś od babci. Poza nimi dwiema pewnie nie ma nikogo na liście kontaktów. Aneta spojrzała ponownie na komputer, położyła dłoń na klawiaturze. Świeże zielone pędy, które wyrastały z ziarna, powoli zaczynały rozrastać się wzdłuż mięśni i ścięgien, tuż pod skórą, oplatały ją coraz mocniej, drewniejąc z każdą minutą. Telefon zawibrował ponownie. Odebrała wykrzywionymi palcami.

- Słucham? – mruknęła.
- Żaneta? Żaneta, babcia nie żyje.
- Ile razy mam ci powtarzać, że tak się już nie nazywam?!

## KONSPEKT

Aneta prawie nie pamięta czasów, kiedy rodzice byli jeszcze razem. Byli, a nie tylko mieszkali. Najszybciej wracają do niej wspomnienia niewielkiego pokoju, który dzieliła ze skrajnie odmiennymi kobietami – mamą i babcią, odgłosy nowego życia ojca za ścianą i rodzący się wstręt do tego wszystkiego.

Teraz, kiedy jest już dorosła, mieszka daleko poza tamtym światem. Jej dom i życie są stworzone na nie-wzór i nie-podobieństwo dzieciństwa. Zacierając po nim wszelkie ślady, zmieniała także imię.

Jednak przeszłość nie da tak łatwo o sobie zapomnieć. Wraz ze śmiercią babci Aneta otrzyma w spadku jej dom, o którego istnieniu nie wiedziała, i historię, której się nie spodziewała. Tajemnicę, którą babcia starannie pielęgnowała aż do końca, a która zrodziła się na gruzach powojennej rzeczywistości. Tajemnicę, która pozwoli Anecie oswoić wszystko to, co wykreśliła ze swojego życia.

Ż jest powieścią obyczajową przedstawiającą losy trzech pokoleń kobiet. Rozciągnięte są one na dwóch płaszczyznach czasowych. Pierwsza dotyczy realiów współczesnej Polski, druga przenosi czytelnika w lata tuż po zakończeniu II wojny światowej. Jest to historia relacji rodzinnych i zachowań determinowanych decyzją podjętą dawno temu przez najstarszą z kobiet. Decyzją moralnie niejednoznaczną, noszącą znamiona przestępstwa.

Tytuł powieści odnosi się do pierwszej litery imienia głównej bohaterki (Żaneta), które ta zmienia w chwili uzyskania pełnoletności.

W tekście wyróżniają się dwie formy narracji. Jedna jest prowadzoną linearnie historią dorosłego życia głównej bohaterki, przerywaną licznymi retrospekcjami z jej dzieciństwa. Druga, o charakterze sylwicznym, dotyczy życia jej babci i zarysowuje się podczas kilkumiesięcznego pobytu Anety w odziedziczonym domu. Podczas porządkowania przestrzeni dziewczyna odnajduje kolejne elementy układanki w postaci przedmiotów osobistych, fragmentów listów czy opisów zdjęć. Pomogą

one zrekonstruować wydarzenia z życia babki, które zmusiły ją do opuszczenia przed laty domu rodzinnego.

Powieść wpisuje się w nurt narracji herstorycznych, którego przykładami mogą być książki pisane przez m.in. Żannę Słoniowską, Wioletę Grzegorzewską czy Julię Fiedorczyk. Tekst przełamują wątki o cechach reportażu historycznego, tematyką pokrewnego z tekstem Magdaleny Grzebałkowskiej, *1945. Wojna i pokój*. W powieści autorka chciała również podjąć, w jej odczuciu niedostatecznie wykorzystany, motyw sprzątnania po zmarłych (por. Marcin Wicha, *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*), a który stanowi ciekawy punkt wyjścia do stworzenia narracji w wymiarze zarówno realistycznym, jak i symbolicznym.

Anna Górna

## „Ostatnia rola Jacka Harforda”

*Prolog oraz wybrane fragmenty z rozdziałów 1 i 2.*

### PROLOG

Wielka Brytania, droga krajowa 27 na odcinku Londyn – Birmingham, 2002 rok

Wycieraczki garbusa ledwo nadążały za zacinającym deszczem. Było ciemno i poza oświetlonym reflektorami kawałkiem drogi półtora metra przed maską Julie Pearson nie widziała kompletnie nic.

Jechała tą drogą już kilka razy, ale nigdy jako kierowca. Wiedziała, że Stanmer Park jest już blisko. Nie była pewna, kiedy skręcić. Zjechała z autostrady na Stony Mere Way i wsunęła rękę do torebki. Gdzieś na kartce miała zapisane instrukcje.

W jej torebce było wszystko, tylko nie kartka. Ręka natrafiła po kolei na portfel, dokumenty, krem do rąk, brelok z kluczami, trzy pomadki, jakieś śmieci, cukierki. Julie miała wrażenie, że wymacała nawet łupinki po pistacjach.

Zobaczyła zakręt, gdy było już za późno. Próbowwała hamować, ale samochód wypadł z drogi i z impetem uderzył w drzewo. Rozległ się wielki huk, wybuchły poduszki powietrzne. Julie straciła na chwilę oddech i pociemniało jej przed oczami. Wszystko się zatrzymało.

Otworzyła oczy. Przez ułamek sekundy nie była do końca pewna, czy żyje, czy jest już po drugiej stronie. Kiedy znów nabrała powietrza, rzeczywistość wróciła ze zdwojoną siłą. Czuła ból od uderzenia poduszki powietrznej. Udało jej się otworzyć drzwi samochodu i wysiąść.

Była cała. Najadła się strachu, ale robiąc szybkie oględziny w świetle wciąż zapalonych samochodowych reflektorów, stwierdziła, że nic jej się nie stało. Do oczu napłynęły łzy ulgi. Stała w deszczu gdzieś na bocznej drodze z dala od światła i śmiała się ze szczęścia. Mało brakowało.

Samochód również nie wyglądał źle. Lewy reflektor był zupełnie rozbity, ale żarówka dalej świeciła. Poza tym wgnieciony przedni zderzak i maska. Julie wsiadła z powrotem do auta. Sflaczała poduszka powietrzna smętnie zwisała z kierownicy. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Samochód nie chciał odpalić.

Złapała za torebkę leżącą na siedzeniu pasażera i wyjęła z niej komórkę. Wskaźnik baterii pokazywał ostatnią kreskę na jej wysłużonej Nokii.

Pisała właśnie SMS-a, kiedy kątem oka zauważyła mocne światła nadjeżdżającego tira. Julie oderwała wzrok od ekranu. Ciężarówka się zatrzymała. Pomimo deszczu dało się zauważyć kolorowego smoka wymalowanego na czarnej kabinie. Z paszczy wychodziły żółte płomienie. Krótki klakson i za chwilę z okna wychylił się wielki łysy facet. Julie też otworzyła okno.

– Wszystko w porządku? – zawołał ze wschodnioeuropejskim akcentem.

– Tak. Nic mi nie jest.

– Jesteś pewna? – dopytywał mężczyzna.

– Wszystko OK. – zapewniła Julie.

– Dzwoniłaś na policję?

– Nie trzeba. Wezwałam już pomoc drogową – skłamała bez zastanowienia.



– Na pewno? Może cię gdzieś podrzucić?

– Nie, nie, dziękuję. Poczekam na pomoc drogową. Są już w drodze. Naprawdę, nic się nie stało. Może pan jechać! – powiedziała Julie i zaczęła zasuwając szybę.

– Ok. Jak chcesz! – krzyknął facet i ku jej uldze odjechał.

To mogłaby być ostatnia przejażdżka w moim życiu, przemknęło jej przez myśl.

\*\*\*

Kiedy Mariusz Wróbel dojechał do domu i zaparkował na podjeździe, dziewczyna z rozbitego garbusa nadal nie dawała mu spokoju. Był w niej jakiś pośpiech i podenerwowanie. Musiała nieźle się przestraszyć przy czołowym z drzewem. Może miała coś na sumieniu, skoro nie chciała wzywać policji. Niewiele widział, ale zauważył, że miała rozmazany tusz na policzkach i wyglądała jak siedem nieszczęść. A także, że była cholernie ładna.

Wszedł do domu, zobaczył swoje odbicie w lustrze w przedpokoju i na ten widok niemal sam się wystraszył. Nie golił się od dwóch dni, miał podkrążone oczy po długiej jeździe. Do tego na bluzie miał wielką plamę od coca-coli, która rozlała mu się podczas drogi, kiedy odbierał telefon. Nic dziwnego, że dziewczyna bała się z nim jechać. Wyglądał jak bandyta.

Myśli o dziewczynie nie dawały mu spokoju. Może dalej siedzi w tym aucie i moknie. Sama jedna na takim pustkowiu, w ciemnościach i w dodatku przy takiej paskudnej pogodzie. Mogła mieć jakiś wstrząs mózgu albo uraz kręgosłupa.

Czuł się rozbudzony pomimo zmęczenia. Coś nie dawało mu spokoju, jakby o czymś zapomniał, ale miał to na końcu języka. Coś się nie zgadzało. Zaczął krążyć po pokoju, starając się złapać uciekającą

myśl. Spojrzał na telefon. Bateria naładowana, ale zasięg jak zawsze w domu, jedna kreska, czasem wyjątkowo dwie, jeśli się podejdzie do okna. Właśnie. W lesie prawie nie było zasięgu. Czy ona faktycznie zadzwoniła po pomoc drogową, czy po prostu spławiła go, żeby się odpieprzył? Dziewczyna co prawda wyraźnie prosiła, żeby nie dzwonił, ale Mariusz czuł się w jakiś idiotyczny sposób za nią odpowiedzialny. W końcu wziął do ręki telefon stacjonarny i zadzwonił na policję.

Mariusz Wróbel do końca życia będzie czuł się odpowiedzialny za zmokniętą gówniarę, która odmówiła przyjęcia pomocy.

Był owcą w skórze wilka, ale ona nie mogła przecież tego wiedzieć.

Minęło dokładnie trzynaście minut od telefonu Mariusza Wróbla do przyjazdu patrolu policyjnego na miejsce wypadku. Samochód stał pod drzewem, reflektory były zgaszone, drzwi zamknięte.

Julie Pearson nie było nigdzie.

## ROZDZIAŁ 1

Piotr Sauer kucnął w krzakach z aparatem i próbował nie myśleć o tym, jak nisko upadł. Zamiast tego wyostrzył teleobiektyw, kiedy zauważył ruch za firanką.

Chmury ciągle wisały nisko po porannym deszczu. Z drzewa za plecami regularnie spadały mu prosto za kołnierz zimne krople, a ciężki obiektyw sprawiał, że odpadały mu już ramiona. Piotr nie miał jednak możliwości przesunięcia się choćby o krok, by nie stracić pola widzenia ani nie zdradzić swojej obecności.

Tkwił tak już drugą godzinę i czuł dotkliwy ból pleców. Pomimo niewygody i wilgoci wnikającej pod kurtkę nie mógł tak po prostu dać za wygraną. Obserwacja żony profesora biotechnologii z uniwersytetu ETH w Zurychu była w tym momencie jego jedynym zleceniem. To dzięki chorobliwej zazdrości męża pani Niederhauser stać go było na opłacenie rachunków, dlatego mimo że po dwóch tygodniach śledzenia kobiety wszystko wskazywało raczej na urojenia niż realny problem profesora Niederhausera, Piotr nie odpuszczał.

Odkąd Niederhauser wyszedł pierwszy o ósmej dziesiątej, Piotr stał na warcie.

W końcu tuż po dziesiątej kobieta wyszła z budynku. Otuliła się szczelnie płaszczem i z lekko pochyloną głową poszła do samochodu zaparkowanego tuż obok, w żółtej prywatnej strefie.

Piotr opuścił wreszcie aparat i rozprostował kości. Miał już wracać do swojego samochodu, jednak to, co zauważył kątem oka, sprawiło, że zatrzymał się w pół kroku. Pod sąsiedni dom podjechało znajome srebrne audi. Wysoka kobieta z długimi ciemnymi włosami i prostą grzywką wysiadła z samochodu. Jej blada cera kontrastowała z ciemnoczerwoną szminką. Tak samo jak przed chwilą Niederhauserowa,

kobieta otuliła się szczelnie wełnianym płaszczem. Wysokie szpilki postukiwały, gdy w kilku krokach podbiegła do drzwi.

Zanim zdążyła nacisnąć dzwonek, drzwi otworzył jej wysoki mężczyzna w dżinsach i białej koszuli. Miał bosa stopy i zakasane rękawy. W pośpiechu przyciągnął ją do siebie i zaczął całować jeszcze w progu.

Gdy drzwi się zatrzasnęły, Piotr dalej stał w tym samym miejscu.

Poczuł suchość w ustach i lekko zakręciło mu się w głowie.

Zamrugął.

Karolina.

Jego żona, Karolina.

Kobieta, z którą spędził ostatnie piętnaście lat życia.

Matka jego córki.

Obiektów za dwanaście tysięcy spadł na ziemię. Dźwięk tłuczonego szkła nie dotarł jednak do jego uszu. Słyszał tylko ogłuszający szum.

Czas się zatrzymał. Nic już nie miało być tak jak dawniej.

Nagle wszystko miało sens. Wyjazdy służbowe, kolacje, nadgodziny. Piotr starał się nie myśleć, od kiedy to mogło trwać. Czuł się na przemian wściekły i przybity, a może jedno i drugie. Przemknęło mu przez myśl, czy Wiktoria wie. Co będzie z Wiktoria, jeśli się rozstaną? Co będzie z nim samym?

W głowie miał gonitwę czarnych myśli. Miał ochotę upić się do nieprzytomności albo jakoś inaczej tymczasowo wyłączyć swoją świadomość. Może jak się obudzi i wytrzeźwieje, to wszystko okaże się tylko złym snem?

Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Nie chciał siedzieć sam w agencji, bo bał się, że palnie sobie w łeb. Nie miał za bardzo czym, ale to był w tej chwili problem drugorzędny. Powrót do domu nie wchodził w grę. Wysłał SMS-a.

W oczekiwaniu na odpowiedź zaczął chodzić po mieście. O tej porze na ulicach kręciły się tylko matki z dziećmi i staruszkowie. „Normalni” ludzie (jak nazywała ich Karolina) byli w biurach. Nie pasował ani do jednych, ani do drugich. Nigdzie nie pasował. Ale być może wkrótce będzie musiał nauczyć się trochę konformizmu.

Jeśli rozstaną się z Karoliną, a brutalnie zaczynał się z tym liczyć, będzie musiał stanąć na głowie, żeby jakoś zarobić na swoje utrzymanie w tym absurdalnie drogim mieście. To stawanie na głowie będzie prawdopodobnie wiązało się z zapiętym kołnierzykiem i open space'em w korpo.

Paradoksalnie dopiero teraz dotarło do niego to, co wytykała mu od dawna żona.

Jego agencja detektywistyczna była jak hobby na emeryturze. Bawił się w detektywa. Raz na jakiś czas wpadało mu jakieś zlecenie, więc mógł odłożyć pada od PlayStation, wyjść ze swojej dziupli i zrobić sobie przerwę w graniu w Battlefielda. Rozwiązywał sprawy takiej wagi, jak przyszpilenie kogoś na romansie albo znalezienie zaginionego psa. Miał dzięki nim małe poczucie satysfakcji, spełnionego obowiązku. Dostawał parę groszy i mógł z powrotem leniuchować. Agencja wpływała o tyle dobrze na ich rodzinny budżet, że generowała koszty i można było oszczędzić na podatku od kosmicznej pensji Karoliny.

A Piotr, niczym szwajcarska Hausfrau na utrzymaniu męża bankiera, otworzył sobie biznes, który o tyle prosperował, że w ogóle istniał. To Karolina robiła prawdziwą karierę. Jeszcze w Polsce, kiedy on czuł się jak prawdziwy facet w wydziale zabójstw, to ona zarabiała prawdziwe pieniądze jako analityk we wrocławskim oddziale szwajcarskiego banku. Co z tego, że niektóre jego sprawy trafiały na czołówki gazet. Mógł mieć z tego co najwyżej satysfakcję. Trochę za mało na hipotekę i korepetycje dla dziecka.

Zaczynało mu się robić zimno od tego łożenia, dlatego przestał odwlekać to, co nieuniknione, i wszedł do baru.

Irlandzki pub na Sihlstrasse nie miał o tej porze jeszcze wielu klientów, więc znalezienie stolika nie było trudne. Piotr usiadł przy oknie i sącząc piwo, przyglądał się przechodniom, bezskutecznie próbując odwrócić swoją uwagę od niedającej się zignorować kwestii. To było jak cios w podbrzusze. Znokautowało go zupełnie. Najgorsze było jednak to, że nie potrafił być na nią wściekły. Zdradzony, oszukany i upokorzony owszem, tak, ale wściekły był tylko na siebie.

Wciąż miał przed oczami faceta bez butów: ogolonego, w kontrastującej ze śniadą skórą białej koszuli, jak z pieprzonej reklamy męskich perfum. Dom i dzielnica sugerowały, że zarabiał równie dobrze, jak wyglądał.

Będąc ze sobą brutalnie szczerzy, Piotr wcale nie dziwił się Karolinie, że na niego poleciała. Nie pamiętał, kiedy ostatnio sam dał jej jakiś powód, żeby patrzyła na niego z podziwem, nie mówiąc o tym, kiedy powiedział jej jakiś komplement.

W pewnym momencie zauważył Adama. Stary znajomy z Polski w swym taliowanym szarym garniturze, włoskich butach i z zegarkiem Omega na nadgarstku idealnie pasował do towarzystwa w barze. Gdyby oceniał ludzi po pozorach, wsadziłby Adama do szufladki z korporacyjnymi dupkami, którzy idą po trupach do celu. Znał go jednak na długo przed tym, zanim przyjaciel się dorobił. Pieniądze zmieniły jego styl życia, ale nie sposób myślenia.

– Cześć stary, przepraszam za spóźnienie – powiedział i usiadł naprzeciwko. – Miałem urwanie dupy.

– Spoko. Nigdzie mi się nie spieszy.

– Co się dzieje? – spytał Adam, bacznie mu się przyglądając.

– Może najpierw się czegoś napijmy – Piotr wskazał na swoją pustą szklankę.

– Pewnie, zaraz wracam – powiedział Adam i ruszył w stronę baru.

Poznali się jeszcze w poprzednim życiu, kiedy obydwoj mieszkali w Polsce. Piotr przez jakiś czas spotykał się z siostrą Adama. Nie mieli kontaktu przez wiele lat, aż pewnego dnia wpadli na siebie w Zurychu na spacerze z dziećmi. Od tego czasu mężczyźni regularnie chodzili razem na piwo i mecze hokeja. To była jedna z tych znajomości, kiedy po dłuższej przerwie w niewidzeniu się nie następuje niewygodna cisza, tylko rozmawia się tak jakby tej przerwy wcale nie było.

Adam wrócił do stolika, niosąc dwa piwa i dwa kieliszki czystej. Po tym, jak każdy z nich jednym haustem opróżnił swój kieliszek, Piotr zwięźle opowiedział mu swój poranek.

– No to niezła chujnia, stary. Nie wkurwiłeś się? Ja bym się wkurwił.

– Nie no, wkurwiłem się, jak już ochłonąłem z szoku. A jak zszedł ze mnie pierwszy wkurw, to zrobiłem rachunek sumienia i wyszło mi, że nie zasłużyłem na medal dla najlepszego męża.

– Powiem ci, że mnie zaskoczyłeś. Jakoś nie pomyślałbym, żeby Karolina, no wiesz... była z takich.

– Bo nie jest – powiedział Piotr.

Adam patrzył na niego uważnie.

– Stary, baba ci rogi przyprawiła, a ty dalej ją masz za świętą? Pojebało cię?

– Nie jest święta, ale ja też nie jestem. I tak jak powiedziałem, Karolina nie jest z tych, co od razu nogi rozkładają. Więc obawiam się, że z tym gościem to może być coś poważniejszego – przyznał Piotr.

– Rozmawiałeś z nią?

– Jeszcze nie.

– No to nie nakręcaj się stary, dopóki sobie wszystkiego nie wyjaśnicie. Jakby to była moja Camilla, to musiałaby mi to ładnie odpokutować. Tak łatwo bym jej nie odpuścił.

– Adaś, chłopie, bo ty patrzysz na świat przez pryzmat swojej zajebistości. Ja, jakby nie było, ostatnio nie przynoszę do domu ani pieniędzy, ani sukcesów. Jak zaczęliśmy się spotykać z Karoliną, patrzyła na mnie z takim zachwytem, że czasami chciałem nią potrząsnąć. A teraz jak na mnie już w ogóle spojrzy, to nie jest to nawet irytacja, ale jakiś kurwa żal w oczach, chłopie. Nie wiem. Ja się czuję jak gówno, przez to, że ta agencja mi w ogóle nie idzie, a potem widzę, jak ona na mnie patrzy i powiem ci, że mi się żyć odechciewa.

Adam roześmiał się pod nosem.

– Ty to mówisz, stary? Ty?!

Piotr nie rozumiał.

– Nie no, kurwa, życie jest przewrotne. Nie zrozum mnie źle, Piotr – powiedział Adam. – Pamiętam, jak w Polsce zacząłem robić w sprzedaży, potem otworzyłem swój pierwszy biznes. Niby się facet dobrze czuje, jak ma własną firmę, zarządza ludźmi, jest sam sobie szefem. Wiesz, w moim świecie byłem sam sobie wreszcie panem. Ale świat jest większy niż ja i czasami rzeczywistość mi o tym przypomina. Na przykład nagłówki gazet. Pamiętam, jak odbiłeś tego dzieciaka senatora, co go porwali dla okupu. To przecież była afera na całą Polskę. Albo jak złapałeś tego seryjnego mordercę, co się zapadł pod ziemię na dziesięć lat i nagle wyplłynął na Pomorzu...

– Nie sam go złapałem – wtrącił Piotr.

– Oj tam, to twoje nazwisko było w gazetach. Ale nie o to chodzi, stary. Po prostu, powiem ci szczerze, pamiętam, jak ci wtedy zazdrościłem. Nie mieliśmy kontaktu, ale co jakiś czas coś o tobie usłyszałem. W końcu to mały świat. I w takich chwilach ja się czułem mały. Mówiłem sobie, ja się tutaj stroję codziennie w garniaki, a tam prawdziwi



faceci brudzą sobie ręce. Nie żebym sam mógł to robić, co to, to nie. Ale wiesz, zawsze miałem wielki szacun dla takiej prawdziwej roboty, dalej go mam. I w takich chwilach, powiem ci, brachu, nie czuję się już taki zajebisty, spoglądając w lustro. No, ale co ja ci będę mówił. W każdym razie – zawsze byłem twoim fanem. Szkoda, że z Kaśką wam nie wyszło. Kiedyś myślałem, że będziesz moim szwagrem.

– Bez urazy, ale wolałbym mieć ciebie za szwagra niż Kaśkę za żonę.

Adam wybuchnął śmiechem.

– Co u niej? – spytał Piotr.

– Dobrze, dalej cię nienawidzi.

Tym razem to Piotr się uśmiechnął.

– To co, jeszcze po jednym?

\*\*\*

Następnego dnia Piotr obudził się na kanapie w salonie z młotem pneumatycznym świdrującym jego mózg, a przynajmniej takie miał wrażenie.. To była cena za to, że po rozstaniu z Adamem nie poszedł grzecznie do domu, tylko dalej pił na umór. Odruchowo wymacał wśród swoich rozrzuconych rzeczy telefon. Była dziewiąta trzydzieści, sobota.

Po chwili zorientował się, że faktycznie słyszy jakieś urządzenie, a tym, co go obudziło, był odgłos miksera dobiegający z kuchni. Pewnie Karolina robiła sobie zielone smoothie po bieganiu. Z premedytacją, jak podejrzewał.

Jego przypuszczenia się potwierdziły, bo po chwili weszła do pokoju, niosąc dwie szklanki zielonego płynu. Miała na sobie legginsy i obcisłą koszulkę termiczną. Włosy związała w koński ogon. Bez makijażu wyglądała jak dwudziestopięcioletka.

– Pomyślałam, że dzisiaj tobie też przyda się porcja witamin – powiedziała i z lekkim uśmiechem podała mu szklankę.

Piotr podniósł się ostrożnie z kanapy. Szumiało mu w głowie.

– Dzięki.

Skinął głową i natychmiast poczuł, że źle zrobił, bo pulsowanie od razu powróciło. Ostrożnie wziął mały łyk. Mimowolnie się skrzywił. Było tak paskudne, jak przypuszczał.

– Chcesz mi opowiedzieć, gdzie tak wczoraj zabalowałeś? – spytała tylko Karolina. W jej tonie brzmiał nie tyle wyrzut, co rozbawienie. Też pewnie miałby z siebie ubaw, gdyby nie czuł się jak gównno.

– Nie bardzo.

– Okej.

– Jak bieganie?

– Serio?

– Nie – powiedział.

Karolina uśmiechnęła się pod nosem.

– Od jak dawna? – spytał Piotr.

– Co?

– Przecież wiesz, co – powiedział, nie spuszczając z niej wzroku.

Karolina wytrzymała chwilę jego spojrzenie, a potem lekko pokręciła głową.

– A więc stąd to wczorajsze świętowanie.

– Spytałem, od jak dawna.

– A co dokładnie cię interesuje, Piotr? Od jak dawna twoja żona jest nieszczęśliwa w małżeństwie, czy od jak dawna masz przytępiony swój zajebisty instynkt psa gończego i coś ważnego ci umknęło?

– Nie odwracaj kota ogonem – odstawił szklankę na stolik do kawy. Zielony płyn rozlał się na szklany blat. – Ten facet to coś poważnego czy tylko seks?

– Nie wiem – powiedziała, dalej patrząc na niego. Znał tę minę. Smutek w szarych oczach, który mówił mu, że wie, jak bardzo go rani.

Zapadła cisza. Stało się dla niego jasne, że Karolina nie zamierza go przeproszać. Że to nie on jest w tej sytuacji tą osobą, która może dać komuś drugą szansę. Nie od niego zależy, co będzie dalej.

– Nie patrz na mnie kurwa jak zbity pies. To przestało na mnie już działać. Spójrz na siebie! Zobacz, co się z tobą stało. Zrób to proszę, zanim zaczniesz mnie obwiniać – wyrzuciła z siebie Karolina na jednym wydechu.

Nie podnosiła głosu, bo Wiktoria była na górze. Wyćwiczyli się przez lata w cichych małżeńskich kłótniach. Piotr patrzył na Karolinę z rezygnacją. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie znajdował słów, które mogłyby to jakoś odkręcić. Nie potrafił być na nią wściekły. Jeśli mógłby mieć jedno życzenie do złotej rybki, to chciałby przewinąć kasetę ze swojego małżeństwa o jakieś pięć lat do tyłu, może jeszcze wcześniej. Dziś tyle rzeczy zrobiłby inaczej. Zrobiłby wszystko, żeby nie siedzieć tu z nią teraz, tak kompletnie obcą.

– Piotr, nie róbmy cyrku, proszę. Załatwmy to jak cywilizowani ludzie. Po prostu się spakuj.

## ROZDZIAŁ 2

Barbara Bühler nie była w swoim mniemaniu bez wad. Jeśli miałaby coś w sobie poprawić, to mogłaby być szczuplejsza albo mówić lepiej po niemiecku po trzydziestu latach spędzonych w Szwajcarii. Po „niemiecku” niemiecku, bo po szwajcarsku zaciągała jak swój. Pomimo tych kilku niedociągnięć, miała o sobie dobre zdanie. Kochała ludzi i zwierzęta i generalnie, jak to mawiał jej mąż Szwajcar, który był skrycie dumny z jej akcentu, Barbara była „do rany przytóż”.

Jednak dokładnie w tej chwili miała ochotę zabić swoją szefową.

Manewrowała, żeby wyciągnąć z torebki klucze do jej mieszkania, nie rozlewając przy tym kawy ze Starbucksa na naręczce ciuchów, które odebrała właśnie z pralni chemicznej. Dodajmy, że jedwabne bluzki, koktajlowe sukienki i zakieciki należały bez wyjątku nie do Barbary Bühler, tylko do dokładnie o dziesięć rozmiarów od niej mniejszej i piętnaście lat młodszej Sophie Martel.

To, że na chodniku była wielka plucha, a kremowa marynarka na samym wierzchu całego stosu, zaczęła właśnie zsuwać jej się z ramienia, tym bardziej utrudniało jej zadanie. Znając swoje szczęście, Barbara przeczuwała, że marynarka wysunie się z ochronnej folii, zanim wyląduje w kałuży. Próbowwała właśnie powstrzymać ją siłą woli, kiedy starszy mężczyzna wyszedł z budynku i przytrzymał dla niej drzwi.

Chociaż tyle dobrego, pomyślała Barbara, bo wszystko inne tego ranka szło jej jak po grudzie. Najpierw uciekł jej pociąg. Tak, w pieprzonej Szwajcarii, w której ponoć wszystko chodzi jak w zegarku, szwajcarskim z resztą. Przetłumacz to snobce, która jeździ tylko swoim cabrio albo jest wszędzie wożona. Barbara wciąż pamiętała reakcję Sophie, kiedy powiedziała jej w pierwszym tygodniu, że spóźniła się dwadzieścia pięć minut, dlatego że najpierw spóźnił się jej autobus, a później

ucieł pociąg, więc musiała złapać następny i nie, nie mogła magicznie przenieść się te dwadzieścia kilometrów w inny sposób, wbrew temu, co sugerowała szefowa.

Gdy w końcu tego ranka dotarła do biura przy Bleicherweg, odcznęła z ulgą, bo Sophie jeszcze nie było w jej gabinecie, a nikt inny nie zdawał się zauważyć jej spóźnienia. Barbara pracowała w Christensen & Martel Communications od dwóch miesięcy i wciąż była na okresie próbnym, dlatego liczyła się z tym, że każde potknięcie może kosztować ją pracę. Wiedziała jak nikt inny, jak trudno jest znaleźć coś kobiecie po pięćdziesiątce, która miała dziury w zatrudnieniu, sporą nadwagę i problemy z biodrem.

Usiadła do komputera i miała już zabrać się za maile, kiedy zobaczyła żółtą karteczkę przyklejoną do monitora. Sophie była pod pewnymi względami bardzo analogowa. Miała zwyczaj wydawania dyspozycji na samoprzylepnych karteczkach, które zostawiała, gdzie popadnie. Na biurku, dokumentach, monitorze, lodówce, nawet kubku z kawą. W pierwszym tygodniu pracy, poza spóźnieniem, Barbara nagrafiła sobie tym, że przez dwa dni nie zadzwoniła do cateringu, by ustalić termin próbowania tortów. Okazało się, że miała to zrobić we wtorek, według notatki, którą znalazła pod biurkiem na dywanie kilka dni później. Jeśli ktoś miałby za to polecić, w ocenie Barbary była to sprzątaczką, która ewidentnie robiła fuszerkę, ale nie ona tu zarządzała, niestety.

Tym razem na kartce widniało:

Pranie! Pilne! Najpóźniej w poniedziałek.

Barbara zajrzała w panice do kalendarza Sophie w Outlooku. Czy pranie było potrzebne na poniedziałek rano? Może Franca miała jakieś ważne spotkanie rano i teraz mi się oberwie. Spojrzała na zegarek.

Spotkanie z klientem dopiero po południu, teraz Sophie i Adam mieli wbite w kalendarze pół godziny od dziesiątej na spotkanie wewnętrzne.

Dochodziła dziesiąta, a na korytarzu wciąż nie było słycać stukania szpilek Sophie.

Barbara zakradła się cicho do jej gabinetu. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak w piątek po południu. Nie zauważyła żadnych karteczek. Sprawdziła w koszu na śmieci, czy znowu sprzątaczką nie sabotuje jej pracy, kiedy w drzwiach stanął Adam i odkaslnął. Aż podskoczyła i uderzyła głową o blat biurka.

– Gdzie Sophie? Mamy za pięć minut spotkanie.

Jeśli nawet zastanawiał się, dlaczego Barbara grzebie na kolanach w śmieciach swojej szefowej, nie skomentował tego.

– Nie ma jej jeszcze – Barbara stwierdziła wiadomy im obojgu stan rzeczy, dalej tkwiąc pod biurkiem w dziwnej pozycji. Była pewna, że kolor jej policzków pogłębił się znacznie w stosunku do różu, który namalowała rano na policzkach.

– Cholera! Nie mogę się do niej dodzwonić od wczoraj i jeszcze teraz się spóźnia! – wyrzucił z siebie Adam i zniknął, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Barbara wyszła spod biurka i spojrzała na duży zegar koło okna. Pokazywał dopiero 9.58. Technicznie rzecz biorąc, jeszcze się nie spóźnia. Posiedział dziesięć lat w Szwajcarii i się zrobił pan punktualny! Bardzo dobrze, że Sophie nie odebrała. Niektórzy ludzie widzieli work-life balance tylko w artykułach w „Forbesie”. Może się wreszcie kobieta postawiła. Nie ma się co dziwić, że nie ma dzieci, skoro nawet w weekendy pracuje.

Wykorzystując to, że Sophie jeszcze nie dotarła do biura, Barbara postanowiła pójść do pralni. Jeśli zacznie czytać maile, tylko się zestresuje tym, co ma do zrobienia, a i tak przed niczym nie ucieknie. Przed

wyjściem zadzwoniła jeszcze raz do Sophie, ale automatyczna sekretarka nie chciała nawet nagrać jej wiadomości.

Po drodze do pralni zobaczyła Starbucksa naprzeciwko dworca Zurych Enge i postanowiła wejść po kawę. Barbara nie mieszkała w Nowym Jorku już od trzydziestu lat, ale wciąż cena kawy w zuryskich kawiarniach sprawiała, że przewracała oczami. Wiedziała jednak, że jeśli jest sposób, żeby udobruchać Sophie, zanim zbierze się burza, to było nim latte grande na odtłuszczonym mleku.

Z kawą i w odrobinę lepszym nastroju weszła do pralni. Na widok stosu ciuchów kolana się pod nią ugięły. Momentalnie pożałowała, że będzie miała jedną rękę zajętą przez durny kubek. Zacisnęła jednak zęby i obładowana jak wielbłąd poszła do mieszkania Sophie.

Gdy podeszła pod starą kamienicę, zadzwoniła dwa razy dzwonkiem pod „S. Martel, J. Harford”, ale nikt nie odpowiadał.

I właśnie wtedy, podczas szukania kluczy, cholerna marynarka zaczęła jej się zsuwać z naręcza ubrań, ale w porę uratował ją ten siwy facet, który wychodził z budynku. Barbara uśmiechnęła się z wdzięcznością, kiedy przytrzymał jej drzwi. Powoli weszła na ostatnie piętro. Zapukała. Znowu nic.

Postawiła kawę na podłodze, upominając się w duchu, żeby jej nie przewrócić. Wyciągnęła klucze.

– Sophie? Jesteś tu? – zawołała, uchylając drzwi.

Wzięła kubek i weszła kilka kroków w głąb sieni. Nikt nie odpowiadał, więc poszła dalej korytarzem i zajrzała do kuchni.

Wszystko wypadło jej z rąk. Kawa rozlała się na kremowy żakiet, tak jak w kuchni krew rozlała się na śnieżnobiałe kafle.

Barbara Bühler przez resztę swojego życia nigdy więcej nie pomyślała, że chciałaby kogoś zabić. Bała się bowiem, że jakieś mroczne moce czuwają nad nią i spełniają jej życzenia.

\*\*\*

Pierwsze, co zwróciło jej uwagę, to fakt, że była piękna. Jasna blondynka w białej koszuli. Jej skóra była prawie tak biała jak kafle na podłodze, na której leżała na boku, spoglądając niewidzącymi oczami w przestrzeń przed sobą. Gardło kobiety ziało raną tak głęboką, jakby ktoś usiłował odciąć jej głowę. Południowe słońce wdzierало się do pomieszczenia przez wielkie okna, wydobywając każdy szczegół. Głębokie rany na klatce piersiowej, szyi i wielki siniec na policzku kobiety. Krew zdawała się być wszędzie, rozbryzgana na ścianie, marmurowym blacie i kaflach. Na kiedyś białej koszuli martwej kobiety, na jej dłoniach i dżinsach.

Laura Moretti widziała już niejedno miejsce zbrodni, ale to było pierwsze, które wyglądało jak teatr. W jednej chwili wiedziała, co jutro w jej małym szczęśliwym kraju będzie na pierwszych stronach gazet.

Kiedy podeszła bliżej i zobaczyła dokładnie ranę na gardle oraz wszystkie warstwy skóry i wystającą kość, szybko odwróciła wzrok. Zobaczyła więcej, niż chciała, ale obrazu nie dało się już wymazać.

Przęłknęła ślinę i skinęła na oficera dyżurnego.

– Kto to jest?

– Sophie Martel, czterdzieści jeden lat, obywatelstwo francuskie. Zameldowana w Zurychu od 2010 roku. To jej mieszkanie. Nie pojawiła się rano w pracy, to jej firma, więc nikt się za bardzo nie zdziwił. Asystentka przyniosła rzeczy z pralni i ją tak znalazła. Kobięcina prawie dostała zawału.

– Ślady włamania?

– Zero, więc możliwe, że znała ofiarę.

– Albo nie zamykała drzwi, jak co drugi Szwajcar – weszła mu w słowo Laura. – Monitoring?

– Niestety.



– Czemu mnie to nie dziwi?

Oficer niemrawo się uśmiechnął.

– Co my tu mamy, panowie? – powiedziała do dwóch techników kryminalnych fotografujących każdy detal.

– Rany klute. Ktoś poderżnął jej gardło. Po śladach krwi na ścianie stawiam, że stała przodem do blatu, kiedy nastąpiło ostatnie cięcie – zaczął tłumaczyć mężczyzna, ale kolega wszedł mu w słowo.

– Jakiś rzeźnik dosłownie. Prawie upierdolił jej głowę – powiedział ten drugi.

Laura spojrzała z nadzieją na pierwszego mężczyznę.

– Upadła na prawo. Próbowwała się bronić, stąd rany na rękach – kontynuował.

– Narzędzie zbrodni?

– W stojaku brakuje noża. Patolog oceni, czy to mógł być ten, ale stawiałbym, że morderca mógł po prostu sięgnąć po to, co miał pod ręką. Na razie nic nie znaleźliśmy.

– Ile mogła już tak leżeć?

– Zakładam, że jakąś dobę, raczej nie więcej.

Laura zostawiła techników w spokoju, świadoma, że nic definitywnego nie powiedzą jej na poczekaniu.

Przeszła się po mieszkaniu. Apartament miał co najmniej sto dwadzieścia metrów kwadratowych. Wysokie sufity, sztukaterie na ścianach. Nawet gdyby nie wiedziała, że mieszkała tu Francuzka, i tak by na to wpadła. Oszczędna ilość mebli, za to wszędzie wisały obrazy.

Wróciła do kuchni.

– Ktoś tu jeszcze mieszka? – spytała oficera.

– Jack Harford. Obywatelstwo brytyjskie. W Zurychu od 2005 roku.

– Ktoś z nim rozmawiał?

– Jeszcze nie, nie mogliśmy się do niego dodzwonić.

Wróciła do kuchni i spojrzała jeszcze raz na ciało. Ktokolwiek to zrobił, był pełen nienawiści. I jeśli zrobił to raz, nie zawaha się tego powtórzyć.

Zostawiła techników ich zajęciom i wyszła na klatkę schodową.

– Jack Harford? Gdzie on jest? – spytała Laura grubą Amerykankę, która starała się złapać oddech przy uchylonym oknie.

– Podałam numer tamtemu panu – powiedziała Barbara Bühler, ciężko dysząc. Kolor jej skóry przypominał Laurze trupa w kuchni.

– Thomas? Namierzyłeś go? – Laura zatrzymała swojego partnera wychodzącego z mieszkania.

– Nie mogliśmy się do niego dodzwonić. Sekretarka powiedziała, że jest na spotkaniu. Potwierdziła, że jest w biurze.

– Masz adres?

Mężczyzna kiwnął głową.

Biuro Harford Industries mieściło się w samym sercu Zurychu, na Konradstrasse kilka przecznic na północ od dworca głównego. W tej samej kamienicy znajdowała się jeszcze kancelaria adwokacka, agencja reklamy i biuro rachunkowe. Laura i Thomas wjechali windą na trzecie piętro. Białe drzwi miały niewielkie logo firmy. Laura miała już nacisnąć na dzwonek, kiedy drzwi się otworzyły i ze środka wyszedł szybkim krokiem dobrze zbudowany mężczyzna koło czterdziestki z ogoloną głową. Rzucił policjantom przelotne spojrzenie, jakby ich nie rejestrując, i szybko zbiegł schodami na dół. Thomas złapał drzwi, zanim się zamknęły, i weszli do środka.

Za drewnianym kontuarem siedziała może dwudziestoletnia dziewczyna.

– Witam, w czym mogę państwu pomóc? – spytała po szwajcarsku.

– Komisarz Laura Moretti i Thomas Burgli. Przyszedliśmy porozmawiać z Jackiem Harfordem.

– Pan Harford jest teraz na spotkaniu. Czy byli państwo umówieni?

– Nie, ale obawiam się, że pan Harford będzie musiał znaleźć dla nas czas. To bardzo ważne.

– Rozumiem – odpowiedziała recepcjonistka, choć nie sprawiała wrażenia, że faktycznie rozumie. Jej rozbiegany wzrok sugerował, że być może bardziej obawiała się szefa niż policji.

– Ile jeszcze potrwa to spotkanie? – spytała Laura.

– Planowo miało trwać do czternastej, więc powinni niedługo kończyć.

– W takim razie poczekamy.

– Dobrze. Oczywiście. Może zaprowadzę państwa do sali konferencyjnej? Napiją się państwo kawy?

Dziewczyna jednak nie była tak niedoświadczona, za jaką z początku wzięła ją Laura. Nie chciała, żeby policja siedziała w lobby, kiedy goście wyjdą ze spotkania, o ile Jack Harford faktycznie na nim był.

– Nie trzeba. Poczekamy w lobby – powiedziała Laura i skinęła głową na Thomasa w kierunku dwóch stylowych i na oko niewygodnych kanap, na prawo od recepcji.

Podczas oczekiwania na Harforda Laura zastanawiała się, jak to się stało, że facet jednego dnia grał bożyszcze w komediach romantycznych, a drugiego był wziętym biznesmenem prowadzącym międzynarodową firmę inwestycyjną. Po drodze do Harford Industries zrobiła o nim krótki research. Harford ukończył prestiżową Royal Academy of Dramatic Art w Londynie, której absolwentami byli między innymi Anthony Hopkins i Roger Moore. Nie znalazła jednak żadnej wzmianki o jakimkolwiek wykształceniu ekonomicznym czy finansowym. Natrafiła tylko na artykuł w „Newsweeku” sprzed dziesięciu lat *Znani i zapomniani*, gdzie wspomniano o Jacku Harfordzie jako o jednej z nielicznych upadłych gwiazd, której udało się nie przepuścić swojego majątku zebranego u szczytu sławy, a wręcz go pomnożyć. Według ar-

tykułu Harford mądrze inwestował od samego początku swojej kariery aktorskiej, kierując się poradami ojca, który był też jego menedżerem.

Thomas długo nie mógł wysiedzieć na fotelu i chodził teraz wte i wewte po lobby. Pomimo miękkiego dywanu, który tłumiał jego kroki, zaczynał działać Laurze na nerwy.

– Ile to jeszcze będzie trwać? – spytał w końcu recepcjonistkę, kiedy na zegarze było dziesięć po drugiej.

Wtedy właśnie usłyszeli otwieranie drzwi i korytarzem przeszli trzej niewysocy Azjaci, blondynka o na oko szwajcarskiej urodzie i wysoki, lekko szpakowaty mężczyzna z włosami do ramion. Wszyscy chwilę się sobie kłaniali.

Thomas momentalnie wyhamował. Laura dała mu znać gestem, żeby nic nie robił.

Kiedy delegacja wyszła, policjantka podniosła się z fotela i podeszła do wysokiego mężczyzny, którego rozpoznała ze zdjęć, mimo że mocno się postarzał.

– Pan Harford? Nazywam się Laura Moretti, a to Thomas Bürgli. Jesteśmy z wydziału zabójstw policji kantonowej w Zurychu. Czy możemy chwilę porozmawiać na osobności?

Laura miała przez chwilę wrażenie, że Harford na kilka sekund zamarł, ale zaraz jego twarz odzyskała swój neutralny wyraz.

– Tak, oczywiście. Proszę tędy – powiedział i poprowadził ich korytarzem.

Weszli do pomieszczenia, które musiało być jego gabinetem. Przystronny pokój z dużym szklanym biurkiem. Jasny dywan. W rogu stał mały regał na książki i słynny Eames Lounge Chair z podnóżkiem, a obok lampa na trzech nogach. Idealny kącik zmęczonego prezesa, pomyślała Laura.

Harford wskazał policjantom dwa krzesła przy biurku, sam usiadł na skórzanym obrotowym fotelu po drugiej stronie.

– O co chodzi? – spytał opanowany, zakładając przed sobą dłonie w koszyczek.

– Dzisiaj rano znaleziono zamordowaną Sophie Martel – powiedziała Laura i starała się rozczytać jego twarz. – Bardzo mi przykro. Rozumiem, że byli państwo blisko.

Mężczyzna przełknął ślinę i spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu i patrzył na nią, jakby faktycznie nie pojmował. – Moja Sophie? Zamordowana? To jest jakiś absurd. W Szwajcarii?!

– Przykro mi. Dziś rano znaleziono ją martwą.

– Gdzie?

– W mieszkaniu na Waffenzplatzstrasse.

– O Boże. Nie. Nie. Nie – mówił i kręcił głową. W jego oczach momentalnie pojawiły się łzy. Wstał i podszedł do okna. Chwilę trzymał twarz w dłoniach, a potem odwrócił się do dwójki policjantów i spytał: – Jak to się stało?

– Może pan jednak usiądzie? – zasugerowała Laura.

– Proszę mówić.

– Nie możemy jeszcze nic powiedzieć definitywnie, ale z tego, co wiemy na tę chwilę, wynika, że pani Martel zmarła w wyniku ran zadanych nożem. Czekamy na wyniki autopsji.

Jack Harford zakrył usta dłońmi i zrobił bardzo głęboki oddech.

– O Boże – powtarzał w kółko i płakał. – Kto to zrobił?

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby to ustalić jak najszybciej – powiedział Thomas.

– Bardzo mi przykro z powodu pana straty, panie Harford. Proszę przyjąć nasze kondolencje – powiedziała Laura.

– Pana nazwisko było na drzwiach, jest też pan zameldowany pod tym samym adresem. Rozumiem, że mieszkali państwo razem? – spytał Thomas.

– Tak.

– Musimy zadać panu parę rutynowych pytań. Może pan jednak usiądzie? Podać panu szklankę wody? – spytała Laura.

Harford tym razem nie protestował i wrócił na swoje miejsce przy biurku, tyle że teraz wyglądał już nie jak wielki biznesmen, tylko mały skrzywdzony chłopiec uwięziony w ciele czterdziestolatka.

Laura dała mu chwilę, żeby się pozbierał.

– Jak długo byli państwo razem? – spytała Laura.

– Prawie dziesięć lat. W maju mieliśmy mieć dziesiątą rocznicę. Chciałem zabrać ją do Paryża. – Powiedział i załamał mu się głos.

– Jak wam się układało? – spytał Thomas.

– Dobrze. Jesteśmy... o Boże, byliśmy... bardzo szczęśliwi – wydukał Harford.

– Kiedy ostatni raz widział pan Sophie?

Przetarł twarz dłonią.

– W piątek. Zjedliśmy razem lunch.

– Mieszkacie razem i nie widzieliście się od piątku? – zdziwił się Thomas.

– Sophie miała ostatnio bardzo dużo pracy. Szykowała duży event i chciała skończyć prezentację dla klienta przez weekend, dlatego ja pojechałem do brata. Pracujemy razem, ale rzadko mamy okazję spędzić trochę czasu na spokojnie, więc chcieliśmy sobie zrobić męski weekend. Boże, gdybym tylko był w domu... – schował twarz w dłoniach. – Przepraszam, dalej to do mnie nie dociera – powiedział, kiedy trochę się uspokoił.

– To zrozumiałe. Jest pan w szoku – powiedziała Laura. – Możemy kontynuować?

Harford pokiwał głową.

– Lunch w piątek? Gdzie? – spytał Thomas znad notatnika.

– Przyniosłem jej sushi do pracy i razem zjedliśmy w jej biurze.

– Od tego czasu nie był pan w domu?

– Byłem. Nie miałem już spotkań tego dnia, więc po tym, jak zjedliśmy, pojechałem do domu wziąć kilka rzeczy na weekend. Poszedłem na siłownię, a potem pojechałem do mojego brata Billego.

– Mógłby pan podać adres?

– Seeweg 30, Wädenswill.

– Co robiliście przez weekend?

– Graliśmy na playstation, wypiliśmy hektolitry piwa. Tak jak mówiłem, męski weekend.

– Nigdzie nie wychodziliście?

– W sobotę rano pojechaliśmy na rower.

– Gdzie?

– W góry. Lubimy się czasem zmęczyć.

– Wychodziliście do jakichś knajp?

– To nie jest jakiś usiany restauracjami rejon. Poza tym Billy dobrze gotuje. Zamówiliśmy raz pizzę.

– Kiedy wrócił pan do Zurychu?

– Dzisiaj rano.

– Nie pojechał pan do mieszkania po czyste rzeczy? – rzucił Thomas.

– Mam zapasowe garnitury i koszule w biurze. Wczoraj się trochę zasiedzieliśmy, a dzisiaj miałem ważne spotkanie, więc przyjechałem prosto tutaj trochę się przygotować.

– Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z Sophie?

– Nie chciałem za bardzo jej przeszkadzać, więc nie dzwoniłem do niej dużo. Rozmawialiśmy w sobotę po południu.

– I wszystko było w porządku?

– Tak.

– Mówiła coś o swoich planach na weekend?

– W soboty rano zawsze chodzi na jogę, więc pewnie poszła. Poza tym chyba nigdzie nie wychodziła. Chciała skończyć tę swoją prezentację.

– Rozumiem.

– Czy przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógłby chcieć zrobić jej krzywdę?

– Nie.

– Nikt z kim miała na pieńku? Jakiś zazdrosny były chłopak albo niezadowolony klient?

– Nikt, o kim bym wiedział. Boże.... Nie wiem, jak ktoś mógłby chcieć ją skrzywdzić – Harford kręcił głową.

– A czy coś w zachowaniu Sophie ostatnio odbiegało od normy? Była zaniepokojona?

– Była mocno zestresowana pracą, ale to u niej normalne, jak ma duży projekt. Poza tym nie. Myślę, że jeśliby się kogoś bała, powiedziała by mi o tym.

– Proszę na spokojnie się zastanowić – powiedziała Laura. – Tutaj jest moja wizytówka. Gdyby przyszło panu do głowy cokolwiek, co może mieć znaczenie dla śledztwa, proszę dzwonić o każdej porze.

– Dziękuję.

– Na ten moment nie będziemy panu dłużej zawracać głowy, ale może się okazać, że będziemy musieli o coś jeszcze dopytać.

– Tak, oczywiście. Tutaj jest moja wizytówka.

– W takim razie jesteśmy w kontakcie. Jeszcze raz, bardzo nam przykro z powodu pana straty.

– Dziękuję.

Policjanci ukłonili się i wyszli.

Jack Harford miał wrażenie, że przypadła mu najtrudniejsza rola do odegrania w życiu.



\*\*\*

Zaraz po wyjściu policjantów do gabinetu Jacka wpadł Billy. Olivia z recepcji od razu dała mu znać, że coś jest na rzeczy. Billy siedział teraz siedział naprzeciwko brata i kręcił głową, nie dowierzając w to, co słyszy.

– Ja pierdolę – powiedział tylko po tym, jak Jack zdał mu relację ze spotkania. – Wiedzą, kto to zrobił?

– Nie.

– Jakaś paranoja. Nożownik w Szwajcarii, kurwa. Biedna Sophie. Tak mi przykro, stary. Tak mi strasznie przykro.

– Mnie też – powiedział Jack.

Spojrzeli sobie w oczy i nie musieli mówić nic więcej. Jack pierwszy odwrócił wzrok.

– Przesłuchiwali cię w charakterze podejrzanego? – spytał Billy.

– Póki co tylko poinformowali mnie, że ją znaleźli. Pytali, czy wiem o kimś, kto mógłby chcieć zrobić jej krzywdę, ale zgodnie z prawdą powiedziałem, że nic mi o tym nie wiadomo.

– Kurwa, może trzeba było ich gdzieś pokierować – zasugerował Billy. – Moglibyśmy kupić sobie czas.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Wow, Jack. Myślisz, że to ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie ma.

– Potrzebujesz prawnika.

– Wiem.

## KONSPEKT

Prywatny detektyw Piotr Sauer po latach pracy we wrocławskim wydziale zabójstw wyprowadza się do Szwajcarii, by uciec od swoich problemów. Kiedy Sauer dowiadyje się o zdradzie żony, jego świat zaczyna się walić. Przed upadkiem na samo dno ratuje go zlecenie, które może wreszcie postawić jego kiepsko prosperujący biznes na nogi.

Piotr ma wyjaśnić sprawę zabójstwa Sophie Martel. Kobieta była udziałowcem w firmie PR i prowadziła galerię sztuki na słynnym zuryskim Paradeplatz. Kiedy Sophie zostaje brutalnie zamordowana, sprawa natychmiast zyskuje międzynarodowy rozgłos. Piękna kobieta z wyższych sfer zamordowana w swoim mieszkaniu – takie rzeczy nie zdarzają się w spokojnej Szwajcarii. Wszystko jeszcze bardziej się komplikuje, kiedy wychodzi na jaw, kim był wieloletni partner zamordowanej kobiety.

Jack Harford obecnie prowadzi firmę inwestycyjną. Nie jest to jednak jego pierwszy zawód. Piętnaście lat temu Brytyjczyk był świetnie zapowiadającym się aktorem, który dostał pierwszy poważny kontrakt w Hollywood. Zanim rozpoczęto kręcenie filmu, kariera Harforda legła w gruzach z dnia na dzień z powodu głośnej sprawy zaginięcia Julie Pearson, młodziutkiej studentki, z którą mężczyzna miał romans, mieszkając jeszcze w Wielkiej Brytanii. W 2002 roku Julie zniknęła bez śladu i choć wszystko wskazywało na to, że to sprawka Harforda, z powodu błędów brytyjskiej policji i braku ciała nigdy nie doszło do procesu i sprawa pozostała niewyjaśniona do dzisiaj. Po skandalu Harford wraz z bratem wyprowadził się do Szwajcarii i prowadził spokojne życie z dala od blasku fleszy.

Teraz, kiedy ginie Sophie Martel, komisarz Laura Moretti zrobi wszystko, żeby tym razem morderstwo nie uszło Harfordowi na sucho. Jack uparcie odmawia przyznania się do winy i wynajmuje Sauera, by ten wyjaśnił sprawę morderstwa ukochanej.

Czy Piotr dowiedzie niewinności swojego klienta, czy jest tylko marionetką w rękach psychopaty? Co tak naprawdę stało się z Julie Pearson? Jaki związek ma sprawa morderstwa w Zurychu z zaginięciem w Wielkiej Brytanii sprzed piętnastu lat?

„Ostatnia rola Jacka Harforda” to pierwszy tom cyklu kryminalnego o prywatnym detektywie Piotrze Sauerze. Choć w każdej kolejnej powieści Sauer będzie rozwiązywał inną zagadkę kryminalną, autorka ma zamiar związać czytelnika z bohaterem. Piotr będzie starał się wyprostować swoje życie i naprawić błędy z przeszłości. Pod tym względem możemy porównać cykl o Sauerze do cyklu Jo Nesbo o Harrym Hole.

Jednocześnie jest to thriller psychologiczny z elementami powieści obyczajowej. Poza brutalnymi scenami rodem z najkrwawszych thrillerów, jak u Karin Slaughter, powieść będzie przedstawiać życie w Szwajcarii z punktu widzenia obcokrajowców i Szwajcarów, różnice kulturowe i społeczne. Autorka wnika głęboko w motywacje bohaterów, pokazując, że nawet w najbardziej idyllicznej scenerii czai się zło i nic nie jest takie, jakie wydaje się na pierwszy rzut oka.

Nina Igielska

## Oddech

— *Aj!* — zawołał Kaj nagle. — *Coś mnie ukłuło w serce!*

*Coś mi wpadło do oka!*

Hans Christian Andersen *Królowa śniegu*

### TERAZ

W zasadzie przyszła popatrzeć. Pomieszczenie było trochę za duże, w sam raz żeby się zgubić, gdyby przyszło się niechcący nie z tą osobą, z którą planuje się zostać. Przed nią siedziały dwie starzejące się kobiety z obowiązkowym zachwytem na twarzy. Kaja obstawiała nauczycielki akademickie. Czy spodziewał się, pisząc pierwsze nieśmiałe artykuły, że ten pogardzający nim gatunek będzie przychodził na przyszłe spotkania, płacąc za bilet w cenie butelki średniej klasy wina? Wątpliwe, pomyślała, przysłuchując się rozmowie pełnej ostentacyjnego uwielbienia. Gdyby miały trzydzieści lat mniej, zostałyby groupies, stwierdziła, zastanawiając się jednocześnie, czy sama nie wyrosła już z tego typu spotkań. Grupie nigdy nie była, choć nie da się ukryć, że rozważała kiedyś tego rodzaju eksperyment z pewnym czarującym muzykiem o urodzie zbitego spaniela. Do wprowadzenia planu w życie nigdy nie do-

szło, co pozwalało jej grać w myślach nigdy niewypowiedziane kwestie i mieć dzięki temu dobre wspomnienia z sytuacji, które nie miały miejsca. Patrzyła na osoby zajmujące ostatnie wolne krzesła. Ku własnemu rozbawieniu zauważyła kilka nastolatek – jedna z nich, niepewna własnego ciała jak stojąca po raz pierwszy na nieco zbyt długich nogach sarna, wydawała jej się mieć dokładnie tyle lat co ona, gdy poznała Profesora, kiedy nie był jeszcze tym ekscentrycznym, wciąż młodym człowiekiem, jedynym znanym jej filozofem, którego zdjęcia pojawiały się w kolorowych gazetach – porozmawiajmy o sensie i krótka historia wszechświata na dwóch stronach plus stosowna oprawa graficzna, beczelnie biały uśmiech, zmarszczki lekko wygładzone, włosy ośnieżone szlachetnie w blasku starannie ustawionych reflektorów, a dwie strony dalej nagie kobiece uda i młodziotka gwiazdka zdradza swój sposób na życie i przepis na sałatkę z kalafiora.

Siedziała nieruchomo, czekając na spektakl. Obciągnęła materiał sukienki za kolana i strzepnęła niewidzialny pyłek. Gdyby Profesor zobaczył ją teraz, dostrzegłby jej jasne, skupione oczy, dziś podkreślone kredką, zacienione i zatuszowane, poniżej delikatną linię ust, których kontur od kilku lat poprawiała szminką, rysy twarzy, które nadawała sobie na specjalne okazje, tworząc się trochę od nowa. Pewnie nie zauważyłby pleców wyprostowanych mimo pozornego rozluźnienia, gotowości pająka. Być może dostrzegłby sukienkę, prostą i elegancką, jaką wybiera się na ślub brzydkiej przyjaciółki, by nie odwracać uwagi od jej szczęścia i by samo szczęście nie pomyliło się i nie poszło w inną stronę, szczupłe nogi założone jedna na drugą, długość obcasa, rozpuszczone włosy, których nie zmuszała do żadnego posłuszeństwa, jakby w całym tym ułożonym stroju pozwoliła sobie na ten jeden wybryk.

Dobrze, pomyślała. Lubiła czuć się odpowiednio przygotowana.

Mimo to skuliła się odruchowo, widząc zajmującego swoje miejsce Profesora. Czy ją widział? Wątpliwe. Natomiast ona znakomicie widziała jego. Postarzał się przez te piętnaście lat.

Szesnaście, poprawiła się w myślach.

Nie wydawał się jej już tak wysoki, choć trzymał się prosto. Podliczyła w myślach, że miał teraz 47 lat, osiągnął ten wiek, kiedy skóra przestaje być dobrze skrojonym kostiumem, wyciąga się i szarzeje, oddala się od mięśni, czeka na coś smutno jak pozbawiony wiatru żagiel i w niektórych przypadkach chirurdzy zbierają jej nadmiar, zszywają i fastrygują zapas tkanek, próbując odzyskać utraconą formę. Wydał jej się słaby. Wiadomość o jego chorobie mogła więc być prawdziwa.

Mówił o ostatniej książce, którą przeczytała podobnie jak wszystkie poprzednie, robiąc sobie notatki na marginesach i szukając zdań skierowanych tylko do niej – jednej z tych rzeczy ciepłych i mądrych, których oczekuje się od swojego mentora, życiowej mądrości w niedużych i lekkostrawnych dawkach, garść zdań do przemyślenia, przypisy do jej własnych późniejszych myśli. Nie oczekiwała, że jeszcze kiedykolwiek się spotkają, dlatego zaskoczył ją list wysłany na stary adres. Adres, który od lat należał wyłącznie do jej znudzonego życiem ojca, starego i smutnego mężczyzny poza dobrem i złem. Starła się nie bywać tam zbyt często, a sam budynek wyobrażała sobie jak pokryty pajęczyną i kurzem domek dla lalek, jaki widziała w jakimś filmie z gatunku tych niezobowiązujących intelektualnie, zresztą na randce z gatunku podobnie mało zobowiązujących. Po filmie leżała przez chwilę pod mężczyzną, którego imienia nie mogła sobie teraz przypomnieć, i zastanawiała się, czy nie powinna zacząć głośniejsz oddechać, wykazać trochę zaangażowania, żeby szybciej skończył, żeby mogła ubrać na siebie sukienkę i zakończyć ten cały wieczór i związek, z którego miał zostać jedynie obraz zakurzonego domku dla lalek i pajęczyny.

List przeczytała kilkakrotnie, próbując doszukać się w nim czegoś więcej niż tych kilka linijek z prośbą o spotkanie, stanowczo zbyt grzecznych, zbyt układnych. W pierwszej chwili poczuła złość. Ukłucie, że jest na tyle bezczelny, by po tylu latach po prostu do niej napisać i prosić o coś, co nie powinno mieć miejsca. I ta złość walczyła o uwagę z inną złością, tą, że napisał tak mało, dziwnie podobną do tej, którą czuła piętnaście lat wcześniej.

Szesnaście, poprawiła się w myślach raz jeszcze.

Zwyciężyła ta sama ciekawość, która wkładała jej do rąk jego książki i zabraniała przełączania kanału telewizora, gdy przypadkiem pojawiał się jako specjalista od ważnych tematów, od bon motów o długości idealnie nadającej się do postów na Twitterze i felietonów, w których po równo obrażał wszystkie grupy zawodowe w sposób sprawiający, że ich bohaterowie cieszyli się z uzyskanej uwagi. Teraz, gdy dzieliło ich zaledwie parę rzędów równo ustawionych krzeseł i szwadron starzejących się fanek w odświętnych majtkach, ta sama ciekawość trzymała ją w niewygodnej pozycji modelki, nieruchomą jak zajęc w obliczu niebezpieczeństwa i zadającą sobie pytania, których nie śmiała wypowiedzieć przez ostatnie szesnaście lat.

Które z nas powinno bać się tego spotkania?

Złapała się na tym, że właściwie nie słucha tego, co miał do powiedzenia. W myślach odtwarzała ich ostatnią rozmowę, a zdania wypowiedziane myliły jej się z tymi, które powiedzieć chciała, celnymi i spóźnionymi. To nie jej wina, pomyślała, że dorosła zbyt późno. Już wiele lat temu doszła do wniosku, że nie powinni byli się wtedy spotkać.

Z zainteresowaniem przyglądała się młodym fankom. Pomyślała o sobie, kiedy miała lat piętnaście i przymierzała osobowości jak ubranie, szukając czegoś, czego jeszcze nie umiała określić, choć zazwyczaj dobrze sobie radziła z nazywaniem świata, bo jak mówił jej ojciec, była

akurat wystarczająco młoda, żeby wiedzieć wszystko. Z perspektywy czasu wiek nastoletni wydawał jej się czasem smutnym i zaskakującym, gdy ciało kobiety jest dla niej nowo otrzymaną zabawką, której używania uczy się ona metodą prób i błędów z naciskiem na błędy, pełnym raczej nauczek niż nauk, nauczycieli pobierających za nową wiedzę zapłatę zachwytem i ciałem.

Jak Profesor.

## WTEDY

Miasto uciskało go ciężarem możliwości, których nie brał pod uwagę, i męczyło gwarem kawiarni, w których nie bywał. Ich hałas doganiał go w drodze do domu jak zapach studentki, która weszła kiedyś po wpis i przypomniała mu niechcący o kimś, kto już dawno nie istniał. Potem długo i bezskutecznie szukał tego zapachu w perfumeriach na lotniskach. Wezwał ją nawet kiedyś na rozmowę, ale wtedy pachniała już inaczej, a on wstydził się zapytać ją o tamten zapach, jakby był on czymś intymnym, nieprzeznaczonym dla niego, ukrytym przed ciałem pedagogicznym, które na uczelni miało być wszystkim, tylko nie ciałem właśnie. Czuł się, jakby jej coś zabrał, może nawet ją skrzywdził, i pod koniec semestru na wszelki wypadek wpisał jej do indeksu piątkę, żeby uśpić wyrzuty sumienia. Gdy zadzwoniła Ewa – pięć lat wspólnych studiów, pół roku związku na próbę opartego na nieodwzajemnionej miłości do Prousta (Ewa) i odwzajemnionej miłości własnej (Michał), potem rozstanie, po którym oboje odetchnęli z ulgą – i powiedziała coś o przyszłości, zaufaniu i starej przyjaźni (nie słuchał zbyt uważnie), zgodził się bez wahania na spotkanie i wszystko, co miało nastąpić później. Desperacko chciał zachować się przyzwoicie, choć zdawał sobie sprawę, że być może wcale nie chodziło o Ewę, a o inną koleżankę, z którą jakiś



czas wcześniej łączyła go jedna z tych chwilowych zażyłości, po których ludzie na wszelki wypadek omijają się dużym łukiem, by poranny rytuał patrzenia w lustro nie był zanadto męczący.

Spotkania z Ewą przebiegały według stałego schematu. Spóźniała się około kwadransa, przynosząc jakieś sympatyczne, ale niezbyt wiarogodne i zdecydowanie zbędne wytłumaczenie (Michał podejrzewał, że testowała na nim historie swoich uczniów), po czym zamawiała herbatę, by po chwili zmienić zamówienie na kawę z dużą ilością mleka. Słodziła łyżeczkę tylko po to, by po pierwszym łyku skrzywić się i dodać dwie następne. Dopiero wzmocniona taką mieszanką zaczynała z nim flirtować, z każdym rokiem znajomości coraz bardziej nieporadnie, by w połowie kawy osiągnąć apogeum i rzucić jakieś wspomnienie z czasów studiów. Michał uśmiechał się wtedy, miał nadzieję nostalgicznie, że sprawi jej przyjemność, a Ewa, mile połechtana, przypominała sobie nagle o mężu w domu i dzieciach w przedszkolu (albo odwrotnie, podejrzewał Michał), dopijała kawę i wybiegała, płacąc bądź nie.

– Swoją drogą, dalej szukasz dodatkowej pracy? – zapytała, zaburzając ustalony porządek.

Poprawiła dłonią luźno spięty kok, element mundurka nauczycielki, w który przebierała się od kilku lat, by łatwiej ją było odróżnić od nastoletnich uczennic. Całości zniszczenia dopełniała źle skrojona marynarka niebezpiecznie przesuwająca jej posiadaczkę w kierunku kobiet bez wieku i właściwości. Zza swojej kawy wyglądała jak ruchoma ambasada ciepła i przytulności. – Szukam kogoś, kto przygotowałby moją uczennicę do olimpiady filozoficznej. Jej rodzice dobrze płacą i chcą co najmniej Sokratesa. Jedyńca. Miałbyś ochotę? Prowadziłeś kiedyś kółko filozoficzne, pamiętasz? – zapytała, jakby chodziło o jakieś piękne wspomnienie z przeszłości.

Pamiętał. Skończyło się katastrofą i ostatecznym pogrzebaniem filozofii w tej szkole. Po kilku tygodniach nawet najbardziej żądni wiedzy uczniowie przenieśli się na dodatkowe zajęcia sportowe.

– Trochę daleko mi do Sokratesa. Nie chcesz sama się tym zająć?  
Uśmiechnęła się.

– Chcę filozofa. Zresztą nie przejmuj się. Zadasz jej parę lektur, pogadasz o książkach. Jest dość bystra. Potrzebuje tylko kogoś, kto by ją trochę ukierunkował.

„Z tego, co pamiętam, potrafisz całkiem nieźle wskazywać kierunki”, chciał odpowiedzieć, ale uznał przerwy w płynności finansowej za wystarczająco motywujące i zgodził się wspaniałomyślnie, usilnie zastanawiając się, czy zapytał ją już o dzieci i męża prawnika, którego nie omijały nadgodziny, omijał natomiast sukces, i z rozpędu przyjął piętnastostronicowy esej, którym jego przyszła uczennica zakwalifikowała się do olimpiady, choć pytanie „Czy mamy prawo do łamania prawa?” napisane wielkimi literami na pierwszej stronie wróżyło co najwyżej nudną powtórkę z podręcznika do etyki. Dopiero w domu stwierdził z ulgą, że sam esej okazał się logiczny, a wywód dobrze poprowadzony. Dziewczyna, jeśli pisała go rzeczywiście samodzielnie, wydawała się obiecująca, choć zamiast o eseju wolał myśleć o Ewie, która któregoś dnia powiedziała, że go uwielbia, a potem kochała się z nim w domu jej rodziców, którzy wyjechali na kilka dni z miasta.

O Ewie dzisiejszej starał się nie myśleć.

Dziewczyna przyszła we wtorek. Przypominała jedną z jego studentek, które przychodziły po temat referatu, dobrze przygotowane, choć niepewne dalszego przebiegu spotkania. Wielkie oczy uważnego zwierzątka, długie i niespokojne włosy w ciemnym kolorze, którego nie umiał określić, ciężka torba, jasny blezer, w którym wyglądała jak poczatkująca sekretarka, i spodnie przykrywające niepokojącą chudość,

na którą siłą rzeczy musiał zwrócić uwagę, gdy otworzyła drzwi jego gabinetu.

– Kaja Rozer. – przedstawiła się, pomijając powitanie. – Szukam profesora Hermana – dodała, jakby chodziło o bankomat, po czym nie czekając na odpowiedź, zamknęła drzwi od środka.

– Doktora – sprecyzował i dorzucił „zapraszam”, choć dawno weszła i decydowała, które zająć miejsce. Zauważył, że ma blade, choć kształtne usta. Bardzo jasną karnacją, co wydało mu się odświeżające po spalonych ostatnim jesiennym słońcem studentkach. Prócz przypominającego zagubiony włos łańcuszka nie nosiła biżuterii, co jednak nie wydało mu się dziwne. Kobiety, przypuszczał, zbierają błyskotki jak zbiera się wspomnienia, a dziewczynka, która stała przed nim, nie mogła mieć jeszcze wspomnień. Poza tym wiedział, że tylko zewnętrze przypomina kobietę, jakby był świadkiem kuglarskiej sztuczki, która zmusza do zapewnienia własnych zmysłów, że są ofiarą oszustwa.

Wybrała skórzany fotel przy stoliku z boku gabinetu, spadek po poprzednim właścicielu, który jeszcze co jakiś czas straszył z czeluści emerytury na gościnnych wykładach, by opowiedzieć o swojej przyjaźni z Habermasem. Michał zastanawiał się czasem, co sam zainteresowany myśli o tej znajomości, która bawiła młodego doktora jak idea wspólnego śniadania z Kantem, by w dobrym towarzystwie odrzucać dowody na istnienie Boga. Dziewczyna wpatrywała się w niego, jakby próbowała ocenić otrzymany towar. Nie wiedzieć czemu miał wrażenie, że ta ocena nie wypadła dobrze.

– O czym chciałabyś porozmawiać? – zapytał w końcu, łapiąc się na niepewności, której się nie spodziewał. Nie sprawdził oficjalnej listy tematów i skryptu, który zamykałby dwa tysiące lat historii filozofii w pigułce. Wszechświat w łupinie orzecha i duchowość dla początkujących.

– O wszystkim.

– Macie jakąś listę tematów?

– Tak.

– A możesz mi zdradzić, co w niej jest? – zniecierpliwił się.

– W pierwszym rozdziale jest odpowiedź na pytanie o sens życia, a w drugim przeprowadza się dowód na istnienie Boga.

Był pewien, że przez ułamek sekundy uśmiechnęła się triumfalnie. Jak dziecko, które trafiło kamieniem w kota sąsiadów.

– Niech zgadnę. To krótkie rozdziały. Z wnioskiem, że życie nie ma sensu, a Bóg nie istnieje – spojrzał jej w oczy. – Na następne spotkanie przyniesiesz skrypt. I nie będziemy tracić czasu na bzdury. Poza tym już jeden taki powiedział to samo i skończył przejechany przez tramwaj.

– Nie wiedziałam, że będę przepytywana z literatury rosyjskiej – powiedziała, patrząc dla odmiany w podłogę.

Podobała mu się ta odpowiedź. Sposób, w jaki dziewczyna siedziała w nieco zbyt dużym fotelu, przypominał mu Ewę sprzed dziesięciu lat, świadomą swojego ciała, choć dopiero wypróbowującą jego możliwości. Pomyślał, że młode kobiety instynktownie potrafią zainscenizować się w sposób najbardziej interesujący i szybko zganiał się za tę myśl, która uszłaby, gdyby chodziło o jedną z jego studentek albo przyjaciółek jego przyjaciół. W takiej sytuacji znalazłby wymówkę, by nie rozpocząć rozmowy, a po odpowiednim znieczuleniu rzutem na taśmę zaproponowałby jakąś wykraczającą poza dotychczasową znajomość intymność polegającą na tym, że dwójka ludzi korzysta ze swojej dorosłości i idącego za nią społecznego przyzwolenia na zażegnywanie fenomenu obojętności świata w sposób niegodny filozofa. Potem dostałby w twarz. Albo został wyśmiany, na jedno wychodzi. Albo wszedłby w coś w rodzaju związku, co wydawało mu się jedynym wyjściem w przypadku zgody na wspomnianą propozycję.

Swojej nowej uczennicy zaproponował wtorkowe popołudnia, dwa-nastę tygodni aż do olimpiady z możliwością przedłużenia, gdyby udało jej się przejść do następnego etapu. Zaoferował wizyty u niej

w domu, ale ze względu na zaskakująco silne protesty dziewczyny oboje ustalili, że spotkania będą odbywać się w jego gabinecie. W małym czarnym notesie, stanowczo zbyt droгим jak na nastolatkę, dziewczyna zanotowała godzinę i temat pierwszego spotkania, po czym zniknęła grzecznie, zostawiając go sam na sam z przejechanym przez tramwaj Berliozem i pomysłem na esej o Kancie. Postanowił wziąć się do pracy.

## TERAZ

– Nie wystarczy uratować Kaja, wyciągnąć go z pałacu i zabrać jak najdalej od królowej śniegu, bo już siedzi w nim ten diabelski odłamek szkła, fragment lustra szalonego czarodzieja, w którym wszystkie rzeczy piękne i dobre wyglądają szkaradnie, wykrzywione, zamazane, niewyraźne. W którym rzeczy złe widać doskonale. To coś więcej niż wszystkie te baśnie, w których wystarczy obudzić pocałunkiem księżniczkę. Baśń o królowej śniegu nie zostanie zrozumiana przez dziecko, bo dziecko nie wie jeszcze, że można wcale nie chcieć uwolnić się od uroku królowej śniegu. Że można chcieć zachować w swoim oku ten okruch lustra, pragnąć życia, które zamiast spokojne i dobre będzie intensywne – perorował, nie zostawiając słuchaczkom czasu na wątpliwość, że mógłby mówić nie tylko do nich, do każdej jednej z osobna, i każdej opowiadać historię ich wspólnej miłości, która zdarzyć się mogła, ba, zdarzyć się powinna.

Już po wszystkim wypatrzył ją w tłumie. W pierwszej chwili nie była pewna, czy ją poznał, czy po prostu zwrócił uwagę na jedyną twarz pozbawioną przymilnego uśmiechu. Ostatni fragment, niewątpliwie starannie przygotowany, uznała za efekciarski, i miała ochotę zaprotestować. Profesor miał być niezwykły, chociaż przez te półtorej godziny, a potem może robić, co chce. Przez te wszystkie lata szukała mężczy-

zny o jego inteligencji. Poszukiwania skazane na porażkę, choć sam proces, gdy moralność upadała na coraz wygodniejsze postania, nader przyjemny.

– Jakie pytanie zadaje się w takiej sytuacji? – zapytała, gdy podszedł, podając jej kieliszek z białym winem.

Profesor milczał przez chwilę. Być może kolejny środek, mający dać mu przewagę.

– W przypadku spotkań z młodymi fankami?

– To miło uchodzić wciąż za młodą fanke.

– Kwestia punktu odniesienia.

– Egocentryzm. To dobrze. Biega tu mnóstwo szesnastoletnich punktów odniesienia i te byłyby mniej przyjemne. Jak się zaczyna rozmowę z fanką?

Udał, że się zastanawia.

– Na początek należy wyczuć, jak chce być traktowana. Dziewczynka czy dorosła kobieta, poważna czy zabawna, czy chce słuchać, czy być słuchana. Potem trzeba się nią zainteresować. Czym się zajmuje, czego pragnie. A później zadać jakieś poważne pytanie, najlepiej takie, na które nie zna odpowiedzi.

– Widzę, że zna się pan profesor na rzeczy. Powinien pan napisać o tym książkę.

– Napisałem. Wiele lat temu. Na szczęście odrzuciły ją wszystkie wydawnictwa.

– Może dziś zostałaby przyjęta. Mało to byle czego się wydaje?

Była pewna, że poczuł ukłucie. Dobrze.

– W takim razie czym się pani zajmuje?

– Chciałam pisać doktorat. A potem przyszedł ktoś i zaproponował mi wiaderko ze złotem. Dodał wprawdzie, że będę na nie pracowała dwanaście godzin dziennie przez następne pięć lat. Paradoksalnie na-

gle poczułam wolność. Jestem chyba makabrycznym przykładem osoby, którą praca uczyniła wolnym.

– Rzeczywiście makabryczne – zgodził się. Na jego głowie zbierały się małe krople potu, w których odbijało się światło stojącej obok lampy. Kaja pomyślała o rosie na pajęczynie, skojarzenie tyleż kiczowate co absurdalne. Znow wydał jej się stary. Różnica wieku, która jeszcze niedawno nie miałaby znaczenia. Chodziło o jego słabość? O – straszne słowo – męskość, która we wspomnieniach zawsze wydaje się być bardziej. Bardziej witalną, silną, gotową, obecną. – Początek pomińmy. Jakże zadaje się pytanie?

– Jesteś szczęśliwa? Na przykład oczywiście.

– Dobrze, fakt. Ale zbyt ogólne.

– Sprecyzujmy więc. W związku na przykład.

Pokiwała głową z uznaniem i ku własnemu zaskoczeniu roześmiała się. Nie zaprotestowała, zastanawiając się przez chwilę, jakie będą konsekwencje braku protestu.

– Niech będzie – uśmiech. – Ja zawsze jestem szczęśliwa w związku. Mimo że szczęśliwe związki są tak nudne. Jesz razem śniadanie, oglądasz film i czujesz, jak odrasta ci dusza. A potem zaczynasz wciągać te wszystkie książki i filmy o nieszczęśliwych ludziach, aż w końcu sam pragniesz być nieszczęśliwy. To piękny stan. Znałam kiedyś mężczyznę, który unieszczęśliwiał mnie cudownie – spojrzała mu w oczy, zastanawiając się, czy jej przerwie. – Wiesz, że wbrew pozorom ludzie bardziej niż za idealnym związkiem tęsknią za idealnym nieszczęściem? Być nieszczęśliwym, ale w starannie dobranych proporcjach i z dobrze skomponowaną perspektywą na przyszłość. Świetlaną, żeby nie było wątpliwości.

– Wierzę. Moje byłe żony tak miały.

– Dużo pan ich miał?

– Jedną.



– To zdecydowanie za dużo. Gdzie jest teraz? W domu spokojnej starości dla żon profesorów?

– Cóż, nie udało jej się trafić do tego dla wdów po profesorach.

– Bardzo próbowała?

Profesor roześmiał się.

– Bardzo. A pani?

– Pani – powtórzyła, próbując przyzwyczaić się do tego słowa. – Nie udało mi się. Mam na myśli ośrodek dla wdów. Głównie dlatego, że nie wyszłam za mąż.

– Nie?

Roześmiała się.

– Według dzisiejszych standardów jestem jeszcze dzieckiem.

– Nie jesteś. Jeśli w ogóle kiedykolwiek byłaś.

Przeszedł na ty, zauważyła, jakbyśmy rzeczywiście się znali.

– Już wtedy potrafiłaś być dezaprobująca i lekceważąca jednocześnie. Idealnie nadajesz się na żonę.

– Pan profesor czarujący jak zwykle.

Roześmieli się jednocześnie śmiechem, którym śmieją się nastolatki, jakby nie dzieliło ich te szesnaście lat.

Przypomniała sobie o trzymanej w dłoni książce. Litery spływały z okładki, zatrzymując się na samym brzegu. Wolałaby, żeby spłynęły dalej i wsiąkły w podłogę, mogłaby je wtedy zostawić tutaj i na moment o wszystkim zapomnieć, a w domu zapisałaby puste kartki jakąś opowieścią. – „Piękno, namiętność, samotność” – przeczytała tytuł. – Pretensjonalnie, ale podoba mi się. Właściwie nie trzeba już nic więcej pisać. Albo czytać. Pozwoli pan, profesorze. Po starej znajomości.

Wyciągnęła z torebki pióro i podała mu wraz z książką.

– Jak zawsze okazuje się, że cała reszta jest zbędna – uśmiechnęła się swoim uśmiechem rodem z gazet, uśmiechem jej obcym, który bardziej pasował do studia telewizyjnego niż tego pomieszczenia. Oddał



jej książkę, dłuższą o zdanie bądź dwa. Oparła się pokusie zajrzenia do niej natychmiast pod jego wyczekującym spojrzeniem. Przeczyta później.

## WTEDY

Już w domu przeczytał jeszcze raz esej dziewczyny, uśmiechając się sam do siebie. Odłożył dokument i spojrzał na zegarek. Nie miał już czasu na zrobienie notatek albo jakiegoś ładnego podsumowania, ale to w sumie nie miało znaczenia. Nie sądził, żeby nastolatka była pod tym względem wymagająca. Za chwilę miał mieć gościa.

Lila była piękna. Jej ciało było silne i kobiece, piersi pełne i ciężkie, talia wąska, wypracowana na tych wszystkich kursach, na których kobiety stają w równych odstępach jak pingwiny, a potem podskakują i machają rękami, naśladując pokrzykującą szefową stada. A że nie była zbyt mądra? Ważne, że była dla niego dobra, upierał się, jakby próbował przekonać do niej jakiegoś oponenta. Ojca na przykład, który wprowadził Lilki nigdy nie poznał, ale wiedział, czym grozi wiązanie się z tego rodzaju kobietami. W chwilach pozbawionych bezpośredniej nadziei na seks Michał porównywał relację z nią do sodomii, a potem wzruszał ramionami i wracał do jej (a częściej swojego) łóżka. Od rozstania z poprzednią kobietą jego życia starał się nie wybrzydzać.

Czasem myślał o ojcu, który umarł za wcześnie. Krótko, bo później zawsze myślał o matce. Był zły na nią, że nie zachorowała zamiast ojca, i na siebie za to, że zdarzało mu się tak myśleć. Że w pewnych konstelacjach nigdy nie chorują te osoby, które powinny. Potem wstydził się tej myśli i miał ochotę zmyć ją z siebie czymś żrącym, ukarać się za myślozbrodnię popełnianą podczas wspólnych niedzielnych obiadów wśród matczynych okrzyków (Nie zgadniesz, gdzie kupiłam kapustę!

W supermarkecie, a smakuje jak z rynku!). Dziwiło go, że ojciec wybrał kobietę tak eklektyczną intelektualnie, co było najładniejszym wyrażeniem, jakiego Michał nauczył się na studiach. Jej świat sprowadzał się do dobrze posprzątanego kuchni i obiadu na stole, którego cenę zachwalała gościom, tłumacząc po kolei, w którym ze sklepów kupiła który produkt. (A ziemniaki – nie zgadniesz!) Do zgadywania zachęcała całą sobą, bo wszystko w niej wtedy rozmawiało, ożywiało się, pęczniało z dumy dorodnej jak kwitnący na równo rozłożonych talerzach kalafior. Nie zgadniesz!, zapewniała, dodając od razu: spróbuj!, bo do zabawy trzeba drugiej strony, partnera jakiegoś, który by pionek od czasu do czasu przesunął. Gość zgaduje posłusznie, wymieniając kolejne sieci sklepów samoobsługowych, a matka, autorka tej zabawy o regułach niejasnych, ale żelazno-konsekwentnych, kiwała głową i pęczniała z dumy jeszcze bardziej, że tak jej się udało oszukać rzeczywistość, bo taki kawałek schabu sam się nie wypatrzy, bo to trzeba obserwować i być na bieżąco, zainwestować w lekturę (tu Michał myślał ze zgrozą o gazetkach, z których okładek straszą pomarańcze w siatce), a potem pojechać i przekonać się osobiście. Amen.

W chwilach największego upodlenia myślał o tym, że mógłby umierać tak jak ojciec – z satelitą powtarzającym cały czas, ja mu mówiłam, żeby nie palił, ja mu mówiłam, że tylko soki ze świeżych owoców, z rynku, a nie z supermarketu, ja mu mówiłam, zawszemówiłamżeaonniestuchał.

Po śmierci ojca matka nareszcie zamilkła. Ciszę wypełnił sobie między innymi Lilką, która miała tę zaletę, że wcale nie chciała być w jego życiu więcej niż dwa wieczory w tygodniu pomiędzy innymi mniej lub bardziej stałymi relacjami, w jakie wdawała się tak jak inni wdają się w spory, następnie poprzednią kobietą jego życia, a potem, z braku innych opcji, znowu Lilką, której w jakiś sposób imponował fakt sypania z filozofem. Niektóre kobiety lubią mieć w portfolio ginekologa

i muzyka albo Murzyna i Żyda bez pejsów, ale ze starannie wyciętym napletkiem, dzięki czemu mogą potem być pewne, że takie są tolerancyjne. Lilka chciała być trochę jak Carla Bruni. Zgadzały się filozof i nagie zdjęcia, brakowało Jaggera i prezydenta, przy czym Jagger był już stary, a co do prezydenta to zdaje się czekała do następnych wyborów.

Gdyby Lilka miała umysł ostatniej kobiety jego życia, wszystko byłoby w porządku, myślał Michał wiele lat później. Wszystko zostałoby w absolutnym porządku.

## WTEDY

Nie ma nic bardziej usypiającego niż ukryta pod za dużym swetrem dziewczęcość – tę myśl Michał zapisał zaraz w notatniku, takim samym jak ten, którego prowadzenie nakazał Kai. Kartki wypełniały się szybko. Z tygodnia na tydzień notował coraz więcej. Przemyślenia Kai pozbawione były naleciałości zbyt długich studiów i pozwalały na odwrócenie problemów uniwersyteckiego dyskursu ogonem. Schopenhauer i nirwana na przykład. Czym jest nirwana? *Stanem, w którym już się niczego nie pragnie, niczego nie chce.* Dobrze. A co prowadzi do nirwany? *Kontemplacja piękna.* Dobrze. *Ale to bez sensu, bo gdy się kontempluje piękno, to wtedy właśnie się chce!* I znowu musiał zgodzić się z tą małą wariatką, Schopenhauer nie miał racji. Miał rację Nietzsche, ale niestety z zupełnie innych powodów, które Michał również miał zapisać w notesie chwilę po wyjściu uczennicy, rozważając od razu, w jakim artykule ich użyć. Ba! W książce, jeśli tylko uda mu się problem odpowiednio poprowadzić. Zazdrościł Francuzom dwóch lat obowiązkowej filozofii w szkole, bo muszą mieć więcej takich Kaj, które jeszcze nie boją się mówić, co myślą, bo nikt im nie zdążył powiedzieć, że myślą niezgodnie z obowiązującą interpretacją.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Przeprosił Kaję rozlaną na fotelu jak wąż i zamknął notes, wciskając długopis pod oplatającą go czarną gumkę, reklamowaną jako taką, którą notes zamykał Hemingway. „Gumka Hemingwaya”, pomyślał. Gumka Hemingwaya, skarpetki Becketta, szmata do kurzu Szymborskiej, kontynuował w myślach. Czy idąc do Szymborskiej, Nietzsche także nie zapominałby bicia? Myśl o biczu niebezpiecznie zepchnęła go w stronę ujeżdżanego Arystotelesa, o którym chciał opowiedzieć Kai, ale zawstydził się w bardzo niestrategicznym momencie, i w końcu z opowieści zrezygnował na rzecz odniesień bardziej pedagogicznych.

W drzwiach gabinetu stała Lilka. Z przyjaznym uśmiechem, który nie potrafi ukryć wyrazu twarzy kobiety, której się nie odmawia, wyglądała jak hostessa. Przyszła, żeby powiedzieć, że była w okolicy, a dokładniej w jego mieszkaniu, znaczy przed, i bardzo chciałaby wejść do środka, na co Michał zareagował z ograniczonym, ale entuzjazmem. Wolałby porozmawiać jeszcze z Kają, zanotować kilka myśli, które błędziły mu gdzieś z tyłu głowy i powinny zostać szybko zatrzymane i spisane, bo inaczej rozprysną się, rozbiegną, rozleczą jak małe ptaszki.

– Nie chcesz? – zapytała z pretensją, stawiając stopę na niewielkiej jak mrówka resztkę entuzjazmu. Pacjent nie żył, trzeba było szybko wykrzesać z siebie nową porcję, najlepiej głośniejszą i bardziej spektakularną.

– Oczywiście, że chcę. Już kończymy. Daj mi jeszcze kwadrans – rzucił, wiedząc, że kwadrans to zdecydowanie za mało. Ich spotkania, oficjalnie godzinne, przedłużały się z tygodnia na tydzień. Miał tylko nadzieję, że Lilka będzie czekać grzecznie, bo sam fakt, że wyciągnie go z wydziału, wystarczy jej za odpowiedni komplement.

Kątem oka zauważył, że Kaja skuliła się w fotelu, jakby nagle nie chciała być tym, kim jest, a już na pewno nie w tym miejscu. Przyglądała się

kobiecie w drzwiach z uwagą greckiej rzeźby. Była i jednocześnie nie było jej, choć w powietrzu wisiało jeszcze ostatnie rzucone przez nią pytanie.

– Zaczekam w kawiarni – rzuciła Lilka, nie czekając na odpowiedź, i wyszła, zostawiając Michała z krążącym w pomieszczeniu pytaniem Kai, którego nie był w stanie sobie przypomnieć. Cisza rezonowała w pustce po kobiecie, która opuściła pokój.

– To pana żona? – powiedziała w końcu Kaja.

Zaprzeczył odruchowo i może zbyt szybko. Myśl o żonie podobnej do Lilki wydała mu się przerażająca. Była ładna. Bardzo ładna nawet, co wynagradzało klęski poniesione w chwilach, gdy próbował prowadzić z nią rozmowę wykraczającą poza ustalenie pozycji seksualnej. Kiedyś przez chwilę jej również chciał opowiedzieć o ujeżdżanym Arystotelesie, ale obawiał się, że jej interpretacja może okazać się zbyt dosłowna i nie był pewien, czy miał ochotę na ten eksperyment.

– Kocha ją pan? – zapytała Kaja. Michał był pewien, że na ułamek sekundy na jej twarzy pojawił się uśmiech chochlika, który właśnie splótł koniom grzywy, a teraz rozważa zrobienie następnego psikusa.

– To bardzo prywatne pytanie – powiedział szorstko i zaraz się zawstydził gdzieś w środku, zarumienił podskórnice. Przez ostatnie sześć tygodni pielęgnował w niej tę bezczelność pozwalającą jej trafić w punkt częściej niż jego koledzy spędzający wieczory w pubach z dartem.

– Przepraszam – powiedziała głosem wyraźnie dającym do zrozumienia, że wcale nie jest jej przykro. – Po prostu zastanawiałam się, jak do miłości podchodzi filozof. Czytałam ostatnio esej profesora Wenera o tym, że w życiu najważniejsza jest miłość. Zgadza się pan z tym?

Udało jej się wejść w zakręt, ocenił.

– Miłość, piękno, przyjaźń.

Przyglądała mu się, jak obserwuje się brzydkie, interesujące zwierzątko.

– Jak to możliwe, że najważniejsze w życiu są rzeczy, których większość ludzi nigdy nie doświadczyła?

Miał ochotę zaprotestować, ale przypuszczenie wydało mu się uzasadnione.

– Myślę, że większość ludzi jednak widzi piękno, kocha – szukał argumentów, choć w głowie kłębiły mu się całymi masami dowody na coś wręcz przeciwnego.

– Nie mam na myśli oglądania ładnych rzeczy czy bycia z kimś. Mam na myśli piękno, jakiego pragnął Faust. I prawdziwą namiętność. Nie ma chyba wielu ludzi, którzy jej zaznali.

*Może nie rozmawiają o tym z małymi dziewczynkami?*, miał ochotę zapytać. Pomyślał o swojej ciotce, chudej i wyschniętej jak zaszuszone w książce zwłoki motyla, co do której był pewny, że mimo urodzenia czwórki dzieci nie zaznała w życiu ani jednego namiętnego porywu. Wuj szczyił się kiedyś po wódce na jednej z rodzinnych imprez, że nigdy nie mówił żonie, że ją kocha, bo co będzie jej bzdury opowiadał. Pocałunki zachowywał dla dziwek, a ciotka zbierała na półkach meblościanki na wysoki połysk różowe książeczki z serii „romance” i czerwone z serii „temptation”, tęskniąc za czymś, co najwidoczniej miało być jedynie udziałem ich bohaterek.

– Może nie każdemu jest to pisane – stwierdził, być może zbyt deterministycznie, co owszem, przyszło mu do głowy, ale nie miał zamiaru dzielić się tą myślą z uczennicą.

– A panu? – zapytała po prostu. – Panu było pisane?

## TERAZ

Śmierć miała dziś twarz wciąż atrakcyjnej dziennikarki z gatunku tych, które po czterdziestce zmieniają fryzurę i po raz pierwszy w życiu idą do profesjonalnej wizażystki, w efekcie czego wyglądają lepiej niż dwadzieścia lat wcześniej. Nie miała kosy, która uczyniłaby tę sytuację nieco bardziej jednoznaczną. Wyobrażał sobie, że gra z nią w szachy, że jest cicha jak rozpacz, a na koniec zdejmuje kaptur i jest piękna, piękna jak w komiksach. Mówi jej, że czekał na nią całe życie, bo pierwszy raz może sobie pozwolić na kicz, nikt go nie widzi, nikt nie zacytuje w prasie, a ona śmieje się, bo nie takie rzeczy słyszała od mężczyzn próbujących wkraść się w jej łaski. Kocham cię, zawsze byłeś przy mnie, wiedziałem, że jak przyjdiesz, będę kwitły dalej.

– Czy miał pan szczęśliwe życie? – pyta dziennikarka, która nie może być śmiercią, bo czeka na odpowiedź, a obok stoi operator, co go na otwartym sercu potnie, żeby wydusić potem z programu jakieś emocje. Dziennikarka wierci się na krzeselku, nerwowo, choć niemal niewidocznie, a Profesor kiwa głową, że tak, że był szczęśliwy, bo podejrzewa, że to prawidłowa odpowiedź. Tematem numeru jest spełnione życie i dobrze jest przepytąć kogoś, kto je w miarę zakończył, przewidywalna długość dalszej egzystencji do wydania następnego numeru. Zastanawia się chwilę, czy trafią, po czym przybiera minę uprzejmego eksperta i zaczyna odpowiedź.

## WTEDY

Żartował, że to przez jego problem z rozróżnieniem, jakiś wewnętrzny brak, który sprawiał, że ośrodek mowy w jego mózgu znajdował się obok ośrodka odpowiedzialnego za seks, w efekcie czego mówiąc do



kobiety, coraz bardziej jej pożądał (podobnie zresztą tłumaczył sobie efekt groupies, których w tak zwanych normalnych warunkach nikt przy zdrowych zmysłach nie wzięłby do łóżka, bo strach, ale skoro zaśpiewało im się piosenkę, zagrało kilka akordów i nie uciekły, to muszą być przecież wyjątkowo oddane/zakochane/zaangażowane, niepotrzebne skreślić, ergo trzeba je przelecieć, żeby nie wypaść nieuprzejmie. Przecież nie po to dziewczę jechało 800 kilometrów od zajętych karierą lub alkoholem rodziców, żeby nikt się nim nie zaopiekował, na miłość boską). Czy stąd się też brała jego sympatia do Kai chłonącej jego słowa, jakby rzeczywiście była w nich jakaś mądrość, być może istniejąca tylko w kontekście siedzącej w zbyt dużym fotelu, zwiniętej jak wąż jedynej słuchaczki. Dla niej mógł uprawiać przez te dwanaście tygodni teatr jednego aktora, męskiej Szeherezady, sprzedawać jej bajki i pytania, nad którymi będzie się zastanawiać w domu, zanim nadejdzie następny dzień i poranek, i znów się spotkają, żeby przy filiżance herbaty niszczyć wszelkie świętości.

Czytał jej eseje, co tydzień jeden, jej dialogi na wzór sokratejski, ćwiczenia w logice, zachwycony coraz bardziej, coraz bardziej pewny, że jeszcze tylko miesiące, ba!, tygodnie i stać będzie przed nim nowa Hannah Arendt, umysł giętki i nieugięty, silny i gotowy, wszystko to, o czym sam marzył, a czego nie mógł się po sobie spodziewać. Kaja kwitła. Rozwijiała skrzydła, stojąc na krawędzi ich małego gniazdka i szykując się do lotu. Patrzył na nią z dumą i niepewnością, niezdecydowany, czy powinien ją popchnąć czy zatrzymać. Co się stanie, gdy skoczy? A jeśli rozbije się na tysiące kawałków i już nigdy nie będzie takich rozmów, wróci odmieniona, mówiąca to, co chce się usłyszeć, nudna i byle jaka, a jej rodzice powiedzą z dumą – dorosła?

Padał deszcz i Michał myślał czasem, że to deszcz był winny, bo przecież ktoś musiał, coś musiało. On nie chciał przecież nic złego, a jak czegoś złego mogłaby chcieć ta dziewczynka, którą interesuje zupełnie



inny imperatyw, i gdyby nie ten deszcz, może do niczego by nie doszło. Nie weszłaby przemoczona, nie wystąpiłby jej pod prysznic. Nie dał swoich ubrań, zanim jej się nie wysuszą („Głupi!”, krzyczał w jego głowie głos matki, „Głupi!”). Gdyby tego dnia nie padał deszcz, myślał wiele lat później, wciąż siedziałby w małym pokoiku po profesorze Jasińskim i przyjmował niezbyt rozgarnięte studentki, jego ścieżka byłaby jasna i prosta. Gdyby nie spadł ten deszcz.

I może gdyby dwa tygodnie wcześniej nie przenieśli spotkań do niego do domu. Ze względu na bibliotekę oczywiście. I na coś jeszcze, czego Michał nie mógł sobie przypomnieć. Dojazdy? Marny powód do zniszczenia sobie kariery, choćby nie wiem jak słabo się zapowiadającej.

Poza tym był pewien, że nie zaproponował jej, żeby się rozebrała. I technicznie rzecz biorąc, wcale tego nie zrobiła, bo tylko wzięła gorąco prysznic i jego ręcznik, choć wskazując jej łazienkę miał chyba tylko na myśli suszarkę, którą trzymała w niej ostatnia z kobiet jego życia.

Chyba.

Nie do końca pamiętał, co właściwie miał na myśli ani jak to sformułował („Głupi!”, powtarzał w jego głowie skrzekliwy głos matki i w pierwszej chwili odruchowo pomyślał, że musi chodzić o jego ojca). Pamiętał, że gdy wyszła otulona ręcznikiem (dlaczego właściwie wyszła? Przecież nie musiała wychodzić? Przecież mogła zostać pod prysznicem całą wieczność, rozpuścić się tam i zniknąć, a następnego dnia przyszłaby Lila i wszystko toczyłoby się jak dawniej), marznąca mimo ciepła w mieszkaniu, zaproponował jej – musiał jej zaproponować – jakiś koc, jakieś ubranie, przecież nie wzięła ich sama?

I chociaż nic się nie wydarzyło, żaden dotyk, żadna uwaga, żadne spojrzenie, które nie mogłoby się wydarzyć na uczelni, chociaż odwrócił wzrok i kazał jej się ubrać (kazał? poprosił? jak właściwie było?), choć przecież był tylko nauczycielem (czy rzeczywiście? tak niewiele pamiętał), nikim więcej, coś tego popołudnia błysnęło, spadając na ziemię,

i rozbiło się na tysiące kawałków, a jeden z odłamków szkła, jeden z kryształków lodu wpadł mu do oka, i od tej chwili nie miał już widzieć, miał tylko podejrzewać, że są przed nim rzeczy okrutne i brzydkie, choć żadnej z nich nie mógł dotknąć, o żadnej nie wiedział z pewnością.

Jak zakończył się wieczór? Czy rozmawiali? Rozmawiali z pewnością, myślał potem, zastanawiając się nad tytułem swojej następnej książki, gdy już miały stać się popularne, a kilka osób, które zamiast twarzy mają profil na odpowiednim portalu, powoli zaczynało silić się na złośliwości w jego kierunku, co w tym najpiękniejszym z możliwych krajów jest przecież najlepszym znakiem sukcesu. O czym rozmawiali – nie miał pojęcia. Przyniosła mu jakieś punkty, które przejrzał pobieżnie i do których się nie ustosunkował, bo był przez tę chwilę zajęty zupełnie czymś, kimś innym. Nię. (Głupi! Głupi!) Co było w tych punktach? O czym mieli rozmawiać?

Coś pękło, pomyślał. I przez szparę w ścianie zbudowanej z szacunku sączył się zachwyty i niepewność, i drżenie, i myśli nie do wypowiedzenia. Przez ułamek chwili, przez który nie uważał, nie siedziała przed nim piętnastoletnia dziewczynka, którą przygotowywał do olimpiady. Przez moment siedziała przed nim młoda kobieta w jego koszuli.

Moment, którego przez wiele lat będzie żałował.

## KONSPEKT

Profesor i jego dawna uczennica, których przed laty łączył zakończony skandalem romans, spotykają się po latach. Mężczyzna prosi dziewczynę o wywiązanie się z dawno złożonej obietnicy. Co właściwie wydarzyło się szesnaście lat wcześniej? Kto był drapieżnikiem, a kto ofiarą? Które ze wspomnień są prawdą, a które fikcją?

Historia nawiązuje do baśni „Królowa Śniegu” Hansa Christiana Andersena i wypowiedzi Michaela Cunninghama, że dzieciom trudno byłoby wytłumaczyć, dlaczego bohater baśni może chcieć zachować w swoim oku okrucieństwo lustra. Narracja zbudowana jest z dwóch przeplatających się linii fabularnych („teraz” i „wtedy”), z których powoli wyłania się historia nierównego związku i nieoczywistej miłości.

„Oddechy” są powieścią obyczajową inspirowaną książkami Johna Banville’a („Morze”) i Juliana Barnes’a („Poczucie kresu”) i intensywnością znaną miłośnikom bohaterów Philipa Rotha („Konające zwierzę”). Opowieść adresowana jest do czytelnika, którego nie interesuje jasny podział na dobro i zło, lubiącego książki prowokujące i ambitne oraz niedające prostych odpowiedzi.

Anna Januchta-Barańczyk

## Korzenie

*prolog i fragmenty pierwszego rozdziału książki*

### PROLOG

#### 1.

12 września 2017

„Umrę dzisiaj”.

Była to pierwsza jego myśl po nagłym przebudzeniu, bolesnym, po raz kolejny.

To nic. Przyzwyczał się. Do bólu wyrywającego ze snu i do tych myśli. Odliczanie przecież się rozpoczęło, już trwa, a on każdy poranek wykreśla na czerwono grubym flamastrem. Nie ma, odszedł w niebyt kolejny dzień. Dziewiętnaście tysięcy czterysta pięćdziesiąt siedem dni wykreślonych. Jaka diagnoza, doktorze? Dziewięćdziesiąt dni. Dobrze, dziewięćdziesiąt dni do skreślenia. Osiemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt osiem, osiemdziesiąt siedem... Dwanaście, jedenaście, dziesięć. Czy dziesięć? Może więcej? Może tak naprawdę dwadzieścia? A może już tylko jeden?

„Dzisiaj”.

Wiedział. Ból był inny. Budził i doprowadzał na skraj przytomności. Mdlił i wywoływał torsje, ale nie było już czym wymiotować. Chyba że garścią tabletek połkniętych wczoraj wieczorem po kryjomu, po ciemku, w gabinecie. Nie, pomyślał. Już dawno poszły w krwiobieg. Już przepłynęły przez całe ciało, ruszyły na kolejną – oczywiście przegraną – bitwę. Dzielni wojownicy, skazani na porażkę, ale wyciągający miecze każdego dnia, z takim samym zapalem, mimo że siły wroga stawały się coraz liczniejsze. Mimo że ten, dla którego walczyli, walczyć już nie miał sił.

Poduszka tłumiła jęk bólu, chociaż nie musiała. Był sam w domu, mógł więc krzyczeć, ile sił w płucach. Nie robił tego, miał jeszcze trochę dumy. Cezar przecież, gdy jego zabójcy zadawali mu kolejne z dwudziestu trzech ciosów, przestał w pewnym momencie się bronić i ostatekiem sił zakrył sobie twarz, aby jego oprawcy nie zobaczyli na niej grymasu bólu i strachu w chwili jego śmierci. Umarł, zachowując resztki godności.

Czy jego śmierć będzie godna?

Musiał zemdleć z bólu, jednak kiedy obudził się ponownie, nie czuł nic. Nie poruszał się dłuższą chwilę, nie ufając własnemu ciału, gotowy na kolejną falę. Nie nadeszła. Ale wróci, wiedział to. Dała mu złapać oddech, właśnie dziś.

Gorąca woda prysznicowa rozluźniała napięte mięśnie, jej szum uspokajał. Poczł się tak dobrze, że odważył się wysikać do brodzika. Nie spojrzł jednak na to, co spłynęło z wodą do ujścia. Nie miało to już znaczenia.

Garść tabletek wyciągniętych spomiędzy ubrań, kilka łyków wody. Komórka leżąca na szafce nocnej zawibrowała. Wrócił do sypialni, wycierając ręcznikiem mokre włosy, i spojrzł na wyświetlacz. Odebrał, przesuważąc kciukiem po ekranie.

– Cześć – przywitał się i podszedł do szafy. – Nie – powiedział po chwili. – Będę w biurze o dwunastej. Wypadło mi parę spraw. – Wyciągnął starannie wyprasowaną błękitną koszulę i granatowe spodnie. – Oczywiście. Do zobaczenia.

Ubrał się, zastał swoją część łóżka porządnie, tak jak zrobiła to ona ze swoją trzy godziny wcześniej, kiedy udawał, że śpi, odwrócony do niej plecami.

Jego część, jej część. Nie jedno łóżko, a dwa mniejsze, połączone ze sobą. I szpara między materacami, niewygodna, na której żadne z nich nie chciało spać już od dłuższego czasu. Wyzaczyła granicę. Rozrosła się i zamieniła w przepaść. A oni stali na przeciwległych krawędziach i rzucali w siebie kamieniami.

Szesnaście lat razem, w małżeństwie, które miało swoje wzloty i upadki, raniło i dawało szczęście, a oni – choć tak różni – długo trwali przy sobie i podążali razem w jednym kierunku. A potem przestali, odpuścili, do odpuszczenia przyzwyczajili, aż wreszcie zubożeli. Dziś kończą jak obcy sobie ludzie.

Szesnaście lat kłamstwa, pomyślał. Szesnaście lat teatru. Teraz czas na jego popisową rolę.

## 2.

Gabinet był skąpany w porannym słońcu. Niebo za oknem błękitniało, nocny wiatr odegnał ciężkie deszczowe chmury, które kłębiły się nad głowami przez kilka ostatnich dni. Otworzył na oścież okno za biurkiem. Usłyszał świergot ptaków i pomruk piły tartacznej w oddali, poczuł zapach mokrych liści w ogrodzie. I słaby ból w lewym boku, który parę sekund później zapromieniował paraliżująco w okolicy kości krzyżowej, a potem wzdłuż kręgosłupa. Pochylił się, oparł o parapet i z całej siły

zaciśnął powieki i zęby, starając się wytrzymać atak i nie upaść. Z jego gardła wyrwał się cichy jęk, krople potu spłynęły po czole i skroniach, naprężone wymęczone mięśnie zadrżały. Ból odpuścił tak nagle, jak się pojawił, lekko już tylko pulsując, jednak on długo jeszcze stał, oddychając ciężko i trzęsąc się jak w gorączce, wsłuchując się w szum liści jabłonki za oknem i jedyne, o czym myślał, to jak bardzo sobie na to wszystko zasłużył.

Z komody stojącej pod ścianą tuż przy drugim oknie wyciągnął piętnastoletnią GlenDronach Revival i nalał do szklanki z grubego szkła, do środka wrzucił kilka kostek lodu. Z kieszeni spodni wyjął fiolkę z tabletkami. Ręce mu dygotały, kiedy ją odkorkowywał. Nie licząc, połknął wszystkie proszki i popił alkoholem. Włączył gramofon, podniósł pokrywę i umieścił igłę nad obracającym się winylem. Pierwsze akordy gitary rozwiały ciszę, a kilka sekund później popłynęły słowa śpiewane głębokim barytonem. Usiadł w fotelu i upił kolejny łyk whisky. Drżenie dłoni powoli ustawało, a ciepło rozchodziło się po całym ciele.

Zegar wiszący na ścianie naprzeciwko odliczał sekundy, a on wpatrywał się we wskazówkę krążącą po tarczy. Minuty upływały, ramię gramofonu wracało do początku piosenki i odtwarzało ją na nowo, kolejny raz, kolejny i kolejny.

Ściana chwały i sukcesów, myślał. Obwieszona zdjęciami, obramowanymi wycinkami z gazet, dyplomami i nagrodami. Świadectwo jego dokonań. Zasłonięta, a tak naprawdę pusta – nie znalazło się na niej ani jedno zdjęcie osób, które powinny być najważniejsze w jego życiu.

Otworzył okładkę płyty, którą trzymał na kolanach. Ze środka wysunęły się dwie fotografie. Sięgnął po pierwszą, większą, zrobioną w kolorze, jednak jej barwy były jasne, pastelowe, wysyczone. Dalekie od rzeczywistości, którą pamiętał – trzydzieści lat wcześniej był po drugiej stronie aparatu i patrzył przez obiektyw w zielone roześmiane oczy, które teraz patrzyły na niego. Pamiętał kłujący piasek pod kolanami, kiedy klęczał

przed nią, by uchwycić dobry kadr, słońce, które paliło jego nagie ramiona i plecy, posmak soli na ustach, szum fal. Widział, jak wiatr rozwiewa jej jasne, długie włosy, które co chwilę odgarniała z twarzy. „Słońce raziło mnie w oczy i na nosie pojawiły mi się kolejne piegi”, napisała na odwrocie zdjęcia w dniu, w którym je wywołał. „Ustka, 26 lipca 1988” dopisał on swoim koślawym pismem.

Druga fotografia była mniejsza, czarno-biała, z wytartymi krawędziami, mimo że pochodziła z tego samego okresu. Dwóch młodych chłopaków stało obok siebie, obejmując się przyjaźnie ramionami na tle pola namiotowego i krzątających się ludzi.

Kim się stałem, przyjacielu?, pomyślał, patrząc na nieco niższego, chudego mężczyznę. Co zostawię prócz tego obrzydliwego imperium, które tworzyłem przez lata kosztem wszystkiego, co cenne? Byłbyś zawiedziony, gdybyś mnie teraz widział.

Spojrzał na zegar i wypił łyk whisky. Ból nadchodził ponownie, jakby za nic miał dopiero co połknięte środki przeciwbólowe. Która sekunda będzie ostatnią? Ta? Następna? Kolejna? Jeszcze nie, jeszcze chociaż parę minut. Wyciągnął telefon i otworzył listę kontaktów, wybrał właściwy numer. Jeden sygnał, dwa, trzy. Kiedy włączyła się poczta głosowa, spojrzał na zdjęcie kobiety, kciukiem przesunął po jej twarzy.

– Cześć – zaczął po chwili. – Próbuję się do ciebie dodzwonić od jakiegoś czasu. – Zamilkł na moment. – Rozumiem, że nadal możesz nie chcieć ze mną rozmawiać, ale chciałem wiedzieć... – Odchrząknął. – Chciałem wiedzieć, czy wszystko u ciebie w porządku. – Chwila przerwy. Zacisnął powieki, powstrzymując mdłości. – Postuchaj... – zawahał się, a potem słowa popłynęły. Mówił przez kilka minut, cały czas patrząc na fotografię. Gdy się rozłączył, wsunął zdjęcia do kieszonki na płytę, okładkę odłożył na komodę i wyłączył telefon.



Z szuflady wyjął strzykawkę z lekiem. Igłę wbił w żyłę w zgięciu łokcia, wcisnął tłok. Jednym łykiem dopił alkohol. Ból zniknął natychmiast, ogarnęło go błogie rozluźnienie.

Gdybym mógł zacząć na nowo daleko stąd, pomyślał, nie straciłbym siebie, rozegrałbym to wszystko inaczej i znalazł właściwą drogę.

Oparł głowę o krawędź fotela. Szkło wysunęło mu się z dłoni i potoczyło po dywanie.

Jutro – jego myśl była jak szept w jego głowie. Od jutra zacznę wszystko naprawiać.

## ROZDZIAŁ 1

### 1.

*Dzień wcześniej*

Lotnisko ucichło, przyciemniało, ułożyło się do niespokojnego snu, przerywanego pojedynczymi szeptami, szelestem śpiworów i odgłosem odkurzacza gdzieś w oddali. Na kroki przechadzających się strażników nie zwracało uwagi. Czekąco na tym odludziu na pierwszy lot tego dnia o barbarzyńsko wczesnej porze, w kierunku, którego Helena nie znała, i który zupełnie jej nie obchodził, bo jedyne, o czym myślała, to jak bardzo jest jej zimno i niewygodnie. Koszulkę miała przemokniętą, a cienka kurtka zarzucona na ramiona w ogóle nie utrzymywała ciepła. Tępy ból pulsował jej w okolicach skroni.

Siedziała niedaleko jednego z głównych wejść skulona pod ścianą, tuż pod wielkim żółtym napisem witającym klientów portu. Przez przeszklone ściany budynku patrzyła na krople deszczu rozbijające się

o asfalt. Chciało jej się płakać z bezsilności. Komórka piknęła i poinformowała ją, że baterii zostało dziesięć procent życia.

Kolejny raz wybrała numer i przyłożyła słuchawkę do ucha. Zaspany głos odezwał się dopiero po szóstym sygnale.

– Zabiję cię, jeśli nie jesteś gdzieś za oceanem. – Głos Anieli był stłumiony, jakby usta przyciskała do poduszki. – Jest pierwsza w nocy.

– Jestem na lotnisku – powiedziała Helena. Opatulony śpiworem chłopak leżący obok spojrzał na nią z wyrzutem. Odwróciła głowę.

– W Bangkoku? – jęknęła Aniela.

– Na Stansted – odpowiedziała szeptem. Zamknęła oczy, przykładając zimne opuszki palców do powiek. Na chwilę poczuła ulgę. W słuchawce zapadła cisza.

– Co? – Nel była już całkowicie rozbudzona.

Helena oparła głowę na kolanach.

– Na Stansted – powtórzyła znużona. – Przyleciałam pół godziny temu. Nie działa mi karta do bankomatu, a facet w taksówce nie chciał mnie zawieźć do miasta bez płatności z góry. – Czuła, jak ledwo powstrzymywany płacz zaciska jej gardło. – Nie wierzy, że ktoś zapłaci. Możliwe, że nie najlepiej wyglądam – wyszeptała z trudem.

– Jezu. – Lena usłyszała, jak Nel zrywa się z łóżka. Zaszleściła pościel. – Daj mi maks godzinę, okej? Nie ruszaj się stamtąd. Już po ciebie jadę.

## 2.

– Lena?

Helena podniosła głowę. Aniela, w bejsbolówce zastaniającej byle jak spięte długie włosy, dżinsach, espadrylach i swetrze zarzuconym na koronkową koszulkę nocną, stała przy wejściu na lotnisko zdumiona,

jakby ciągle nie mogła uwierzyć, że osoba, na którą patrzy, to rzeczywiście jej przyjaciółka. Opanowała się szybko, podeszła i kucnęła przed nią. Wyglądała na przestraszoną.

– Co się stało? – zapytała. – Co ty tutaj robisz?

Cześć, Nel. Wyglądasz tragicznie – powiedziała Helena, opierając głowę o ścianę. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Aniela spojrzała na cienie pod jej oczami, rozmazany makijaż, bladą twarz i splątane włosy. Dostrzegła niewielki plecak. Nie odpowiedziała na zaczepkę, patrzyła tylko. Łzy spłynęły Helenie po policzkach. Nel momentalnie przyciągnęła ją do siebie i mocno przytuliła.

– Ty za to jesteś cała w skowronkach – wyszeptała. Helena załkała cicho.

– Trochę się popieprzyło – powiedziała w końcu, z trudem przepychając słowa przez zaciśnięte gardło.

Aniela tylko kiwnęła głową. Podniosła się i wyciągnęła rękę.

– Chodź.

### 3.

Helena straciła poczucie czasu, gdy tylko dotarli do mieszkania Nel w Camden Town i przyłożyła głowę do poduszki w sypialni na antresoli. Zasnęła w ciągu kilku sekund, a kiedy się obudziła, za oknem i w mieszkaniu było ciemno. Sięgnęła po komórkę leżącą na szafce nocnej obok łóżka – ekran był martwy. Włączyła ją, wyświetlacz rozbłysnął na chwilę i pokazał godzinę i datę – kilka minut po północy dwunastego września. Przespała ponad dwadzieścia godzin.

Powiadomienia o nieodebranych połączeniach z jednego, znajomego numeru zaczęły przychodzić jedno po drugim. W sumie było ich osiem. I pięć esemesów. Komórka piknęła i wyłączyła się po raz kolejny.

Pieprz się.

Wstała z łóżka i zeszła do salonu, gdzie na rozłożonej sofie zwinięta w kłębek pod kocem spała Nel. Światło ulicznych lamp wpadało przez wysokie okna, nieco rozświetlając mrok panujący w niewielkim pomieszczeniu. Pod antresolę, z której dopiero co zeszła, wciśnięto małą kuchnię, obok niej, za zamkniętymi drzwiami, musiała znajdować się łazienka. I to było tyle – nie było czego więcej zwiedzać.

Helena przystanąła przy regale zajmującym większą część ściany przy schodach i rozejrzała się wokół siebie. W przytulnym mieszkaniu przy Arlington Road, do którego siedem miesięcy wcześniej wprowadziły się dwie osoby, a od sześciu mieszkała już tylko jedna, była po raz pierwszy. Większa część półek regału, kiedyś zapewne wypełnionych licznymi książkami Maxa, chłopaka Nel, który po czterech latach związku i miesiącu wspólnego mieszkania odszedł, na odchodnym rzucając jedynie *„Babe, I'm just not ready for this”*<sup>\*\*</sup>, teraz ziała pustką, której Nel nie potrafiła wypełnić. Nie chcąc myśleć o przyszłości, której obraz rozviał się z chwilą, kiedy za Maxem zamknęły się drzwi mieszkania, zaczęła otaczać się wspomnieniami w ramkach, niestety w większości należącymi tylko do niej.

Jedno ze wspomnień było jednak wspólne, a Lena uśmiechnęła się, kiedy sięgnęła po fotografię, którą ona, Nel i Ela – siostry z wyboru od czasów liceum – zrobiły sobie pięć lat wcześniej, tamtego lata we Wrocławiu – ostatniego, zaraz po studiach, zanim Nel wyjechała do Londynu, Ela na praktyki do Krakowa, a Lena po raz kolejny przed siebie, bez celu.

<sup>\*\*</sup> (ang.) Kochanie, po prostu nie jestem na to gotowy.

Helena z uśmiechem przesunęła palcem po pierwszym wersie piosenki Kaleo *All the pretty girls like Samuel*<sup>\*\*\*</sup>, który Nel umieściła nad dolną krawędzią ramki po koncercie, na którym były razem dwa lata temu, i odłożyła fotografię na półkę. Chłopak, którego wtedy zaczepiły w parku, prosząc, aby zrobił im zdjęcie, był turystą z Irlandii i miał na imię Samuel.

Przeszła przez salon jak najciszej, aby nie budzić Nel, i zamknęła się w łazience. Do lustra, na wysokości jej oczu, przyczepiony był liścik:

W lodówce jest curry z kurczakiem. Lub pełno innych dobrych rzeczy, jeśli jesteś głodna.

A.

Nie była głodna, a ostatni posiłek, który zjadła w poniedziałek, w drodze z pracy do domu (kanapka z pulled porkiem, chilli, piklami i sosem), tego samego dnia późnym popołudniem obrazowo rozbryzgał się na ścianach muszli w damskiej toalecie na Modlinie.

Odkleiła karteczkę i spojrzała na swoje odbicie. Nic dziwnego, że tak-sówkarz nawet nie chciał wpuścić jej do samochodu. Sięgnęła do kureka, ale nie odkręciła wody. Spojrzała sobie w oczy. Czy jeśli nie zmyje z siebie pozostałości poniedziałku, to będzie znaczyło, że ten dzień się jeszcze nie skończył, a ona będzie mogła mieć nad nim kontrolę? Czy będzie trwał tak długo, aż rozplącze poplątane i naprawi, co runęło? Helena z lustra nie odpowiedziała.

Zgasiła światło, wróciła do łóżka i zagrzebała się pod pościelą. „Tchórz”, usłyszała cichy głos, gdzieś z tyłu głowy. Zakryła twarz poduszką. Nie miała już nawet siły płakać. Zasnęła po paru minutach.

<sup>\*\*\*</sup> (ang.) Wszystkie ładne dziewczyny lubią Samuela.

#### 4.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, Aniela leżała obok i przyglądała jej się z uśmiechem. Helena czuła opuchnięte powieki, bolała ją głowa. Spała zdecydowanie za długo.

– Która godzina? – wychrypiąta przyjaciółce prosto w twarz. Nel zmarszczyła nos.

– Za piętnaście ósma – odpowiedziała. – Za chwilę muszę iść do pracy. Na stoliku zostawiłam ci klucze do mieszkania i trochę pieniędzy, gdybyś czegoś potrzebowała. – Podniosła się z łóżka i podeszła do szafy. – Plan na dzisiaj jest taki: wstaniesz, weźmiesz prysznic, bo strasznie śmierdzisz, zjesz coś i ogólnie ogarniesz się na tyle, że kiedy tu wrócę wieczorem, będziesz w stanie w końcu powiedzieć mi, co się stało. – Ściągnęła z wieszaków kilka ubrań i rzuciła je na łóżko. – Wybierz sobie coś z tego. Stawiam, że raczej nie będziesz chciała wyjść na ulicę w dresach i swetrze, które przywiozłaś tu ze sobą razem z ośmioma parami majtek.

Kiedy drzwi zamknęły się za Nel, Helena przetoczyła się na plecy i długo wpatrywała się w sufit. Plan był racjonalny. Wstać, wykąpać się, ubrać, zjeść. Mogła ograniczyć się do tych czterech słów-celów, powtarzać je jak mantrę, skupić na tym, co powinna zrobić, by je osiągnąć, i nie myśleć o niczym więcej. To przecież proste. Wstać, wykąpać się, ubrać, zjeść.

Oszukiwała się i zdawała sobie z tego sprawę. Także z tego, że jakiegokolwiek zaklęcie rzeczywistości być może opóźni konieczność zmierzania się z konsekwencjami, ale na pewno jej nie usunie. Konsekwencje czekały na nią cierpliwie i z pobłażliwym uśmiechem obserwowały każdy jej krok i próbę ucieczki. Były jak plotkary w parku na ławce, obok których musiała przejść, i z każdym kolejnym krokiem, który zbliżał ją do nich, wiedziała, że obgadują właśnie ją. A gdy docierała do

ławki i przechodziła obok, mierzyły ją od stóp do głów i mrugały do siebie porozumiewawczo, właścicielki wielkiej skandalicznej tajemnicy o niej samej.

Z trudem podniosła się z łóżka i opuściła nogi na ziemię. Łokcie oparła na kolanach, ukryła twarz w dłoniach. Tylko na chwilę. A potem wstała, zeszła do salonu i zrobiła, co trzeba. Pod gorącym prysznicem zmyła z siebie resztki poniedziałku, wyplukowała warszawskie spaliny pomiędzy włosów, wytarła rozmazany tusz. Założyła dzinsy Anieli i swój sweter. Włączyła laptopa przyjaciółki, wyszukała w Google miejsce, do którego chciała trafić i chwilę studiowała mapę, starając się zapamiętać drogę. Ze stołu zabrała klucze i pieniądze.

Kiedy wyszła na spokojną Arlington Road, zbierało się na burzę. Ciemne chmury kotłowały się na niebie, w oddali błysnęło i chwilę później usłyszała niski pomruk grzmotu. Ruszyła przed siebie szybkim krokiem, dotarła do końca ulicy i skręciła w lewo w Delancey Street, a potem kawałek dalej w szeroką, bardziej ruchliwą Camden High Street. Minęła sklep sportowy, bank i supermarket. Niewielka apteka była wciśnięta między warzywniak i agencję nieruchomości. Kiedy weszła do środka, gdzieś w głębi rozdzwonił się dzwoneczek, a po chwili za ladą pojawiła się starsza kobieta w białym fartuchu farmaceutki.

– Dzień dobry, czym mogę służyć? – zapytała, uśmiechając się przyjaźnie do Heleny.

– Dzień dobry – odpowiedziała po angielsku. – Potrzebuję dwa testy ciążowe. – Głos jej zadrżał. – Albo trzy. Najlepiej różnych firm.

Gdy kilkanaście minut później siedziała na podłodze w łazience Nel, oparta o szafkę pod zlewem, czekając na prawdę, którą miały jej objawić trzy kawałki plastiku, myślała o matce i o samolubnie i heroicznie podjętej przez nią decyzji o wychowaniu jej samotnie. O motywach i wątpliwościach, łzach wsiąkniętych w poduszkę, kiedy tej decyzji żałowała, i dumie, którą musiała czuć, gdy myślała, jak dobrze sobie ze

wszystkim poradziła i że nic lepszego jej w życiu spotkać nie mogło. Myślała o sobie – przypadkowym dziecku z niewłaściwego miejsca i niewłaściwego czasu, dysponującym mocą definiowania życia i przebudowywania go w jednej chwili, bez pytania o zdanie i zgodę, które pewnego dnia po prostu przyszło i powiedziało: a teraz się mną zajmij. A matka to zrobiła na swoich zasadach.

Spojrzała na testy, z których każdy wskazywał tę samą odpowiedź. Schowała twarz w dłoniach.

Dotarło do niej, jak bardzo nie chciała tego dziecka.

## 5.

Siedziała w otwartym oknie na szerokim parapecie i paliła papierosa, gdy Aniela pojawiła się w mieszkaniu przed dziewiętnastą i zobaczyła puste opakowania na stole.

– Nie jestem w ciąży – powiedziała, kiedy Nel wzięła jedno pudełko do ręki i spojrzała na nią pytająco. – Nie podtrzymam rodzinnej tradycji.

Zaciągnęła się papierosem i sięgnęła po kieliszek z czerwonym winem. Aniela powiesiła kurtkę i torebkę na oparciu krzesła i usiadła naprzeciwko Heleny.

– Twoja sytuacja wygląda trochę inaczej niż sytuacja twojej matki dwadzieścia osiem lat temu – powiedziała Nel. – Raczej nie stąpałabyś po jej śladach.

Lena zgasiła papierosa. Zupełnie jej nie smakował po tak długim czasie niepalenia.

– A jak według ciebie wygląda moja sytuacja? – zapytała, wpatrując się w przebijające się przez chmury zachodzące słońce. Jego złote promienie odbijały się w ciągle mokrej od ulewnego deszczu ulicy.



– Na stosunkowo ustabilizowaną – odpowiedziała Aniela, wzruszając ramionami. – Masz fajnego faceta, dobrą pracę, ładne mieszkanie w Warszawie. – Uważnie przyjrzała się Helenie. – A przynajmniej tak było, zanim stamtąd nie uciekłaś i przyjechałaś tutaj – dodała. Lena nie odpowiedziała, nadal wpatrując się w widok za oknem. – Nigdy nie uwierzę, że jesteś tutaj, ponieważ przestraszyłaś się, że możesz być w niezaplanowanej ciąży.

Nel przyniosła drugi kieliszek i rozlała wino do obu.

– Powiesz mi więc w końcu, co się wydarzyło, że postanowiłaś zwać? – zapytała. – To trochę do ciebie niepodobne.

Miała rację. Helena nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zareagowała w ten sposób – podwinęła ogon i schowała się w mysiej norze jak ostatni tchórz. Chyba po śmierci matki, ale wtedy miała szesnaście lat i ucieczka z domu, od bliskich, którzy nie umieli znaleźć żadnych słów zdolnych ją pocieszyć, była dla niej sposobem ratunku, aby nie oszaleć. To wtedy, w nocy, bez pieniędzy, jedzenia i telefonu przejechała autostopem pół Polski po to, żeby o świcie pojawić się pod warsztatem ojca, u którego została cały dzień, aż do momentu, kiedy wieczorem przyjechał po nią Adam. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie spędziła razem z ojcem tyle czasu.

Naciągnęła rękawy swetra na dłonie i objęła kolana ramionami.

– W poniedziałek rano zaspaliśmy – zaczęła cicho. – Pół nocy wymiotowałam. Byłam potem tak zmęczona, że zasnęłam i nie usłyszałam budzika. – Oparła głowę o framugę okna, milczała chwilę. – Miałam ważne spotkanie z klientem zaplanowane na dziewiątą, Agnieszki miało nie być, wypadło jej coś pilnego. Tak przynajmniej napisała z samego rana. – Parsknęła ironicznie. – Biegałam więc po mieszkaniu jak opętana, żeby tylko zdążyć. To był mój klient, ja go pozyskałam i finalizowałam umowę długoterminowej współpracy, która miała przynieść masę forsy firmie. – Sięgnęła po kieliszek z winem i upiła łyk. – Jego

podpis na umowie miał oznaczać podpis Agnieszki na umowie czyniącej mnie współnikiem.

– Łał. – Brwi Nel powędrowały wysoko w górę. – Pogratulowałabym ci... ale coś czuję, że nic z tego nie wyszło.

Helena przeczesła palcami długie włosy.

– Przeciwnie – powiedziała. – Wynegocjowałam świetne warunki, jeszcze podczas spotkania poprawiliśmy w projekcie wszystko, co trzeba, a o dziesiątej miałam w teczce dwa egzemplarze umowy z jego podpisami i zaproszenie na wieczór dla mnie i Marcina na kolację z nim i jego żoną w L'Enfant Terrible. – Przechyliła kieliszek i jednym łykiem dopiła wino. – A w szafie wisiąca moja nowa sukienka na taką właśnie okazję.

Aniela wlała jej kolejną porcję.

– Czerwona i dopasowana? – zapytała z uśmiechem.

– Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo – mruknęła Helena. – Rzecz w tym, że chciałam pochwalić się przed Agnieszką swoim sukcesem, nie czekając na jej powrót do biura. Zdecydowałam się zrezygnować z triumfalnego rzucenia umowy na biurko i zobaczenia jej reakcji na własne oczy, tylko po to, żeby móc przekazać dobre wieści jak najszybciej. Postanowiłam do niej zadzwonić. Tyle że, jak się okazało, w tym porannym pośpiechu zapomniałam zabrać służbową komórkę z domu. Marcin nie odbierał, więc pół godziny później stałam przed drzwiami mieszkania i wsadzałam klucz do zamka. – Zamilkła na moment. – Tak się złożyło, że w tym samym czasie Marcin wsadzał jej od tyłu w salonie na sofie, którą kupiliśmy tydzień wcześniej, a ona była tym faktem zachwycona. Agnieszka, nie sofa.

Aniela zakryła dłonią usta i wpatrywała się w Helenę zdumiona.

– On i Agnieszka? – zapytała z niedowierzaniem.

Helena kiwnęła głową.

– Tak. – Zaśmiała się cicho, z rezygnacją. – Sama ich sobie przedstawiłam na jednej z naszych imprez firmowych. Rok temu. – Spojrzała na Nel znacząco. – Może nawet pieprzy ją od tamtego czasu. Kto to wie. Ja nie, jak widać.

– Co za kutas – warknęła Nel, wstała z parapetu i zaczęła krążyć po salonie z kieliszkiem w dłoni. Helena patrzyła na nią kątem oka i miała ochotę się uśmiechnąć. Kochana Nel.

– Wiedział o twoich podejrzeniach dotyczących ciąży? – zapytała Aniela, zatrzymując się gwałtownie.

Helena milczała dłuższą chwilę.

– Nie – powiedziała w końcu. – Tak naprawdę ja sama nie miałam żadnych podejrzeń, a przynajmniej nie chciałam ich mieć, aż do tamtej chwili, kiedy zobaczyłam ich razem. – Spojrzała na kieliszek, który obracała w dłoniach. – Ta myśl po prostu pojawiła się wtedy w mojej głowie, znikąd, jako pierwsza. Nagle zdałam sobie sprawę, że przecież spóźnia mi się okres, a poranne wymioty to niekoniecznie zatrucie. – Uniósła kieliszek i upiła łyk wina. – On wpadł w panikę, zaczął biec za mną, w pośpiechu naciągając gacie. Nawet krzyczał, że to nie tak, jak myślę. – Zaśmiała się cicho. – W sumie żałuję, że nie pozwoliłam mu wyjaśnić, co przez to rozumie. To mogłoby być nawet zabawne.

– I co zrobiłaś potem?

– Wróciłam do firmy. Umowę wrzuciłam do niszczarki i zadzwoniłam do Bojarskiego, informując go, że oferta jest nieaktualna, że znaleźliśmy kogoś bardziej odpowiedniego i że ogólnie może się odwalić. – Helena potarła dłonią czoło. Nie przeszło jej przez gardło to, co Bojarski wykrzyczał jej przez telefon chwilę później na temat marnowania jego czasu i pieniędzy oraz tego, jak bardzo go popamiętają. – A potem skontaktowałam się z konkurencją, porozmawiałam z ich prezesem, który jest dobrym kumplem Marcina, i poradziłam, żeby kuli żelazo z Bojarskim, póki gorące.

Aniela nie była w stanie wykrztusić ani jednego słowa. Gapiała się tylko na Helenę z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Napisałam Marcinowi esemesa, że chcę się z nim spotkać w knajpie koło mojej pracy – powiedziała Lena. – Kiedy zobaczyłam, jak wychodzi z naszej klatki, poszłam do mieszkania, spakowałam plecak i pojechałam na lotnisko. Agnieszka musiała dowiedzieć się, co wydarzyło się z Bojarskim, bo dostałam od niej wiadomość, w której poinformowała mnie, że nie mam po co wracać do pracy i że spotkamy się w sądzie za naruszenie tajemnicy przedsiębiorstwa i, cytuję, dopuszczenie się czynu nieuczciwej konkurencji.

Nel milczała, a Lena zapatrzyła się na ostatnie promienie słońca chowającego się za dachami kamienic po drugiej stronie ulicy.

– Tak więc, jak widzisz, mojej sytuacji daleko jest na chwilę obecną do stabilizacji – powiedziała cicho. – Nie mam ani faceta, ani mieszkania, ani pracy. Za to najwyraźniej mam prokuratora na karku. A perspektywa posiadania dziecka z człowiekiem, który okazał się oszustem... – Głos jej uwięził w gardle. – Świadomość tego, że niewiele brakowało, a powtórzyłabym błędy moich rodziców, jest nie do zniesienia.

[...]

## 6.

W sobotę późnym popołudniem Nel wróciła do domu ze złością, która wyglądała jej z oczu i rozdrażnieniem wichrzącym jej związane w koński ogon włosy. Prosta zazwyczaj grzywka zakrywająca całe czoło była rozburzona, zagarnięta na jedną stronę, jakby przeszkadzała, a Nel

ciągle z nią walczyła. Jakby dłonie, które tego dnia często dźwigały ciężką od złych myśli głowę, chciały kontaktu jedynie ze skórą.

Trzasnęła drzwiami mieszkania i rzuciła na stół swoje rzeczy. Helena oderwała wzrok od książki i spojrzała na przyjaciółkę.

– Zły dzień? – zapytała. Nel stała przy stole i jedną ręką opierała się o blat, drugą o biodro.

– Mój szef to idiota – powiedziała tylko. – Ale nie ma o czym mówić. Standardowy dzień w radiu. – Ściągnęła kurtkę i ze złością rzuciła ją na kanapę. – A ty zrobiłabyś coś ze swoją komórką.

Helena zamknęła książkę.

– To znaczy?

– Na przykład naładowała ją? – Aniela otworzyła lodówkę i zaczęła wyciągać produkty na kolację. Włączyła opiekacz do tostów. – Nie można się do ciebie dodzwonić. Adam próbuje od wczoraj. Coś się stało.

Helena podniosła się z kanapy, nagle zaniepokojona.

– Skontaktował się z Elką – kontynuowała Nel, opłukując warzywa – a ona ze mną, bo też nie wiedziała, co się z tobą dzieje.

– Rozmawiałaś z nim?

– Tak, chwilę, zanim wyszłam z pracy. Prosił, żebyś do niego zadzwoniła najszybciej jak to możliwe.

Helena poszła do sypialni po telefon, który rozładowany od kilku dni leżał na szafce nocnej.

– Masz kabel? – zapytała, już z powrotem w salonie, rozglądając się dookoła.

– Na parapecie.

Gdy podłączyła ładowarkę, a ekran rozbłysnął, poczuła, jakby wracała do świata żywych. Powiadomienia jedno po drugim zaczęły napływać, a telefon nadejście każdego z nich sygnalizował wesołym piknięciem, szczęśliwy, że w końcu udało mu się dostarczyć wiadomości

i mógł teraz w spokoju śłać swój sygnał wokół z informacją: „hej, znów jestem w sieci!”.

Marcin dzwonił i pisał tylko do środy, jego esemesy wykasowała bez czytania. Pojawiły się pojedyncze wiadomości od ich wspólnych znajomych, które na razie zignorowała, nieodebrane połączenia od Eli, Adama i z numeru, którego nie rozpoznawała. Przyglądała mu się chwilę ze zmarszczonymi brwiami – dzwonił sześć razy od czwartku.

Napisała szybką wiadomość do Eli, że wszystko u niej w porządku. Przyjaciółka odpisała po paru sekundach: „Kłamiesz, małpo. Nel mówiła, co się stało. Zadzwoń, jak nabierzesz odwagi”. Lena uśmiechnęła się pod nosem na tę zawołowaną groźbę.

Wybrała numer Adama. Po ósmym sygnale włączyła się poczta głosowa.

– Adam wspominał, że będzie miał jakąś operację? – zapytała Anieli, która kroїła warzywa na sałatkę. Nel pokręciła głową. Lena wybrała numer ojczyma ponownie, ale bez skutku. Serce zaczęło bić jej mocniej, a niepokojące myśli, przywołujące złe obrazy, zaczęły pojawiać się w jej głowie. Pomyślała o babce, Młodym i o tym, jak dawno do nich nie dzwoniła. Gardło ścisnęło jej się ze strachu. – Nie odbiera – powiedziała, wybierając numer po raz kolejny.

Aniela spojrzała na nią.

– Przestań się denerwować. Brzmiał poważnie, ale głos miał spokojny. To na pewno nic złego.

Helena kiwnęła głową, ale niepokój jej nie opuszczał. I wtedy jej komórka piknęła po raz kolejny, a na ekranie pojawił się zbłąkany esemes z dziewiętej rano od nieznanego numeru, który dzwonił do niej wcześniej. „Szanowna Pani, bardzo proszę o kontakt. Jestem notariuszem Pani ojca. Sprawa pilna. Pozdrawiam, Piotr Czarniewski” – przeczytała.

Niewiele się zastanawiając, kliknęła „oddzwoń”.

## 7.

„Czarniewski. Słucham”, usłyszała głęboki, lekko chropowaty męski głos w słuchawce po czterech dłużących się w nieskończoność sygnałach. Głos był wyraźny, jednak w tle rozbrzmiewały rozmowy i śmiechy. Oczami wyobraźni zobaczyła siedzącego z rodziną przy stole starszego, siwiejącego mężczyznę, który odwrócił się bokiem i odchylił lekko na krześle, jakby chciał znaleźć się poza zasięgiem karcącego wzroku żony, która nie tolerowała załatwiania spraw służbowych w weekend.

– Dzień dobry – powiedziała Lena (głos się jej lekko trząsnął) po chwili ciszy, na tyle krótkiej, że jej rozmówca nie zdążył odezwać się ponownie z ponagląjącym „halo?”. – Przepraszam, że dzwonię o tej porze w sobotę – spojrzała na zegarek, w Polsce była prawie osiemnasta – ale próbował się pan ze mną kilkukrotnie skontaktować. – Głosy w tle cichły, słyszała jego kroki. – Oddzwaniem więc. Nazywam się Helena Walkiewicz – dodała szybko, zdając sobie sprawę, że nie przedstawiła się na początku rozmowy. Nel spojrzała na nią znad pochłanianego właśnie tost, zmarszczyła brwi.

– Ach, tak. Tak, tak – odezwał się mężczyzna, a w jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga. Usłyszała szcęk zamykanych drzwi. – Bardzo dziękuję, że pani oddzwania. Nazywam się Piotr Czarniewski, prowadzę kancelarię notarialną we Wrocławiu. Zajmuję się sprawą pani ojca.

Słyszała jego słowa, ale ich nie rozumiała. Nie miała pojęcia, po co Adamowi notariusz, który mógłby cokolwiek od niej chcieć.

– Przyznam szczerze, że nie bardzo wiem, o co chodzi... – zaczęła.

– O testament – odpowiedział, a gdy zaległa cisza, dodał szybko: – Rozumiem, że została pani poinformowana o wszystkim. – Zawiesił głos, a zdanie, które miało być stwierdzeniem, zamieniło się w pytanie.

Helena poczuła zimny dreszcz przebiegający jej po plecach. Zupełnie jakby okno, do którego stała tyłem, otworzyło się i zimny strumień po-



wietrza niczym wąż wpełzł pod jej koszulkę i zaczął piąć się w górę jej kręgosłupa.

– O czym wszystkim? – zapytała z trudem.

Czarniewski wyraźnie się zawahał.

– O śmierci pani ojca – odpowiedział w końcu.

Cztery słowa. Cztery zwykłe słowa, które ułożone w odpowiedniej kolejności zyskały moc niszczenia. Czuła, jak siła kłębiąca się pod jej skórą odpuszcza, odpływa, jakby poddawała się grawitacji i przez stopy wsiąkała w podłogę. Zamiast tego szum w uszach i słabość mięśni. Miała wrażenie, że z największym trudem utrzymuje telefon przy uchu. Nagła fala mdłości ścisnęła jej żołądek. Przycisnęła dłoń do ust i opadła na sofę.

Nel zamarła, wpatrując się w nią ze strachem. Podeszła szybko i kucnęła przed nią.

– O co chodzi? – wyszeptała.

– Pani Heleno? – usłyszała w słuchawce głos Czarniewskiego. Myśli pomknęły w jednym kierunku. Adam nie żyje, kołatało jej w głowie. Adam nie żyje, Adam nie żyje.

Spojrzała na Nel i właściwa myśl wskoczyła na właściwe miejsce. Adam nie żyje?

– Przepraszam... – zaczęła, przyciskając dłoń do czoła, starając się powstrzymać zawroty głowy. Usłyszała ciche piknięcie. Esemes. Ktoś próbował się do niej dodzwonić. – Ale to jakaś pomyłka. Przecież Nel rozmawiała z nim dwie godziny temu...

Czarniewski, chyba nie do końca pojmując, o czym Lena mówi, a tym bardziej kim jest wspomniana przez nią Nel, powiedział tylko, jakby miało to pomóc jej w zrozumieniu i pogodzeniu się z sytuacją: – Pani ojciec chorował na raka prostaty. Zmarł cztery dni temu. Wczoraj na Cmentarzu Grabiszyńskim odbył się pogrzeb.



Helena poczuła irracjonalną złość. O czym ten człowiek mówił? Jaki rak prostaty, jaki Cmentarz Grabiszyński? Przecież Adam dzwonił do niej dzisiaj rano!

– Przepraszam, ale pan się myli – powiedziała z naciskiem, nie przejmując się, że w jej głosie rozbrzmiewa rozdrażnienie. – Adam kontaktował się dzisiaj ze mną, rozmawiał z moją przyjaciółką...

– Pani Heleno – przerwał jej Czarniewski, a w jego głosie zabrzmiało zrozumienie. – Nie mówię o pani ojczymie, Adamie Orłowskim, tylko o pani biologicznym ojcu, Stanisławie Ciszewskim.

Pustka. W głowie i sercu. Nie czuła nic.

A potem pierwsza, surrealistyczna myśl, przedzierająca się przez otępiąły mózg: została sierotą.

[...]

*[Brakujący fragment rozdziału: Czarniewski informuje Helenę, że została uwzględniona w testamencie Stanisława Ciszewskiego i zaprasza ją na odczytanie dokumentu, które ma odbyć się we Wrocławiu w poniedziałek, 18 września. Czarniewski prosi Helenę, aby wcześniej spotkała się z nim osobiście, by mógł przedstawić jej zaistniałą sytuację – m.in. okoliczności śmierci jej ojca. Helena, której trudno uwierzyć w to, co usłyszała, postanawia wrócić do Wrocławia następnego dnia, w niedzielę, i od razu porozmawiać z Czarniewskim. Po spotkaniu bohaterka jedzie na cmentarz, na którym pochowano jej ojca, jednak nie ma odwagi odwiedzić grobu – stoi jedynie przed bramą. Wtedy po raz pierwszy zwraca się w myślach do zmarłego (co znajdzie kontynuację w dalszej części książki). Z monologu bohaterki dowiemy się, jakie informacje przekazał jej Czarniewski (samo spotkanie nie będzie opisane). Podczas tej swoistej rozmowy z ojcem, który w jej wyobraźni stoi po drugiej stronie bramy cmentarza i słucha jej w milczeniu, Helena stwierdza, że nie jest gotowa na definitywne pożegnanie, ponieważ oboje nigdy nie przepracowali łączącej ich relacji. Ten moment w życiu bohaterki jest początkiem drogi, którą*

*przebędzie, by poznać historię ojca, jego związku z jej matką, odnaleźć własne korzenie i miejsce na świecie.*

Na cmentarzu Helena zwraca uwagę na mężczyznę, który przechodzi obok niej, idąc w stronę swojego samochodu.

W kolejnym podrozdziale poznamy sytuację (reakcja na śmierć Ciszewskiego, wizyta na cmentarzu) z punktu widzenia owego mężczyzny – Tomka Wanata. W dalszej części książki wprowadzi on sporo zamieszania w życie Heleny (Tomek był przyjacielem jej ojca. Ciszewski traktował go jak syna, wprowadził do branży i wszystkiego nauczył, a Tomek wbił mu przysłowiowy nóż w plecy: zdradził go, wykorzystał i przeszedł do firmy konkurencyjnej, którą przejął i uczynił jedną z najlepszych w Polsce, a tym samym stał się największym rywalem Ciszewskiego na rynku). Te szczegóły historii bohatera będą ujawniane stopniowo, w miarę rozwoju dalszej fabuły.]

## 12.

18 września 2017

Była za dziesięć dwunasta, kiedy Piotr Czarniewski usiadł za swoim ręcznie rzeźbionym biurkiem z mahoniowego drzewa i na blacie tuż przed sobą położył białą, zaklejoną kopertę. W gabinecie panowała cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara, pamiętającego dom jego świętej pamięci babki, i – od czasu do czasu – stłumionymi rozmowami i dźwiękiem telefonu, dochodzącymi z sąsiednich pomieszczeń. Rozsiadł się wygodnie, twarzą do okna, założył nogę na nogę i czekał.

Plac Solny tętnił życiem. Po wczorajszej ulewie nie było już śladu. Ciepłe wrześniowe słońce przyciągnęło tłumy turystów, wysuszyło brukowaną kostkę, rozświetliło kolorowe fasady kamienic i różnobarwne kwiaty wystawione przed najbardziej znanymi kwaciarniami miasta.

Jego promienie odbijały się od złotych zdobień zegara na gotyckiej wieży ratuszowej, na którą Czarniewski spoglądał ze swojego miejsca.

Rynek wrocławski błyszczał pod błękitnym niebem. „Czy to się godzi, Stasiu, w takiej chwili jak ta?“, pomyślał Czarniewski. „Wczorajszy deszcz bardziej by pasował do sytuacji“.

Tykanie zegara było uspokajające. W jakiś dziwny, niezrozumiały dla Czarniewskiego sposób czyniło ten moment oczekiwania bardziej znośnym. Nawet atrakcyjnym. Sekunda za sekundą, sekunda za sekundą. Jeszcze chwila i będzie mógł rozpocząć ostatni akt tej farsy. Jego usta wykrzywił ponury uśmiech.

„Tak mówiłeś“, pomyślał, spoglądając na zapieczętowaną kopertę. „Twoje życie było dla ciebie farsą. A rola, którą w niej odegrałeś, popisową rolą życia“.

Potał ręką czoło, ściągnął okulary i odłożył je na biurko, obok koperty. „Jeśli chcesz znać moją opinię, przyjacielu“ – dokończył myśl – „to według mnie twoje życie nie było farsą. Raczej czarną komedią. Farsa dopiero się rozpocznie“.

## 13.

Jako pierwszy na scenę wkroczył Antoni Dąbroś. Była za pięć dwunasta.

„Wkroczył“ to niezbyt dobre określenie, poprawił się w myślach Czarniewski. Wkroczyć można dumnie, pewnie. Antoni, wspólnik Stanisława Ciszewskiego od prawie dwudziestu lat, ledwo powłóczył nogami. Szedł przygarbiony i zasepiony, a ciemnogrnatowy, nieco wygnieciony garnitur wisiał na nim smętnie. Czarniewski miał wrażenie, że mężczyzna przez kilka ostatnich dni postarzał się o parę lat i schudł kilka kilo.

Antoni spojrzał Czarniewskiemu w oczy, dopiero gdy prawnik wyciągnął ku niemu rękę na powitanie. Kontakt wzrokowy musiał dodać Dąbrosiowi sił. Uścisk miał mocny, pewny. Kiwnął głową.

– Rozgość się – powiedział Czarniewski i wskazał na jedno z czterech krzesel stojących przed jego biurkiem. Antoni wybrał miejsce przy oknie, najdalej po prawej.

Asystentka, która wprowadziła gościa do gabinetu, stanęła w drzwiach i zapytała, czy się czegoś napije. Poprosił o wodę.

## 14.

Nie minęła nawet minuta, kiedy pojawili się kolejni aktorzy.

Izabela miała prawdziwe *entrée*. Weszła pewnie, zdecydowanie, przy akompaniamencie stukotu wysokich obcasów. Od razu zażądała kawy. Najlepiej espresso. Na sobie miała czarną elegancką jedwabną bluzkę, dopasowaną ołówkową spódnicę za kolano i lakierowane szpilki. Ciemne włosy spięta w ciasny kok, czerwona szminka podkreślała jej wąskie usta, szkarłatny lakier błyszczał na długich paznokciach.

Wyglądała młodziej, niż wskazywał na to jej dowód osobisty. I zdecydowanie nie wyglądała na pogrążoną w rozpacz wdowę.

Janek był jej całkowitym przeciwieństwem. Szedł za matką niczym cień, milczący, ze spuszczoną głową. Dłonie miał wciśnięte głęboko w kieszenie dżinsów, ramiona nieco uniesione. Za długa grzywka opadała mu na oczy. Wybąkał ciche „dzień dobry”, wzrok miał wbity w podłogę.

– Ty tutaj, Antoś? – zapytała Izabela, kiedy tylko przekroczyła próg gabinetu. Ironia w jej głosie była wyczuwalna.

Antoni podniósł się z miejsca, skinął jej głową i spojrzał na Janka. Wyciągnął ku niemu rękę, a kiedy chłopak podał mu swoją dłoń, Dą-

broś uścisnął ją mocno. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś chłopcu powiedzieć, ale ostatecznie się rozmyślił. Stał, póki Izabela i Janek nie zajęli swoich miejsc.

Krzesełko między Antonim i Izabelą pozostawało wolne. Izabela założyła nogę na nogę, dłonie splotła na kolanie i spojrzała na Czarniewskiego, który po powitaniu z powrotem usiadł za swoim biurkiem.

Miała dziwny uśmiech. Triumfalny. Nosek jej prawego buta kiwał się w górę i w dół.

Czarniewski miał ochotę się zaśmiać.

## 15.

– Miejmy już te formalności za sobą – rzuciła Izabela po chwili i wywróciła oczami. – Mój czas jest cenny, Piotr. Na co jeszcze czekamy?

Zadała to pytanie w momencie, kiedy drzwi do gabinetu otworzyły się i ponownie stanęła w nich asystentka Czarniewskiego, gestem zapraszając kolejną osobę do środka. Mężczyzna rzucił okiem na zegar – punkt dwunasta. Podniósł się ze swojego miejsca.

Stukot obcasów gościa był delikatniejszy, bardziej łagodny, jakby niepewny. Izabela zmarszczyła brwi i odwróciła głowę w stronę drzwi.

Ostatnia aktorka sztuki wyglądała inaczej niż dzień wcześniej. Czarniewski przyglądał się jej uważnie, kiedy szedł w jej stronę. Wczoraj przyjechała tu prosto z lotniska – trochę zdezorientowana, roztrzęsiona, zmęczona. Dziś nie miała na sobie powycieranych dżinsów, converse'ów i bluzy z kapturem, tylko trapezową sukienkę z długimi rękawami i czółenka na obcasie. Wszystko w czerni. Jedynie jasne włosy, zaczesane na bok i splecione w luźny warkocz, stanowiły swoisty kontrast dla jej stroju.

No i te oczy, których każdy, kto znał Staszka, nie mógł nie zauważyć. Oczy jej ojca. Patrzyły niepewnie, kiedy stanęła w drzwiach. Czarniewski wyciągnął do niej rękę, a ona uśmiechnęła się do niego – miała naprawdę piękny uśmiech – i odwzajemniła uścisk.

Czarniewski zawahał się na chwilę, po czym odwrócił się do pozostałej trójki i rzekł, wolno i dobitnie: – Poznajcie się. Helena Walkiewicz... Córka Staszka.

Izabela wyglądała, jakby ją trafił szlag.

[...]

## 16.

### Testament.

Ja, Stanisław Ciszewski, syn Zbigniewa i Barbary, zamieszkały we Wrocławiu, przy ul. Zofii Nałkowskiej 40, urodzony 10 sierpnia 1964 roku, będąc w pełni władz umysłowych, świadomy podejmowanej czynności, bez przymusu oświadczam, iż na wypadek mojej śmierci testamentem tym wydziedziczam, tj. pozbawiam prawa do zachowku, moją żonę Izabelę Ciszewską, córkę Andrzeja i Krystyny. Uważam ją za osobę niegodną dziedziczenia po mnie, gdyż wielokrotnymi zdradami, kłamstwami i intrygami doprowadziła do rozpadu naszego małżeństwa.

Zrzekam się własności domu przy ulicy Zofii Nałkowskiej 40 na rzecz mojej żony Izabeli.

W związku z niedawnym odkryciem przeze mnie prawdy, że Jan Ciszewski, syn Izabeli, nie jest moim dzieckiem, który to fakt przez lata był ukrywany przede mną przez jego matkę, wydziedziczam także i jego. Moją wolą jednak jest, aby

z majątku spadkowego została wypłacona mu kwota równowartości 20 tys. zł, które to pieniądze powinny być przeznaczone na poczet jego dalszej edukacji.

Jako jedyną spadkobierczynię całego mojego majątku ustanawiam moją córkę, Helenę Walkiewicz, urodzoną 7 maja 1989 roku, której ostatnim znanym mi miejscem jej zameldowania był Wrocław, ul. Kościuszki 10, mieszkanie 16, a która obecnie mieszka w Warszawie. Otrzymuje ona także wszystkie moje większościowe udziały w firmie Ciszewski-Dąbroś Sp. z o.o., z zastrzeżeniem, że udziały te nie mogą zostać przez nią odsprzedane w okresie 2 lat od mojej śmierci. Do czasu wykonania zapisów testamentu i objęcia przez moją córkę Helenę kierownictwa firmą, tymczasowym kierownikiem ustanawiam Antoniego Dąbrośia.

Wykonawcą testamentu ustanawiam notariusza Piotra Czarniewskiego.

Podpisano: Stanisław Ciszewski, Wrocław, 30 sierpnia 2017 roku.

## 17.

W gabinecie zapadła cisza. Czarniewski podniósł głowę i spojrzał na zebranych. „Staszek”, pomyślał, „gdybyś tylko mógł zobaczyć ich miny”.

## KONSPEKT

Helena Walkiewicz przypadkowo odkrywa, że jej pozornie poukładane i szczęśliwe życie jest ułudą. W jednej chwili traci faceta, mieszkanie i pracę w Warszawie.

Stanisław Ciszewski, ojciec Heleny, którego nigdy przy niej nie było, którego nigdy dobrze nie poznała i z którym nigdy nie utrzymywała bliskich relacji, jednym podpisem na testamencie na zawsze zmienia życie nie tylko Heleny, ale także reszty swojej rodziny i przyjaciół. A potem umiera, uruchamiając machinę zdarzeń, których nikt oprócz niego się nie spodziewał.

Helena, o której istnieniu rodzina Ciszewskiego nie miała pojęcia, jako jedyna zostaje powołana do całości spadku po Ciszewskim, natomiast żona Ciszewskiego Izabela oraz ich nastoletni syn Janek zostają wydziedziczeni. Helena w jednej chwili zostaje właścicielką dorobku życia Stanisława, w tym większościowych udziałów w dobrze prosperującej firmie z branży motoryzacyjnej, i zostaje wrzucona w sam środek konfliktów w rodzinie Ciszewskich.

Historia Heleny będzie toczyć się dwutorowo.

Z jednej strony główną osią powieści będzie walka Heleny o spadek: Izabela zrobi wszystko, by podważyć ważność testamentu i prawo Heleny do dziedziczenia po Ciszewskim. Sprawa mocno się skomplikuje, kiedy wyjdzie na jaw, że śmierć Ciszewskiego nie nastąpiła wskutek nieuleczalnej choroby, jak wszyscy na początku sądzili, ale w wyniku samobójstwa. Prawne stwierdzenie niepoczytalności testatora i uznanie testamentu za nieważny doprowadziłoby do dziedziczenia na zasadach ogólnych, a więc uwzględnienia przy podziale spadku również Izabeli.

Po śmierci Stanisława na scenie pojawi się również Tomek Wanat, dawny przyjaciel Ciszewskiego. Stanisław traktował go jak syna, a on w pewnym momencie zdradził i wykorzystał Ciszewskiego po to, by przejąć konkurencyjną firmę. Tomek – którego ścieżki niespodziewanie skrzyżują się ze ścieżkami Heleny, i którego do własnych planów zechce wykorzystać Izabela – zaoferuje Helenie pomoc w wejściu w branżę. Rozpocznie w ten sposób własną grę i nikt nie będzie wiedział, jakie są



jego intencje oraz czego się po nim spodziewać. Helena będzie musiała prowadzić trudną i nierówną walkę o utrzymanie firmy ojca w sytuacji, kiedy konkurencja będzie robiła wszystko, by firmę zniszczyć.

Z drugiej strony Helena, która będzie chciała zrozumieć motywy działań ojca, zacznie poznawać historię Stanisława i jego rodziny, jego trudnych relacji z własnym ojcem, a także związku z jej matką. Poznanie historii ojca ujawni także nieznaną jej dotąd fakty z życia matki. Krok po kroku będzie odkrywać swoje korzenie, pozna miejsca i ludzi, od których pochodzi. Dzięki temu zacznie rozumieć samą siebie, swoje cele oraz miejsce w świecie.

Ku zaskoczeniu wszystkich okaże się, że testament Ciszewskiego skrywa wiele tajemnic. Podjęte przez bohatera przed śmiercią działania zaczną powoli przynosić zaplanowane efekty. Okaże się, że Ciszewski z za grobu prowadzi własną grę, sterując postaciami historii jak laleczkami w teatrze, co doprowadzi do zaskakującego finału.

Książka obejmie okres niecałego roku (od września do mniej więcej lipca roku następnego). Narracja prowadzona będzie w trzeciej osobie, z punktu widzenia przede wszystkim głównych bohaterów – Heleny i Tomka – oraz w nieco mniejszym zakresie z perspektywy notariusza Piotra Czarniewskiego. Jedynie w prologu do głosu dojdzie Stanisław Ciszewski.

Książka będzie powieścią obyczajową z wątkami kryminalno-sensacyjnymi. Przeznaczona jest dla szerokiego grona czytelników, ponieważ można w niej znaleźć zarówno elementy obyczajowe (dążenie bohatera do poznania własnej tożsamości, rodzina jako źródło cierpień), jak i kryminalne/sensacyjne (nielegalne interesy i przekręty w biznesie), a także aspekty prawne (spadek i testament).

Iwona Krasicka

## Myśliwi

### I KOLACJA

W całym domu unosił się zapach pieczonego mięsa. W kuchni krzątała się matka. Reszta rodziny siedziała już przy stole i czekała na znak gospodyni do rozpoczęcia kolacji. Ta, jakby specjalnie, przedłużała moment oczekiwania, choć wszystko było już gotowe. Na stole leżały talerze z wymalowanymi motywami myśliwskimi, starannie ułożone sztuczce i misy pełne jedzenia. Tylko szklanki były takie zwykłe, niepasujące do odświętnej zastawy. Sławek zastanawiał się, kiedy jego starszy brat zauważy ten mankament. Matka robiła wszystko, żeby ugościć Konrada jak króla, chociaż on nawet nie zasługiwał na miano porządnego człowieka. Tak uważał Sławek. W końcu ich rodzicielka zasiadła do stołu.

– No, czemu nie jecie? – spytała. To był ten znak.

Pierwszy po pieczeń sięgnął ojciec. Matka siedziała u szczytu stołu i przyglądała się, kto co wybiera i w jakiej ilości. Im większa porcja trafi na talerz, tym lepiej. Ojciec dobrze o tym wiedział, więc nałożył sobie spory kawał mięsa.

– Nie wstyďte się. Bierzecie, bierzcie – zachęcała resztę rodziny.

W pokoju było sześć osób. Po prawej stronie matki siedział ojciec. Obok niego stało puste krzesło, a następnie zajął Konrad. Naprzeciwko matki usiadł dziadek, który obrócił się nieco w prawą stronę, w kierunku młodszego wnuka. Sławek zawsze wybierał miejsce blisko dziadka. Natomiast Laura, dziesięcioletnia córka Konrada, siedziała po lewej stronie babci. Teraz była zajęta przeglądaniem kolorowych karteczek w albumie i nie zwracała na nikogo uwagi. Gdyby ktoś obserwował tę scenę z boku, mógłby pomyśleć, że utworzyły się dwa obozy. Matka, ojciec i ich wnuczka przeciwko dwóm braciom i dziadkowi. Byłoby to jednak zupełnie mylne wrażenie. Prawdziwi przeciwnicy, choć rozdzieleni szerokim blatem stołu, siedzieli tak by móc spojrzeć sobie w oczy.

– Słyszałem, że dziewczyna się do ciebie nie odzywa – zaczął Sławka jego starszy brat, nakładając sobie na talerz kaszankę z cebulą.

– A czemu Ewelina nie przyjechała? – odparował Sławek. Każdy wiedział, że synowa nie przyjeżdża do teściów z powodu zaszłych konfliktów, ale chłopak musiał wypomnieć ten fakt, gdy brat zaczynał go irytować. Sam nie pamiętał, o co wtedy Ewelina się tak wściekła, ale to pytanie działało nie tylko na Konrada, lecz także na matkę.

– Laura, odłóż ten album. Zjedz coś – powiedziała do dziewczynki chcąc odwrócić uwagę od problemu.

– Nie chcę.

– Weź, jak babcia prosi – powiedział szorstko Konrad.

Sławek przyglądał się, jak matka bierze talerz dziewczynki i nakłada jej kawałki mięsa. W ten sposób chroniła ją przed gniewem Konrada. Laura była tego zupełnie nieświadoma i dalej patrzyła w album z karteczkami. Sławek obrócił wzrok na dziadka. Ten siedział zgarbiony i smutny, ale gdy zorientował się, że wnuk na niego patrzy, uśmiechnął się lekko.

– A dziadkowi coś nałożyć?

– Co nałożysz, to zjem – mrugnął porozumiewawczo do wnuka. Sławek już wiedział, że dziadek nie chce jeść, ale coś musi mieć na talerzu, żeby nikt się go nie czepiał. Spośród potraw wybrał dla niego kiełbasę.

Można ją kroić i sprawiać wrażenie zajętego jedzeniem.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu.

– To jak tam z tą dziewczyną?– zaczepił znowu Konrad.

Najbardziej denerwowało Sławka to, że brat zadawał to pytanie z takim głupim, ironicznym uśmiechem. Nie wiedział, co się stało z jego dziewczyną. Zniknęła. Nie miał z nią kontaktu od kilku dni. Jej rodzice rozmawiali z policją, on zresztą też. Podobno miała powiedzieć koleżance, że wyjeżdża nad morze. Nie wierzył w to, bo byli w środku roku szkolnego i dlaczego w ogóle miałaby jechać nad morze? Sama. Bez niego. Konrad na pewno wiedział o wszystkim od matki, bo ta nie umiała trzymać języka za zębami, a mimo to uporczywie go dręczył pytaniami.

– Nie odzywa się do ciebie? Przejrzała na oczy?

Sławek starał się opanować.

To ostatni temat, na który chciał rozmawiać z Konradem, który szydził z niego, z jego dziewczyny, wyglądu, ze wszystkiego. Obiecywał sobie w duchu, że nie da się sprowokować.

– A co mama sądzi, o tej jego dziewczynie? Jak jej tam? Kasia, Basia?

– Daj spokój, Konrad – odpowiedziała.

Sławek spojrzał na matkę. Zawsze taka gadatliwa, teraz ucięła krótko i zajęła się jedzeniem. Czuł, że coś jest nie tak.

– Ja chcę tylko poznać mamy opinię – brat nie dawał za wygraną.

O co mu chodzi, zastanawiał się Sławek. Gniew mącił mu już myśli i nie pozwalał znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi. Może on jest takim debilem, że zacznie uprzykrzać kolację każdemu z osobna, rozważał w duchu. Spojrzał na talerz i zaczął rozdzielać kawałki szynki.

Postanowił milczeć.

Konrad nadal patrzył na matkę.

– Miałeś nie poruszać tego tematu. Prosiłam cię.

– On jest jeszcze za młody – dodał ojciec, który do tej pory zajęty był tylko pieczenią.

– Za młody na co? – spytał Sławek.

– No... – zmieszał się ojciec.

– Żeby rozmawiać o takich rzeczach – próbowała ratować sytuację matka.

– Jakich rzeczach?

– No właśnie, o jakich rzeczach? – powtórzył Konrad.

Sławek dobrze wiedział, że starszy brat nie staje po jego stronie, tylko chce mu bardziej dopiec. Konrad trzymał tylko z jedną osobą w tej rodzinie, z sobą samym.

– Czy w tym domu nie można już normalnie zjeść? – zdenerwowała się matka.

– W tym domu nie można normalnie porozmawiać – oburzył się Konrad – Pytam się tylko, co mama sądzi o jego byłej dziewczynie?

– Była taka... delikatna.

– Ja bym powiedział raczej, że krucha – uśmiechnął się znowu w ten sam ironiczny sposób Konrad.

– Po pierwsze jest, nie „była”, po drugie ma na imię Marta, a po trzecie ty jej nigdy nie widziałeś – skwitował Sławek.

Konrad nic nie odpowiedział. Siedział tylko i zajadał się kaszanką. Uśmiech nie schodził mu z ust. Sławek przyglądał się rodzinie. Każdy miał wzrok utkwiony w swoim talerzu, nawet Laura.

Matka po krótkim milczeniu zaczęła opowiadać o tym, jak poszła z psem do weterynarza, bo nabawił się jakiegoś urazu. Z psa temat szybko zszedł na myślistwo. Połowa rodziny polowała, więc wspólna kolacja nie mogła się obejść bez historii o kolegach, co nie potrafili trafić do jelenia, czy o nowych przepisach łowieckich. Ojciec wspomi-

nał historię, jak kilka dzików na niego wyskoczyło i zastanawiał się, czy już nie przekroczył limitu odstrzałów. Matka natomiast krytykowała ostatnie polowanie zbiorowe, że było źle zorganizowane. Konrad tylko potakiwał. On też był myśliwym, ale do lasu jeździł sporadycznie. Broni używał przede wszystkim na strzelnicy i na zawodach. Sławek nie miał nic przeciwko myślistwu, ale nie mógł zabrać głosu w dyskusji. Nie interesowała go broń, amunicja ani zabijanie zwierząt. Cieszył się w duchu, że nikt go o nic nie pyta. Laura wróciła do przeglądania albumu.

Dziadek dalej kroił kiełbasę na coraz mniejsze kawałki, ale ani jednego nie wziął do ust.

– Bardzo dobra ta pieczeń była – pochwalił ojciec, odkładając sztucce na talerz.

– Dodałam śliwkę i czosnek. Poza tym dwa dni leżała w marynacie, żeby była taka krucha – opowiadała dumna ze swoich zdolności matka.

– I taka delikatna – dodał Konrad, unosząc jeden kącik ust do góry.

Sławek spojrzał na brata. Taka delikatna, taka krucha. To nie może być przecież prawda, skarcił się za myśl, która mimowolnie zrodziła się w jego głowie. Patrzył na puste misy po jedzeniu. Zaczął liczyć dni, kiedy rodzice byli na polowaniu.

To jest chore, co robię. Na pewno ten dureń specjalnie to powiedział, żeby mi namieszać w głowie, uspokajał się. Spojrzał na rodzinę i zebrało mu się na wymioty. To chore, to nie może być prawda. Ten palant robi mi wodę z mózgu, tłumaczył sobie Sławek, ale niczego nie był pewny. Obrócił się nieco w stronę dziadka i szukał w jego twarzy jakiejś odpowiedzi. Ten tylko spojrzał na wnuka. Sławek nie rozumiał. Kręciło mu się w głowie.

– Pobladłeś. Dobrze się czujesz? – spytała matka. Kiwnął głową, że tak, chociaż nie mógł wstać z krzesła. Miał wrażenie, że Konrad ciągle się uśmiecha i nie spuszcza z niego wzroku. Wygrał, osiągnął swój cel.

Sławek odrzucał od siebie myśli, że rodzina mogłaby dopuścić się takiej zbrodni, ale ziarno niepokoju już kiełkowało w jego duszy.

## II WYŚLANNIK

Szedł leśną ścieżką. Otaczały go potężne dęby i buki o jasnej, gładkiej korze. Niedaleko płynął strumyk, to tam rosły szaropopielate olsze. Czekały cierpliwie, aż wstanie słońce i ogrzeje ich liście. Bezchmurna noc sprawiła, że nad ziemią unosiła się mgła.

Usłyszał trzask suchej gałęzi. Zatrzymał się. Stworzenie przemieszczało się pomiędzy drzewami. Szło w jego kierunku, z prawej strony, od strumyka. Wytężał wzrok, lecz nie mógł dostrzec, co się do niego zbliża. Zsunął broń z ramienia, a następnie odbezpieczył. Teraz on wydał dźwięk zdradzający lokalizację. Zwierzę węszyło, myśliwy obserwował, a las milczał. Żaden śpiew, trel czy skowyt nie zakłócały tej chwili. Ogarnął go strach, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Myśliwy nie mógł się nawet obrócić, jakby nogi stworzyły jedną całość z podłożem.

*Czego się boisz?*

*Nie wiem.*

*Czego się boisz?*

*Nie powiem.*

Mgła stawała się coraz gęstsza. Na początku zobaczył tylko ruch, później rozpoznał sylwetkę. Zwierzę było jednak za daleko, aby złożyć się do strzału. Stworzenie kroczyło dumnie, niespiesznie, a każdy krok zdradzał jego siłę. Mimo że już wyczuło myśliwego, nie uciekało, wręcz przeciwnie, chciało się z nim spotkać. Szukało go od dawna. Myśliwy pragnął przysunąć broń do policzka, jednak ciało odmawiało posłuszeństwa. Jeleń wychylił się zza drzew, lecz mężczyzna nie potrafił

pociągnąć za spust. Ręce zaczęły mu drżeć, bo nigdy nie widział byka o tak bujnym porożu. Coś go oślepiło, ale nie było to poranne słońce.

Byk stanął naprzeciw myśliwego. W koronie króla lasu rozgorzały płomienie. Wiły się pomiędzy zamszowymi odnogami, ale nie robiły jeleniowi żadnej krzywdy. Układały się w znak. Światło przebiło mrok i rozgoniło mgłę. Myśliwy upadł na kolana przed majestatem zwierzęcia z płonącym krzyżem. Wiedział, że jeleni nie jest sam. Szukały go również inne istoty. Otaczały go jak wataha wilków. Myśliwy czuł, że patrzą na niego oczy tych, którzy nie należą do królestwa lasu. Oczy tych, którzy zostali zabici jak zwierzęta i zjedzeni jak zwierzęta. Światło jelenia gasło niczym dopalająca się świeca, aż w końcu rozplynął się cały, wtedy istoty chwyciły myśliwego za gardło.

Dziadek oddychał z trudem. Ścisk w gardle nie ustawał, jakby ręce, które schwytały go we śnie, przeniosły się razem z nim do tego świata. Głos w jego głowie krzyczał: „*Wiesz! Powiedz to!*” Dziadek próbował go zagłuszyć modlitwą, a modlił się szybko i niedbale. Wargi wyschły od powtarzania świętych zdań. Pragnął, aby słowa cofnęły czyny, aby szept przebił mury i dotarł do Tego, którego znak widział. Każdą modlitwę kończył pytaniem.

– Boże, czy mi kiedykolwiek wybaczysz?

Dziadek bał się śmierci.

### III WYZNANIE

Starzec siadł na łóżku, zapalił lampkę, a z szafki wyjął plik kartek. Zastanawiał się przez chwilę. Wyciągnął wtyczkę z gniazdka. W pokoju znowu zapanowała ciemność. W sercu zakłuło, w duszy zabolęło. Wziął głęboki oddech, aby uspokoić sumienie, ale nie pomogło. Podniósł



lampkę, a drugą dłonią chwycił niezapisany jeszcze papier. Podszedł do stolika, który stał koło okna i położył wszystko na blacie. Dotknął ściany, a kiedy udało mu się podłączyć kabel, elektryczne światło rozeszło się po pokoju. Podszedł do etażerki. W małym koszyczku znalazł pióro i atrament. Wrócił do stolika i opadł na krzesło. Naładował wkład granatowym płynem, rozłożył kartki, zgrubiałymi od wieku i pracy palcami uniósł pióro, i zaczął pisać.

Droga Zofijko,

Tęsknię za Tobą. W Twych ramionach zawsze czułem ukojenie i do dziś żałuję, że nigdy nie powiedziałem Ci słów, które każda żona powinna usłyszeć od swojego męża, a na które nie mogłem się zdobyć. Kocham Cię, Zofijko, Moja Najdroższa. Chcę, abyś wiedziała. Obiecałem, że przyjdę tam kiedyś do Ciebie, ale to niemożliwe. Ja pójdę w zupełnie inne miejsce, ale może ktoś przekaże Ci ten list, tam, po drugiej stronie. A może patrzysz teraz na mnie z góry? Wszystko, co robiłem, robiłem po to, aby Cię chronić. Tak przynajmniej myślałem, ale teraz już rozumiem, że sprowadziłem na naszą rodzinę hańbę, której nic nie zmaże. Wiem, że człowiek nie zmieni tego, co już zrobił, ale powinien wyznać swoje winy, póki nie jest za późno. Ja wyznaję je Tobie. Bóg obdarzył mnie długowiecznością, abym zobaczył, do czego doprowadziły mnie upór i zaślepienie. Moja żądza bycia lepszym. Skazałem na potępienie siebie, naszego syna, a teraz czeka to naszego wnuka. Nauczyłem ich tego, czego nauczył mnie mój ojciec – myślistwa. Gdybyś była tu obok, roześmiałaś się zapewne. Twój śmiech zawsze był dla mnie ostodą. Śmiałaś się głośno i szczerze, tak mi tego brakuje. Nie oceniaj jednak za szybko. To myślistwo, o którym piszę, jest inne. Złe. Nie znęcałem się nigdy nad sarną, dzikiem, ani nad jakimkolwiek innym zwierzęciem. Kiedy umierały, nie czuły cierpienia. Strzelałem celnie, przecież o tym wiesz, ale strzelałem także do innego celu. Och, Najdroższa! Myślałem, że jestem wybrany przez los. Jakież byłem głupi. Nie zasłużyłem na Twoją miłość

Przerwał. Żal wstrząsnął jego piersią i starzec zapłakał drugi raz w życiu. Płakał tak, by nikogo w domu nie obudzić. Po cichu, w samotności. Tak samo jak w dniu śmierci żony. Płakał długo. Kiedy nastał ranek, zdobył się na jeszcze jedno zdanie.

Zabijałem, Zofijko.

Więcej już pisać nie mógł. Schował kartki do szuflady, odłożył pióro i atrament na miejsce, wyłączył lampkę. Później położył się do łóżka i zamknął powieki, aby nikt się nie domyślił, co zaszło tej nocy. List trafi w ręce ukochanej osoby, ale nie będzie to jego żona. I wtedy dziadek zapłacze po raz trzeci, ostatni.

## IV POWRÓT

Weszła spóźniona do klasy. Skinęła głową do nauczycielki i burknęła „dzień dobry”, a następnie, nie patrząc na nikogo, usiadła na swoim miejscu w piątej ławce, w rzędzie pod ścianą. Sławek nie spuszczał z niej wzroku. Miała na sobie białą bluzkę i džinsy, tak jak wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni. Wszystko, o czym myślał do tej pory straciło na znaczeniu. Była w klasie razem z nim, cała i zdrowa.

Kolega szturchnął go w ramię i kiwnął głową, wskazując tablicę. Kiedy Sławek się obrócił, nauczycielka posłała mu groźne spojrzenie. Chłopak udał, że przewraca kartkę w zeszyte. Jeszcze raz, tylko na moment, obejrzał się za siebie, aby upewnić się, że Marta jest prawdziwa. Nadal siedziała w swojej ławce. Dziewczyna jednak na niego nie spojrzała.

Lekcja dłużyła się Sławkowi niemiłosiernie. Ilorazy i różnice, sumy i iloczyny zlewały się w jedną niezrozumiałą chmurę liczb. Błądziły po

tablicy, tworzyły wzory i wykresy, straszyły nieskończonością, a kiedy już wydawało mu się, że rozwikłał ich tajemnice, nadciągały nie wiadomo skąd nowe dwójki, trójki i dziewiątki. W końcu doczekał się upragnionego dzwonka.

– Marta, czekaj!

Dogonił dziewczynę na korytarzu.

– Pogadajmy.

– A o czym tu gadać?

– Na przykład, dlaczego się nie odzywałaś prawie przez miesiąc?

– Bo nie miałam ochoty, proste.

Sławek nie wiedział, jak zachować się w tej sytuacji. Próbował utrzymać przyjazny ton.

– A gdzie byłaś? Policja cię szukała, rodzice, no i ja.

– Trochę wam to zajęło.

– Marta, o co ci chodzi? Martwiłem się. Dlaczego taka jesteś?

– Jaka?

– Taka obrażona – odpowiedział po krótkim zastanowieniu.

Dziewczyna uniosła jedną brew do góry, włosy zagarnęła za ucho i wyduła lekko usta. Sławek znał tę minę.

– Wyglądam na obrażoną? Może mi jeszcze zrobisz pogadankę o narkotykach i bezpieczeństwie na drodze, bo chyba do tego to wszystko zmierza. Gdzie byłam, moja sprawa.

– Proszę cię, pogadajmy normalnie.

– Skończ już, dobra?

Sławka zatkało. Nie potrafił nic z siebie wykrztusić. Dziewczyna przewróciła oczami i obróciła się na pięcie. Chłopak stał na środku korytarza. Koledzy pomachali, aby do nich przyszedł, wołali go po imieniu, ale nie skorzystał z zaproszenia. Zbiegł schodami na parter i wyszedł ze szkoły na boisko.

Świeże powietrze ocuciło go nieco. Najważniejsze, że żyje, pomyślał. Nie był zły na swoją dziewczynę, choć ci, co widzieli tę scenę, tak uważali. Chodził w tę i z powrotem. Nagle jego podejrzenia, co do rodziców zniknęły. Wydały się głupie i niedojrzałe. Znienawidził natomiast jeszcze bardziej swojego brata za tę grę słów przy kolacji, za to że dał się zmanipulować, że mu uwierzył. Głupek ze mnie, skarcił się w myślach.

Drzwi szkoły się otworzyły. Marta rozglądała się po boisku, a kiedy złapała spojrzenie Sławka, ruszyła w jego kierunku.

– Sorka za tamto.

– Nie ma problemu.

Stali ze spuszczoneymi głowami. Marta wiedziała, że niesprawiedliwie potraktowała chłopaka, więc pierwsza wyciągnęła rękę i chwyciła palcami jego dłoń. Przyciągnęła ją do siebie, aż zrobił krok do przodu.

– Byłam nad morzem. Uciekłam. Wiesz tak jak w filmach, chciałam poczuć przygodę, rozerwać się. Chciałam wiedzieć, jak to jest.

– Czemu nie powiedziałaś?

– Bobyś wygadał – uśmiechnęła się.

Nieprawda. Nie wydałbym cię. Innym powiedziałaś.

– Tylko jednej osobie. Jak zobaczyła policję, to wypaplała od razu. Dobrze, że nie powiedziała, gdzie dokładnie jadę.

Nie mieli śmiałości patrzeć sobie w oczy podczas tej rozmowy. Sławek chciał powiedzieć, jakie rzeczy przyszły mu do głowy. Kiedy pomyślał, że mogła skończyć na talerzu, roześmiał się.

– Co się stało?

– Nic, nic. Po prostu cieszę się, że wróciłaś.

– No ja tak mniej. Suszą mi głowę wszyscy o tę akcję.

– Domyślam się, może po prostu nie rób więcej takich akcji, dobra?

A jak już będziesz robić, to weź mnie ze sobą – wyszczerzył zęby.

Zaśmiali się. Dzwonek wołał na lekcje.

– Wracamy?

– No trzeba.

– Po lekcjach pójdziemy do parku? Opowiesz mi dokładnie, jak było nad tym naszym morzem. Co ty tak w ogóle tam robiłaś? Gdzie spałaś? Nie bałaś się? – nagle zarzucił ją pytaniami.

– Opowiem, opowiem.

– I mogę siedzieć z tobą na fizie?

– Spoko.

Objął ją ramieniem. Sławek myślał, że wszystko wróciło do normy i najgorsze już się skończyło, ale tak naprawdę wszystko miało się dopiero zacząć.

## V AKT ŁASKI

– Zastrzelisz Maksa?

– Nie ma innego wyjścia?

Zapadał zmierzch. Myśliwi siedzieli na ławce przed leśniczówką. Z wnętrza docierały do ich uszu fragmenty opowieści. Stefan zabawiał zebranych historią o Dobrochoczynie. I wszedł taki jeden do świętego lasu z siekierą, opowiadał. Obaj mężczyźni znali już zakończenie, więc nie zwracali uwagi na dobiegające z budynku odgłosy.

– Nie ma, Włodek, nie ma.

– Rozumiem.

Henryk wyjął zza pazuchy manierkę i dwa metalowe kieliszki. Napętnił je po brzegi wódką.

– Nie dam go uśpić. Nie będzie jak jakiś kundel zdychał w laboratorium. Do dna!

Przechylili kieliszki.

– Tyle lisów wygonił, a jak go na kaczki wziąłem, to nie bał się do wody wskoczyć. On nawet do tego szkolony nie był. Włodek, lepszego psa nie znajdziesz.

Polał sobie i koledze.

– Pamiętam, jak sam na dzika poszedł, jak go za ucho złapał. Uwierzysz? Sam na sam z dzikiem. Bałem się, że na szable go ten dzik nadzieje, ale gdzie tam! Maks zeskoczył i za ogon go. Wtedy strzeliłem, dzik na ziemię, a ten puścić nie chciał. Taki zawzięty na zwierza. Do dna!

Opróżnili kieliszki.

– Dostałem go od takiego myśliwego spod Wrocławia. Mówił, że najmniejszy z miotu, to za darmo. Pewnie później żałował, gdy widział nas na polowaniach. Jego strata, trzeba było nie dawać, ale gdzie by mojemu Maksowi lepiej było?

Kieliszki znowu były pełne.

– Byłem już wszędzie, u każdego szarlatana. Nie wiem, czego ich uczą na tych studiach? Każdy tylko, że pies stary i nie ma rady, trzeba uśpić. Nie dam! Maks jak rodzina, nie umrze w oparach tych medykamentów i innych gówien. Do dna!

Kieliszki poszły w ruch. Po czym Henryk po raz kolejny napełnił je procentami.

– Zastrzelisz go? Wiesz, że ja bym nie mógł.

– Zastrzelę, Heniu.

– Za Maksa!

– Za Maksa!

Los psa przypieczętowali stuknięciem kieliszków i wypili do dna.

Maks w tym czasie leżał na tapczanie. Niebieskoszarymi źrenicami patrzył na mętne, rozmyte postacie. Wsłuchiwał się w ludzki głos, który snuł opowieść o demonie.

– Tego, co las chciał okraść i się na tym wzbogacić, to choróbska straszne dopadły, aż ludzie we wsi od tego złodziejaska uciekali. Taką właśnie karę zesłał na niego Dobrochoczy. Nie można okradać lasu i brać więcej, niż człowiekowi potrzeba. To, co należy do lasu, powinno w lesie zostać – skończył historię Stefan. Rozległy się oklaski, a bajarz uklonił się wytwornie przed publiką. Maks obrócił się dwa razy na tapczanie i zamknął oczy.

Myśliwi wstali jeszcze przed pierwszym brzaskiem słońca. Henryk podszedł do psa i przejechał ręką po jego szorstkiej sierści.

– Chodź, Maks.

Pies zeskoczył posłusznie z posłania i podążył za swoim panem. Trzymał się blisko nogi. Na dworze już czekał Włodzimierz. Otworzył drzwi do auta. Henryk podniósł zwierzę i posadził na kocu, jeszcze raz dotknął małej główki, kciukiem delikatnie pogłaskał po pyszczku. Uśmiechnął się smutno.

– Jedźmy.

Włodzimierz zatrzasnął tylne drzwi. Obaj myśliwi siedli z przodu. Auto wydało warkot i ruszyli przed siebie. Jechali w milczeniu. Maks oparł się łapami o okno, a nos próbował wcisnąć w szparę niedomkniętej szyby. Powietrze wleciało za mocno w nozdrza. Kichnął. Teraz już ostrożniej przysunął nos. Wdychał zapachy lasu, które pobudzały instynkty i kiedy rozpoznawał jakieś zwierzę, piszczał, lecz zatrzymali się dopiero po kwadransie.

Wysiedli. Z bagażnika Włodzimierz wyciągnął pokrowiec, a z pokrowca broń. Henryk wypuścił psa. Maks biegał między mężczyznami, machał ogonem. Myśliwi swoje kroki skierowali na południe. Szli tak chwilę, aż w końcu dostrzegli ślady saren. W piachu rysowały się wyraźnie przednie krawędzie racic. Henryk kucnął i Maks już wiedział, co ma robić. Złapał trop.

– Włodek, i niech ci ręka nie drgnie.

– Niech nie drgnie.

Henryk odwrócił się w stronę auta. Maks biegł za tropem. Włodzimierz szybkim ruchem wcisnął kolbę w ramię. Strzał. Huk wystraszył siedzące na drzewach ptaki, które zerwały się do lotu.

– Pójdę po łopatę – powiedział Henryk.

Zakopali Maksa na skraju lasu i wrócili do leśniczówki.



## KONSPEKT

Podczas kolacji padają słowa, które rzucają cień na rodzinę Sławka. Główny bohater zaczyna dociekać prawdy. Zaginiona dziewczyna, nocne polowania rodziców i dziadek, który zamyka piwnicę na klucz, podsycają wyobraźnię młodego człowieka. Sławek by odkryć rodzinny sekret zaczyna interesować się myślistwem. Uczestniczy w polowaniach i spędza weekendy w leśniczówce. To właśnie podczas jednego z takich wyjazdów poznaje Annę. Zakochuje się w niej, lecz wtedy do miasta wraca jego dziewczyna. Okazuje się, że uciekła z domu na kilka tygodni. Sławek porzuca podejrzenia, że jego rodzina mogła dopuścić się morderstwa, a jego głównym zmartwieniem staje się wybór pomiędzy nieroztropną Martą a delikatną i wrażliwą Anną. Nie wie, że jego rodzice szykują się do corocznego polowania tajemnego związku myśliwych. Natomiast dziadek pod wpływem snu, w którym ukazuje mu się jeleń św. Huberta, zaczyna pisać listy do zmarłej żony. Wyjaśnia w nich, co zdarzyło się na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Jak powołano do życia związek, który miał uchronić najbliższych przed zagładą, a z biegiem czasu zupełnie zmienił swoje zadanie. Jest to dla dziadka forma spowiedzi. Sławek znajduje listy. Z przerażeniem czyta o zwyczajach bractwa i nie chodzi tylko o cel polowań, lecz o coś znacznie potworniejszego. Jednak ten, kto wie o tajnej organizacji, a sam do niej nie należy, musi zginąć. Bohater zostaje wystawiony na próbę.

Akcja dzieje się na początku lat 90. XX wieku w dolnośląskim miasteczku.

Gatunek: horror z elementami powieści środowiskowej.

Hubert Michalak

## Sezon w Teatrze Młodego Widza

*Poniższy fragment jest wyjątkiem z drugiego rozdziału powstającej książki „Sezon w Teatrze Młodego Widza”; rozdział nosi tytuł „Sierpień”.*

### 4 SIERPANIA, CZWARTEK

Scena nie była daleko. Sunąc przez korytarz, Grażyna Goździk spojrzała na zegarek – dochodziła dziesiąta. Po raz kolejny w ciągu ostatnich dwóch minut inspicjentka w duchu podziękowała Bogu, w którego nie wierzyła, że dzisiejsza pierwsza próba „Brzydkiego kaczątka” nie odbywała się w Sali Prób na najwyższym piętrze, ale na Dużej Scenie. Trasa na samą górę chyba by mnie zabiła – pomyślała Goździk. Jednocześnie uśmiechnęła się do siebie, dodając w duchu jeszcze ciszej niż dziękczynne westchnienie, że po takich wakacjach, jakie miała w tym roku, mogłaby umierać.

Po kilku chwilach dotarła do bocznego wejścia na widownię Dużej Sceny i z impetem tam wtargnęła, witając się donośnie. – Dzień dobry wszystkim państwu! – Aktorzy, obsada nowej premiery, siedzieli na proscenium, ich nogi zwieszały się przez krawędź wznie-

sienia sceny. Naprzeciwko stał młody człowiek z krótkim kucykiem u dołu głowy. Na pewno reżyser, pomyślała Goździk.

Anita Pawlak, wyraźnie opalona i chyba szczuplejsza, niż gdy widziały się ostatni raz, siedziała najbliżej bocznego wejścia. Pierwsza energicznie zeskoczyła na podłogę i ruszyła w stronę Grażyny z szeroko rozłożonymi rękami.

– Grażynka, jesteś nareszcie! – kobiety uściśniły się. Serdeczne powitania inspicjentki z koleżankami i kolegami spowodowały chwilowe zamieszanie.

Dziwnym trafem chaos nie odstępował Grażyny Goździk na krok. Jej praca polegała na kontrolowaniu teatralnego zamieszania podczas prób i przedstawień. To ona umówionymi znakami sygnalizowała podniesienie kurtyny, zmianę scenografii, wejścia aktorów, służyła pomocą zaproszonym artystom, była łącznikiem między sceną a biurami teatralnymi, suflowała tekst, znała na pamięć każdy spektakl, uspokajała garderobiane historie i dodawała energii, gdy trzeba było wcześniej rano grać Szekspirowską tragedię dla zniechęconych trzynastolatków. I przez wiele lat pracy wywiązywała się ze swoich obowiązków bez zarzutu. Jednak zawsze gdy kończyła się próba lub opadała kurtyna po spektaklu, wokół Grażyny w naturalny sposób tworzył się nieporządek: ginęły egzemplarze tekstu, znikąd pojawiało się zamieszanie i gwar rozmów, sytuacje wcześniej, wydawałoby się, opanowane wymykały się spod kontroli. Ci, którym to z początku przeszkadzało, wkrótce zaakceptowali fakt, że Grażyna ma dwa tryby funkcjonowania, prywatny i zawodowy, które bardzo się od siebie różnią. A ponieważ kobieta pracowała na tym samym stanowisku już ponad cztery dekady, wszyscy w Teatrze Młodego Widza uważali, że fachowa inspicjentka po prostu musi taka być.

Grażyna przywitała wszystkich, z każdym zamieniając kilka serdecznych słów, uścisk albo rytualne trzy pocałunki w policzek. Pięcioro

aktorów to pozornie niewiele osób, jednak nawet w tak małej grupie podniósł się gwar rozmów, jakby wszyscy wyczuli, że jeszcze przez kilka chwil mogą odwlec rozpoczęcie pracy – i postanowili z tego skwapliwie skorzystać. Grażyna podeszła wreszcie do młodego człowieka z kucykiem zerkającego na zegarek. On jako jedyny nie brał udziału w chwilowym zamęcie.

– Dzień dobry, jestem inspicjentką w tym teatrze, Grażyna Goździk, będziemy razem pracować, bardzo się cieszę – wyrzuciła z siebie na jednym oddechu.

– Dzień dobry, Damian Sowiński. Ma pani egzemplarze?

– Wszystko jest tutaj – prawą ręką ściskającą stertę papierów wykonała gest jakby poprawiała niesione dziecko.

– Świetnie, bo powinniśmy zacząć próbę trzy minuty temu, a ja nie lubię się spóźniać. Zapraszam, siądźmy przy stoliku – Sowiński odrobinnę podniósł głos.

Wszyscy skierowali się w stronę ustawionego pośrodku sceny stołu, wokół którego czekało już siedem krzeseł, butelki z wodą i szklanki. Poza tym scena była ogołocoła ze wszystkiego: zdjęto nawet kilkumetrowe materiałowe kulisy zwykle wiszące po bokach. Pewnie poszły do prania.

Dopiero teraz, w trakcie przerwy wakacyjnej, widać było, że Duża Scena Teatru Młodego Widza w rzeczywistości nie jest szczególnie duża. Boczne ściany zwężające się ku tyłowi dodatkowo zabierały przestrzeń. Podczas przedstawień, przy zawieszonych kulisach, które chowały przed widzami to, czego widzieć nie powinni, miejsca na scenie było jeszcze mniej. Od zawsze, jak wspominali najstarsi aktorzy, sprawiało to problem scenografom, reżyserów zaś zmuszało do ustawiania większości scen blisko widzów, na proscenium.

Teatr Młodego Widza nie miał zapadni ani obrotówki. Przestrzeń nad sceną była niewysoka, a u sufitu zmieściło się zaledwie kilka sztan-

kietów do podwieszania scenografii lub świateł. Z jednej strony znajdowała się kieszeń sceniczna, teraz opróżniona, zwykle zaś zagracona i wypełniona chaotycznie ustawionymi dużymi fragmentami scenografii czy wielkimi rekwizytami. Kieszeń pozwalała na szybkie zmiany scenograficzne w trakcie przedstawień, choć wielu scenografów narzekało, że jest płytka i że nie mieści w sobie wiele. Technika teatralna nie była mocną stroną tej instytucji, jednak jak na przestrzeń zaadaptowaną scena prezentowała się nie najgorzej. Pierwotnie, ponad pół wieku temu, wolno stojący gmach w centrum miasta postawiony został z myślą o domu kultury, nie o teatrze, jednak wskutek zaskakujących decyzji politycznych i zastrzyku gotówki dom kultury szybko przekształcony został w teatr. Od momentu uruchomienia Teatr Młodego Widza grał w warunkach prowizorycznych: nieustannie należało coś naprawić lub wymienić. Żaden z dyrektorów jednak nie odważył się na radykalny krok, jakim byłby remont całego budynku.

Naprzeciw domagającej się odświeżenia jamy sceny znajdowało się trzynaście rzędów widowni, w każdym po kilkanaście do nawet dwudziestu kilku miejsc. Łącznie – prawie 270 składanych foteli. Czasem zdarzało się, że wszystkie były wypełnione, ale często widownia przypominała fryzurę „na pożyczkę” z na zmianę pustymi i pełnymi rzędami zajmowanymi przez klasy i inne grupy zorganizowane. Fotele dla widzów również domagały się odświeżenia, najlepiej zaś zrobiłaby im wymiana na nowe. Musiały jednak cierpliwie poczekać na swoją kolej, bo najpierw remontowi należałoby poddać scenę i kulisy.

Przez chwilę słychać było tylko szuranie krzeseł po podłodze sceny pokrytej czarnym, tu i ówdzie podartym materiałem. Kiedy wreszcie wszyscy zajęli miejsca, wyczekujący wzrok zgromadzonych skupił się na reżyserze.

– Pani... – Sowiński zawiesił głos spoglądając na inspicjentkę.

– Grażyna Goździak – kobieta podniosła się i jednocześnie lekko ukłoniła, co wyglądało dosyć zabawnie. Sowiński uśmiechnął się.

– Pani Grażyno, rozumiem, że dyrektora nie będzie na pierwszej próbie?

– O ile wiem, to nie – Grażyna uśmiechnęła się przepaszająco.

– Rozumiem – reżyser w tym jednym słowie zawarł zmieszane w równych proporcjach lekceważenie, protekcjonalność i rezygnację. Podniósł brwi, jakby samemu sobie próbując okazać zdziwienie, po czym kontynuował: – Zanim zaczniemy czytać tekst, chcę powiedzieć kilka słów o ogólnym pomysle na przedstawienie. Jak wiecie, będziemy robić „Brzydkie kaczątko”. Od czasu do czasu każdy teatr dla dzieci musi zagrać jakąś „Małą syrenkę” czy coś takiego. Ale my nie zrobimy tutaj klasycznej wersji baśni, nie interesuje mnie zwykłe story. Chcę, żebyśmy pokazali pewien rodzaj ciemności i mroku, przez które musi przejść młody człowiek, aby dotrzeć do etapu dorosłości. I uważam, że ten tytuł nadaje się idealnie, choć kilka innych andersenów też by pasowało. Miałem robić to „Kaczątko” w Lesznie, ale tam się ostatecznie wystraszyli pomysłu. Na szczęście wasz dyrektor uznał, że warto to pokazać.

Nie był to najlepszy pomysł, żeby oznajmiać aktorom, że zagrają w spektaklu, który już na etapie projektu został odrzucony przez inny teatr. Sowiński jednak zdawał się nie dostrzegać zaskoczonych spojrzeń osób siedzących wokół stołu, nie zwrócił uwagi na podniesione brwi czy głośno wciągane powietrze. Zastłuchany we własny głos kontynuował.

– Mrok i niepokój dochodzenia do siebie, dorastanie, wszystko to są rzeczy, które będzie widać w waszej grze, w scenografii i kostiumach. Nie ma z nami dzisiaj Janka Gregorczyka, który odpowiada za kostiumy i dekor, ale niebawem dołączy i wtedy opowie więcej o swoim pomysle, pokaże wam też szczegółowe projekty kostiumów. Od siebie powiem, że inspirowały nas w myśleniu o tej premierze mroczne klimaty

Tima Burtona i kino noir, a także włoski ekspresjonizm filmowy. Strona wizualna będzie więc przejawskrawiona, wszystko wyolbrzymione i monumentalne. Mam nadzieję – powiódł wzrokiem dookoła siebie – że koncepcje Janka się tutaj zmieszczą.

Goździk uśmiechnęła się, nieznacznie opuszczając głowę, by nie zwrócić na siebie uwagi reżysera.

– Tytułowe kaczątko, które, zwróćcie uwagę, nie ma imienia, tylko jest po prostu brzydkie, może być właśnie takim obrazem dziecka przezierającego się przez okres dojrzewania. Chcę zdjąć warstwę lukru z tej opowieści i pokazać, jakie demony mogą się wiązać z czasem dorastania, a także jak bardzo dorośli nie zwracają uwagi...

Goździk szybko zrezygnowała z uważnego słuchania eksplikacji reżysera. Powiodła wzrokiem po wpatrzonych w Sowińskiego twarzach koleżanek i kolegów. Anita rzeczywiście schudła, kości policzkowe mocniej jej wystają. Pewnie służy jej ten romans – a może to już nie romans, ale związek? Kto wie, co się wydarzyło przez wakacje. Trzeba ją wypytać. Za to Jacek nie zeszczuplał ani na jotę, jak był grubaskiem, tak jest. Pocieszny facet z niego, zawsze miło się z nim gada, choćby i o pogodzie. Opalił się w okulary, pewnie przeciwsłoneczne. Ciekawe, gdzie był. Obok Jacka Górnego siedziała Magda Olszewska. Ta zawsze była twardym orzechem do zgryzienia. I przez kilka lat znajomości nic się nie zmieniło, choć Grażyna niejedną wódkę z nią wypła. Magda była naprawdę tajemniczym człowiekiem, rzadko mówiła o sobie. Jej ojciec choruje na cukrzycę, tyle Grażyna wiedziała. A może – chorował? Nie, nie, Olszewska nie wyglądała na pogrążoną w żałobie. W skupieniu malującym się na jej twarzy, o ile nie była to poza przybrana na potrzeby próby, nie było śladu kłopotów rodzinnych. Iwonka obok niej, też skupiona, ale do tego szczególnie uważna, obserwuje, wyciąga wnioski. Analityczny umysł, widać na pierwszy rzut oka. Ciekawe, jak tam u nich, jak się ma ich córka. Zosia? Zosia, tak. Muszą być we



trzy bardzo szczęśliwe, chociaż mieszkając w małym mieście w Polsce, mogłyby się skarżyć. No i Mariusz. Życie go ostatnio nie oszczędzało. Dobrze, że nie mają dziecka. To znaczy – dobrze? Cholera wie. Samemu pewnie trudniej znieść rozwód. Ale z drugiej strony dziecko byłoby dodatkowym ciężarem dla nich obojga przy...

– ... proszę? – tylko to jedno słowo usłyszała Grażyna, kiedy szturchnięta przez siedzącą obok niej Iwonę ocknęła się z zamyślenia.

– Przepraszam? – wytrącona z podróży po twarzach koleżanek i kolegów nie wiedziała, o co ją zapytano.

Sowiński westchnął, na jego twarzy na moment pojawił się wyraz zniecierpliwienia szybko zastąpiony przez uśmiech, jednak nie tak szeroki, jak wtedy, gdy zaczynał mówić.

– Prosiłem o rozdanie egzemplarzy, pani Grażyno – powiedział powoli. Pod pozornym spokojem wyczuć można było niezadowolenie. – Zda się taki jest u was zwyczaj, prawda? To nie reżyser tylko inspicjent rozdaje egzemplarze na pierwszej próbie w tym teatrze?

– Inspicjentka – odruchowo poprawiła reżysera Grażyna – tak, już. – Podała tekst Damianowi, po czym rozdała pozostałe Iwonie i Magdzie, siedzącym po obu jej stronach; zbindowane pliki kartek powędrowały wokół stołu. Grażyna spojrzała na pierwszą stronę. Wynikało z niej, że Sowiński był również autorem adaptacji baśni. Inspicjentka zagięła prawy dolny róg pierwszej strony i paznokciem docisnęła zagięcie. Od przesądów jeszcze nikt nie umarł, a niektóre z nich są zbyt stare, żeby były nieprawdziwe.

– Damian? – Iwona Konieczna zawiesiła pytająco imię reżysera w powietrzu jeszcze zanim otworzyła swój egzemplarz.

– Tak?

– Oczywiście przyjmuję wszystko to, co mówisz, ale... – zawahała się – ... wydaje mi się, że taka wizja, bardzo mroczna, upiorna i przejaskrawiona, będzie trudna do przyjęcia dla dzieci. To przedstawienie ma być



dla sześciolatek, a w tym, co mówisz, nie widzę śladu kolorów czy radości... Andersen zapisał w tej baśni dużo mroku, wiadomo, ale nie powinniśmy chyba serwować dzieciom wyłącznie ponurych opowieści o tym, jakie trudne jest życie – Sowiński spojrzał uważnie na Iwonę. – Mają jeszcze czas, żeby się o tym dowiedzieć.

Reżyser również nie otworzył jeszcze swojego egzemplarza. Teraz odłożył go na stół i przykrył obiema dłońmi. Milczał przez moment.

– Może dobrze, żebyśmy sobie pewne sprawy wyjaśnili – powiódł wzrokiem po siedzących przy stole aktorach, spojrzał na inspicjentkę. – Chyba trochę się różnimy w kwestii tego, co należy, a czego nie należy serwować dzieciom. Na końcu spektaklu jednak dochodzi do jakiegoś rodzaju rozpoznania, do świetlistości, mówiłem o tym przed chwilą: przybywają łąbędzie, a kaczątko odkrywa swoją prawdziwą tożsamość dzięki spotkaniu z nimi. To tak, jakby spotkanie z innym uświadamiało nam, że „ja” to też „inny” i że w tej „inności” wszyscy jesteśmy tacy sami.

– Cholera, trochę to skomplikowane. To przecież tylko bajka. Wiesz, Damian, jesteśmy małym teatrem gdzieś w Polsce, na końcu świata. Nie pracujemy w Warszawie, nie przyjeżdżają do nas krytycy z ogólnopolskich gazet, mamy szczęście, jeśli w ogóle pojawi się jakaś recenzja. Tu widzowie oczekują prostych rzeczy. Dzieciaki nie odczytają takich treści, o jakich mówisz, a już nauczycielki... – Iwona spojrzała na kolegów. – Co uważacie? – dodała.

– Poza tobą nikt z nas nie ma dziecka – uświadomił jej Jacek.

– Ale pracujemy w teatrze dla dzieci! – Iwona nieco podniosła głos.

– Proponuję, żebyśmy przeczytali tekst, a po lekturze zastanowili się nad nim i nad tym, co przed chwilą opowiedział Damian – Mariusz Brocki, dotychczas milczący, próbował załagodzić pełzający spór.

– Dziękuję, Mariusz – Damian uciął dyskusję, jakby bał się, że może rozwinąć się w nieoczekiwane strony. – Przeczytam teraz obsadę, pro-

szę, żebyście sobie zanotowali, kogo będziecie grać. – Odczekał chwilę, aż każdy wyjmie długopis. – Gotowi? Anita: rola tytułowa. Iwona: Mama Kaczka, Drzewo Pierwsze, Wiatr, Niepewność, Łabędź Pierwszy. Magda: Kaczętko Pierwsze, Drzewo Drugie, Wiatr, Radość, Łabędź Drugi. Jacek: Kaczętko Drugie, Krzak, Chmura, Strach, Łabędź Trzeci. Mariusz: Kaczętko Trzecie, Drzewo Trzecie, Burza, Samotność, Łabędź Czwarty. Wszyscy zanotowali?

– Trochę groźne te postaci: Strach, Niepewność... – Olszewska odebrała wzrok od pierwszej strony egzemplarza, na której zanotowała obsadę, i spojrzała na reżysera.

– To jeszcze nic, kostiumy to dopiero będzie groza – Sowiński szelmowsko mrugnął do niej. Aktorka, zakłopotana, bo nie o tego typu ripostę jej chodziło, z powrotem pochyliła głowę nad tekstem. – Zaczynamy, bardzo proszę, pani Grażyna będzie czytać didaskalia.

Wszyscy otworzyli egzemplarze. Grażyna zsunęła okulary na koniuszek nosa, odgarnęła włosy z czoła i zaczęła czytać.

– Cisza i ciemność. Światło wydobywa kilka pionowych figur. Dopiero gdy wzrok przyzwyczai się do ciemności, dostrzegamy, że to obłe kształty, a po jeszcze dłuższej chwili widzimy, że są to nienaturalnie wielkie jaja...

Jadwiga Falkowska odkopywała spośród licznych e-maili te najistotniejsze. Pierwszy dzień po urlopie zawsze był trudny, dla każdego – i Falkowska, zajmująca się w Teatrze Młodego Widza produkcją przedstawień, nie stanowiła tu wyjątku. Starła się jednak tak zaplanować wypoczynek, żeby wrócić do pracy pod koniec tygodnia i po jednym czy dwóch dniach za biurkiem cieszyć się wolnym weekendem. Usunęła kolejny newsletter sklepu z materiałami budowlanymi. Materiały budowlane – gdyby kilkanaście lat temu ktokolwiek powiedział jej, że bę-

dzie ją interesować cena cementu, węża ogrodniczego, sekatorów do żywoplotów albo materiałów tapicerskich, wyśmiałaby go. A jednak...

– Proszę – zawołała w reakcji na pukanie do drzwi. Zawołała włąd-  
czo, trochę za głośno, jak na rozmiary swego niewielkiego gabinetu.

– Cześć, Jadzia – Grażyna Goździk zajrzała do pomieszczenia. Fal-  
kowska kiwnęła przyjaźnie głową i inspicjentka weszła do środka.

– Zaczęliście próby już? – Jadwiga wstała, kobiety uścisnęły się.

Jadwiga pracowała w teatrze znacznie krócej niż Grażyna. Gdy je-  
denaście lat temu Falkowską wrzucono w wir produkcji przedstawień,  
Goździk obchodziła jubileusz trzydziestolecia pracy. Jednak różnica  
wieku i doświadczenia okazały się mało ważne: obie kobiety znalazły  
wspólny język i zaprzyjaźniły się, mimo odmiennych światopoglądów  
i doświadczeń życiowych. Inspicjentka nie pochwałała stylu życia Fal-  
kowskiej i jej niesformalizowanego, wieloletniego związku, producent-  
ka z kolei dziwiła się, jak Goździk mogła tyle lat wytrzymać w staropa-  
nieństwie. Uważnie jednak opływały rafy tematów osobistych i między  
innymi dzięki tej umiejętności ich znajomość przerodziła się w przyjaźń.

Grażyna wydała z siebie dźwięk mieszczący się gdzieś pomiędzy wes-  
tchnieniem a pomrukiem i ciężko zasiadła w fotelu. Jadwiga wiedziała,  
że takie westchnienie jest wstępem do dłuższej opowieści. Nie była  
tylko pewna, czy będzie to opowieść o wakacjach, czy o dopiero co za-  
kończonych – spojrzała na zegarek, właśnie minęła czternasta – próbie.

– Sama nie wiem, co myśleć o tej premierze – zaczęła Grażyna.

– Widziałam się przed urlopem ze scenografem – Jadwiga nawiązała  
do obaw koleżanki.

– Gregorczyk, tak? – spytała Grażyna.

– Janek Gregorczyk. Konkretny, młody chłopak, całkiem sympatycz-  
ny, z pomysłami, ale twardo chodzi po ziemi. Podoba mi się, dobrze się  
z nim pracuje, i poukładany taki. To jego projekty – przesunęła kilka

kartek po biurku w stronę Grażyny. Inspicjentka zaczęła mówić, przeglądając je.

– Ten reżyser też wydaje się być w porządku. Mądry chłopak, fajnie gada, zobaczymy, jak na scenie, ale kilka premier już zrobił. Wszystko ma zaplanowane w głowie, cały kalendarz prób, co kto robi, jaka muzyka i w ogóle, ale – Grażyna podniosła wzrok na Jadwigę – ja nie wiem, Jadzia, nie wiem, czy to będzie żarło, czy będzie widz.

Jadwiga oddała spojrzenie. Obawa o to, czy „będzie żarło”, zawsze towarzyszyła ludziom teatru, szczególnie przy bardziej ryzykownych przedsięwzięciach. W teatrze dla dzieci ryzyko, wydawać by się mogło, nie było największe: w najgorszym wypadku grano jeszcze więcej lektur, żeby finanse się zbilansowały, a nieudany tytuł po cichu i bez rozgłosu zdejmowano z afisza. Jednak obie kobiety wiedziały, że nie wyłącznie o finanse chodzi. W grę wchodziło również morale zespołu, istotna była opinia o teatrze, w końcu także ważne było i to, by nie proponować widzom przedstawień kiepskiej jakości. Publiczność to zmienny i kapryśny partner do rozmowy. Tylko farsa z gwiazdami dawała gwarancję powodzenia i długiej eksploatacji tytułu. Teatr Młodego Widza zaś nie grał fars, nie zatrudniał również gwiazd.

– Mroczne jest to wszystko. Przez cały spektakl kaczątko biedne tłucze się ze swoją psychiką, z jakimiś majakami się spotyka, widziadłami, przychodzi do niego Niepewność, przychodzi Strach... Kostiumy też, widzę, niewesołe – Grażyna przesunęła projekty po blacie z powrotem w stronę Jadwigi. – I dopiero na samym końcu z tego błota, tej ciemności wychodzi promyczek światła. Aktorzy też trochę kręcili nosem...

– Kto tam gra? – padło rzeczowe pytanie.

– Anita tytułową, a reszta, Magda, Iwona, Jacek, Mariusz, po parę ról, jak zawsze. Drzewo, Krzak, Mama Kaczka...

– Dobra obsada.

– Najlepsza, patrząc na naszych aktorów. Podobno reżyser sobie ich zażyczył. Nikt o tym głośno nie mówi, ale przecież dyrektor sam z siebie by mu takiego składu nie dał. Zresztą Sowiński w tamtym sezonie oglądał nasze spektakle. Tak słyszałam. Pewnie więc sobie wybrał, kogo chciał. Wolno mu. W końcu to wschodząca gwiazda. Najgorsze jest to, że jak „Kaczętko” będzie grane, czy nawet jak będzie próba, to prawie nic innego nie możemy zagrać, wszędzie się obsada nakłada.

– Bardzo możliwe. Chcesz jabłko? – Jadwiga wskazała dłonią na wiklinowy koszyk, w którym leżały owoce.

– Nie, dzięki, ja tylko na moment wpadłam, przywitać się, i lecę pomieszkać, bo przecież wieczorem znowu próba czytana. Nie lubię tych prób stolikowych, niech już się coś zacznie dziać. Mroczne te projekty – dodała, raz jeszcze kierując wzrok na gęsto pokryte notatkami kartki na blacie biurka Jadwigi.

– Mówiłam Gregorczykowi, żeby pogadał z reżyserem, żeby jeszcze raz przemyśleli, czy na pewno chcą taką ciemność na scenie, ale chyba Sowiński go popycha w te rejony.

– Naprawdę, najbardziej boję się, że to nie będzie szło. Tyle pracy, tyle pieniędzy i wszystko w powietrze – Grażyna wstała nieoczekiwanie. – Spadam. Do zobaczenia, Jadzia.

– Do zobaczenia.

Za wychodzącą zamknęły się drzwi. Jadwiga przysunęła w swoją stronę projekty i spojrzała na nie zza okularów. Zaczekała, po czym odsunęła kartki na bok i wróciła do przeglądania poczty elektronicznej. Podczas kilkuminutowej rozmowy przyszły dwa kolejne newslettery, tym razem zabezpieczenia przeciwpożarowe i personalizowane torty. Jadwiga usunęła obie wiadomości, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Czego to ludzie nie wymyślą – wymamrotała do siebie.

## 5 SIERPNIĄ, PIĄTEK

Poranna próba zawsze była tą trudniejszą w ciągu dnia – aktorzy zasniali, niektórzy skacowani albo nie do końca dobudzeni ociężale snuli się po scenie. Ostatnią rzeczą, o jakiej myśleli, były zadania ruchowe. Jakby na przekór ich przyzwyczajeniom Sowiński uparł się, żeby ledwie po dwóch próbach czytanych szybko zarysować całość przedstawienia. I właśnie tego dnia rano zaczęli szkicować sceniczny kształt spektaklu.

– Będziemy próbować chronologicznie, więc zaczniemy scenę pierwszą i drugą tak, jak je przed chwilą omówiliśmy – donośnym głosem perorował z czwartego rzędu. Aktorzy skupili się w gromadce przy proscenium. – Iwona idzie w kulisę, pozostali na środek sceny. Magda, Mariusz i Jacek wokół Kaczątka, w pozycjach jaja, czyli skuleni. Anita w środku, też skulona. I te jaja się otwierają, zamarkujecie to rękami. A potem przewracacie się na plecy tak, żeby odsłonić jajo z kaczątkiem no i dalej, tak jak mówiliśmy. Spróbujmy na pusto najpierw. Proszę, do kręgu. Teraz pozycja jaja i na mój sygnał jaja pękają. Wytrzymajcie, wytrzymajcie... Raz... Dwa... Trzy!

Troje aktorów przewróciło się na plecy, nieporadnie imitując wyklukanie się piskląt.

– Iwona, wchodzisz, rozglądasz się, orientujesz w sytuacji, pomagasz im wstać – z kulisy wysunęła się Iwona drobiąc krok. Imitując ptasią nerwowość spojrzała na widownię i za siebie, po czym zwróciła wzrok w stronę jaj, podskoczyła i ruszyła żwawiej ku pozostałym aktorom. Zatrzymał ją głos Sowińskiego: – Ale nie tak komicznie, nie tak komicznie, Iwona, proszę.

– Jeszcze raz? – aktorka odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

– Nie, jedźmy dalej, tylko pamiętaj o tym. Tak, idziesz w ich stronę, dobrze. I teraz tak jak mówiliśmy, spróbuj doprowadzić do tego, że trzy małe kaczki są jedna obok drugiej... Nie musicie być w takim szeregu,

nie aż tak porządnie, trochę więcej chaosu, dopiero się wykluliście. Anita jeszcze schowana, jeszcze się nie ruszasz... I teraz dopiero Mama Kaczka spogląda na ostatnie jajo niewyklute. Tak, podchodzisz do niego... Nie, nie, nie, próba STOP!

Sowiński poderwał się, wybiegł pomiędzy foteli i wskoczył na scenę. Goździk z wysokości szóstego rzędu podniosła wzrok znad ukradkiem rozwiązywanej krzyżówki schowanej między stronami egzemplarza sztuki. Chociaż wołała próby sceniczne, to nawet ją zdziwiło, że reżyser tak szybko wypuścił aktorów na scenę – zwłaszcza że jego propozycja inscenizacji baśni wydawała się nieoczywista. Inspicjentka miała wrażenie, że jeszcze nie wszyscy są świadomi tego, jakie nastroje mają towarzyszyć spektaklowi, że aktorzy nie są gotowi do prób sytuacyjnych, w dodatku tak błyskawicznie ustawianych.

– Prosiłem przecież, żebyście nie podgrywali po dziecięcemu. Żadnej grubej kreski, żadnego udawania zwierząt! Trochę abstrakcyjnego ruchu. Wiem, że jeszcze nie próbowaliśmy choreografii, ale użyjcie wyobraźni. Taki macie zawód!

Sowiński zrobił szybkie kółko po scenie, po czym zatrzymał się przy jej brzegu i spojrzał na aktorów. Przybrał stanowczy ton.

– Budujemy świat nieprzyjazny, w którym następuje coś jakby zderzenie kultur, zderzenie cywilizacji. Ona – wskazał na Anitę – rodzi się później niż pozostali, gorzej sobie ze wszystkim radzi, jest brzydka, inna, odstaje. To jakby muzułmankę nagle przenieść do Europy. O, wiem, muzułmanka, w tych swoich chustach, nagle pojawia się w burdelu w Amsterdamie, gdzie się dzieje wszystko. I teraz: ona nie wie, o co chodzi, a oni – gestem zaznaczył grupę kacząt i ich matki – nie potrafią jej zrozumieć. I przez to zderzenie rodzi się metafora większa niż tylko łabądek wśród kaczek, rozumiecie?

– Damian, ale my dopiero weszliśmy na scenę, to są pierwsze kroki...  
– Mariusz Brocki wysunął się przed pozostałych.



– Ja wiem. Wiem to. Ale od początku musicie mieć w głowie, co próbujemy, w jakim celu oraz dlaczego właśnie tak to robimy. Przecież to jest pierwsza scena, ona ma nam ustawić przedstawienie.

– Chyba trochę nas paraliżuje nastrój tego spektaklu – Iwona wróciła do tematu, który podjęła już wcześniej. – Paraliżuje, więc może nie chcący staramy się łagodzić...

– To się nie starajcie! – Damian odwrócił się na pięcie, przykucnął i zeskoczył ze sceny. – Nie grajcie mi tu kaczych narodzin. Zagrajcie zderzenie cywilizacji. O, wiem, UFO! Wylądowało, kurwa, UFO na polu zboża, a rolnicy z okolicznych chałup trochę chcą je obejrzyć, a trochę się boją. Jest środek nocy, nie ma świateł, wiocha zabita dechami, a wy podchodzicie do latającego talerza – reżyser wrócił na zajmowane przez siebie miejsce pośrodku czwartego rzędu. – Proszę, jeszcze raz, bez komizmu, gracie grozę. Aha: teraz możecie coś tam dograć miną, ciałem, ale pamiętajcie, jak wyglądają wasze kostiumy w tej scenie: pełne maski i wszędzie pióra. Nie ma rąk ani palców, są skrzydła.

– To ja gram kurwę z Amsterdamu, czy rolnika z wioski zabitej dechami? – Magda rzuciła poważnym tonem pytanie w stronę reżysera.

– Unikamy jednoznacznych odpowiedzi – Sowiński zasiadł w fotelu. – Proszę, ustawienie do pierwszej sceny, Iwona w kulisę.

– No, no... – Grażyna Goździk zsunęła okulary nieco niżej i wróciła do krzyżówki.

W przerwie wieczornej próby, przy szeroko otwartym oknie damskiej garderoby, Magda Olszewska uważnie słuchała wyważonej opinii Iwony Koniecznej. Kobiety siedziały naprzeciw siebie na wytartych, wysłużonych krzesłach, w długim, wąskim pomieszczeniu, do którego wiele lat temu przyłgnęło określenie „jamnik”. Olszewska dopijała wodę, Konieczna wyginała w dłoniach egzemplarz tekstu. Wczesny wieczór był



duszny, jakby zapowiadał burzę. Albo jakby powietrze przeszło napiętą atmosferą prób.

– Ani nasza Zośka nie twierdzi, że to jest bardzo mroczne, ani Agnieszka nie. Opowiedziałam im, co robimy, nie przejęły się szczególnie. Moja Agnieszka mówi nawet, że to może być coś naprawdę ciekawego.

– Ale przecież Agnieszka nie pracuje w teatrze – zaproponowała Magda.

– Nie, w korporacji. Ale jest wrażliwa na sztukę.

– Ale nie o to tutaj chodzi, tylko o jakieś wyczucie. A żeby je mieć, trzeba siedzieć w tej branży. Mnie się wydaje... – zawiesiła głos, bo donośny szum spuszczonej wody na chwilę zagłuszył wszystkie inne dźwięki – ... mnie się wydaje – podjęła po chwili – że to jest jakaś obmyślona hucpa. Sowiński gra na siebie: może chce, żeby przyjechał jakiś recenzent z kraju, może potrzebuje takiego dziwnego spektaklu do CV. On w ogóle nie myśli lokalnie, a przecież ludzie tutaj nie będą na to chodzić. Nawet jeśli jego pomysł ma sens, to jest zbyt ambitny jak na to miasto.

– Madzia, przesadzasz – Iwona łagodnym tonem próbowała ugłaskać wojowniczo nastawioną koleżankę.

– Zobacz, co się dzieje: już mamy kurwy z Holandii i UFO na polu. A jesteśmy przed połową całości. Czy ten koleś w ogóle potrafi pracować z aktorem?

– Jaki koleś? – Anita wyszła z łazienki, wycierając dłonie o bluzkę. W łazience jak zwykle skończyły się papierowe ręczniki, zaś ze względu na bliskość sceny żaden dyrektor nie zgodziłby się na zamontowanie w garderobach wyjącej, głośnej suszarki do rąk.

– No Sowiński – prychnęła Magda.

– Mnie nie przypadł do gustu. Wiem, że wam jest trudniej, bo co scenę gracie coś innego, ale ja też mam zastrzeżenia – Anita okrzykiem

usiadła na swoim krześle. – Zrobiliśmy biegiem ile?, chyba trzy sceny, pewnie do jutra postawimy całość, ale chodzimy z tekstami w garści, człowiek nie wie, za co się złapać, czy biec z lewa na prawo, czy tekst podawać, czy co, tyle jest roboty. A fizycznie czuję się jakby mnie ktoś przegonił przez zasieki. Myślałam, że mam kondycję, ale te wszystkie upadania, popychania, biegania... kolana będę jutro miała całe sine, na pewno.

– Trzeba go przeczekać. Gorzej bywało i też klaskali – Iwona podniosła się energicznie. – Wracamy?

– Zapraszam na scenę, za minutę koniec przerwy – zatrzeszczał głos inspicjentki w głośniku interkomu, jakby w odpowiedzi na pytanie Koniecznej. Aktorki ruszyły w stronę wyjścia z garderoby pogrążone w swoich myślach. Okno zostawiły otwarte. Sierpniowa duchota nie zelżała.

## 6 SIERPNIA, SOBOTA

Anita przemykała pomiędzy stojącymi w szeregu „drzewami”, Iwoną, Magdą i Mariuszem, oraz siedzącym na podłodze między nimi Jackiem grającym krzak. „Uciekała” przed próbującymi ją „złapać” drzewami i krzakiem. Drzewa wyły pojedyncze słowa: „mróz”, „umrzesz”, „zguba”, przeciągając literę „u” w każdym wyrazie. Jacek w roli Krzaka nienaturalnie niskim głosem wydobywał z siebie na zmianę słowa „wrzeszczysz” i „zamarzniesz” próbując nimi imitować szelest gałęzi. Beładna i nieuporządkowana biegająca była już trzecim, a może nawet czwartym tego dnia podejściem aktorów do sceny ucieczki Kaczątka przez nieprzyjazny las.

Damian Sowiński obserwował uważnie wykonawców, od czasu do czasu kiwając głową, jakby potakiwał swoim myślom. Nagle poderwał

się z fotela, co natychmiast wzbudziło uwagę siedzącej dwa rzędy za nim inspicjentki. Podniósł rękę, jakby chciał coś zasygnalizować, zaczerpnął powietrza – ale powstrzymał sam siebie i nie przerwał próby. Opuścił rękę, ponownie pokiwał głową do swoich myśli, tym razem nieco energiczniej, i wypuścił powietrze między zębami z cichym sykiem. Na scenie czworo aktorów otoczyło skuloną na podłodze Anitę. Magda z Iwoną nachylały się nad nią, imitując ruch gałęzi, Mariusz stojący za grupką kobiet wymachiwał rękami w górze i wydawał z siebie dźwięk mający naśladować wycie wiatru. Przykucnięty Jacek przemieszczał się po podłodze przed wszystkimi, wydając szeleszczące, nieartykułowane dźwięki. Trwało to dłuższą chwilę, wreszcie reżyser głośno zatrzymał próbę.

– Słuchajcie, to jest niezłe, naprawdę, nabiera już jakiegoś wyrazu. Ale myślę nad małą zmianą. Właśnie przyszła mi do głowy. Chciałbym tak zrobić kostiumy drzew, żebyście mogli na koniec sceny odłożyć gałęzie albo zamocować je na sobie, i okładać kaczętko rękami. Tak, wicie, serio, żeby było słychać uderzenia. To będzie mocne.

Aktorzy spojrzeli na niego bez zrozumienia. Milcząca wymiana spojrzeń między sceną a widownią trwała może trochę za długo. W końcu milczenie przerwała Anita, próbując zracjonalizować to, co właśnie usłyszała.

– Chcesz, żeby... oni mnie bili?

– Tylko trochę, ale żeby to było słychać. Zrywamy z udawaniem, to będzie taki moment prawdy na scenie – reżyser spoglądał na aktorów, ale nie doczekał się reakcji z ich strony. – Na próbę chociaż, pokażcie mi, jak to będzie wyglądało. Proszę, do przebiegu sceny lasu, od początku, jeszcze raz.

Anita przyjrzała się Damianowi, szukając na jego twarzy miny sugerującej, że to, co właśnie wszyscy usłyszeli, było żartem. Nie odnalazła jednak nawet śladu dowcipu. Skierowała wzrok na kolegów, którzy

wyglądali na równie skonsternowanych. Wzruszyła ramionami, przywołując na twarz grymas, który mniej uważny obserwator mógłby wziąć za pozbawiony pewności uśmiech, po czym przeszła z centrum sceny w kulisę. Magda, Iwona i Mariusz stanęli w szeregu, jak przed chwilą, Jacek usiadł między nimi. Aktorzy nie byli do końca pewni tego, co mają zaraz zrobić i czy na pewno dobrze zrozumieli wskazówkę reżyserską, ale w milczącym porozumieniu postanowili podjąć próbę jej wykonania.

Na dany przez Damiana sygnał Anita wybiegła z kulisy i ruszyła w stronę grupy. Tak jak to ustalili wcześniej, wyminęła Mariusza, który zamarkował gest uderzania zachowując jednak bezpieczną odległość, w następnej kolejności okrążyła Jacka, który wijąc się po podłodze wymachiwał rękami w jej stronę, czynił to jednak bez większego przekonania. Zatrzymała się z przodu sceny, aby zawrócić i ruszyć ustaloną trasą w stronę Magdy i Iwony, gdy nieoczekiwanie szereg drzew został zerwany.

– Nie, kurwa mać, Damian, nie! – Magda Olszewska podniosła ze stolika stojącego za aktorami swój egzemplarz tekstu, rzuciła nim o podłogę sceny, zabobonnie przydepnęła i podniosła. Goździk z uznaniem zanotowała w pamięci, że aktorka nawet w nerwowej sytuacji pamięta o teatralnym przesądzie.

– Magda... – głos Damiana, najwyraźniej zaskoczonego reakcją aktorki, załamał się, jakby reżyser nie był pewien, czy chce tym jednym słowem zadać pytanie, czy przywołać ją do porządku.

– Jebiemy tu jakieś czary-mary, a daję głowę – głowę, słyszysz?! – że dzieciaki już na tej scenie będą wyły ze strachu. Jeśli nie wcześniej, I że je będą przedszkolanki wyprowadzać z widowni. Nie da się tak grać dla dzieci. Ile zrobiłeś przedstawień dla dzieciaków? – Olszewska w kilku krokach pokonała odległość dzielącą ją od proscenium i stanęła przy samej krawędzi wzniesienia sceny.

– Magda, to nie jest ta kwestia... – Damian zaoponował energicznie, podnosząc się z fotela, który mechanicznie złożył się.

– Właśnie że to jest ta kwestia! Możemy się zarzynać, a tego od połowy już nikt nie będzie oglądał. To nie jest pomysł na sztukę dla sześciolatków! Co to w ogóle za temat? UFO? Muzułmanka w burdelu? I teraz mam jeszcze wpierdolić koleżance, żeby znaleźć „prawdę na scenie”? Serio, „prawdę”?

– Nie da się znaleźć, jeśli się nie szuka – zripostował Damian zaskakująco spokojnie. Jego spokój jeszcze bardziej rozsierdził Magdalenę.

– To nie jest rzeczywistość, stary, to teatr, może zapomniłeś.

– Ale w szukaniu prawdy nie wyręczy nas nic...

– Ty nie pracujesz u Warlikowskiego, człowieku, tylko w prowincjonalnym teatrze dla dzieci! Przecież jak pójdzie plotka, że to spektakl o śmierci i mroku, że się aktorzy biją na scenie, że są aluzje seksualne, to nikt na to, kurwa, nie przyjdzie. Zależy ci, żeby to było grane? Zależy ci? Bo nam tak.

Reżyser oparł się o złożony fotel pośladekmi.

– Damian, Magda... – Górny spróbował rozluźnić napiętą sytuację, bez gracji podniósł się z podłogi i podszedł do dyszącej Magdy. – Jesteśmy w trakcie trzeciej próby na scenie, jeszcze nikt nie wie, jak do końca będzie wyglądał ten spektakl...

– Jacek, nie pomagasz – Iwona również zabrała głos. Razem z Mariuszem Brockim też już nie stali w szeregu, wespół z Anitą podeszli do Magdy i Jacka. Konieczna zwróciła się do reżysera: – Od pierwszej próby rozmawiamy o tym, że to mroczne przedstawienie. Wiem, że sytuacje dopiero raczkują, ale chyba nikt nie ma wątpliwości, że spektakl będzie ponury, i że nawet finał go nie rozświetli jakoś szczególnie.

– Ale mi nie chodzi o rozświetlanie – Damian oderwał się od złożonego fotela.

– To o co ci chodzi? Czy ty chcesz jakieś swoje traumy tym leczyć? – Magda warknęła w stronę reżysera.

– Jakie traumy, co ty pieprzysz? – Damian podniósł głos.

– No to spójrz na to z boku. Spójrz, jak nas poustawiałeś, jak się rozwijają postaci, co się dzieje z...

– Przepraszam was, ale chyba marnujemy czas – Jacek spróbował ponownie załagodzić sytuację. Niestety, nie udało mu się to, jego słowa trafiły w czuły punkt reżysera.

– Trwa próba. A przynajmniej ja jestem na próbie. Próba nie jest marnowaniem czasu, tylko pracą – Sowiński zaripostował zimno.

– Jacek miał na myśli to, że chcieliśmy przedyskutować twoje ustalenia już wcześniej, ale ta dyskusja się nie odbyła – Mariusz nie dał się usadzić słowem ani spojrzeniem reżysera i swoim spokojnym głosem ujął się za kolegą. Jednak Sowiński nie zamierzał odpuścić, przeciwnie, uparcie trwał przy swoim stanowisku.

– Poprowadziłem dwie czterogodzinne próby stolikowe. Nie chcieliście dyskutować.

– Nie, kurwa, ja wychodzę – Olszewska energicznie odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kulisy.

– Magda, poczekaj... – zareagowała Anita. Olszewska była już w połowie drogi do wiodącego do garderób wyjścia ze sceny. Na głos Anity zatrzymała się i niechętnie, jakby wbrew sobie odwróciła w stronę koleżanek i kolegów, celowo omijając wzrokiem Sowińskiego.

– Na co mam, kurwa, czekać?! – zapytała. – Nie wystarczy ci, że mieliśmy cię pobić? Mam czekać, aż on się każe nam siekierami rąbać na scenie, czy aż mi każe jaja dupą znieść? Tu się jakaś hucpa odpierdala! O co ci chodzi, człowieku – zwróciła się w stronę Sowińskiego – żeby dzieciaki przestały do teatru przychodzić? Dwa razy się zastanów, zanim cokolwiek zrobisz. Cztery razy, kurwa – Olszewska ponownie

skierowała się w stronę kulisy i szybkim krokiem zeszła ze sceny. Drzwi zamknęły się za nią w ciszy.

Czworo pozostałych aktorów przez chwilę spoglądało na drzwi, jakby liczyli na to, że to był żart ze strony Magdy, czy może nawet ustalona wcześniej z Sowińskim prowokacja. Magda jednak nie wróciła po dwóch, pięciu ani po siedmiu sekundach. Stojący na scenie w ciszy odwrócili się w stronę reżysera i wbili w niego wzrok, oczekując jego inicjatywy.

Damian Sowiński zdążył z powrotem usiąść w swoim fotelu w czwartym rzędzie. Gdy zwrócili na niego wzrok, siedział z przedramionami opartymi o fotel znajdujący się przed nim, głowę miał opuszczoną, jakby uważnie spoglądał na wytarty dywan rozwinięty między rzędami. Trwał tak dłuższą chwilę. W końcu podniósł głowę, napotykał spojrzenia aktorów. Jego twarz zdawała się niczego nie wyrażać. Ten człowiek się w ogóle nie denerwuje, przemknęło przez myśl Iwonie.

– Koniec próby na dziś, jesteście wolni – oznajmił Sowiński po chwili. – Pani Grażyno, proszę zanotować w raporcie, że aktorka Olszewska zerwała próbę.

Goździk, choć Sowiński nie mógł tego zobaczyć, pokiwała głową i pochyliła się nad przygotowanym wcześniej dokumentem poświadczającym odbytą próbę. Spojrzała na zegarek, żeby wpisać godzinę zakończenia pracy: dochodziła dwudziesta.

– Co z wtorkowymi próbami? – Jacek Górny zabrał głos po kolejnej dłuższej chwili, nieśmiało przerywając ciszę tak donośną, że niemal fizycznie odczuwalną.

– Nie wprowadzamy żadnych zmian. Pani Grażyno, proszę dopilnować, żeby aktorka Olszewska dowiedziała się, że nie odwołujemy prób – inspicjentka znów bez słowa pokiwała głową, podsuwając reżyserowi uzupełniony raport do podpisania. Sowiński porównał godzinę wpisaną w raporcie ze stanem faktycznym. Uśmiechnął się lekko do Goździk i skrupulatnie, jak zawsze pełnym imieniem i nazwiskiem podpisał się



w odpowiednim miejscu. Oddał dokument, podniósł z fotela obok swoją torbę na ramię i przełożył jej pasek przez głowę. – Dziękuję wszystkim, do zobaczenia we wtorek – wyszedł z nieodgadnionym wyrazem twarzy, żegnany przez ciche, pożegnalne mruknięcia aktorów.

Dopiero chwilę po jego wyjściu, gdy już upewnili się, że nie wróci, aktorzy ocknęli się ze stuporu.

– Będzie afera? – Brocki w końcu rzucił pytanie w powietrze.

– Pewnie pójdzie do starego w poniedziałek – Iwona przeszła przez scenę po swoją butelkę wody stojącą w kulisie.

– Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu – Grażyna spróbowała po swojemu zamknąć dyskusję. – Gdyby coś się zmieniło, dam wam znać. Do zobaczenia! – wyszła.

Aktorzy zabrali swoje egzemplarze tekstu ze stojącego w głębi sceny stolika i z ociąganiem, w milczeniu, zeszli ze sceny. Nie przypominali sobie tak grobowego nastroju w ciągu przepracowanych w Teatrze Młodego Widza lat. Magdy Olszewskiej nie było już w garderobie.

*od:*damian <damian@sowinski.art.pl>

*do:*TMW Sekretariat <sekretariat@tmw.art.pl>

*data:*6 sierpnia 20:04

*temat:*pilne

*bezpieczeństwo:*Standardowe szyfrowanie (TLS)

*treść:*

witam

jestem zmuszony prosic o interwencje dyrektora

wiem ze jest pozno i sobota ale bardzo mi na tym zalezy, aktorka zerwala probe prosze poinformowac dyrektora ze musimy się spotkac bede w poniedzialek

rano

to PILNE

pozdr

ds.



## KONSPEKT

Książka obejmie 12 miesięcy (lipiec-czerwiec), zamknie się więc w tytułowym sezonie. Bohaterami będą pracownicy położonego w małej (nienazwanej) miejscowości w Polsce Teatru Młodego Widza: od dyrektora do sprzątaczk. Narracja prowadzona będzie w trzeciej osobie. Uzupełnią ją teksty „niezależne”, np. recenzje z przedstawień, e-maile, korespondencja kierowana do teatru; stanowić one będą niewielki procent całości. Głównym bohaterem książki stanie się teatr – instytucja, miejsce pracy, fascynujące zjawisko i rutynowa codzienność jednocześnie.

Zasadniczą treścią opowieści będzie opis elementów pracy artystycznej takich jak próby, premiery, przedstawienia, występy gościnne, a także ambicje aktorskie i aspiracje reżyserskie. Książka przybliży proces powstawania kolejnych premier, odczaruje artystowską aurę, jaką otoczona jest praca na scenie, pokaże ludzi teatru w sytuacjach konfliktu, nieporozumień i awantur, ale również współpracy i działania na rzecz większego dobra – granego przedstawienia. Równoległe z motywami pracy scenicznej w powieści pojawią się wątki prywatne, m.in. zawiedziona miłość, próba samobójcza, zazdrość o powodzenie między aktorkami, nieudana premiera, banalne przedstawienia oraz wielkie, ale niedocenione osiągnięcia sceniczne. Ważnym wątkiem będzie motyw starej aktorki, która mierzy się z problemem konieczności odejścia z zawodu i szuka dla siebie możliwości przedłużenia pracy.

Drugi plan wypełnią zawodowe i osobiste historie pozostałych pracowników teatru: dyrektora, pionu administracji, księgowych, pracowników technicznych, kasjera itp. Powieść skupi się na ich życiu osobistym, pojawią się m.in. wątki takie jak rozwód, uzupełnianie edukacji, frustracja, wypalenie zawodowe, potrzeba zmiany, ale też satysfakcja z pracy i podejmowane z nadzieją przełomowe decyzje. Część tych historii znajdzie rozwiązanie w powieści, niektóre pozostaną otwarte.

Epizodycznie pojawią się postaci spoza grona pracowników teatru, np. członkowie rodzin.

Nienazwana miejscowość, w której znajduje się teatr, to niewielkie, generujące ograniczenia i frustracje miasto, do którego nie przyjeżdżają np. poważani krytycy

teatralni czy interesujący reżyserzy. Teatr nie jest tam w zasadzie potrzebny. Miałoby to być ważnym, choć ukazany pośrednio bohaterem książki.

Powieść będzie mieć kompozycję otwartą (niedokończone wątki) jednocześnie jednak będzie zwartą całością (struktura sezonu teatralnego). Skupiając się na artystycznych obszarach funkcjonowania teatru, książka zarysuje czytelnikom charakter pracy w takim miejscu, przybliży specyfikę teatralnych profesji (jak rzemieślnik teatralny), odsłoni kulisy powstawania i eksploatacji przedstawień, wprowadzi w atmosferę pracy teatralnej. Postacią prowadzącą czytelnika będzie inspicjentka, którą, ze względu na charakter swojego zawodu, w naturalny sposób może rozjaśnić meandry funkcjonowania instytucji.

Książka inspirowana będzie rzeczywistymi historiami i osobami.

Aneta Pondo

## Blizna

### ROZDZIAŁ DRUGI

#### BARANY

Rogi zwisały splecione w ciasne obwarzanki, z głowy wyskakiwały piłki pingpongowe oczu, a ciała w kształcie pękatych chmur kolebały się na cienkich nóżkach. Bladożółte barany, wystylizowane na rysunki kilkulatka, w którym nikt nie zdążył zabić twórczej spontaniczności, gęsto zaludniały wysłużoną tapetę przed oczami Marty. Baran za baranem, rząd kroczący w prawo, rząd w lewo.

Pach, ciało Marty unosiło się, a lewoskrętne barany patrzyły zdziwione w jej oczy, bach, ciało opadało, prawoskrętne barany obnażały złośliwie zęby. W miarę jak Roman ją posuwał, najpierw rytmicznie, a potem z narastającą nerwowością, Marta przeanalizowała każdą baranią pozycję, jak w zabawie znajdź dziesięć szczegółów, którymi różni się rysunek prawy od lewego. Oczy otwarte lub przymknięte, zęby obnażone lub wargi zasznurowane w milczeniu, nogi sztywne lub ugięte w kolanach niczym połamane zapałki. Wyselekcjonowała wszystkie typy baranów, a on ciągle nie kończył. Klęczała wciśnięta w materac, a Roman sapał wczepiony

w jej pośladki. Jezu, ile to jeszcze potrwa, pewnie za słabo protestowała i nie rozumiała, że naprawdę nie chce, a próba wyszarpięcia się nie poskutkowała. Z Romkiem się nie dyskutuje, on chciał ją przelecieć, a ona miała się cieszyć, że nadal go podnieca. Tyle że się przeliczył i zamiast szybkiego numerku wyszła rozpaczliwa agonია. Pach, bach. Czy on ciągle musi się pieprzyć, jak królik?

Gdyby Marta potrafiła odróżnić seks od przymusu, byłoby łatwiej. Albo trudniej. Ale nie potrafiła. Albo nie chciała. Bo co by z tą wiedzą zrobiła? Z dziewictwem rozstała się późno. Trochę z przekonania, że pierwszy raz to tylko z mężczyzną wybranym na całe życie, bardziej z obawy, że jak raz prześpi się z facetem, będzie musiała to robić codziennie, głównie jednak dlatego, że przez kilka lat po wypadku nie zauważała mężczyzn, tak samo jak reszty świata.

– Zróbmy przerwę. Spóźnimy się na autobus – próbowała jeszcze raz się wykręcić, ale tylko mocniej docisnęła ją do materaca.

– Zamknij się.

Zamknęła się. Pach, bach, odwróciła lekko głowę w prawo, zegar nad stadem baranów pokazywał drugą. Nie zdążyła, nawet gdyby teraz skończył i gdyby miała wszystko spakowane, a nie miała, bo ją Roman pchnął na podłogę, gdy wrzucała do torby kosmetyczkę i majtki na zmianę. Próbowała myśleć o czymś przyjemnym, ale nie miała się czego uchwycić. Już nie mogę, zaraz mnie obetrzesz, chciała powiedzieć, wolała jednak nie ryzykować, bo wiedziała, że urażona męska duma jest jeszcze gorsza od niemocy. Czekwała w cierpliwej rezygnacji. Romantyzm pierwszych spotkań, kiedy obejmował ją zachwyconym spojrzeniem i niskim głosem opowiadał, co jej za chwilę zrobi, należał do innej Marty i innego Romana.

Pach, bach, wreszcie dramatyczne aaaaaa wyrwało się z gardła mężczyzny. Opadł na jej plecy z ulgą maratończyka na mecie. Kilka

razy wciągnął powietrze, a kiedy wyrównał oddech, przejechał ręką po jej włosach, podniósł się i zadowolony podciągnął spodnie.

– No dobra, zbieramy się.

– Teraz to już nie ma do czego się zbierać, następny autobus wieczorem – Marta zabrzmiała ostrzej, niż zamierzała.

– Pojedziemy na rowerach.

– Żartujesz. To ze sto kilometrów.

– Niecałe pięćdziesiąt, zrobimy sobie przejażdżkę. Obiecałem rodzicom, że przyjedziemy dzisiaj.

– W taki upał? Zwariowałaś? Nie dam rady!

Widziała jednak, że Roman już podjął decyzję. Z trudem powstrzymywała napad paniki, który obezwładniał ją za każdym razem, gdy żądał od niej niemożliwego. Oddychała coraz płycej i szybciej, serce nie nadążało z pompowaniem krwi. Traciła czucie w nogach, więc niezdarnie podczołgała się przez materac do ściany ze znieruchomiałymi już baranami i przylgnęła do niej plecami. Potrzebowała mocnego podparcia, żeby przetrwać ten pierwszy, najgorszy moment lęku wysysającego całą energię z ciała, gdy wydawało jej się, że za chwilę umrze i nie mogła się zdecydować, czy to wspaniale czy tragicznie. Jeździli na rowerach, ale do tej pory nie dalej niż do lasu parę kilometrów za miastem.

– Nie będę z tobą dyskutował. Jakbyś się bardziej postarała, zdążylibyśmy na autobus.

– Jakbym się postarała? – zapiszczała Marta, głowa jej pulsowała.

– Jakbym ja się postarała?! Sam mogłeś się postarać. Nie rozumiesz? Nie dam rady tak daleko jechać na rowerze. Jest upał. Poczekajmy do wieczora na autobus. Proszę. Po drodze są górki, a moje przerzutki są do dupy.

– Sama jesteś do dupy – zaśmiał się, jakby usłyszał świetny dowcip.

Kolejne słowa utknęły jej w gardle, ja mu jeszcze pokażę, kto jest do dupy, potrzebowała kilkunastu minut, żeby ustąpiło drzenie ciała, nogi odzyskały czucie, a przerażony żołądek wrócił na miejsce.

W łazience z niechęcią spojrzała w odbicie w lustrze. Kiedy pierwszy raz usłyszała, że ma oryginalną urodę, nie mogła się zdecydować, czy to eufemizm czy komplement. Pozostawiła sprawę otwartą. Z brwiami i rzęsami w kolorze jasnych włosów jej twarz wyglądała na nagą. Czasem ubierała ją w maskarę i kredkę do brwi, ale nie dziś. Odgarnęła włosy za ucho. Robiła to tylko wtedy, gdy była sama i gdy bardziej pragnęła pamiętać, niż zapomnieć. Blizna ciągnęła się od skroni wzdłuż ucha jak narośl w kształcie grubego, niedbale rzuconego powrozu, woli pani żyć czy ładnie wyglądać, odburknął jej lekarz, gdy zapytała, dlaczego tak źle ją zeszyli, nie odpowiedziała, i tak by jej nie zrozumiał.

Patrząc w tęczę w kolorze zwiędłej trawy, bezskutecznie szukała w nich pozostałości blasku, który kiedyś tam był, pamiętała, że był. Teraz widziała jedynie laboratoryjnego szczura z eksperymentu, oczekującego na ratunek, który nie nadejdzie. Roman zmusił ją do obejrzenia tego filmu na początku znajomości – już wtedy powinna była od niego uciec – żeby jej udowodnić, że jego praca ma sens, i żeby ją zahartować, za delikatna jesteś, narzekał, te eksperymenty są niezbędne, na kim mamy je robić, na ludziach? Włączył film. Twarz naukowca była zamazana, głos rzeczowy, jak u sprawozdawcy z nudnej konferencji. Przed nim stały dwa duże akwaria wypełnione wodą. W każdym pływał szczur. Pierwszy poddał się po piętnastu minutach. Na początku szare ciało sprawnie przecinało wodę. Szczur łapkami odbijał się od gładkiego brzegu i zawracał. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Po kwadransie utracił siły, zwolnił, głowa zapadła się pod taflę wody. Gdy ostatnie pęcherzyki powietrza opuściły płuca, ciało nabrało ciężkości i opadło na dno jak namoknięty worek z kaszą, nie odwracaj głowy, pilnował Roman. Drugi szczur wciąż pływał. Minęła godzina, dwie, dziesięć, a on

machał łapkami i wracał raz po raz w miejsce, gdzie na początku eksperymentu, po pierwszych dziesięciu minutach podsunęto mu wąską deseczkę. Wspiął się wtedy na nią, wyrównał oddech, otrzepał futerko, wyprostował ogon. Po chwili jednak znów wrzucono go do wody. Zapiszczał, ale tylko raz, bo przez kolejne piętnaście godzin udowadniał ludzkim naukowcom, że nadzieja umiera ostatnia.

Marta stała potem w łazience, tak jak teraz, i długo zmywała łzami obraz, którego nie dało się zapomnieć. Obraz szczura, który nie wiedział, że drugiej szansy nie dostanie.

\*\*\*

Gdyby schowała złość do plecaka przypiętego do bagażnika, byłoby łatwiej. Jednak nie zamierzała się z nią rozstawać. Miała specjalne miejsce w ciele, gdzie kolekcjonowała wszystkie urazy. Upychała je w jelitach, które w gorszych momentach dawały o sobie znać bólem promieniującym w okolicach pępka. Sylwetka Romana pochylonego nad kierownicą przypominała Marcie o jego głupocie. I o jej głupocie, o której jeszcze bała się zbyt głośno myśleć, że kilka lat wcześniej popełniła fatalny błąd, wychodząc wbrew rozsądkowi za niego za mąż. I że naiwnością było się łądzić, że zotka nim wyrwę w sercu. Pedałowała napędzana złością, że musi jechać na rowerze pięćdziesiąt kilometrów tylko dlatego, że mąż wybrał nieodpowiednią godzinę, żeby ją zerznąć.

Gdyby poczucie krzywdy nie wydeło ust Marty w czytelnym grymasie „nie będę z tobą więcej rozmawiać”, dostrzegłaby piękno łanów dojrzałego zboża i pochlapanych kwitnącym rumiankiem łąk, gdy po godzinie lawirowania między samochodami wyjechali z miasta.

– Zobacz jak pięknie. Hej, no nie bądź taka nadąsana – Roman odłożył rower i wykorzystał krótką przerwę, by objąć ją od tyłu i dmuchnąć we włosy. – Bardzo seksownie pedałujesz.

Gdyby obrażanie nie rozchodziło się tak łatwo po krwiobiegu albo gdyby to było kilka lat wcześniej, roześmiałyby się i odwzajemniła uścisk. Ale wolała wysunąć kolce. Słońce nie odpuszczało, a oni nie byli nawet w połowie drogi. Wypiła wodę. Nie zamierzała z nim rozmawiać. Ponownie wsiedli na rowery. Za sobą mieli łatwiejszą część trasy. Teraz droga snuła się łagodnymi, ale długimi, męczącymi podjazdami. Roman pedałowiał z lekkością, czasem oglądał się za siebie i popędzał ją, ale im bardziej pokrzykiwał, hej, ho, rusz się, tym wolniej Marta obracała kołami, aż w końcu jego plecy oddaliły się i zobaczyła go ponownie dopiero godzinę później pod jabłonią ocieniającą skrawek podsychającej trawy. Rzuciła rower obok niego ze łzami w oczach.

– Dalej nie jadę.

– Histeryzujesz. Już niedaleko.

Martę bolał tyłek, łydki i duma. W chustce na głowie, z włosami lepiącymi się do rozgrzanych policzków, wyglądała, jak kobieta schodząca z pola po całodziennych żniwach. Zakręciło jej się w głowie. Oblała się wodą i usiadła w cieniu drzewa.

– Gotowa?

– Gotowa do czego? Dopiero przyjechałam.

– Specjalnie tak wolno jedziesz, nawet nie miałaś się jak zmęczyć, pedałowując w takim tempie, czekam tu na ciebie od dawna.

Marta nie odezwała się. Było jej wszystko jedno. Roman pokrążył dookoła jeszcze parę minut i wsiadł na rower.

– Jedziesz? – zapytał po raz ostatni.

– Nie.

– To ja jadę, zobaczymy się w domu.

– Chyba nie zostawisz mnie tu samej?! – Marta usiadła.

– Znasz drogę.

– Nie znam! Nie wiem, czy zauważyłeś, że autobusy jeżdżą trochę inną trasą.



– To wskakuj na rower i jedziemy dalej razem.

– Nie, nie, nie. Muszę odpocząć. Boże, skąd ty bierzesz tak idiotyczne pomysły?

– Już jest późno, rodzice czekają, będą się martwić, że nas nie ma. Ja jadę, ty rób co chcesz, pa.

– Nie! Nie zostawiaj mnie!

Roman wskoczył na rower, nawet się nie obejrzał. Marta oddychała z trudem, wróci, na pewno wróci, ziemia oddawała zagarnięte w ciągu dnia ciepło i nad gorącym asfaltem powietrze drżało i falowało w ostatnich podrygach gorącego popołudnia, sylwetka Romana oddalała się, po kilkunastu minutach widać było już tylko ciemną plamę zbliżającą się do granic horyzontu, nie odwrócił się ani razu, po kolejnych sekundach, minutach, kwadransie, rozplynął się, jak iluzja, fatamorgana, już wiedziała, że nie wróci, oparła się o szorstki pień drzewa, z szeroko otwartymi ustami przypominała rybę w wysychającej rzece, oddychała przez zaciśnięte gardło, drugi napad paniki w ciągu dnia, to za dużo na jej rozciągnięte jak sinusoida emocje, wzrok rozmazały łzy, zostawił mnie, zostawił, debil jeden, osunęła się na trawę, podsychające źdźbła szczypały policzki, położę się i nie wstanę.

Z letargu wybudził ją traktor. Podskakiwał na dziurawej drodze, sklepanej raz po raz chlapniętym byle jak asfaltem. Warczał, charczał, terkotał, a żelazna przyczepa zgrzytała konwulsyjnie. Nie miała zegarka. Powietrze wpływało łagodnie do płuc. Po tym, że ochładza, a nie parzy, rozpoznała, że dzień przechodzi w wieczór. Traktorzysta o łagodnych oczach podwiózł ją do sąsiedniej wsi. Stamtąd już było niedaleko. Wsiadła z bolesnym sykiem na rower, siodełko obite skajem było bezlitosne dla pośladek.

Na miejsce dojechała razem z wieczornym rechotaniem żab w pobliskim stawie. Nie weszła od razu do domu, usiadła po drugiej stronie drogi w miejscu, z którego widać było sylwetki krążące po kuchni. Kie-

dy w końcu otworzyła drzwi i uwolniła zapach rosołu oraz gorącej szarlotki, żołądek zapomniał na chwilę o złości. Pierwszy zauważył ją teść.

– Ho, ho, nareszcie jest nasza spóźniona podróżniczka.

Jego brzuch wykarmiony kiełbasami, golonkami, schabowymi i mielonymi, wydymał się jak świeżo nadmuchana piłka lekarska. Twarz miał rumianą i zadowoloną, jak zwykle po obfitym posiłku. Siedział na krześle z dumą wyhodowaną na wieloletnim przekonaniu, że jest pępkiem świata, po którego orbicie krążyła żona z synem. Ten drugi od czasów studiów, a potem ślubu z Martą, nieco rozluźnił siły grawitacji, ale nie na tyle, by wystrzelić samodzielnie w kosmos. Przyciągało go ciągle niezadowolenie ojca, że zamiast zająć się porządnym biznesem, jest takim samym chudopachołkiem jak on, tyle że na państwowej uczelni.

W oczach Marty teść był zwykłym rubasznym starszym panem. Młodość synowej pobudzała go jak viagra do opowiadania dowcipów, które śmieszyły tylko jego. Marta nie zatrzymała na nim spojrzenia, podobnie jak na teściowej, która zerwała się z za stołu nakrytego łatwo zmywalną ceratą, szklankami z parującą herbatą i pokrojoną w grube kawałki szarlotką.

– Jezus Maria, jesteście nareszcie, tyleśmy się godzin wyczekali, już myślałam, że co złego się przytrafiło, zaraz ci rosołu zagrzeję, ciasto zrobiłam, siadaj i odpocznij.

Teściowa była kobietą zaawansowaną, i w latach, i w ciele. Romana doczekała się w dojrzałym wieku. Nadwaga osiadła jej na barkach, w piersiach i brzuchu. Skóra na twarzy już dawno straciła podparcie i zwisała żałośnie, podobnie jak rozciągnięte usta. Marta, która przy pierwszym pocałunku pokochała mięsiste wargi Romana, odkochała się w nich, gdy poznała jego mamę. Wyobraziła sobie, że za trzydzieści lat będzie się całowała z otworem gębowym żarłocznego jamochłona. Mimo to Marta lubiła ją, mówiła do niej mamó bez większych oporów. Teściowa była ciepła, uczynna, dobra. Naprawdę dobra. Dobra kobie-

ta, która mogła trafić na lepszego męża. Jej siostrze, mieszkającej za płotem, bardziej się poszczęściło, co widać było po starannie ufarbowanych włosach, równo wyskubanych brwiach, większym domu, porcelanowej zastawie przy obiedzie i córce, która wyszła za Francuza. Mąż powtarzał jej, że jest piękna i doskonale gotuje, nawet gdy przypalała kotlety. Co miesiąc przynosił do domu pensję dyrektora fabryki kabli. Na nałogi nie miał czasu, więc pieniędzy wystarczało nawet na wakacje all inclusive dwa razy w roku.

Teść, dla odmiany, trzymał żonę i syna krótko. Teraz już nie bił, bo siły do tego nie miał, ale o jego twardej ręce krążyły po wsi legendy, tak samo, jak o tym, że się na Boga w młodości obraził, a może na proboszcza, i do kościoła przestał chodzić. Kariery nigdzie nie zrobił, nawet w ZOMO, idealnym pracodawcy dla osób pozbawionych empatii. Przeszkodził mu w tym (czy raczej uratował od całkowitego pohańbienia, jak interpretowała to teściowa) zawał serca i szybka, raczej skromna renta. Pozostał więc na starość bez przynależności. Ani Kościół go nie chciał, ani państwo. Pomiędzy posiłkami wyznaczającymi mu rytm dnia doglądał nutrii, które jeszcze do niedawna hodował za domem w dwóch ogromnych metalowych klatkach. Roman opowiadał Marcie, jak w dzieciństwie bał się ich pomarańczowych siekaczy i kiedy w niedzielę, zamiast tradycyjnej w innych domach kury w rosoli, u nich na stole lądowała pieczeń z nutrii, rozkładał ją na talerzu na kawałki, by się upewnić, że nie zaplątał się w niej żaden ząb.

– Dziękuję, nie będę jadła – Marta ominęła teściową (wyglodzony żołądek zareagował bolesnym skurczem rozczarowania) i stanęła przed Romanem.

– Zostawiłeś mnie!

– Ale sobie poradziłaś. Dojechałaś – zamiast skruchy miał w oczach radosne chochliki, jakby udał mu się dowcip albo jakby wcześniej ukrył

się za drzewem, a teraz wyskoczył, wołając a kuku. Chwyił Martę za rękę i przyciągnął do siebie, ale się wyrwała.

– Nienawidzę cię – odwróciła się, żeby nikt nie dostrzegł jak mięśnie twarzy pulsują, zwiastując niekontrolowany płacz. Pobiegła do dawnego pokoju małego Romusia, z plakatami jeszcze z czasów liceum. Cycata Sabrina na ścianie wyznaczała kierunek jego zainteresowań w dorosłym życiu. Zatrzasnęła za sobą drzwi, rzuciła się na łóżko, zsuwając jedynie buty. Kiedy poduszka wchłonęła tży, sen spadł na nią jak ziemia na grób.

\*\*\*

Wąska winda przypomina trumnę. Zamiast przycisków z numerami pięter, zapach zbutwiałych desek i ciemność duszna jak smog. Lampka zawieszona pod sufitem wątlą smużką rzeźbi mężczyznę, ale tylko połowę, jakby na drugą część nie wystarczyło światła: jasne włosy, młodzieńczą twarz zastygłą w zdziwieniu, ciało usztywnione garniturem w prążki, który założył dwa razy, na maturę i na wieczność. Ona staje za nim bezgłośnie, bez oddechu, żeby nie spłoszyć. Kładzie rękę na ramieniu, ale ramienia już nie ma, ciała nie ma, jego nie ma. Teraz to ona stoi na środku windy, a on jest jej odbiciem w lustrze. Nareszcie widzi siebie-jego w całości. Nie może się zdecydować, która połowa bardziej ją przeraża. Czy ta gładka i nieruchoma, czy spływająca od skroni krwią, gdzie pod lepką cieczą pulsuje tkanka, wije się, skręca, narasta aż zastyga w nabrzmiałą bliznę, niczym uchwycony w konwulsji wąż. Stoją naprzeciwko. Mrok coraz głębiej osiada w płucach. Ona bez ruchu. On nagle ożywa. Zamknięty w dwuwymiarowym lustrzanym odbiciu wyciąga ręce. Dotyka ścian. Patrzy w górę. Patrzy w dół. Krew kapie na podłogę. Patrzy na wprost. Dookoła. Nie ma pięter, na które można tą windą dojechać. Nie ma korytarza, na który można wysiąść.

Nie ma żadnego góra ani dół. Nie ma jak się wydostać. Ona spogląda nieruchomo. Jest spokojna. Wie, że on nigdzie nie odjedzie.

\*\*\*

Gdy słońce przebiło się przez senną gorączkę, leżała wciśnięta między ścianę i plecy Romana. Przyłgnęła policzkiem do jego rozgrzanej, nagiej skóry, ale wycofała się szybko, oparzona wspomnieniem wczorajszego dnia.

Tamtej jesieni, kiedy się rozpoznali – Marta w jego stanowczości, Roman w jej łagodności, choć być może dokładnie na odwrót, świat był pięć lat młodszy. Ona uważna na każde jego słowo, pierwszy raz w pełnym rozkwicie kobiecości. On elokwentny, po obronie doktoratu nareszcie pewny siebie. Uroczo się zacinał, ślad po dawnym jękaniu z dzieciństwa, kącik ust wędrował mu wtedy po skosie w kierunku ucha. To on ją wybrał. Marta jako jedyna nie reagowała na jego pawilon wygadania, ogłady i poczucia humoru na imprezie, na której znalazła się przez przypadek. Więc przyssał się do niej zaintrygowany jej – tak wtedy to zinterpretował – niezależnością i niedostępnością. Imponowało mu w niej to, co potem zaczęło przeszkadzać, że nie je mięsa, mało mówi i nie zachwyca się każdym jego dowcipem. Marta na początku zakochała się w Romanie, bo on zakochał się w niej. A że był przystojny nie znalazła argumentów na obronę. Wyciągnął ją na spacer, przynosił książki i bilety do teatru. Osaczył ją cieleśnie i intelektualnie, a ona z tego zachłannie skorzystała. Po kilku latach życia w czerni i między książkami zobaczyła w nim wybawcę. To była jedyna szansa, by wyrwać się spod męczącej opieki rodziców i ich lęku na granicy hysterii, że coś złego znowu może jej się przytrafić.

Kiedy Beata, żona przyjaciela Romka, zapytała ich, jak długo się znają, bez wahania odpowiedział.

– Sto siedem dni i jednaście godzin.

– Musi cię bardzo kochać – powiedziała do Marty, która urosła z dumy – skoro czas z tobą wylicza tak dokładnie.

Okres godowy trwał pół roku. Hormony uginały nogi na myśl o spotkaniu, noce nie miały końca, a pochwa pulsowała wilgotna od ciągłej gotowości. W tle wymiany śliny, śluzu, spermy i potu, odbywał się inny przepływ. W rozmowach do rana kotłowały się życiowe mądrości, zeszywniałe przekonania i myślowe konstrukcje dwóch niezależnych systemów, ciągnących za sobą DNA rodziców, dziadków, pradziadków i prapradziadków, a także babć, prababć i praprababć do nie wiadomo którego pokolenia, aż z tego zbioru ustalił się protokół rozbieżności: antykoncepcja hormonalna kontra naturalna, eksperymenty na szczurach koniecznością czy barbarzyństwem, udział w wyborach jako społeczna odpowiedzialność kontra bierny opór, dzieci jako obowiązek wobec społeczności czy nieludzkie powoływanie niewinnych istot do okrutnego świata, zwierzęta – istoty czujące czy pokarm na talerzu.

Gdy gody się skończyły, obszar niezależności Marty, nieoczekiwanie dla niej samej, zaczął się kurczyć. Była jeszcze na haju zakochania, więc nie zauważyła, kiedy doszło do niemal pełnej unifikacji. W imię miłości, rzecz jasna. Nie możesz myśleć inaczej, jeśli mamy być małżeństwem, to był argument ostateczny Romana, niedopuszczający różnicy poglądów. Z tym nie dało się dyskutować. Kiedy już stworzyli jedność ciała i umysłu, ogień się wypalił, nie był potrzebny, nie było już czego egzorcyzmować, wszystkie myśli Marty zostały nawrócone, a gdyby nawet jakieś niepokorne herezje schowały się w zakamarkach głowy, to nie wychylały się ze strachu przed spalaniem. Z tym ogniem, co wygaś, mogło też być tak, że Marta zapaliła się od miłości Romana, jak długo leżące na zapomnianym wyrębie drzewo. Tyle że w środku okazało się ono mokre i ognia nie wystarczyło, by także ten rdzeń wysuszyć i rozpalić. Więc po pół roku zaczął się kopcić, dusić, przygasać. Ale wtedy

już byli zaręczeni. On był honorowy, a ona przekonana, że taka miłość już się nie wydarzy.

Żenię się z tobą warunkowo, tak jej powiedział tydzień przed ślubem. Bo ma nadzieję, że się zmieni. I jeszcze, że już mu się nie podoba tak jak kiedyś, ale skoro się oświadczył, nie wycofa się. Tak to zapamiętała. On wyparł się tych słów. Wcześniej wypił stanowczo za dużo, a ona o wiele za mało, pokłócili się o rzecz bez znaczenia, za to znaczenie miały miotane na oślep słowa. Dowiedziała się, że jest za mało radosna i spontaniczna, że ma koleżanki równie głupie jak ona sama, że fatalnie się ubiera, nie ma za grosz fantazji w łóżku i beznadziejnie gotuje.

Prześlakowała kilka nocy. Złapana w pułapkę miłości nie miała pojęcia, co z tą nową wiedzą, wykrzyczaną w chwili alkoholowej niepoczytalności, czyli niepohamowanej szczerości, począć. Na zdjęciach z urzędu stanu cywilnego, a potem z kościoła, gdzie podpisała cyrograf na życie, ma czerwone oczy. Wszyscy myśleli, że ze wzruszenia.

Może gdyby zapomniała o tamtych słowach, ich związek podążyłby inną ścieżką. Ale one zamieniły się w filtr „jestem beznadziejna”, przez który od ślubu sączyła się rzeczywistość. Wzięta do serca tamtą rozmowę i podzieliła się na dwie Marty. Jedna się zahibernowała i dołączyła do wcześniejszego odłamka Marty, zamrożonego po wypadku. Druga naginała się do oczekiwań męża.

Wybuchwała często, ale szybko się uciszała. Pozwalała sobie na te wybuchy, bo widziała, że on lubi jej huśtawkę emocjonalną, dawała mu pretekst, by się mógł do czegoś przypieprzyć. Wiedziała doskonale, gdzie jest granica tych eksplozji i jak go udobruchać po wszystkim. Przyzwyczała się do bylejakości ich związku. Kochała Romana kulawą miłością kobiety, która potrzebuje przynależć do mężczyzny, by złagodzić nieznośne poczucie, że dla niej życie już się skończyło.

Bez Romana czarna dziura w sercu Marty nie miała dna. Z Romanem przysypana była ochłapami. Dobre i to.



\*\*\*

Wysunęła się z łóżka tak, by go nie obudzić. Ciało pamiętało wysiłek z poprzedniego dnia i nie chciało się wyprostować. Dopiero gorący prysznic przywrócił mięśniom odruchy życia. Zalepione ropą powieki napuchły, zapomniała wieczorem wyjąć soczewki. Z trudem wydłubała je teraz z oczu, przynosząc ulgę białkom, po których rozlała się delta czerwonych żyłek. Do kuchni, skąd dobiegało stukanie talerzy, poszła nieuzbrojona w okulary. Czasem wołała nie widzieć, a minus cztery dioptrie w każdym oku idealnie realizowały jej życzenie odgrodzienia się od ludzi i zanurzenia w fantasmagorii bez kształtów i granic.

Urok świata tracącego ostrość poznała, gdy po raz pierwszy spojrzała na księżyc bez soczewek i bez okularów. To nie był księżyc, to była ognista kula, która wypełniała pół nieba. To niemożliwe, kręciła głową, mam przywidzenia. Dopiero gdy założyła okulary, owal księżycy wrócił do znanych jej wymiarów. Zakładała okulary i ściągła, próbując zrozumieć zjawisko, którego doświadczała. Księżyc na zmianę puchł jak balon nadymany helem i chudł do wielkości piłki nie większej niż do koszykówki, rozmywał kontury i zaraz potem je wyostrzał, był duży i za chwilę mały, zjawiskowy i zwykły. Doznała wtedy olśnienia, że nie istnieją cuda czy zjawiska paranormalne, a jedynie wady wzroku. Może starowinka spotkana kiedyś w autobusie, która opowiadała Marcie z przejęciem, jak jej się święta panienska co rano pokazuje na ścianie, jak tę twardą materię muru przenika i do niej do pokoju przychodzi, i jak ksiądz na spowiedzi jej uwierzyć nie chce, swoje objawienie zawdzięczała zwykłej ślepotcie połączonej z korzystnym układem wzorów na tapecie, a nie modlitwom, pobożnemu życiu i łasce bożej.

W domu teściów minus cztery dioptrie wystarczały, by zorientować się, gdzie jest ściana, a gdzie drzwi, czy krzesło jest puste, czy siedzi na nim człowiek. Czy człowiek jest mężczyzną czy kobietą już niekoniecz-



nie, ale że w kuchni była teściowa, która swoją poranną krzątanie zaczęła codziennie o piątej, Marta nie miała wątpliwości. Zaczynicie wargi nasze chwalić pannę świętą, zaczynicie opowiadać cześć jej niepojętą, mama Romana nuciła godzinki i przemieszczała swoje ciężkie ciało z młodzieńczą dziarskością od stołu do kuchenki, na której bulgotała woda pod przykrywką, pewnie znów jaja na twardo, przybądź nam miłościwa pani, ku pomocy, a wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy. Marta zazdrościła jej tej energii. Przy obfitej pod każdym względem teściowej ona była jak flak, nie tylko cielesny. Chwała ojcu, synowi jego przedwiecznemu i równemu im w bóstwie duchowi świętemu, nie chciała jej przerywać, ale rozpromieniona teściowa już ją zobaczyła i zawłaszczyła:

– Romuś powiedział nam wczoraj tę cudowną nowinę – rozpostarła ręce i zamknęła skołowaną Martę w mocnym uścisku.

– Jaką nowinę? – czyżby coś przegapiła, o czymś zapomniała?

– O dziecku. Że się zdecydowaliście. Najwyższy czas. On tak bardzo był przeciwny, mówił te bzdury, że to nie ma sensu, że świat niedługo przestanie istnieć. Same katastroficzne historie, nie wiadomo skąd. Jak dobrze, że cię spotkał i że otworzyłaś mu oczy – teściowa była wzruszona, wróciła do mieszania w garnku, ocierając wilgotne oczy i śpiewając dalej rozwleczonymi jęklivię samogłoskami, jak było na początku i zawsze i ninie, niech Bóg w Trójcy jedyny na wiek wieków słyń. – I żebyście na jednym nie poprzestawali. Romuś sam na świecie, jak ten palec boży. Jak pomrzemy, nikt mu nie zostanie. Lepiej dwójkę od razu.

– Zaraz, zaraz wrócę – wydusiła Marta, jej twarz pobladła, o Boże, zasnęłam, zapomniałam, a przerażenie postawiło ciało w stan alarmu. W pokoju wytrzepała zawartość plecaka. Na samym końcu wypadł pokrowiec od okularów. Roman przewrócił się na drugi bok, ale nie otworzył oczu. Pobiegła do łazienki. Ręce jej dygotały, a serce tłukło się jak po strzale z adrenaliny, gdy wyjmowała równo złożoną jedwabną chust-

kę do wycierania okularów, która skrywała drugą, podobną, ale zszytą w prowizoryczną torebkę. Wytrzepała z niej niepozorny blister z tabletkami i z przegródki obok napisu „sobota” wycisnęła małą pigułkę. Połknęła ją zachłannie, niczym narkoman na głodzie. Dwanaście godzin za późno. Ręce nadal jej się trzęsły. Ulotka została w domu, więc nie miała pewności, jak duże zagrożenie w tej fazie cyklu stwarza tak długa przerwa. Wyobraziła sobie miliony plemników, które wczoraj pędziły prosto do jajeczka i modliła się, by go tam nie zastały.

Kiedyś chciała urodzić dziecko. Nie tyle z powodu instynktu macierzyńskiego, co z nawykowego myślenia, że jest ono naturalną konsekwencją małżeństwa. Roman był jednak kaznodzieją idei, że głupotą jest sprowadzanie dzieci na zdegradowany świat. Zawiesiła więc swoje oczekiwanie, a potem szybko przejęła jego poglądy – o przeludnieniu, o okrucieństwie świata wobec dzieci, o egoizmie dorosłych traktujących kolejne pokolenia jako baterijki zasilające ekonomicznie chylące się ku upadkowi systemy, i głosiła je z podobną jak Roman determinacją, choć podejrzewała, że nie o zło czy dobro świata mu chodzi, a o zwykłą wygodę. Aż kilka dni temu Roman ją zaskoczył. Oświadczył, że jest gotowy.

– Na co jesteś gotowy? – Marta nie lubiła tego tonu głosu wskazującego, że podjął ważną decyzję, która ma związek z nią, a jednocześnie jest poza nią, bo jej samej nie poproszono o zdanie.

– Na dzidziusia – zmrużył jedno oko, a kącik ust poszybował mu w górę. – To co, może zaczniemy już teraz?

– Zaraz, zaraz, a co z niepotrzebnym poszerzaniem cierpienia? – przywołała jego sztandarowe hasło.

– Biologizm człowieka jest niezniszczalny, poradzi sobie z największym cierpieniem.

– Może poradzi, ale chyba nie chcesz tego fundować własnemu dziecku, własnym genom.

– Nie bądź katastrofistką – zaśmiał się. – Trudno przewidzieć, jak będzie naprawdę. Może akurat naszemu szczęściarzowi, bo zaczniemy od syna, uda się w życiu.

Role się odwróciły, Marta mówiła jego sloganami, a on podawał jej kontrargumenty, za które kilka lat wcześniej otrzymała od niego przydomek zacofanej dziuni.

– Przecież mówiłeś jeszcze niedawno, co tam niedawno, całe nasze małżeństwo mówiłeś, że nie chcesz mieć dzieci, bo to sprzeczne z twoim światopoglądem. Wyśmiałeś mnie, gdy wspomniałam o instynkcie macierzyńskim i naturalnej, biologicznej potrzebie przedłużenia nas samych w nowym wydaniu. Prawie się na mnie rzuciłeś, kiedy ośmieliłam się wyrazić inne zdanie. Zmusiłeś mnie niemal siłą do przyznania ci racji, a teraz mówisz coś dokładnie odwrotnego! Powtarzasz wszystko to, z czym się nie zgadzałeś, jako swoje odkrywcze przemyślenia – głos Marty wchodził na coraz wyższe rejestry.

– Nie wiem, co tam sobie roisz w tej swojej głowie. Informuję cię, że już chcę mieć dziecko.

– A zapytałeś mnie, czy ja też chcę? Bo kiedyś może i chciałam, ale przekonałeś mnie, że to bez sensu, uwierzyłam ci, a teraz ot tak swobodnie mówisz, zrobmy sobie dzidziusia?! – teraz już Marta krzyczała.

– O co ci chodzi? To chyba normalne, że chcę mieć dziecko. Tobie też by się przydało, może przestałabyś tak histeryzować. Zresztą i tak siedzisz cały czas w domu, to zajęłabyś się czymś pożytecznym.

– Pożytecznym, pożytecznym – przedrzeźniała go. – Mówiłeś, że dzieci to wrzód na dupie. A teraz, że są czymś pożytecznym. Co ci się tak nagle odmieniło? Twój przyjaciel Mareczek został tatusiem, to ty od razu w jego ślady?

– Nie mieszaj w to Marka i Beaty – Roman podszedł do lodówki, zgarpnął z niej listek z tabletkami antykoncepcyjnymi, zawsze pod ręką, na

widoku, żeby nie zapomniała, i wrzucił do kosza. – W każdym razie już ci są niepotrzebne – zamknął dyskusję.

Kiedy następnego dnia wyszedł do pracy, Marta siedziała długo z suchymi powiekami. Czuła, że zasoby łez są na wyczerpaniu, więc trzymała je na lepsze okazje. Robiła bolesny rozrachunek. Ile przekonań już pogrzebała dla niego. Jak bardzo naginała światopogląd, by zadowolić jego potrzebę zgodności w małżeństwie we wszystkim. I ile razy Roman najpierw narzucał jej swoje poglądy, a potem sam je porzucał. Wstyd, że tak się dała wykiwać, wżerał się we wnętrze jak trucizna.

Przebłysk instynktu macierzyńskiego poczuła tylko raz, na początku ich znajomości, bardziej jako sygnał, że oto poznała mężczyznę życia, niż rzeczywistą potrzebę. Potem instynkt się wycofał i przycupnął w kątku, zawstydzony i przerażony, że wychylił się za szybko. Marta łatwo o nim zapomniała. I co ona teraz z gotowością Romana zrobi? Teraz, gdy jego niechęć do dzieci stała się dla niej wygodna. Tym wygodniejsza, im gwałtowniej rozpadały się jej wyobrażenia o małżeństwie i tym strasznym zobowiązaniu „aż do śmierci”. Kiedy wygrzebywała tabletki z kosza, czuła się jak kaskader wchodzący na linę bez zabezpieczenia.

Marta chciała mieć dziecko, ale jeszcze bardziej chciała uchronić je przed swoim losem i przed Romanem.

## KONSPEKT

Samochód, którym jedzie troje ludzi, ulega wypadkowi. Jedna osoba ginie, druga doznaje trwałego kalectwa, trzecia zapada w śpiączkę, a kiedy się budzi, jedynym śladem, jaki pozostaje jej po zdarzeniu, jest blizna na twarzy. Tą trzecią osobą, która wyszła z wypadku pozornie bez żadnego urazu, jest Marta, bohaterka powieści. Pozornie, bo po śmierci brata pozostała jej blizna, dużo bardziej dotkliwa niż ta na twarzy.

Martę poznajemy dekadę po tym zdarzeniu. Ma trzydzieści lat i tkwi w toksycznym związku. Nie potrafi odróżnić seksu od przemocy (a może nie chce, bo musiałaby coś z tą wiedzą zrobić). Nie potrafi czerpać z życia przyjemności (a może nie chce, bo w skrytości duszy pragnie umrzeć).

Akcja powieści toczy się w dwóch płaszczyznach fabularnych. W pierwszej kibicujemy bohaterce w odzyskiwaniu wiary w siebie i porzuceniu męża. Jest tu miejsce na pokazanie ułomnej relacji kobiety i mężczyzny, a także etapów przebudzenia się świadomości bohaterki. Jest zdrada (męża), nowa miłość (Marty) i tajemnicza kobieta, która przekazuje bohaterce wiadomość od zmarłego brata. Jest też odkrywanie, że jej małżeństwo nie jest związkiem „z” (z mężem) tylko związkiem „zamiast” (zamiast brata). W drugiej płaszczyźnie stopniowo odkrywamy, co naprawdę wydarzyło się podczas wypadku, który z jego uczestników poniósł najpoważniejsze konsekwencje i jaki zaskakujący spadek pozostawił po sobie brat Marty.

„Blizna” to książka o kobiecie, która zamroziła ciało i emocje, by odciąć się od bólu. Książka o stracie i odkrywaniu głębokich poziomów uwikłania. Książka o trzech mężczyznach – z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, pomiędzy którymi bohaterka musi wybrać.

„Blizna” jest powieścią obyczajowo-psychologiczną. Spodoba się czytelnikom Zeruyi Shalev, Elizabeth Strout i kobietom, które już odkryły, że życie nie niesie oczywistych rozwiązań.

Maciej Rożen

Dr Startup

*Nie poniosłem porażki. Po prostu odkryłem 10 000 błędnych rozwiązań.*

Thomas Alva Edison

## ROZDZIAŁ I

W dniu, kiedy Stanisław Jastrzębski wychodził z aresztu, z nieba lał się taki żar, jakby sam diabeł urządził sobie grilla. Przed stalową bramą zbierał się tłum. Modne ciuchy, drogie telefony i twarze nie-skażone wiekiem sprawiały, że ludzie wyglądali jak statyści z reklamy sieci komórkowej. Jednak ściskane w rękach transparenty były zdecydowanie wolne od darmowych gigabajtów.

#złodziej

#oszust

#skazanyzaniewinność

#mordercyjednorożców

Wszystkie miały obowiązkowe hasztagi. W pewnych kręgach napisać coś bez hasztaga, to jak wysrać się i nie podetrzeć sobie tyłka.

Ada Heldish widziała protestujących w odbiciu lusterka. Jej wóz stał w cieniu muru, ale powietrze i tak miało chyba z milion stopni. Kobieta zdawała się ignorować zarówno pikietę przed bramą, jak i piekielną temperaturę. Całą uwagę dzieliła pomiędzy butelkę wody i oparty o skózaną kierownicę tablet.

Czekała.

Zabijała minuty kliknięcie po kliknięciu, przesuając palcem po dotykowym ekranie. Przy każdej zmianie treści ikona ładowania kręciła się wyjątkowo długo. Znak, że samochód stoi w dziurze z marnym zasięgiem.

Pech.

Ada nie okazywała zniecierpliwienia. Wykorzystywała ten czas na to, by uporządkować informacje i jeszcze raz przemyśleć strategię przed czekającą ją rozmową. Nieobecny wzrokiem wpatrywała się w betonowy mur zwieńczony girlandami drutu kolczastego i ciągnący się pod nim chodnik.

Co jakiś czas w kierunku stalowej bramy przemykali ludzie. Matka z trzylatkiem na rękach, staruszek o lasce, byczek w dresie i z miną króla podwórka. Taksowali samochód Ady wzrokiem, w którym zazdrość mieszała się z szacunkiem. Smukła sylwetka sportowego kabrioletu, owadzie ślepie reflektorów i maska, pod którą krył się cały tabun koni mechanicznych, były warte więcej niż dziesięcioletnie zarobki większości z nich. Przechodnie przebierali nogami zapatrzeni w to cudo wyjęte z innego świata. Dostrzegłszy siedzącą za kółkiem kobietę, speszeni odwracali wzrok.

Nic dziwnego. Z lekko rozchylonymi ustami, wysoko upiętymi włosami odstaniającymi smukłą szyję i w lnianej sukience, która przywierała do spoconego ciała, Ada Heldish wyglądała jak wywołana przez upał fatamorgana. Efekt psuła jedynie blizna ciągnąca się od połowy przedramienia w górę ręki.

Kobieta spojrzała na tablet. Na ekranie pojawiła się lista wyników wyszukiwania, a krótkie opisy pod linkami walczyły ze sobą w lapidarniej krzykliwości.

„Złote dziecko polskiego start-upu. Geniusz czy oszust?”

„Stanisław Jastrzębski aresztowany. Akcje firmy pikują!”

„Piękny czy bestia? Czy najlepiej ubrany polski milioner ma coś wspólnego ze śmiercią współnika?”

„Jak zdobyć pierwszy milion? Rady guru polskiego start-upu. Video”.

Obok znajdowało się zdjęcie mężczyzny w szytym na miarę garniturze. Masywna sylwetka, blond włosy i jasna broda przywodziły na myśl wikinga. W dłoniach trzymał jakąś statuetkę. Żywe oczy patrzyły z ekranu w taki sposób, jakby Jastrzębski znał sekret, którym nie zamierzał się z nikim podzielić.

Ada kliknęła w link z materiałem wideo. Obraz zaatakował oczy treścią fatalnej rozdzielczości. To serwer musiał dostosować jakość do arcywolnego połączenia.

– Mówi się, że dobry startuper to człowiek, który potrafi odnaleźć się w warunkach skrajnej niepewności – zaczął dziennikarz.

– Jest wiele dróg, by wejść do biznesu – powiedział z ekranu rozpixelowany Jastrzębski. Postawę miał zrelaksowaną. Jakby zbroja wykuta ze stopu majątku i pewności siebie mogła ochronić go przed każdym atakiem.

Rzut okiem na dolny lewy róg powiedział Adzie, że wywiad ma dwa lata.

– Słyszałem o dwóch – wtrącił prowadzący. – Pierwszy milion można ukraść... albo odziedziczyć.

Jastrzębski zaśmiał się, jakby żart prowadzącego rzeczywiście był zabawny.

– Jest ich o wiele więcej. Można na przykład położyć się na łące i poczekać, aż z nieba spadnie deszcz dolarów.



– Punkt dla ciebie. Zdradź nam zatem własną receptę na zdobycie fortuny. Aby było ciekawiej, masz sześćdziesiąt sekund.

– Przyjmuję wyzwanie – Jastrzębski spojrzał na zegarek. – Firma jest warta dokładnie tyle, ile ludzie, którzy nią zarządzają. Za wasz pomysł mogę dać dolara. Cała reszta tego miliona spoczywa w ludziach, którymi się otoczycie. A teraz to, co najważniejsze...

Materiał zatrzymał się w pół słowa, a na ekranie pojawiła się ikona ładowania treści. Ada uśmiechnęła się znad tabletu i mruknęła:

– Ładnie powiedziane, panie Jastrzębski.

Internet na dobre trafił szlag. Ada westchnęła. Bez żalu odłożyła tablet do schowka.

Znała ten wywiad, jak i wszystkie inne z udziałem niedawno upadłego tygrysa biznesu. Z zebranych informacji wyłaniał się obraz człowieka o silnej osobowości, który lubi narzucać innym swoją wolę. Robi to jednak z takim wdziękiem, że ludzie ciągną pod jego skrzydła.

Kiedy zniknęła rozpraszająca uwagę sieć, czas jakby zwolnił, a żar stał się jeszcze bardziej nieznośny. Kobieta upiła łyk wody. Ta, zamiast przynieść orzeźwienie, jedynie transportowała do wnętrza ciała panującego na dworze upał. Ada, odcięta od cyfrowego świata, zajęła się obserwacją świata realnego. Poprawiła lusterko tak, by widzieć protestujących przed bramą. Pomiędzy ludźmi kręcił się chłopak w koszulce „StartupNews.pl”. Z miną starego wygi i z telefonem na kijku do selfie polował na najlepszy kadr.

Tuż za Adą zaparkował wóz transmisyjny regionalnej telewizji, z którego wysiadło trzech mężczyzn. Widziała ich w bocznym lusterku samochodu. Przystojniak z mikrofonem, osiłek z kamerą oraz brzuchacz z okazałym wąsem, wielkimi słuchawkami i skórzaną torbą.

– Ilu youtuberów potrzeba, by zmienić koło w samochodzie? – zagaił przystojniak, kiedy dostrzegł konkurencję w postaci chłopaka ze smartfonem.

– No ilu? – spytał wśczech znużonym głosem. Teraz już cała trójka obrzucała ciężkimi spojrzeniami chłopaczka wywijającego selfiestickiem.

– Sto tysięcy. Jeden zmienia koło, reszta filmuje i wrzuca do sieci.

Ada wygięła wargi w niemym uśmiechu. Żart był czerstwy, ale każdy, kto potrafi zachować pogodę ducha, gdy życie spuszcza mu manto, zasługiwał chociaż na tyle.

Mężczyźni byli w tym specyficznym wieku na pograniczu. Zbyt starzy, by przyłączyć się do rewolucji, która od lat podjada coraz większy kawałek tortu tradycyjnym mediom. Wystarczająco młodzi, by zdawać sobie sprawę, że już wkrótce młody youtuber i jemu podobni zabiorą pracę starej dziennikarskiej gwardii.

Do pierwszego wozu telewizyjnego dołączyły kolejne. Tłumek zgęstniał do kilkudziesięciu osób. Nad głowami zgromadzonych, niczym kruki nad polem bitwy, pojawiły się drony. Ich operatorzy obsiedli okoliczne ławki. Wpatrzeni w ekrany zdalnych sterów latających maszyn polowali na najlepsze ujęcia, niemal lądując ludziom na głowach.

Niecałą godzinę później drzwi pośrodku bramy otworzyły się. W progu stanął mężczyzna, na którego wszyscy czekali.

Ada wyciągnęła ze schowka okulary przeciwsłoneczne, po czym uruchomiła silnik.

\*\*\*

Ledwie Stanisław Jastrzębski stanął na dziedzińcu aresztu śledczego, a już był cały mokry. Kiedy kilka miesięcy temu został zatrzymany, w Warszawie panowały wiosenne chłody. Wtedy elegancki płaszcz chronił przed ukąszeniami zimna, teraz przewieszony przez ramię ciągnął ku ziemi niczym kotwica.

Jastrzębski zmierzył się z panującym upałem tak, jak z każdym problemem, który napotykał na swojej drodze. Zamiast ślepo przeć na-

przód, dostosował się do warunków. Zdjął marynarkę, rozpiął kraciastą kamizelkę, poluzował muszkę. Na koniec zdjął spinki od mankietów z inicjałami SJ i podwinął rękawy koszuli, odsłaniając pokryte tatuażami przedramiona. Gęste i skomplikowane wzory kończyły się na liniach mankietów.

Słyszał szum tłumu po drugiej stronie muru. Lament bestii głodnej fotek do zmiany statusu, tweetów, memów i nagłówków napędzających liczniki kliknięć w internecie. W ciągu godziny od jego wypuszczenia redaktorzy dziesięć razy przerobią tytuły, aż te staną się tak ostre, że klikający w nie czytelnicy pokaleczą sobie palce.

Stanisław Jastrzębski zatrzymał się. Odprowadzający go strażnik przekręcił klucz w zamku. Małe drzwi pośrodku bramy otworzyły się z jękiem.

Jastrzębski wyszedł z więzienia tak, jak do niego wchodził. Wyprostowany. Niektórzy, kiedy próbują przyjąć postawę pełną godności, wyglądają, jakby połknęli kij od szczotki, albo co gorsza, jakby ktoś ten kij wsadził im głęboko w tyłek. Z Jastrzębskim było inaczej. Miał w sobie magnetyzm, który sprawiał, że z miną zdobywcy było mu po prostu do twarzy. Stanął przed krzyczącym tłumem, a rdzewiejące drzwi zamknęły się za jego plecami.

Pod wieloma względami areszt śledczy Warszawa-Służewiec przypominał strzeżone osiedla, które w ostatniej dekadzie umiłowali sobie mieszkańcy polskich miast. Kompleks dwupiętrowych budynków otoczonych murem, monitoring i całodobowa ochrona. Nawet wieże strażnicze, górujące lekko nad otoczeniem, można by twórczo zaadaptować do promocji „prawdziwie grodzonemu kompleksu mieszkalnego”. Jedyne kompletnie nijaka okolica, kraty w oknach oraz zasieki wieńczące mur i dachy nie pasowały do takiej ulotki.

Jastrzębski zmrużył oczy. Wyraźnie kogoś szukał. Wiszące wysoko słońce oślepiało jak lampa w pokoju przesłuchań. Omiótł wzrokiem

zbiorowisko przed bramą aresztu śledczego. Przez otaczający go wie-  
niec ludzi próbowali się precyzyjnie ekipy telewizyjne. Mieli jednak zbyt  
dużo ciężkiego sprzętu lub zbyt mało determinacji. W końcu dali sobie  
spokój i rozstawili się kilka metrów dalej.

Z kolei chłopak, którego całe wyposażenie dziennikarskie mieściło  
się w telefonie komórkowym, po prostu zanurkował pomiędzy ludźmi.  
Jednego odsunął barkiem, drugiego szturchnął łokciem i już stał na-  
przeciwko Jastrzębskiego.

Youtuber włączył aplikację do relacji na żywo.

– Nigdy nie odnaleziono zdefraudowanych pieniędzy. Co z nimi zro-  
biłeś? Umościłeś wygodne gniazdko w podatkowym raju?

Jastrzębski uśmiechnął się smutno.

Kiedy szedł do więzienia, towarzyszyły mu dziesiątki obiektywów.  
Ogólnopolskie ekipy telewizyjne zatarasowały wozami cały chodnik.  
Pomiędzy nimi przemykali radiowcy, fotoreporterzy, blogerzy, vlogerzy  
i wszelkiej maści influencerzy. Wszyscy grzali się przy ogniu, jaki trawił  
resztki jego dobrego imienia.

Minęło kilka miesięcy, a on przestał być newsem. Wszystko, co zo-  
stało po skandalu, to zaledwie te kilkadziesiąt osób z transparenta-  
mi, chłopaczek w T-shircie „StartupNews.pl” i trzy podrzędne ekipy  
telewizyjne.

– Nie mam nic do powiedzenia – rzucił i wyminął dzieciaka  
z telefonem.

Skręcił w lewo, by obejść skandujących ludzi i ruszył przed siebie,  
prosto na reportera, który już się szykował, by wykorzystać sytuację.

– Czy ma pan coś do powiedzenia żonie nieżyjącego współlnika?

– Bez komentarza.

– Czy żałujesz, że pomogłeś mu rozstać się z tym światem? – rzucił  
prowokacyjnie dziennikarz i najwidoczniej trafił dokładnie tam, gdzie  
zabolało.

Tłumek nie odstępował ich o krok. Ludzie nie po to wyczekiwali tyle godzin pod aresztem śledczym, by teraz przepuścić przedstawienie. Nie zawiedli się.

Stanisław skrócił dystans, dzielący go od reportera. Nachylił się, zupełnie jakby chciał powiedzieć coś do mikrofonu. Nie zatrzymał się jednak, tylko szedł dalej kursem kolizyjnym. Jego lewa stopa wsunęła się pomiędzy nogi przystojniaka z mikrofonem, po czym Jastrzębski zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Dziennikarz stracił równowagę i upadł na trawnik, prosto na psią kupę, która raczej nie złagodziła upadku. Jastrzębski pochylił się nad mężczyzną i podał mu rękę.

– Musi pan uważniej stąpać – powiedział. Podciągnął dziennikarza w górę i poklepał go przyjaźnie po ramieniu. – Jak się pan wytarza w gównie, to nikt nie wytrzyma tego smrodu.

Przystojniak z mikrofonem rozdziawił jedynie usta. Jastrzębski minął go i stanął na krawężniku. Rozejrzał się ponownie w poszukiwaniu znajomej twarzy. Bez większego sukcesu. Wypatrzył za to jeden czy dwa motocykle gotowe do pościgu. Na każdym siedział kierowca i przyklejony za nim fotograf. Jastrzębski pokiwał głową zadowolony.

Jeśli wyjściu z więzienia towarzyszyli paparazzi, to znaczy, że jego gwiazda całkiem jeszcze nie zgasła.

Dobiegł go ryk silnika. Tuż obok zatrzymał się gwałtownie grafitowy kabriolet z odkrytym dachem. Za kierownicą siedziała młoda kobieta.

– Wsiadaj! – zawołała, nie wyłączając silnika.

Miała na sobie lekką sukienkę idealnie dobraną do pogody. Górną część twarzy zakrywały wielkie okulary przeciwsłoneczne. Poniżej rysowała się zmysłowa linia ust wygięta w lekko drwiącym uśmiechu. Kobietę otaczała aura tajemnicy i niebezpieczeństwa.

– No, wsiadaj. Chyba że wolisz spędzić z tymi ćwokami pół dnia – kobieta dodała gazu, a samochód warknął ponaglająco.

Jastrzębski nie chciał.

– Profesor Pacman mnie przysłał – rzuciła jeszcze kobieta. I najwidoczniej imię postaci ze starej gry komputerowej poskutkowało.

Jastrzębski, nie wahając się już dłużej, oparł rękę o przednią szybę i płynnym ruchem wskoczył na fotel obok kierowcy. Ada nie czekała, aż zapnie pasy. Wrzuciła bieg i dodała gazu. Mężczyzna omal nie przygryzł sobie języka. Samochód wystrzelił do przodu, zostawiając w tyle zaskoczonych obserwatorów i zniknął na najbliższym zakręcie.

Za nimi pognały dwa jednoślady, a w chwilę potem do pościgu dołączył trójkołowiec z przyczepką. W przyczepce siedziała młoda dziewczyna. Całą twarz przesłaniały jej gogle do wirtualnej rzeczywistości. Na kolanach zaś spoczywał elegancki dron, składający się głównie ze śmigieł i dużego obiektywu.

Zostawili za sobą szpetną bryłę więzienia i wjechali na pas ziemi niczyjej. Za nimi sunęły dwa skutery. Nie były to jednak niezdarne maszyny kojarzące się z rozwozicielami pizzy, tylko miejskie ścigacze. Szybkie i zrywne bestyjki, które gdy tylko zwietrzyły okazję, osiągały sto pięćdziesiąt kilometrów w kilka sekund. Z kolei na zakorkowanej jezdni czuły się jak ryby w wodzie, śmigając pomiędzy unieruchomionymi samochodami. Siedzący za kierownicami fotografowie przypominali jeźdźców na rodeo. Każdy z nich jedną ręką obejmował kierującego maszyną partnera, w drugiej zaś trzymał aparat z masywnym obiektywem.

– Mamy towarzystwo – powiedziała Ada, wchodząc w zakręt.

– A czego się spodziewałaś? Że umówię się na sesję zdjęciową w dogodnym dla ciebie terminie? – Jastrzębski wysunął rękę w bok i zaczął siłować się z napierającym wiatrem. Po tyłu miesiącach oddychania powietrzem przesiąkniętym zapachem niepranych skarpet, czosnkowej kiełbasy i gazów puszcanych radośnie przez współwięźniów, otaczająca go przestrzeń oszałamiała. – To paparazzi.

Po obu stronach drogi ciągnęły się niszczone magazyny i opuszczone od lat fabryki. Przed nimi wyrósł stary tor wyścigowy. W czasach świetności wyścigów konnych na Służewcu odbywały się tu treningi. Dziś od lat niszczał nieużywany. Przez dziurawy jak durszlak mur prześwitywała na wpół zdziczała łąka.

Ada przyśpieszyła, sondując reakcję jadących w niewielkim oddaleniu natrętów. Dodali gazu. Usta Stanisława wygięły się w mimowolnym uśmiechu. Zapowiadała się interesująca przejażdżka.

– To cena bycia popularnym – rzucił.

– Nie zależy mi na popularności.

– Podwożenie skompromitowanych, byłych milionerów to kiepski sposób na zachowanie anonimowości. Co sprowadza nas do odpowiedzi na zasadnicze pytanie. Czego chcesz?

Ada zredukowała bieg.

Jastrzębski zwrócił uwagę na brzydką bliznę biegnącą od połowy przedramienia w górę ręki. Blizna była stara, a nierówno zrosnięta skóra sugerowała paskudne złamanie otwarte.

Kobieta dodała gazu i przecięła podwójną ciążką. Minęła sznur samochodów wstrzymywanych przez wlokący się autobus. Paparazzi nie ustępowali. Jedna para pognąła śladem sportowego kabrioletu. Druga, jeszcze bardziej lekceważąc przepisy, wjechała na pobocze z prawej strony jezdni. Ada wróciła na swój pas. Uniosła rękę znad drążka skrzyni biegów i przesunęła w stronę pasażera.

– Ada Heldish – powiedziała. Kiedy Stanisław uściśnął jej dłoń, dodała: – Twoja przyszła współpracownica w interesach.

Jastrzębski nie odpowiedział. Zamiast tego wskazał palcem odbicie we wstecznym lusterku, dając do zrozumienia, że takie rajdowe popisy nie działają na jadących za nimi natrętów.

Oczy Ady zwężyły się.



Zbliżali się właśnie do czerwonych świateł. Kobieta wcisnęła gaz do oporu. Sportowy wóz przyspieszył i z impetem pocisku karabinowego wystrzelił z drogi podporządkowanej. Kierowcy przywitani ją pełnym oburzenia rykiem klaksonów. Ada zaciągnęła ręczny hamulec i przekręciła kierownicę do oporu w lewo. Wcisnęła się w gnającą przed siebie ławicę pojazdów. Samochody rozpiezchły się na sąsiednie pasy, niczym ryby uciekające przed drapieżnikiem.

Skutery paparazzich zostały na skrzyżowaniu.

Ada i Stanisław wjechali na mokotowski Mordor. Dookoła wyrastały biurowce ze stali i szkła, gdzieś z boku zamajaczyło nowoczesne centrum handlowe. Tramwaj wypuł z siebie grupę pracowników pobliskich firm. Na to tylko czekał mężczyzna w tandetnym stroju Gandalfa. Opart plastikowy kostur o wiatę przystanku, a z podręcznego wózka wyjął naręcze gazetek.

– Głos Mordoru – zaintonował, zwracając się do sunących w karnym szeregu korporacyjnych orków.

Pomysł na gazetkę zrodził się w głowach uciekinierów z Mordoru. Zyskiwał na popularności z prędkością pożaru lasu. W ciągu kilku miesięcy z lokalnej ciekawostki rozwinął się w poważny biznes.

Ada prowadziła samochód tak, jak szła przez życie. Agresywnie. Rozpychała się na pasie. Nadużywała gazu, hamulca i sprzęgła. Oczekiwała, że to inni dostosują się do jej stylu. Jednak uważne spojrzenie Stanisława dostrzegło w tym działaniu coś więcej niż głupią brawurę. Kobieta regularnie zerknęła w lusterka. Sprawdzała, czy jej manewry nie wywabią ze zmotoryzowanego tłumu kolejnego intruza z obiektywem.

– Masz nerwy, dziewczyno – sapnął Jastrzębski. Jego prawa ręka już nie bawiła się powietrzem. Teraz spoczywała mocno oparta o deskę rozdzielczą. – Jak będę chciał zrobić skok na bank, to wiem, kogo posadzić za kółkiem.



– Cieszę się, że więzienie nie pozbawiło cię poczucia humoru. To ważne... – urwała, a jej prawa ręka zatańczyła na drążku od skrzyni biegów. – Zwłaszcza dla ludzi, którym tak niewiele zostało. – Gwałtowne przyhamowanie. – Zanim skończymy tę przejażdżkę, zrozumiesz, że nie masz zbyt wielu opcji. – Zaryczał klakson samochodu obok. Jastrzębski zobaczył kątem oka wściekłego kierowcę wygrażającego w ich kierunku. – A z tych, które masz, moja propozycja jest najlepsza. Co sprowadza nas do odpowiedzi na zasadnicze pytanie. Jedziemy dalej, czy wysadzić cię na najbliższym postoju taksówek?

– Skąd wiesz, że nie wysiądę?

– Bo zżera cię ciekawość.

Jastrzębski nie odpowiedział. Zamiast tego przyjrzał się uważnie kobiecie za kółkiem.

Wygląd Ady Heldish mógł oszukać niejednego. Miała urodę modelki z reklamy młodzieżowego napoju. Upięta w wysoki kok fryzura odsłaniała wytatuowany sznur ptaków nad prawym uchem. Słodka niewinność z odrobiną buntu. Jedynie blizna wyraźnie odcinająca się na opalonej skórze psuła ten idealny obrazek.

Kobieta ze spokojem znosiła tę obserwację.

– Gdzie jedziemy? – spytał wreszcie Jastrzębski, ustępując.

– Profesor Pacman przeniósł twój dom z dala od ciekawskich oczu.

Stanisław skinął głową ze zrozumieniem. Zachowanie w stylu Pacmana, który nawet w chwilach największego zamieszania nie tracił głowy. Ludzie, którzy go znali, rozumieli, jak i gdzie zdobył takie nawyki. Wszystko zamykało się w jednym zdaniu, które nieznanym nie mówiło nic, a bliskim wszystko. Cały Pacman.

Ada przestała przyprawiać innych kierowców o stany przedzawałowe.

Teraz, kiedy upewniła się, że nikt ich nie śledzi, brawurowa jazda byłaby tylko szczeniackim kaprysem. A Ada Heldish od jakiegoś czasu nie

pozwała sobie na robienie rzeczy, jeśli te nie prowadziły do konkretnego celu.

Ani ona, ani Stanisław nie mieli szans wypatrzeć ogona, nieważne jak intensywnie lustrowali otoczenie. Co nie znaczy, że paparazzi zostawili ich w spokoju.

Trójkołowy motocykl, który wyruszył spod aresztu śledczego, jechał ciągle ich śladem, zachowując dystans. Kierowca skupiał się na tym, by jego pojazd niczym nie wyróżniał się z tłumu. Siedząca obok pasażerka była z nim tylko ciałem. Umysł w tym czasie szybował trzydziści metrów ponad ziemią, na pokładzie drona. Kobieta obserwowała otoczenie przy pomocy zamontowanych w maszynie kamer. Obraz był przesyłany prosto do okularów VR, które zakrywały niemal całą jej twarz. Oglądany przez nie świat wyglądał niemal jak prawdziwy. Jeszcze jedna czy dwie generacje i wrażenia dostarczane do zmysłów pilota ciężko będzie odróżnić od rzeczywistości.

Zabawka, którą pilotowała kobieta, była warta tyle co dobrej klasy samochód. Pilotka pieściła drążki trzymanego w rękach kontrolera z wprawą świadczącą o wielu godzinach spędzonych w powietrzu. Krótkie i rzeczowe zdania, które wymieniała z kierowcą, sugerowały, że to nie pierwsza ich wspólna akcja. Pośpiech był niewskazany. Bateria drona starczy jeszcze na dwie godziny. W tym czasie na pewno nadarzy się okazja, by obniżyć lot maszyny i ustrzelić ujęcie, które sfinansuje całe polowanie. Jechali więc spokojnie i nie wychylali się.

Pasażerowie sportowego kabrioletu nie mieli pojęcia, że oko drona nieustannie ich obserwuje. Przez kilka minut pozostawali w milczeniu. Ada zbierała myśli. Stanisław delektował się przejażdżką.

Zostawili za sobą stalowo-szklaną dzielnicę biznesu i przemknęli obok eksplodującego zielenią Pola Mokotowskiego. Mijana Warszawa zbroiła się, by przetrwać kolejny upalny dzień. Dwóch strażaków instalowało w parku kurtynę wodną. Kiedy tylko z zakończonego spryskiwa-

czem węża trysnęła woda, dziewczynka oderwała się od swoich rodziców i ruszyła ze śmiechem do natarcia. Tuż za nią biegła cała chmara dzieciaków złaknionych orzeźwienia.

– Zostałeś zatrzymany pod zarzutem działania na szkodę firmy i wyprowadzania z niej pieniędzy – zaczęła Ada. – Przesłuchiowano cię także w sprawie śmierci jednego z twoich dwóch wspólników...

– To akurat wie każdy, kto czyta choćby nagłówki wiadomości – przerwał jej Jastrzębski.

Kobieta nie dała się sprowokować.

– W dzisiejszych czasach niemal wszystkie informacje wirują przed nami, zaklęte w zerojedynkowym kodzie. – Ada zdjęła rękę z drążka skrzyni biegów i zaczęła wyliczać, za każdym razem prostując kolejny palec. – Archiwa czasopism i magazynów informacyjnych, dziennikarskie śledztwa i zyskujące na znaczeniu publikacje blogerów. Dodaj do tego codziennie uzupełniane statusy na portalach społecznościowych tysięcy osób. – Kiedy Adzie skończyły się palce, zacisnęła dłoń w pięść. – Dostęp do informacji nie jest problemem. Natomiast wyciągnięcie z nich właściwych wniosków to prawdziwe wyzwanie.

– Tym się zajmujesz? Analiza giełdowa? Zarządzanie ryzykiem? Zatrudniałem całe piętro takich jak ty. Zmarnowane pieniądze, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Wbili się w Aleje Ujazdowskie, jedną z najbardziej reprezentacyjnych ulic w całej Warszawie. Wzdłuż szerokiego deptaku wyrastał gęszcz drzew, które wyznaczały zachodnią granicę Łazienek Królewskich. Drugą stronę jezdni zdobiły elewacje eleganckich willi. Przy bramach z kutego żelaza straż pełnili policjanci uzbrojeni w broń długolufową. Mieściły się tu siedziby ambasad, konsulatów i urzędów.

– Może gdybyś słuchał swoich analityków, zamiast rozkoszować się brzmieniem własnego głosu, twoja historia potoczyłaby się inaczej – odcięła się. – Jestem pewna, że co najmniej jedna osoba z pogardzane-

go przez ciebie działu ryzyka połączyła wszystkie elementy układanki i wyciągnęła właściwe wnioski.

– A ty? Jakie wnioski wyciągasz?

– Coś nie poszło zgodnie z planem.

Dojechali do placu Trzech Krzyży i skręcili w Księżęcą. Powiśle o tej porze roku tętniło zielenią. Na światłach zostali otoczeni przez sunące nad rzekę foodtracki. Ciężarówka serwująca wietnamską zupę *pho* zrównała się z burgerownią na kółkach. Kierowcy pocisnęli trochę gaz tak, jak to robią rajdowcy na nielegalnych wyścigach. Kiedy światło zmieniło się na zielone, obie ciężarówki ruszyły wolniutko, a siedzący za kierownicami młodzi mężczyźni roześmiali się ubawieni.

– Nie ciekawi cię to, czy jestem winny? – spytał Stanisław.

– A jakie to ma znaczenie?

Jastrzębski świdrował Adę spojrzeniem.

– Każdy, kto zadałby sobie trud przeanalizowania twojej aktywności w mediach społecznościowych, każdy, kto potrafiłby na tej podstawie sporządzić twój profil psychologiczny, wiedziałby, że nigdy świadomie nie przyłożysz ręki do zniszczenia własnej firmy – Ada wzruszyła ramionami. – Może ty i twoi wspólnicy połknęliście więcej niż byliście w stanie zjeść? Może komuś zależało, by wasza firma upadła. Efekt jest ten sam. Dzisiejsze korporacje są jak zamki z wesołego miasteczka. Z pozoru wielkie i wytrzymałe. W rzeczywistości to jedynie gumowa powłoka nadmuchana przez giełdę, która za wszelką cenę dąży do maksymalizacji zysku. Jeden fałszywy ruch, a z plastikowej twierdzy uchodzi całe na siłę wtłoczone powietrze.

– A może zaplanowaliśmy ten upadek, żeby na giełdzie zagrać na spadki?

– Tak – prychnęła – a ja dorabiam sobie po godzinach, tańcząc na rurze.

– Z takimi nogami zrobisz na tym majątek. Oczywiście, kiedy tylko przestaniesz wyciągać pomocną dłoń do biznesmenów wątpliwej reputacji.

Ada zignorowała kiepski żart.

– Twoja firma leży na deskach. A ciebie znieśli z ringu nieprzytomnego. Pierwszy cios. Ktoś wyprowadza ze spółki całą ciężarówkę kapitału – mówiła spokojnym głosem, w którym dawało się wyczuć przyjemność, jaką sprawiają jej takie analizy. – Kiedy ty zastanawiasz się, co was trafiło, na szczęście lądują dwa szybkie proste. Szum w mediach i utrata zaufania giełdy.

Ada umilkła, skupiając się na drodze. Znaleźli się nad rzeką. Trasa wiodła wzdłuż świeżo wyremontowanego fragmentu bulwarów. Było tu wystarczająco dużo miejsca, by pomieścić wszystkie spacerowe frakcje. Rowerzyści i biegacze przemykali obok par z dziećmi i właściciele psów. Po drugiej stronie rzeki wznosiła się nowoczesna bryła Stadionu Narodowego.

– Inwestorzy wyprzedają akcje, wy cofacie się do narożnika, próbujecie się ratować komunikatami prasowymi i wywiadami w zaprzyjaźnionych mediach – kontynuowała. – Ale rynek nie odpuszcza. Dopada was w zwarciu. Seria ciosów w podbrzusze. Mięśnie puszczają. Wartość firmy pikuje. Na koniec miażdżący prawy sierpowy, czyli śmierć wspólnika.

Ada zerknęła dyskretnie na pasażera.

Szczęka Jastrzębskiego zacisnęła się, a mięśnie zuchwy napięły w gniewie. Z kolei spojrzenie zdawało się być nieobecne. Zupełnie jakby jadący z nią mężczyzna przeżywał raz jeszcze tamte dni.

– Na ring wkracza policja i łasy sukcesu prokurator. To już nie boks, a wolnoamerykanka. Banki czują smród dochodzenia. Wstrzymują kredyty, odcinając tym samym dopływ tlenu. Spółka się dusi. Sąd zamraża bieżące środki, to już przedśmiertne drgawki. Pozostający na wolności

wspólnik próbuje ratować firmę za wszelką cenę. Wydaje komunikat, w którym odcina się od ciebie. Sprzedaje wasze patenty za ułamek ich wartości. – Zostawili za sobą leniwych spacerowiczów i wjechali na trasę szybkiego ruchu. – Pozyskana kwota tylko przedłuża agonię. Zbierają się sępy. Kontrolerzy ze wszystkich możliwych instytucji. Wyszli z założenia, że gdzie jest dym, tam zawsze znajdzie się ogień. Na nędzne resztki, które zostały, rzucają się wierzyciele. – Ada mocniej docisnęła gaz, a samochód wyrwał do przodu z radosnym rykiem silnika. – Ciebie po trzech miesiącach prawnicy wyciągnęli z aresztu, uwalniając przy okazji od reszty pieniędzy, jakie ci zostały.

– Skąd wiesz, że nie schowałem więcej – rzucił gniewnie Jastrzębski. Trafność wniosków młodej kobiety o wyglądzie modelki i języku ostrym jak żądło szerszenia wytrąciła go z równowagi. Plastyczne opisy rozdrapały świeże rany. – Tyle, by przejść na wcześniejszą emeryturę i zostawić cały ten bajzel daleko za sobą?

– Nie słuchasz. Zrobiłam twoją analizę. Calutki profil psychologiczny. Stuprocentowej pewności oczywiście nie mam, ale...

Stanisław wziął głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze z płuc, uspokajając się.

W sieci było na jego temat wystarczająco wiele materiałów, by nakarmić algorytmy analizujące. Zbiory wielkich danych, tak zwane Big Data, to potężna kopalnia wiedzy. Dla kogoś, kto wie, jakich narzędzi użyć i ma odpowiednie zasoby, taki materiał to żyła złota.

Ada wjechała na most i przecięła rzekę. Znaleźli się w podupadłej dzielnicy przemysłowej. Większość mijanych fabryk nie przetrwała próby, jaką była zmiana stroju ćwierć wieku temu.

– Wszystkie pieniądze, do ostatniego grosza, władowałeś w swoją firmę. Wierzyłeś, że przyczyni się ona do ratowania świata.

– Masz coś przeciw ratowaniu świata?

– Bynajmniej – zaśmiała się Ada z rozbrajającą szczerością. – Są z tego niezłe zyski.

Zjechali z głównej drogi. Ada prowadziła ich coraz gorszymi ulicami. Zniknęły pozamykane fabryki, a budynki stawały się coraz niższe. Asfaltowa droga ustąpiła miejsca popękany betonowym płytom.

– Wyszedełś z więzienia. Oczyszczono cię z zarzutów. Ale...

– Ale?

– W kilka miesięcy świetnie prosperująca firma została dosłownie zmieciona z rynku. Z trzech wspólników jeden jest martwy, drugi wiele miesięcy spędził w więzieniu. Sam mi powiedz, jak to wygląda.

Jastrzębski pokiwał głową.

– Wizerunkowa śmierć – stwierdził kwaśno.

– Inwestorzy to płochliwe ptaszki. Dla nich jesteś skończony. Już nigdy nie włożysz rękawic i nie staniesz na ringu. Kto zechce powierzyć pieniądze złodziejowi i oszustowi?

Twarde zawieszenie sportowego samochodu nie radziło sobie dobrze na nierównej powierzchni. Ada zwolniła niemal do zera. Samochód włókł się w tempie utykającego spacerowicza.

– Co sprowadza nas do zasadniczego pytania... – Stanisław zawiesił głos. Na niebie dostrzegł ciemny punkt. To nie mógł być ptak. Jego zachowanie było zbyt monotonne, a trasa niezmienna. Obiekt w powietrzu podążał śladem sportowego kabrioletu. Jastrzębski zachował to odkrycie dla siebie, a na głos dokończył pytanie: – Co ty z tego będziesz miała?

Przed nimi wyrósł szpaler drzew. Kiedy je minęli, oczom ukazał się zaniedbany port na kanale żerańskim. Na nabrzeżu znajdowała się jedynie parterowa chatka. Zaśniedziały szyld informował, że to szkoła skyboardu. Obok zaparkował poobijany foodtrack z kubańskimi kanapkami.



Na wodzie cumowało kilka łódek i zardzewiała barka towarowa, która nie rozpadła się jedynie dlatego, że spajająca ją rdza była zbyt uparta, by puścić. W lekkim oddaleniu znajdowała się barka mieszkalna. Wyglądała jak nieślubne dziecko luksusowego jachtu z domkiem letniskowym. Spojrzenie Jastrzębskiego zmiękło, a mięśnie szczęki się rozluźniły. Zupełnie jak u marynarza, który po sztormie wrócił do ojczystego portu, albo u wędrowca, który po pełnej trudów tułaczce wrócił do domu.

Pokonali ostatnie sto metrów. Zatrzymali się tuż przed cumą, do której uwiązany był pływający dom. Dwupoziomowy budynek o wielkich oknach i topornym kadłubie delikatnie zwężającym się ku dziobowi bujał się na niewielkich falach. Na rufie stał starszawy mężczyzna. Elegancko zaczesane siwe włosy i klasyczny wąsik nadawały mu wygląd brytyjskiego oficera na emeryturze.

Starzec nie miał imponującej postury Jastrzębskiego. Za to coś w jego mowie ciała sugerowało, że są do siebie podobni. Może to, w jaki sposób obaj lekko skrzywiali głowy, kiedy taksowali kogoś wzrokiem. Pokrewieństwo wynikające z wielu godzin spędzonych we wspólnym towarzystwie.

Mężczyzna zasalutował piwem w kierunku samochodu. Stanisław pomachał na powitanie ręką, zaś Ada ograniczyła się do dyskretnego skinięcia głową.

– Ja odrobiłam zadanie domowe. Teraz twoja kolej. – Ada wręczyła wysiadającemu Stanisławowi wizytówkę. – Po co jest mi potrzebny skompromitowany bankrut, który właśnie wyszedł z więzienia? Znajdź odpowiedź, to pogadamy.

Stanisław przesunął opuszkami palców po powierzchni wizytówki. Drogi papier o przyjemnej fakturze i kunsztownie tłoczonych elementach stanowił deklarację samą w sobie.

– A jeśli mi się nie uda? – zapytał, chowając przedmiot do kieszeni.



– To znaczy, że twoja reputacja jest przereklamowana – Ada uruchomiła silnik samochodu – a ja tracę czas.

Jastrzębski dostrzegł na niebie znajomy już ciemny punkt. Dron leciał prosto na nich. Ada, zwrócona do niego plecami, nie miała szans go widzieć. Coś w postawie przystojnego wikinga, może błysk w jego oczach sugerował, że właśnie rodzi się jeden z wariackich pomysłów, z jakich był znany. Kiedy ster przejmowała intuicja, wszyscy w otoczeniu Stanisława Jastrzębskiego zaczęli żyć w ciekawych czasach.

Stanisław obszedł pojazd dokoła i położył rękę na drzwiach samochodu. Nic w jego mowie ciała, nawet drgnienie pojedynczego mięśnia nie sugerowało Adzie, by spojrzeć za siebie.

– Może po prostu spytam Pacmana.

– Powodzenia życzę.

Uśmiechnął się krzywo. Prosić profesora o wyjawienie tajemnicy, która jest częścią testu? Z większym prawdopodobieństwem można by wyciągnąć ze Sfinksa klucz z odpowiedziami do zagadek.

Latający obiekt był tuż-tuż. Lada chwila, a nad wyludnionym terenem rozlegnie się śpiew ośmiu śmigieł utrzymujących drona w powietrzu. Grunt to wychwycić właściwy moment.

– W takim razie pozostaje mi się tylko pożegnać – Jastrzębski wyciągnął rękę przed siebie. – I podziękować za ratunek. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, to czekać z całym tym towarzystwem przed aresztem, aż jakaś taksówka raczy się pojawić.

Ada ujęła wyciągniętą dłoń nieświadoma niebezpieczeństwa. Stanisław odwzajemnił uścisk, mocno i szczerze. I wtedy zrobił ostatnią rzecz, jakiej kobieta za kierownicą mogła się spodziewać. Wzmocnił nieznacznie chwyt, tak by Ada nie była w stanie się wyrwać. Pochylił się nad nią i pocałował.

Smakowała szminką czereśniową.

Na reakcję Ady nie trzeba było długo czekać. Jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Lewa ręka, spoczywająca do tej pory luźno na drzwiach samochodu, zamachnęła się, trafiając Jastrzębskiego pod pachę. Młoda kobieta instynktownie skorygowała obliczenia i drugi cios spadł prosto na ucho całującego. Miała fart albo dużą wprawę w odganianiu niechcianych amantów. Siła uderzenia sprawiła, że w głowie Jastrzębskiego rozbrzmiały dzwony. Ada szarpnęła głową w tył, uwalniając usta.

Jastrzębski złapał się za twarz. Może nieco zbyt teatralnie.

Dron unosił się kilka metrów nad nimi. Maszyna nie wyglądała na tanią zabawkę. Duże oko obiektywu rejestrowało cały obraz pod spodem.

Ada puściła wążankę, jakiej nie powstydziliby się niedawno poznani koledzy z celi Jastrzębskiego. Mężczyzna zignorował ją. Podniósł z ziemi kamień i rzucił w drona. Chybił, jednak groźba poskutkowała. Maszyna wzniosła się i obserwowała dalszy ciąg wydarzeń z bezpiecznej wysokości.

– Co to miało być? – fuknęła Ada.

– Zbiory wielkich danych to jedno, pani Analityczko. – Stanisław masował ucho, a cała jego postawa promieniała samozadowoleniem. – Starcie z żywym człowiekiem, to zupełnie co innego.

– Odbiło ci w tym areszcie – Ada wrzuciła wsteczny. – Z naszej umowy nici.

Koła zabuksowały na ziemistej nawierzchni, wzniesając chmurę pyłu. Sportowy kabriolet zawrócił, zmuszając stojącego obok mężczyznę, by ten uskoczył.

– Odezwę się wkrótce – zawołał Jastrzębski, nic sobie nie robiąc z jej wybuchu. – Przekonasz się, że moja reputacja nie jest przereklamowana. Wręcz przeciwnie. Jest mocno niedoszacowana.

Stanisław przyglądał się jak odjeżdża. Kiedy zniknęła za szpalerem drzew, odwrócił się w stronę kołyszącej się na wodzie mieszkalnej barki.

Profesor Pacman upił łyk piwa i powiedział:

– To była najgłupsza rzecz, jaką widziałem.

Stanisław wspiął się powoli na pokład.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, wujku. Dobrze być w domu.

– Nie mam siły się na ciebie gniewać. – Starzec machnął ręką. – W lodówce jest piwo.

– Zatem z pragnienia nie umrzemy.

Obaj mężczyźni weszli do środka. Kwadrans później odcumowali dom i odплыnęli w głąb Kanału Żerańskiego.

Świtało już, kiedy Stanisław przegrał walkę z napierającym pęcherzem. Ostatnie kilka godzin spędził na tarasie na szczycie barki mieszkalnej. Siedział z laptopem na kolanach, przeglądał sieć i karmił mózg informacjami.

Na ekranie komputera znajdował się ostatni element układanki. Artykuł z tabloidu.

„Drogi samochód, szalony rajd i skazany milioner. Złote trio wskazuje na to, że Miedziana Księżniczka wróciła do kraju. Nasi reporterzy sfilmowali dzisiaj rano, jak córka magnata finansowego odebrała spod aresztu śledczego upadłą gwiazdę polskiego biznesu. Parka bawiła się w najlepsze, rozbijając się po ulicach Warszawy.

To nie pierwsze takie numery dziedziczki fortuny Grabowskich. Miedziana Księżniczka zawdzięcza swój pseudonim rodzinnemu biznesowi związanemu ze światowym wydobyciem miedzi oraz wyskokom, które zawsze uchodziły jej na sucho dzięki koneksjom tatusia. Już dziesięć lat temu nagie zdjęcia niespełna dziewiętnastoletniej Ady zagościły na monitorach połowy Polski. A to był dopiero początek. Jednak cztery lata temu słuch o niej zaginął. Nasze źródła donoszą, że zmieniła na-

zwisko na panięskie swojej matki i wyjechała z kraju. Jak widać, wróciła i jest w formie”.

Tekst zilustrowały zdjęcia zrobione z lotu ptaka.

To był ostatni element układanki, jakiego potrzebował Jastrzębski.

„Praca domowa odrobiona. Wiem po co ci jestem potrzebny,”. Stanisław wysłał do Ady wiadomość i zamknął komputer.

Przeciagnął się ze stęknieniem. Pobyt w więzieniu miał przynajmniej jedną pozytywną stronę. Zero dupogodzin przed komputerem. Tartł przez chwilę oczy, próbując się obudzić. Kiedy to nie pomogło, ziewnął, wstał i ruszył w kierunku schodów. Szedł ostrożnie. Pływający dom nie był zbyt stabilny i na dachu nieźle bujało. Z drugiej strony, kiedy otoczenie przestawało odpowiadać, człowiek mógł przeprowadzić się bez wychodzenia z domu. Wystarczyło odcumować barkę i ruszyć przed siebie.

Przytrzymał się poręczy i zszedł na dół.

Telefon w kieszeni zawibrował. Najwidoczniej Ada Heldish również miała lepsze rzeczy do roboty niż sen.

„Nie żebyś sam ją odrobił” – brzmiała odpowiedź. „Z tym dronem to cios poniżej pasa”.

„Po efektach go poznacie” – napisał i wszedł do łazienki.

Kiedy już ulżył pęcherzowi i umył ręce, wsunął głowę pod zimną wodę, studząc rozbiegane myśli.

Kolejna wibracja obwieściła wiadomość od Ady.

„???” – napisała.

„Spotkajmy się” – odpowiedział.

Zamrugnął oczami, wyganiając z oczu powidoki.

W dzieciństwie każde wakacje spędzał nad jeziorem u wujka zwanego przez wszystkich profesorem Pacmanem. Wuj był profesorem ekonomii. Nieszablonowym sposobem nauczania i przykładami czer-

panymi z popkultury zaskarbił sobie oddanie studentów, którzy nadali mu ten niecodzienny pseudonim.

Kiedy na uczelni kończył się rok akademicki, profesor przenosił się do domu na Mazurach i ogłaszał sezon otwarty dla wszystkich miłośników wiedzy. Zjeżdżali się byli i obecni studenci oraz koledzy akademicy, a kto miał rodzinę i dzieci, zabierał je ze sobą. Młody Jastrzębski był regularnie podrzucany do wuja przez swoich rodziców. To były dwa miesiące mazurskiego szaleństwa. Pod wodzą profesora dom na Mazurach zmieniał się w nadwodny uniwersytet, a podwórko w pole namiotowe.

Wielką słabością wuja były szachy. Kiedy uznał, że młody Staszek jest już wystarczająco duży, nauczył go grać. Chłopak przegrywał raz za razem, sezon za sezonem. Wuj był twardym przeciwnikiem, ale i dobrym nauczycielem. Po każdej partii tłumaczył młodemu graczowi, gdzie ten popełnił błąd. Jednego roku, tuż przed wakacjami, Staszek przerobił na sucho książkę ze słynnymi strategiami szachowymi. Uczył się ich na pamięć chyba przez pół nocy. Gdy wreszcie poszedł spać, zapętlone fragmenty gry nawiedzały go w snach. Skoczek wykonywał ten sam ruch nieskończoną ilość razy, wieża biła gońca, a król parł o jedno pole do przodu i cofał się o jedno do tyłu. I tak w kółko.

Młody Staszek ruszył na wakacje pewien swojej wygranej. Startł się z wujem i dostał solidnego mata. A potem kolejnego i jeszcze kolejnego. I tak przez całe wakacje odbierał lekcje wytrwałości.

Teraz Jastrzębski czuł się podobnie. Uniósł twarz znad umywalki i spojrzał na swoje odbicie. Trawił informacje z sieci, a jego oczy miały ten sam szklisty wyraz co wtedy, gdy przeciążył mózg strategiami szachowymi. Strzępy obrazów, urwanych dźwięków, fragmenty wywiadów i analiz, zamrożone kadry z ekranu. To wszystko kłębiło się w jego głowie, a gdy tylko zamykał oczy, wyświetlało się na wewnętrznych stronach obu powiek.

Telefon w kieszeni zadrgał, jednak tym razem go zignorował. Potrzebował kroplówki z kofeiny. Wytrzeł twarz i przeszedł do przestronnego salonu, który zajmował niemal cały pierwszy poziom. Na kanapie okryty kocem chrapał w najlepsze Pacman.

Stanisław zmełł kawę i włączył ekspres. Światło poranka wlewało się coraz śmieiej przez duże przeszklone drzwi. Wyławiło z mroku ścianę naprzeciwko Jastrzębskiego, na której wisały liczne fotografie. Po salonie rozszedł się charakterystyczny zapach. Stanisław z kubkiem w ręce wrócił do komórkowej konwersacji.

„Kiedy?” – pytała Ada.

„Jutro” – odpisał klikając kciukiem.

„Mam plany”.

Jastrzębski zaciągnął się aromatem kawy. Już sam ten zapach stawał na nogi.

„Zmień” – napisał.

„Oby było warto”.

„Będzie” – pchnął SMS-a w odpowiedzi i zanim zdążyła zareagować, szybko napisał drugiego: „Zabieram cię na najszybszą randkę świata”.

Falujące trzy kropki w oknie komunikatora sugerowały, że Ada pisze odpowiedź. Kropki zniknęły, znaczy się wykasowała. Znowu falowanie kropek, a zaraz po nich, krótka wiadomość:

„Randkę???”

„Przyjedź po mnie jutro o 19.00. Szykuj portfel. Ty stawiasz” – odpisał. Wyciszył telefon i odłożył go na blat.

Jastrzębski upił pierwszy łyk kawy, która nie była więzienną podróbką. Idealne połączenie mocy z lekką nutką kwaskowości spłynęło po podniebieniu, szczypiąc lekko język.

Chrapanie z kanapy już jakiś czas temu ustało.

– Na blacie znajdziesz kubek – powiedział do Pacmana, a sam przeszedł do ściany z fotografiami. Jedno z najstarszych zdjęć zwróciło jego

uwagę. Młodziutki Staszek pęka na nim z dumy. Po raz pierwszy pokonał wuja w szachach. Profesor Pacman stoi z boku i zerka na chłopaka. Nieustanne potyczki szachowe oraz rozmowy o strategii i wielkich mistrzach zbliżyły ich do siebie.

Wuj podniósł się z jękiem z kanapy.

– Hałasujesz jak niedźwiedź po zimie – powiedział, ujmując w dłoń kubek.

– To ty masz już lekki sen staruszka – zrewanżował się Stanisław, po czym dodał: – Nie przyjechałeś po mnie.

– Jestem zbyt piękny, by pchać się przed kamery – odpowiedział Pacman.

– Prawie ich nie było.

– Ach ta sława... – profesor zebrał się z kanapy i podszedł do siostrzeńca – tak szybko przemija.

– Nikt nie powinien wychodzić z więzienia niewitany. To przynosi pecha.

Wuj milczał. Udawał, że ściana ze zdjęciami absorbuje go bardziej niż to, co siostrzeniec ma do powiedzenia.

– Jestem niewinny – stwierdził Stanisław. Nie bronił się, nie przekonywał. Po prostu stwierdził fakt.

– Iksińskiego zatrzymali za zgwałcenie kozy – odpowiedział Pacman.  
– Co z tego, że koza zaprzecza. Dla świata Iksiński już na zawsze będzie kozojebcą.

Stanisław zerknął na wuja. Emerytowany profesor jeszcze na uczelni rozmiłował się w kontrowersyjnych analogiach. Jak mawiał, pozwalało to nieco potrząsnąć światopoglądem studentów.

– Świat się myli.

– I co z tym zrobisz? – spytał Pacman pozornie obojętnym tonem, ale obwisłe ze starości usta wygięły się w prowokacyjnym uśmiechu. W pytaniu pobrzmiwało echo dawnych rozgrywek szachowych. „Jakie są



plany przeciwnika? A jaką ty masz strategię? Myślałem, że syna mojej siostry stać na więcej. Rusz głową, chłopcze, bo tego jednego nikt za ciebie nie zrobi”.

Jastrzębski skierował wzrok ponownie na ścianę z fotografiami. Wpatrywał się w nią intensywnie, aż wreszcie dostrzegł zdjęcie, którego szukał.

– Co z tym zrobię? – spytał, zdejmując fotografię ze ściany. Zdjęcie zostało zrobione w Nowym Jorku. Stanisław razem z współnikami siedzi w restauracji na dachu. Oblewają wielkie zwycięstwo. Aniołowie biznesu zainwestowali w ich firmę trzydzieści siedem milionów dolarów. Spółka Dragon Flame miała wtedy niecałe trzy lata, a oni rozpoczęli paraboliczny wyścig na sam szczyt. – Udowodnię wszystkim, że nie mają racji.

Jastrzębski wpatrywał się w zdjęcie z taką intensywnością, jakby chciał siłą woli przenieść się tam i ostrzec samego siebie przed tym, co nadejdzie. Z dwóch mężczyzn, którzy oprócz niego zostali uwiecznieni na fotografii, jeden był już martwy. Nie wytrzymał upadku firmy. Nie wytrzymał, kiedy wszyscy dookoła zaczęli patrzeć na niego jak na złodzieja i oszusta. Zaszczuli go tak, że popełnił samobójstwo.

Palce Jastrzębskiego zacisnęły się nieco zbyt mocno na delikatnej ramce. Obudowa pękła. Mężczyzna syknął, kiedy ukruszona krawędź zacięła go w palec.

– Całemu światu? – kolejne niby niewinne pytanie wujka, w którym pobrzmiwały echa głosu, tak często oznajmającego „szach”.

Po ręce Stanisława ciekła krew, ale zdawał się tym nie przejmować. Wyjął zdjęcie z ramki i rozdarł na dwie nierówne części. Jedną z nich położył na stole obok kubka z kawą.

Z przetarganej fotografii spoglądał na niego drugi ze współników Paweł Król. Kontakt Jastrzębskiego twierdził, że twardy upadek firmy złagodziła mu poduszka pełna dolarów i obligacji. Po miękkim ląd-



waniu przyczał się i leciał na tyle nisko, by nie zostać wykryty przez radar któregoś z dziennikarzy biznesowych. Ze startupera stał się inwestorem.

Kiedy wisiał w towarzystwie tuzinów innych zdjęć, mógł się chować przed stalowoszarymi oczami Jastrzębskiego. Teraz Król został odsłonięty, a na jego twarzy pozostał krwawy ślad. Wzrok Jastrzębskiego nie pozostawiał wątpliwości. Tak spogląda człowiek wkraczający na ścieżkę zemsty.

– Całemu pieprzonemu światu – powiedział dobitnie. – Nie pominę nawet astronautów na orbicie.

Profesor Pacman z zadowoleniem kiwnął głową.

– Nie spodziewałem się po tobie ani trochę mniej.

## KONSPEKT

„Dr Startup” to dynamicznie napisana powieść startaperska. Tu, podobnie jak w biznesie, nie ma czasu na przydługą grę wstępną. Fabuła pełna jest wartkiej akcji, ciętych dialogów i wyrazistych postaci, które nie wahają się walczyć o swoje racje.

Startuper Stanisław Jastrzębski był o włos od stworzenia firmy wartej miliard dolarów (tzw. Jednorożca). W wyniku działań nieuczciwego współlnika stracił majątek, dobre imię i wylądował w więzieniu. Teraz wychodzi na wolność.

Ada Heldish to zbuntowana córka miliardera. W przeszłości wydawało się, że zostanie naturalnym następcą rodzinnego imperium. Kilka lat temu wyjechała z kraju w atmosferze skandalu. Teraz wraca do Polski zmierzyć się z grzechami przeszłości i naprawić relacje z ojcem.

Stanisław i Ada zakładają firmę, która pomaga przedsiębiorstwom nowej generacji w chwilach największego kryzysu. Śledząc losy firmy Dr Startup, poznamy wiele spraw, w których rozwiązaniu biorą udział. Odwiedzimy katowicki Spodek, gdzie odbywa się jedna z największych imprez e-sportowych na świecie. Poznamy tam światowego króla strzelców, który zarabia na życie, zabijając ludzi w grze wideo. Przyjrzymy się firmie analizującej nasze aktywności internetowe. Dowiemy się, jak przy pomocy Facebooka wygrać wybory i jak głęboko banki grzebią w naszych profilach społecznościowych. Nasi bohaterowie zagłębiają się w świat wielkich pieniędzy i kłamstw, gdzie granica pomiędzy wizjonerami i szarlatanami jest zatarta.

Równolegle do rozwiązywanych spraw, założyciele firmy Dr Startup muszą stawić czoło osobistym problemom. Czy Ada wyciągnie wnioski z poprzednich porażek, czy świat pieniędzy wciągnie ją bez reszty? Czy Stanisław wykorzysta nową pozycję, by zemścić się i oczyścić swoje imię?

Powieść „Dr Startup” zrodziła się z fascynacji światem nowoczesnych technologii i zmianami, jakie one wprowadzają w naszym bezpośrednim otoczeniu. Skierowana jest do wszystkich, którzy zadają sobie pytanie o to, gdzie zmierzamy jako społeczeństwo. Warto zaznaczyć, że odpowiedzi udziela miłośnik i twórca literatury sensacyjno-przygodowej.

Marta Wroniszewska

## Rodzina Dzikiego

(fragmenty)

Tego dnia matka jadła z nami kolację po raz ostatni. Choć, gdy podawała do stołu pieczonego kurczaka, ryż i marchew z groszkiem, nikt z nas jeszcze tego nie wiedział.

Siostra ssała włosy. Nawijała cienkie pasma na palce i wpychała je do ust, śliniąc obficie. Potem wyjmowała mokre strąki i czynność powtarzała z kolejnym pasmem. To była jej nowa zabawa. Do tej pory przerabialiśmy obgryzanie paznokci – nie takie zwyczajne, siostra robiła to niezwykle teatralnie, jej ręce wystrzeliwały w górę, potem trafiały do ust, zanurzały się tam głębiej, niżby to się wydawało konieczne, a następnie trafiały pod stół, gdzie siostra wycierała ogryzki paznokci w spodnie. Było też dłubanie w nosie i zębach, również niezwykle widowiskowe. Ale ssania włosów jeszcze nie było. Gdy wyjmowała je z ust, delikatnie przygryzała ich końcówki. Wyglądała przy tym, jak nasz pies – Dzikie – kiedy iskał sobie futro na ogonie. Dzikie głównie albo iskał sobie futro, albo uganiał się za sukami, albo ujadał pod płotem.

Zarówno Dzikie, jak i siostra podczas czynności iskania, powodowali u mnie odruchy wymiotne. I o ile na Dzikiego nie musiałem

nigdy zbyt długo patrzeć, bo ganiał po podwórku albo był przywiązany – żeby nie uciekał i nie uganiał się za sukami – o tyle siostra podczas kolacji siedziała dokładnie naprzeciwko mnie. I żebym nie wiem jak kombinował, nie mogłem na nią nie patrzeć. Ale z drugiej strony muszę przyznać, że było coś magnetycznego w tej jej ślinie zmieszanej z dawno niestrzyżonymi, czarnymi włosami.

Kątem oka dostrzegłem wzrok matki. Było w nim wiele, jeśli nie wszystko. Takie samo jak u mnie obrzydzenie i dławiąca potrzeba natychmiastowego zwrócenia siostrze uwagi i wyrzucenia jej z pokoju, żeby zjadła kolację u siebie. Ale wzrok matki był pojemny. Były w nim również miłość i troska. I strach. Bo matka była w przeciwieństwie do Dzikiego świetnie przez moją siostrę wytresowana.

Gdy tylko coś szło nie po myśli mojej siostry, gdy matka zwróciła jej uwagę lub nawet delikatnie poprosiła o coś, tamta wstawiała i wychodziła. Nikt nie wiedział, na jak długo zniknie. Czasem potrafiła nie pojawiać się w domu przez wiele dni, a nawet tygodni. Byłe upomnienie ze strony matki budziło w niej taki sprzeciw i złość, że bez słowa wychodziła z domu. Czasem brała plecak, a czasem nie brała niczego i zawijała się z domu, głośno trzaskając drzwiami. Dokąd szła? Co wtedy robiła? Kiedy wróci? Nikt z nas tego nie wiedział.

I tej niewiedzy i niepewności matka bała się najbardziej.

Ja się nie bałem. Miałem dziewięć lat i wydawało mi się, że jestem nieustraszony. Poza tym miałem drewniany miecz i tarczę, które sam zrobiłem z desek i pomalowałem złotymi, srebrnymi i czerwonymi farbami w zawijasy i bojowe niedźwiedzie. A w cichości ducha liczyłem, że siostra jednak odejdzie na zawsze i wtedy wreszcie dostanę jej pokój. Będę mógł się wyprowadzić z ciasnej klitki – dziewięć metrów kwadratowych – i dostanę jej dwukrotnie większy pokój.

Ta niesprawiedliwość metrażowa nie wynikała z tego, że rodzice w jakiś szczególny sposób faworyzowali siostrę. To nigdy nie miało

miejsca. Zawsze starali się, żeby było w miarę sprawiedliwie. Zachwianie proporcji w kwestii wielkości pokoi wynikało po prostu z układu pomieszczeń w starej kamienicy. Mnie przypadła służbówka tylko dlatego, że urodziłem się drugi.

Nie chciałbym, aby ktoś zarzucił mi, że nie kochałem siostry, bo to nieprawda. Kochałem ją na swój sposób – tak jak się kocha kogoś starszego i silniejszego. Może to był jakiś rodzaj młodzieńczego podziwu dla jej postawy wobec świata, tego buntu nieokrzesanego, niepohamowanego? A może rodzaj uległości pomieszanej z zazdrością o jej wiek – była ode mnie całe dziewięć lat starsza – i doświadczenie. W każdym razie kochałem ją bardzo i to uczucie, choć ewoluowało na przestrzeni lat, nie zmieniało się w swym natężeniu. Kochałem ją też za to, że gdy byliśmy trochę młodszy i kradła cukierki z szafki w kuchni, zawsze pamiętała o mnie. Za to, że wbrew rodzicom oddała mi w tajemnicy swój szczyrek – ten, za pomocą którego zrobiłem tarczę i miecz. I za to, że długo nie poddawała się i jednak mimo przeciwności próbowała wytresować Dzikiego.

Gdy Dzikie do nas trafił, wcale nie nazywał się Dzikie. Ojciec przyniósł go któregoś wieczora po pracy. Mała puchata kulka w jego rękach wydawała się spełnieniem naszych dziecięcych marzeń. Od ojca zalaływało alkoholem i dopiero gdy byłem sporo starszy, zrozumiałem, że ojciec chciał tym psem zamaskować problemy osobiste, i z matką, i w pracy, i z alkoholem. Pies był dla ojca jak łyk płynu do płukania ust. Miał zatuszować problem. Udało się. Matka nie zrobiła ojcu awantury ani tego wieczoru, ani w kilka kolejnych. W domu zapanował radosny nastrój. Być może pozorny, ale unosił się przez kilka dni w powietrzu, niczym zapach mięty z odświeżacza.

– To Baron – powiedział ojciec – opiekujcie się nim i dbajcie o niego. Jest wasz.

Mówiąc wasz, miał na myśli moją siostrę i mnie.

Baron pierwszej nocy zjadł zapas papieru toaletowego i mydła, matce pogryzł ulubione skórzane sandały, ojcu teczkę (którą ten nosił do pracy w MZK) i nasrał na dywan w salonie.

Gdy zaczął znosić do domu zagryzione wiewiórki, myszy i koty, matka nie wytrzymała.

– Ten pies jest kompletnie dziki – krzyknęła któregoś razu, gdy potknęła się o na wpół zjedzone truchło. I tak już zostało. Dziki. Na szczęście dla nas i dla siebie potem pies odkrył, że seks jest o wiele fajniejszy niż mordowanie wiewiórek i kotów i przerzucił się na suki.

Siostra wydawała się pochłonięta ssaniem włosów bez reszty. Ojciec, aby tego nie widzieć, dokładał sobie ryżu i marchwi z groszkiem i bardzo pieczołowicie nabijał na widelec każde ziarenko, które potem szybkim ruchem kierował do ust. Wyglądał trochę jak kura dziobiąca ziarno. Nie podnosił wzroku, bo wolał, kiedy cała uwaga matki była skupiona na kimś innym, a nie na nim. Od kiedy stracił pracę, stracił też kumpli od kieliszka i awantury między rodzicami nie były już ani takie częste, ani takie intensywne, ale w powietrzu wisały nowe. Jeszcze niewypowiedziane. Co miesiąc, gdy przychodził czas wypłaty, matka wzdychała coraz głośniej, a ojciec robił się coraz cichszy.

Teraz matka nie wzdychała. Zrobiła coś, czego nikt z obecnych przy stole się nie spodziewał i czego następstw nie był w stanie sobie wyobrazić. Odłożyła z impetem sztucę – i to wcale nie na godzinie siedemnastej, ale byle jak – poczerwieniła jak burak i wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy przesadziła z solarium przed ślubem ciotki Magdy. Spojrzała na moją siostrę, otworzyła usta i równie szybko je zamknęła. Spojrzała na ojca i powtórzyła numer z ustami. Spojrzała na mnie. Nie otworzyła ust, tylko – jestem tego prawie pewien – nieznacznie przekrzywiła głowę. Potem wstała gwałtownie od stołu, złapała torebkę i wyszła. Po chwili weszła ponownie, wzięła klucze i trzasnęła za sobą drzwiami.

Przy stole zapanowała kompletna cisza. Po dłuższej chwili przerwał ją ojciec.

– No to się doigraliśmy – powiedział i poszedł oglądać telewizję.

\*\*\*

Wszyscy wiedzieliśmy, że kiedyś znów wyjdzie. A potem wróci. Dla mnie to była taka gra, dla matki czarna rozpacz, a ojcu było obojętne.

Od kiedy skończyła czternaście lat i zarobiła swoje pierwsze pieniądze – podobno myła staruszkom okna, ale ja w to nie wierzę – poczuła, że nie musi być zależna od matki, nie musi wynosić śmieci na zawołanie i pić porannej porcji mleka i tranu. Tak jakby każdy zarobiony grosz ostro piłował pępownię łączącą ją z matką i domem. Stawała się coraz bardziej podobna do Dzikiego. Tak samo uparta, niezależna i nieuczesana. Tym samym Dziki był jeszcze bardziej członkiem naszej rodziny. Gdy patrzyło się na tych dwoje, gdy ganiali po dworze, gdy siostra za garść froliców próbowała go nauczyć siadania czy warowania, miało się wrażenie, że w ich żyłach płynie ta sama krew – czarna, gęsta i spieniona, jak olej w fiacie ojca. Wyobrażałem sobie, jak zamiast serca mają silnik, a tłoki poruszają się w ich cylindrach góra-dół. Nieomal widziałem, jak przy każdym ruchu tłoka dochodzi do eksplozji. Ich energia nie mogła pochodzić od niczego innego, aniżeli od regularnych, wewnętrznych wybuchów.

A jednak czasem nasze światy się przecinały, pomimo dzielących nas różnic i wieku. Przecięcie kończyło się na przejściu dla pieszych, gdy na polecenie matki odprowadzała mnie do szkoły. I mówiła:

– Idź już.

Więc szedłem.

\*\*\*

Dziki zlał się na podłogę. Dziki zlał się na podłogę tydzień temu. Codziennie obserwowałem plamę moczu na podłodze w salonie. Szczególnie dobrze było ją widać od wejścia. Odbijało się od niej światło. Każdego dnia inaczej. Plama stapała się z posadzką, ewoluowała. Stawała się naszą rodzinną plamą. Po kilku dniach dostała kolorów i przypominała trochę benzynę rozlaną w kałuży. Mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Widziałem to szczególnie wyraźnie, gdy kładłem się na dywanie i zaczynałem się delikatnie turlać. W prawo, w lewo. Plama ożywała, kolory się zmieniały.

Ojciec niekiedy odrywał wzrok od telewizora i patrzył na nią ze swojego miejsca na kanapie.

Mnie się wydawało, że są lepsze punkty obserwacyjne w domu – chociażby ten mój na dywanie, chciałem nawet zaprosić tatę, żeby się obok mnie położył i poturlał trochę, ale wiedziałem, że nie lubi takich głupot.

Nie ruszył się z kanapy od wyjścia mamy. Siedział jak przyrośnięty. Duży i milczący. Okryty granatowym kocem.

Tak jakby mama wychodząc zgasiła tatę. Pstryk. Wyłączyła go i wyszła. Jak światło albo mikser. Albo maszynkę do mielenia mięsa, którą uruchamiała, kiedy udało jej się znaleźć na mieście mięso wołowe. Robiła wtedy najlepsze na świecie pierogi. Mama była mistrzynią pierogów. Mówiła, że ich sekret polega na tym, że farsz musi mieć wyrazisty smak i nie może być zbyt suchy. Jej tajnym składnikiem był bulion. A do ciasta nie dodawała jajek, bo wtedy wychodziło za twarde i nie dawało się rozwałkować.

Mama powiedziała mi to w tajemnicy. Byłem jej małym pomocnikiem. Z całej rodziny poza mną do kuchni pchał się tylko Dziki. Wpychał swój wielki łeb przez drzwi – zwłaszcza wtedy, kiedy mama kupiła wołowe.

Ani siostra, ani ojciec zazwyczaj tu nie zaglądali. Czasem siostra, gdy była akurat w lepszym nastroju, wchodziła, żeby uchylić pokrywkę garnka i zapytać:



– Co dziś na obiad?

Ojca kuchnia interesowała na tyle, że wiedział, że to tam mama wnosi siatki i stamtąd wyciąga gotowe jedzenie.

No i wiedział, gdzie są ogórki konserwowe.

Nie wiem, czy nadal to wie. Siedzi zgaszony, jak silnik naszego samochodu, kiedy wymontowywał akumulator, żeby go podładować w gniazdku, w sypialni, pod oknem.

Mieliśmy malucha. Ojciec miał malucha. Fiata 126p, wyprodukowanego przez Fabrykę Samochodów Małolitrażowych „Polmo” Bielsko-Biała, w Bielsku-Białej.

Ojciec bardzo o niego dbał. Trzymał go w osiedlowym garażu. Tam – w przeciwieństwie do pozostałych sfer życia taty – zawsze panował idealny porządek. To tam w równych rzędkach, jak na porannym apelu, leżały narzędzia, świece, szmatki, śruby i różne części zamienne.

Klucze do garażu wisały w przedpokoju na haczyku i miały najładniejszy breloczek. Kulę ziemską zamkniętą w plastikowej otoczce wypełnionej wodą. Jak się ruszało breloczkiem, to kula w środku kręciła się niezależnie od zewnętrznej osłonki, ale i tak ostatecznie ustawiała się północą do góry.

Myślę, że ojciec marzył, że tym swoim samochodem objedzie świat.

Ojciec zbierał mapy. Wszystkich miejsc, w których był – to była mała kupka – i tych, w których nie był, a chciał pojechać – i ta kupka była zdecydowanie większa. Zajmowała dwie półki na regale w sypialni rodziców. Ojciec lubił rozkładać mapy na stole w salonie, siadywał nad nimi, wodził po nich palcem, mruzczał coś pod nosem, drapał się po głowie, a czasem podrywał się i klepał w kolano, wykrzykując: „Ha!”.

Ale nigdy nie dojechał zbyt daleko. Jego granice wyznaczały Krynice: Morska na północy i górską na południu. Na zachodzie działka pod Łodzią. Na wschód nie dojechał. Bo jak twierdził: „coś musi sobie zostawić na emeryturę”.

Nie ruszaliśmy się samochodem zbyt często, czasem w piątek po szkole na działkę – jak matka chciała nazbierać agrestu albo porzeczek, które tam rosły, żeby zrobić przetwory. Ja jeździłem na działkę na wakacje z babcią Gienią, mamą mamy, gdy byłem jeszcze mały. Domek był niewielki, ale dziwnym sposobem mieścił nas, Dzikiego, babcię Gienię i dużo moich wspomnień.

Dookoła domu był ogród, w którym rosły wielka czereśnia i śliwy, no i ten agrest i porzeczki. Kiedyś nawet była gęś, ale bardzo krótko, bo matka obcięła jej głowę i gęś upiekła.

Dziki uwielbiał jeździć na działkę. Wykopywał sobie dziurę pod ogrodzeniem z siatki i szedł w długą. Kiedyś próbowałem go śledzić, żeby ustalić, dokąd on tak chodzi, ale nie mogłem go dogonić. Zanim dobiegałem do furtki, żeby wyjść, znikał gdzieś w wysokiej trawie albo w pobliskim lesie. Instynktownie wyczuwał, żeby nie iść w drugą stronę, gdzie była szosa. Może niezbyt ruchliwa, ale śmiertelna dla psów. Parę razy widziałem potrącone zwierzęta przy drodze, to wiem. Może on też je widział, to wiedział.

Ojciec siedział i patrzył w telewizor. Nie ruszał się. No prawie się nie ruszał, czasem tylko zmieniał kanały. Podnosił się ciężko stękając i sapiąc, i wciskał przyciski na telewizorze. Przełączał z pierwszego programu na drugi. Z drugiego na pierwszy. Z pierwszego na drugi. I milczał.

To było głuche, smutne milczenie. Potęgowało nieobecność mamy.

Czasem ekran zaczynał mrowić, gdy już program się skończył. Podobno jest to obraz Wielkiego Wybuchu – to właśnie wtedy około 14 miliardów lat temu powstała materia, czas, energia i przestrzeń. Lubiłem patrzeć i słuchać. Ale rodzice zazwyczaj wyłączali wtedy telewizor, mówili, że zaraz ogłuchną i że bym się w to nie gapił, bo dostanę padaczki. Oni nie głuchli, a ja nie wiem, co to padaczka.

Więc kiedy ojciec zasypiał wpatrzony w Wielki Wybuch, dołączałem do niego. I tak siedzieliśmy: ojciec i syn – z widokiem na Wielki Wybuch.

Potem braliśmy z siostrą granatowy koc i przykrywaliśmy ojca. To znaczy, siostra go przykrywała, a ja zdejmowałem mu delikatnie okulary. Ona była wtedy bardzo delikatna. Patrzyłem na nią ukradkiem. Bałem się spojrzeć śmieiej, nie chciałem oberwać w ucho, bo nie lubiłem, jak mnie potem piekło.

Wieczorem siostra robiła mi kanapki – najczęściej z parówkową, bo uwielbiam i wiadomo, że zawsze zjem. Do tego dokrawała kawałek zielonego ogórka albo pomidora. Robiła to dokładnie tak samo jak mama. Jakby jej ktoś wczytał funkcje mamy, gdy ta wyszła z domu. Może to było związane z kaptami? Tak samo napuszczała mi wody do wanny, czasem wlewała trochę płynu do kąpieli i cała wanna wypełniała się pianą, a łazienka pachniała ładniej niż zwykle.

Na pralce, która stała w łazience, kładła mi ręcznik i piżamę. Mama opowiadała mi, że gdy byłem mały, taki mały że mieściłem się ojcu na rękę – między zgięciem łokcia a dłonią – ojciec mnie kąpał. Ręcznik i wszystkie przybory kładł sobie właśnie na tej pralce. A potem po kąpieli i mnie kładł na tym ręczniku. Któregoś razu mu się wyślizgnąłem, bo byłem malutki, tłusciutki i śliski od mydła, i spadłem na podłogę. Prawie spadłem. Bo tata w ostatniej chwili złapał mnie za stopę i nie dotknąłem główką podłogi. Mama nie wiedziała, czy na tatę krzyczeć, czy go pochwalić.

Tej nocy podobno tata pierwszy raz spał na kanapie.

A ja podobno pierwszy raz spałem z mamą. Lubiałem z nią spać. Lubiałem zapach jej ciepłego ciała. Lubiałem, gdy mnie przytulała.

Myślę, że byłem trochę Achillosem. Tylko że dla Achilleusa pięta była słabością. Dla mnie okazała się ratunkiem.

\*\*\*

Skąd ojciec wiedział, gdzie jest matka, nie miałem pojęcia. A jednak jestem pewien, że wiedział to doskonale.

My nawet nie mieliśmy telefonu. Telefon założyli nam dopiero kilka lat później. Wciąż pamiętam, jak wyglądał – był szary, toporny, kanciasty, ale bezprzewodowy.

Ojciec przywiózł go z Niemiec i wydawało się, że to magia w pudełku. Stanowił dla nas szczyt luksusu. Ojciec już wtedy jeździł na TIR-ach, w MZK nie pracował od kilku lat, więc mieliśmy dostęp do rzeczy bardziej kolorowych i lepszej jakości – jak kapcie od cioci Marylki. W ogóle mieliśmy dostęp do rzeczy.

Ojciec szedł do niemieckiego dyskontu, kupował pachnące szampony, pieniące się pasty do zębów i mydła. I sery pleśniowe, które matka uwielbiała – a rokpol, który czasem udawało jej się dostać nigdy nie był dojrzały. Matkę taką podróbką oszukać było trudno.

Tak, ojciec musiał wiedzieć, gdzie jest matka. Może nie w pierwszym tygodniu po jej wyjściu. Wtedy – sądząc po jego zachowaniu – nie wiedział wiele. Z kanapy nie wstawał. Zapadł się w mebel, złączył z nim w jedno. Gdy na noc przykrywaliśmy go kocem, znikał. Nie gasiliśmy z siostrą przez pierwszy tydzień światła w domu, bo się baliśmy być sami. Ojciec się przestał liczyć.

\*\*\*

Po tygodniu i ja dowiedziałem się, że matka jest u babci Gieni. Nie pamiętam już, od kogo to usłyszałem, może powiedziała mi siostra, a może sąsiadka.

Babcia Gienia mieszkała całkiem niedaleko. Po drugiej strony ulicy. Od niedawna mogłem nawet sam chodzić do niej i do szkoły. Byłem już

przecież duży, a szkoła była stosunkowo blisko. Do mojej samodzielności przyczyniła się siostra. Matka dowiedziała się od wścibskiej sąsiadki, że siostra zostawia mnie na skrzyżowaniu i mówi to swoje: „Idź już”.

Zrobiła siostrze awanturę, tamta znów zniknęła na kilka dni z domu, a ja dostałem pierwszy w życiu klucz do domu. Matka zawiązała go na granatowej tasiemce i powiesiła mi na szyi. Byłem dorosły. Nowe podwórka stanęły przede mną otworem, a klatka schodowa, na której wcześniej spędzałem długie godziny, czekając, aż ojciec wróci i otworzy mi drzwi – jak długie nie wiem, bo nie miałem zegarka – zaczęła być znów tylko klatką schodową, a nie poczekalnią.

Ojciec pracował na różne zmiany. Czasem jeździł autobusem od rana: musiał wychodzić o czwartej, bo pierwszy kurs startował o piątej pięć, a tata był zawsze bardzo punktualny – kiedyś nawet dostał od dyrektora nagrodę za punktualność, taki kryształowy puchar, który stał w salonie na najbardziej wyeksponowanym miejscu, zaraz obok kieliszków, które babcia Gienia dała rodzicom w prezencie ślubnym. Puchar pięknie pasował do kieliszków.

Czasem ojciec pracował popołudniami i wtedy wychodził dużo później, a wracał w nocy.

Z czasem to się wszystko zatarło. Utopiło w wódce.

Kiedyś mama wróciła wcześniej niż ojciec. On miał wtedy poranną zmianę i dawno powinien już być przyjsć do domu. Wścibska sąsiadka – pani Helena – przyniosła mi kanapkę z miodem i trochę wody z sokiem malinowym. Mama zobaczyła mnie w momencie, gdy odrabiałem lekcje, rozlokowany na schodach, umoszczony na kurtce. Obok stał talerzyk z okruchami po kanapce i niedopity sok.

Mama warknęła:

– Co ty wyprawiasz?

„Sz” zrobiło się bardzo długie i słowo brzmiało bardziej, jak „wypraszyszysz”. Mama się na nim zawiesiła, potem przez zaciśnięte zęby dodała:

– Gdzie ojciec?

– Nie wiem, nie ma – odparłem. – Ale zobacz: odrobiłem lekcje, spójrz.

Mama omiotła wzrokiem mój zeszyt, pogłaskała mnie mechanicznie, sztywno po głowie.

Tego wieczora długo czekała na ojca.

Tego wieczora ojciec jeszcze nie wiedział, że jego wódka przelała mamy czarę.

A gdy wracałem ze spaceru z Dzikim – wracałem ja, Dziki nie – ich krzyki niosły się po okolicy. Wstydzilem się bardzo, że kumple z podwórka to słyszą, ale wiedziałem też, że takie krzyki regularnie dochodziły z różnych domów – ich też, bo czary ich matek przelewali ich ojcowie. Wódką najczęściej.

\*\*\*

Od czasu, kiedy mama wyprowadziła się od babci – bo wyszła za mąż – u babci nic się nie zmieniło. Babcia nie zrobiła żadnego remontu, nawet po śmierci dziadka. Łóżko wciąż miała dwuosobowe, choć do końca życia spała na swojej połowie. Zawsze po prawej.

U babci na fotelu zawsze leżał złożony ręcznik. Pod ręcznik wkładała starannie złożone, świeżo wyprane ubrania. Ciepło jej ciała prasowało ubrania, kiedy babcia rozwiązywała krzyżówki. Wstawiała od stołu rzadko, żeby sięgnąć po encyklopedię albo zrobić sobie kolejną kawę po turecku.

Gdy szła do kościoła, wstawiała na dłużej. Malowała wtedy usta czerwoną szminką.

\*\*\*

Całą rodziną spotykaliśmy się na mszy. Co niedziela. Bez wyjątku. Nawet po tym, jak matka zamieszkała u babci, w kościele byliśmy w komplecie. Ojciec budził się z letargu, jakby nigdy w nim nie był, wkładał wykrochmaloną koszulę, a matka miała na nogach swoje najlepsze pantofle. Nawet moja siostra od rana krzątała się po domu i jestem prawie pewien, że czesała na tę okazję włosy szczotką.

Ja miałem włosy uczesane na wodę. To było zawsze zadanie ojca. Kiedy moczył grzebień, a potem przeczesywał moje włosy, krople spadały mi za kołnierz i powodowały ciepłe dreszcze. Czynność tę ojciec powtarzał wiele razy, bo moje włosy zawsze żyły własnym życiem. Tak naprawdę cała tajemnica polegała na tym, że miałem dwa gniazda na czubku głowy – jedno z lewej, drugie z prawej. Któraś strona zawsze była bardziej.

Matka, która pełniła w domu również rolę fryzjerki, wiele lat próbowała znaleźć symetrię pomiędzy lewym a prawym gniazdem i utrzymać ją.

Lubiłem, jak ojciec czesał mi włosy na wodę.

Rok wcześniej miałem komunię, mniej więcej wtedy zdałem sobie sprawę, że Bóg jest obecny nie tylko w kościele, uświadomiłem sobie Jego niemą obecność w naszym domu. Święte obrazki stały w nim wszędzie, jakby były to zdjęcia naszej rodziny. Poprawiane w ramki, powtykane za ramy obrazów i poprzyklejane do ścian. Boska rodzina patrzyła na mnie z tych obrazków. Nienaturalnie podkolorowani wyglądali jak babcia z dziadkiem na monidle.

Matka co roku robiła miejsce dla kolejnych, które przynosił ksiądz proboszcz, gdy przychodził po kolędzie, przesuwała nasze rodzinne fotografie. Moje w objęciach zakopiańskiego misia, mojej siedmioletniej siostry, której uszy były przystrojone kolczykami z czereśni, dziadka z



czasów okupacji i rodziców z lat młodości. Mama na zdjęciu miała bardzo długie, rozpuszczone włosy i patrzyła na tatę, który śmiał się w głos.

To było stare zdjęcie. Dziś włosy mamy były krótkie. Tata nigdy nie śmiał się w głos.

Długo myślałem, że na obrazkach też jest nasza rodzina, nie było to logiczne, ale nie analizowałem tego. Myślałem, że Maryja to żona Jezusa. A mały bobas to ich syn. Potem się okazało, że bobas i Jezus to ta sama osoba, a Maryja była dziewicą. Nie mogłem tego układu zrozumieć, choć siostra na religii w kościele bardzo się denerwowała, gdy zadawałem pytania i próbowała linijką wbić mi wiedzę do głowy.

Żyłem z członkami cudzej rodziny pod jednym dachem, choć nigdy ich nie spotkałem.

Na moje pytanie, dlaczego chodzimy do kościoła, matka odpowiedziała:

– Bo w Niego wierzymy.

Zimna, kościelna posadzka gniotła moje kościste kolana. Przywracałem im krążenie, masowałem ukradkiem, skubałem drobne włoski. Pierwszy raz zobaczyłem te włoski przypadkiem w wannie. Wszedłem do niej, a moje ciało pokryło się pęcherzykami powietrza. Skóra stała się skórą potwora morskiego. Cała w pęcherzach. Gdy przejeżdżałem po niej palcem, bąbelki odrywały się i szybko wypływały na powierzchnię, niezauważalnie pękając.

Próbowałem słuchać księdza, ale nie rozumiałem, co do nas mówił. Zastanawiałem się nad słowami mamy. Czy jeśli my wierzymy w Boga, to on też w nas wierzy?

Czy wierzy w pana Bogdana z drugiego piętra?

Po śmierci żony pan Bogdan zaczął pić. Antek, jego syn, miał wtedy siedemnaście lat, pamiętam dokładnie, bo moja siostra kochała się w nim szalenie. Musiało tak być, bo gdy zapytałem, czy podoba jej się Antek, kopnęła mnie z całej siły w kostkę. Antek szybko poszedł w śla-



dy ojca. Gdy w alkoholowym szale wybił któregoś razu w mieszkaniu wszystkie szyby, ojciec wyrzucił go z domu. Antek wylądował na ulicy. Wrócił potem i zaczął się procesować z ojcem o spadek po matce. Procesował się blisko dziesięć lat. Aż umarł pewnego dnia na marskość wątroby.

Czy wierzył w panią Grażynkę?

Pani Grażynka od wiosny do jesieni sprzedawała warzywa i owoce obok sklepu, do którego zawsze chodziliśmy. Wszystko uprawiała sama na działce. Jesienią, gdy produktów zaczynało brakować, pani Grażynka cięła do gołego wszystkie jarzębiny w okolicy i robiła z nich bukiety. Przystrajała je liśćmi i suchymi trawami, które rosły na obrzeżach działek. Wszystkie dziewczyny ze szkoły wkurzały się na panią Grażynkę, bo nie mogły sobie robić koralików. Ale pani Grażynka i tak wycinała tę jarzębinę i na każdą uwagę z naszej strony burczała niegrzecznie. Dzieci się jej bały i jej nie lubiły, za to panowie lubili ją bardzo. Często przychodzili do niej. Pani Grażynka malowała się wtedy przesadnie. Matka zabraniała mi pytać, dlaczego panowie tak lubią do niej chodzić.

Czy wierzy w panią Anitę, która mieszkała dwa piętra nad nami?

Matka wiele lat temu chodziła do pani Anity po szklanekę cukru. To musiał być jakiś wybieg z tym cukrem, bo matka piekła ciasta tylko w soboty, a do pani Anity chodziła w różne dni. Bawiłem się z dziećmi pani Anity, Jankiem i Pawłem. Janek był w moim wieku, a Paweł dwa lata młodszy. Budowaliśmy domy z krzesel i koców. Z czasem Janek i Paweł, gdy byli u nas coraz częściej, skarżyli się na ból brzucha i nie chcieli wracać do domu. Któregoś razu popłakali się i zapytali, czy nie mogliby z nami zostać. Tak na zawsze. Matka zabrała ich do kuchni i dała po kawałku ciasta. Spojrzała na nich swoimi przenikliwymi, brązowymi oczami i zapytała dlaczego.

Po tym jak pokazali jej siniaki na plecach, matka poszła do pani Anity. Wróciła dużo szybciej, niż gdy chodziła po szklankę cukru. Nie poszła do pani Anity już nigdy więcej. A Janek i Paweł przestali nas odwiedzać.

W przedpokoju naszego mieszkania wisiał skórzany pas. Ojciec nazywał go makarenką. Od Antona Makarenki, radzieckiego twórcy systemu komunistycznego. To on powiedział, że nie ma złej młodzieży, są tylko źli wychowawcy. Mój ojciec i całe pokolenie ojców moich kolegów, jak tylko byli w domu, uważali się za dobrych wychowawców. I większość z nich sięgała po pas. Ale widocznie dla matki liczba siniaków na ciałach chłopaków okazała się trudna do zaakceptowania.

Matka musiała znaleźć inne źródło zaopatrywania się w cukier.

Makarenka – bez względu na to, jak nazywano ją w różnych domach – była po prostu jedną z metod wychowawczych. Najczęstszą metodą, straszakiem, motywatorem. Pomagała się uczyć, wyznaczała sprawiedliwość. Nikt się jej specjalnie nie bał, nie rozpamiętywał. Nikt nas też nie odbierał rodzicom za jej używanie. Po prostu czasem mieliśmy siniaka.

Było to zupełnie normalne.

Nikt się specjalnie nie bał pasa. Do wesela się zagoi – to było nasze zaklęcie. Zaklęcie nie działało na mrówki, na które kierowaliśmy przy pomocy lupy promienie światła, na żaby, które nadmuchiwaliliśmy i na przecinane nożyczkami dżdżownice. Zresztą one i tak nie miały nigdy wesela. Ani pogrzebu.

\*\*\*

Uwielbiałem wieczory. I dni deszczowe. W domu paliło się światło, za oknami było ciemno. Dom nas chronił. Czułem się wtedy bezpieczny. Aż mnie od tego mrowiło w brzuchu i dostawałem ciepłych dreszczy. Ciepłe dreszcze to te miłe. Nie od zimna, czy strachu, ale takie które

się ma w chwilach szczęścia, gdy tata czesze nas na wodę, albo gdy mama myje nam uszy.

Kiedy mama się wyprowadziła, nadal lubiłem dni deszczowe i wieczory, choć wciąż – nawet przy ciepłych dreszczach – miałem w brzuchu coś jakby małą, zimną kuleczkę. Prawie taką, jak miał Antek z podwórka. Ciotka mu przywiozła z Niemiec. Tylko ta kulka Antka była szklana i w środku miała kolorowe zawijasy, a moja kulka z brzucha była metalowa.

Wieczory lubiłem z jeszcze jednego powodu – wieczorem się kąpałem. Brałem moje plastikowe żołnierzyki, które w wodzie zamieniały się w łodzie podwodne, i klocki, które unosiły się na wodzie i tworzyły labirynty nie do przepłynięcia dla wrogich okrętów pełnych torped.

Łazienka pachniała mamy kremem „Pani Walewska” i mydłem „Zielone jabłuszko”, a jak się wyprowadziła, to już tylko jabłuszkiem. Lubiłem myć nim tak długo ręce, aż się stawały prawie całe suche i lepkie od mydła i piany. Im dłużej tak wcierałem lepką papkę w ręce, tym dłużej one potem pachniały zielonym jabłuszkiem. A najfajniej, jak mydło trochę się przeleżało w mydelniczce, na której dnie była odrobina wody. Wtedy zbierałem tę maź. Ciągnęła się między palcami, można nią było rysować wzory na ciele. Raz wtarłem ją sobie w siusiaka. Nie mogłem sikać bez bólu przez tydzień.

Poranki nigdy – nawet w deszczowe dni – nie były tak miłe jak wieczory. Poranki były kanciaste, pospieszne, zaczepne, pełne komend: „Wstań”, „Zrób to...”, „Zrób tamto”.

Chwilą bez słów był moment, gdy mama szła się malować. Lubiłem patrzeć, jak maluje rzęsy tuszem Celia, jak ślini pędzelek, jak rozciera nim tusz i metodycznie nakłada go na rzęsy. Myłem zęby i z buzią pełną piany obserwowałem mamę. Widziałem jej otwierające się przy tej czynności usta. Wiem, że siostra podkradała mamie kosmetyki. Gdy malowała rzęsy, robiła te same miny. Tak było, dopóki nie nakryła mnie

na podglądaniu. Ganiała mnie wtedy po całym domu, wrzeszczała i próbowała mnie złapać. Gdyby tylko mnie dorwała, sprąłaby mnie na kwaśne jabłko. Dziki się do nas przyłączył, ujadając. Uratował mi tym skórę, bo wbiegł siostrze pod nogi, ta się potknęła, a ja zyskałem przewagę i zdążyłem uciec do siebie do pokoju i zabarykadować się krzesłem. Tata próbował wstać z kanapy, ale myśli, że należałoby coś zrobić, naszała go jak zwykle trochę za późno. Dostaliśmy wszyscy tydzień szlabanu od mamy. Trzeciego dnia siostra nie wytrzymała i nie wróciła do domu. Resztę kary odbywała na własnych zasadach.

To mama zaprowadzała mnie do szkoły, bo ojciec albo był już w pracy, albo odsypiał nockę. Wychodził, kiedy jeszcze wszyscy spaliśmy. Wkładał spodnie, które matka prasowała mu w kancik, białą koszulę i jakiś ciepły sweter – musiał uważać na przeciągi, bo jak zatrzymywał się na przystanku i drzwi były otwarte, to wiatr hulał po autobusie.

Kiedyś spodnie w kancik przygotowywała ojcu babcia Jadzia – jego mama.

Rozgrzewała w piecu kawałki węgla i wkładała je do żelazka. Na stole kładła koc, na niego prześcieradło, na to spodnie, na nie czystą ściereczkę do naczyń. Obok stawiała szklankę z wodą. Zanurzała w niej koniuszki czterech palców, których czubki ze sobą stykała i pryskała na spodnie. Potem przejeżdżała żelazkiem po spodniach ukrytych pod ściereczką.

Kanty były tak idealne, że aż w szkole na tatę wołali „Elekancik”. Potem tak samo mówili na niego w pracy. Tata był dumny z tego przezwiska, choć nikomu tego nie powiedział. Ale tak myślę, bo od mamy też wymagał, że będzie mu spodnie prasować. I mama poszła na nauki do babci Jadzi. Tylko już żelazko miała lepsze. Tata jej kupił na urodziny – elektryczne.

\*\*\*

Nad drzwiami w moim pokoju wisiał Jezus z drewna. Całymi dniami tak wisiał. Taki Jezus to ani nie przytuli, ani nie pocałuje na dobranoc, ani bajki nie poczyta. Mama czytała mi prawie codziennie. Najczęściej baśnie Andersena – mieliśmy piękne wydanie. A jak byłem malutki, to się bałem większości. Ale nie bałem się „Krzysiwa”, choć psy z oczami jak młyńskie koła mocno działały na moją wyobraźnię, ale że przynosiły pieniądze, to się ich nie bałem. To tak jakbym się bał mojej świnki skarbonki, tylko dlatego, że ma duże oczy. Dlatego mama w kółko czytała mi „Krzysiwo”.

Trochę się bałem ciszy i samotności. Dom zmienił się, od kiedy mamy nie było, wydawał inne dźwięki, jakby ją wołał, prosił, żeby już wróciła, żeby było jak dawniej.

Ojciec siedział bez ruchu na kanapie.

Siostra zostawiła mi karteczkę, na której napisała, że jedzenie mam w lodówce i rzeczywiście kanapki tam na mnie czekały, ale jeść mi się nie chciało. Ciemno mi było w środku. Pozapalałem światła. Ojciec nawet nie mruknął. Normalnie to by mnie ochrzanił i nakrzyczał, że światła zapalam i on za to płacić nie będzie. Ale ani drgnął.

Wykąpałem się. Położyłem do łóżka. Próbowałem poczytać, ale litery mi uciekały i nie mogłem ich dogonić. Przytuliłem małą, którą miałem od dzieciństwa, ale nie pomogła.

Bałem się.

Wziąłbym Dzikiego, ale Dzikiego śmierdział, bo się w czymś wytarzał i nie było komu go wykąpać.

Poszedłem na palcach do salonu.

– Tato – wyszeptalem.

Ale tata spał. Chrapał nawet. Przykryłem go. Poszedłem sprawdzić, czy drzwi są zamknięte na górną zasuwkę, czyli tak, żeby mama albo

siostra mogły otworzyć sobie drzwi kluczem i wejść, w razie gdyby wróciły.

Wyrząłem przez wizjer na zewnątrz, ale nic nie zobaczyłem. Na klatce było kompletnie ciemno. Postąłem jeszcze chwilę. Znow wyrząłem. Zmarzły mi stopy i wróciłem do łóżka. Było zimne. Puste. Smutne. Chciało mi się płakać.

Wziąłem małą i poszedłem do siostry. Cichutko, na paluszkach. Nie pozwalała mi wchodzić do siebie do pokoju. Na drzwiach wisiła narysowana przez nią trupia czacha. Siostra podkleiła ją nawet tekturą, żeby się nie zniszczyła.

Ale jej nie było, a ja bardziej od czachy bałem się swojego pustego łóżka.

Drzwi skrzypnęły cicho. Wszedłem. Nie pamiętam, kiedy tu byłem ostatni raz, ale jej pokój wydał mi się teraz jeszcze większy, niż go zapamiętałem. Przez okno wpadało światło księżyca. Było jaśniej niż u mnie. Podszedłem do łóżka siostry i wślizgnąłem się pod kołdrę. Była lodowato zimna, ale mnie się zrobiło cieplej. Tak jakby w środku. Natychmiast zasnąłem.

Śniło mi się, że jechałem z mamą do szkoły. Jak to we śnie, nie zastanowiło mnie, że nie idziemy na piechotę jak normalnie. Tylko jechaliśmy autobusami, tramwajami, a raz nawet trolejbusem. Był żółty, jak mój zelaźniak. Ciągle się przesiadaliśmy, a mama ciągle kogoś znajomego spotykała. Albo nieznanego. Załatwiała sprawy służbowe, odbierała listy, przyjmowała paczki do wysłania, przybijala pieczątki, jak u siebie na poczcie.

Na jednym przystanku staliśmy z mamą dłuższą chwilę, bo właśnie obsługiwała bardzo grubego pana. On bardzo krzyczał i machał mamie przed nosem rękami, w których trzymał zapisane papiery. To były moje klasówki. Całe pomazane na czerwono. Pan na twarzy zrobił się tak czerwony jak długopis. Najpierw poczerwieniały mu policzki. Potem

czerwoność rozlała mu się na szyję, podeszła pod same oczy i przelała się na uszy. Jego uszy wyglądały jak dwie róże z ogrodu dozorczyńni, tylko były mniej pofalowane.

Mama przepraszała, tłumaczyła się. Ale widziałem, że jest zła i z ukosa zerka na mnie. Czekala mnie w domu bura. Czułem to. Wszystkie włoski na mojej skórze się zjeżyły. Nawet te na kolanach.

Podjechał nasz tramwaj. Tłum ludzi rzucił się do wejścia. Drugi tłum napierał z wyjścia. Gruby pan wpychał mamę do środka swoim wielkim brzuchem. Puściłem mamy rękę. Nie mogłem jej złapać. Próbowałem, wołałem, krzychałem, ale krzyki grubego pana skutecznie mnie zagłuszały.

Zostałem sam na przystanku. Byłem przerażony.

Obudził mnie hałas. To ja krzychałem i płakałem. Ktoś się obok mnie poruszył i zaczął mnie głaskać po głowie.

– Ciii.

– Mamo?

– Ciii, śpij.

Chciałem jej coś powiedzieć. Wytłumaczyć się z tych klasówek. Przytulić. Ale nie miałem siły. Oczy mi się kleiły. Ona długo mnie głaskała po głowie i nuciła piosenkę głosem mojej siostry.

Aż zasnąłem.

Rano nikogo przy mnie nie było.

W domu był tylko tata przyklejony do kanapy. Zsunął się z niego koc. Ubrałem się, zjadłem na śniadanie wczorajszą kolację – karteczkę od siostry starannie złożyłem i włożyłem do portfela – i poszedłem do szkoły.



\*\*\*

Matka kiedyś powiedziała ojcu w kłótni, że ten wszystko chowa pod dywan. Któregoś razu, gdy rodziców nie było w domu, zajrzałem. Ale nic tam nie było.

Liczyłem na jakąś superrzecz. Na przykład kiedyś znalazłem w szkole na oknie małe – jak legitymacyjne – zdjęcie Limahla. Było czarno-białe. Położyłem na nim niby przypadkiem książki. A po lekcji pakując plecak, również je zgarnąłem.

Schowałem to zdjęcie w moim pudełku, w którym trzymałem skarby.

Buty mama kupiła mi w Smyku. To były buty zimowe, ciepłe, na białym misiu, prawie takim, z jakim zrobiliśmy sobie zdjęcie w Zakopanem. Buty były dwa numery za duże. Ale nie szkodzi. Mama napchała w czubki waty i zakładała mi grube skarpetki, które kupiła właśnie w Zakopanem, jak kiedyś byliśmy zimą. Pojechaliśmy razem z siostrą. Tata został, bo chciał wziąć więcej urlopu latem, kiedy mieliśmy jechać nad morze i zbierać.

Góry zasnuwane są siwym dymem – takim, jaki wylatywał z papierosów babci, kiedy jeszcze paliła. Pięknie pachną. Mama, jak płaciła opłatę klimatyczną, to kazała mi codziennie głęboko oddychać, żeby się zwróciło.

Nie wiem, czy to się zwróciło, na pewno ja jednego wieczora zwróciłem smażoną kaszankę.

W górach było super.

W tym pudełku trzymałem jedynego żelaźniaka, jakiego miałem. Mercedesa. Był cały żółty i otwierały mu się drzwiczki. Dostałem go od kuzyna Marka. W zasadzie to wymieniłem – za pachnące gumki do ścierania mojej siostry. Siostrze powiedziałem, że zjadł je Dziki.

Miałem tam kilka nieaktualnych już, ale przepięknych małych kalendarzyków. Kiedy się poruszało jednym z nich, ara – to taka papuga



– machała skrzydłami na okładce. A na drugim ładna pani mrugała oczkiem. Jeden był nieruchomy, ale też miało się wrażenie głębi, jak się na niego patrzyło. Stał na nim chłopiec ze swoim psem. Ja nie wyglądałem jak ten chłopiec. A jego pies nie wyglądał jak Dziki. Najmniej lubiłem ten kalendarzyk. Ale trzymałem go licząc, że może kiedyś uda mi się go wymienić z chłopakami na coś super.

Miałem figurkę LEGO – świnkę. W niebieskiej bluzce i czerwonych spodenkach.

No i zdjęcie Limahla.

Wyobrażałem sobie, że ojciec chowa pod dywanem właśnie zdjęcia Limahla. Albo nie. W sumie po co ojciec miałby trzymać zdjęcia Limahla. Rodzice lubili słuchać Andrzeja Zauchy. To może chociaż zdjęcie Zauchy. Ale niczego tam takiego nie było. Tam w ogóle niczego nie było.

Podjeżdżałem Dzikiego, że to zjadł. Dziki to miał węch. Rył dziury w ziemi, więc pewnie ze zdjęciem pod dywanem nie miałby najmniejszego problemu. Żarł wszystko, każde gówno – jak mówiła mama – i prawie nigdy nie miał z tego powodu problemów z żołądkiem. Kiedyś zjadł kota sąsiadów. Ojciec krzyczał:

– Żeby ci ten kot w gardle stanął.

Ale nie stanął mu. Ojciec wziął nieszczęsne szczątki, zawinął je w torebkę i zakopał w ogrodzie. A jak sąsiad biegał po podwórku, wołając: „Kici, kici” – to rodzice kazali mi siedzieć cicho i nikomu nie mówić, że kota zjadł Dziki.

Matka kupiła kiedyś na targu kilo słoniny. Planowała ją zamrozić, a z części zrobić skwarki do pierogów – uwielbiam pierogi z mięsem i skwarkami. A takiego smalcu jak matka, nie robi nikt na świecie. Niestety, nici były ze smalcu, bo Dziki pod naszą nieobecność zjadł całą słoninę. Jak wróciliśmy do domu – to musiała być niedziela, bo byliśmy wszyscy elegancko ubrani – Dziki leżał na boku i wyglądał, jakby zdy-

chał. Nie podnosił łba, zipał. Matka zakasała rękawy i zrobiła bardzo mocnej kawy. Ojcu kazała przelewać ją z kubka do kubka, żeby jak najszybciej wystygła. Ojciec studził kawę, my z siostrą głaskaliśmy Dzikiego i prosiliśmy, żeby nie umierał. Siostra prosiła Dzikiego, ja prosiłem Boga.

Ale to matka sprawiła, że Dziki nie umarł. Wlała mu do pyska, łyżeczka po łyżeczce tę kawę.

Matka powiedziała potem, że numer z kawą widziała w porannym programie rolniczym. Bardzo mocną kawą poi się krowy, jak mają problemy żołądkowe i zatwardzenie. Ojciec po tym wyczynie patrzył na mamę z uwielbieniem.

Podobno krowy mają cztery żołądki – tak mówi siostra, ale ja coś jej nie wierzę. Za to wiem, że to, co wydalil z siebie Dziki, było jak z czterech krów.

## KONSPEKT

Mały chłopiec obserwuje rozpad związku swoich rodziców. Nikt z nim nie rozmawia, nikt mu niczego nie tłumaczy. Chłopiec interpretuje wydarzenia po swojemu, używając narzędzi, które są dla niego dostępne. Ze świata myśli bohatera, z chaosu jego emocji i przywoływanych przez niego z pozoru błahych zdarzeń wynurza się obraz rodziny, w której zbyt wiele zamieciono pod dywan, a za mało zostało wyjaśnione.

Główna akcja rozgrywa się w czasach PRL. Nie ma specjalnego znaczenia gdzie i kiedy dokładnie, co czyni ją bardziej uniwersalną.

To opowieść o doświadczaniu i odczuwaniu. Zakończenie powieści niesie pytanie o grzechy pokoleniowe. Jak wielki wpływ mają na nas błędy rodziców? Jak mocno „wchodzimy w buty” naszych przodków? Czy umiemy wyjść poza schematy, które zostały nam zaszczepione w domu rodzinnym?

Klimat książki inspirowany jest twórczością Zerui Shalev i Petry Soukupovej. Forma, statyczna i dynamiczna jednocześnie, nawiązuje do filmu „Locke” w reżyserii i według scenariusza Stevena Knighta. Zarówno w filmie brytyjskiego autora jak i powieści „Rodzina Dzikiego” oszczędność użytych środków koresponduje z prywatnym dramatem człowieka.

Książka skierowana jest do wymagającego i wrażliwego czytelnika. To proza bezkompromisowa, szczerza i poruszająca.

## O autorach

### **Agata Berniak (1988)**

Od 10 lat studiuje i jeszcze długo nie planuje przestać. Na liście znalazła się już Szkoła Filmowa w Łodzi, Polska Szkoła Reportażu, a obecnie filologia polska na Uniwersytecie Jagiellońskim. W pozostałym czasie bywa fotografką, kuratorką wystaw, dziennikarką i matką. Uzależniona od *Konkursu niebanalnych skojarzeń* w ramach Festiwalu Conrada, który sukcesywnie powiększa jej biblioteczkę.

### **Anna Górna (1988)**

Z zawodu prawniczka. Od kilku lat mieszka w Szwajcarii, pod Zurychem. Nałogowo czyta kryminały i thrillery psychologiczne (ma szczególną słabość do Jo Nesbø, Karin Slaughter i Zygmunta Miłoszewskiego).

Pracuje nad pierwszą z cyklu powieścią kryminalną o Piotrze Sauerze, byłym policjancie z Wrocławia, który pod szwajcarskim niebem stara się wyprostować swoje życie i rozwiązuje międzynarodowe intrygi.

## Nina Igielska (1983)

Zawodowo – doradca do spraw zarządzania, prywatnie – podróżniczka. Trzy razy okrążyła kulę ziemską, odwiedzając ponad pół setki krajów.

Pisze intensywnie – jej pierwsza książka zdobyła II miejsce konkursie Literacki Debiut Roku (2014), obecnie natomiast skończyła pisać drugą powieść. Laureatka konkursów literackich m.in. na opowiadanie kryminalne przy Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu (2016 i 2017) i Festiwalu Afera Kryminalna w Gdańsku (2017), „granica – droga – chleb” przy festiwalu Góry Literatury w Nowej Rudzie (2017), konkursu na dziennik magazynu „Zwierciadło” (2015) oraz konkursu im. Marka Hłaski dla pisarzy żyjących za granicą (2013). Absolwentka warsztatów literackich przy Międzynarodowym Festiwalu Kryminału, warsztatów przy festiwalu Góry Literatury i pracowni drugiej książki przy festiwalu Stacja Literatura. W antologii festiwalu Afera Kryminalna znalazło się jej opowiadanie *Księżniczki* (2017).

## Radosław Jakubiak

Z wykształcenia psychoterapeuta, psycholog i grafik. Z sukcesami zajmuje się slamem poetyckim – jest zwycięzcą wielu turniejów slammerskich w całej Polsce, m.in. slamu kryminalnego „Zabij nas słowem” na Festiwalu Kryminału we Wrocławiu.

W życiu napędza go ciekawość, więc czyta – literaturę piękną, literaturę faktu, książki popularnonaukowe. Na rowerze górskim przejechał Bałkany, Pireneje, Islandię, Alpy, przełęcz Thorong La pod Annapurną.

## **Anna Januchta-Barańczyk (1986)**

Filolożka klasyczna i prawniczka, absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego. Zawodowo zajmuje się prawem korporacyjnym. Uczestniczka trzech poziomów kursów organizowanych przez Pasję Pisania (kurs podstawowy, Pasja Pisania I i Pasja Pisania II) oraz Warsztatów Kryminalnych organizowanych przez Krakowskie Biuro Festiwalowe, a także trzeciej edycji Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO.

Jej debiutanckie opowiadanie pt. *Niebył wkrótce* zostanie opublikowane w Miesięczniku Znak.

Pasjonatka górskich wędrówek, podróży śladami starożytnych i gotowania.

## **Iwona Krasicka (1986)**

Ukończyła studia podyplomowe o specjalności creative writing na Uniwersytecie Wrocławskim. Od tamtej pory pisze opowiadania, w których bohaterowie często balansują na pograniczu jawy i snu. Jej ulubioną potrawą jest pieczeń z dzika.

## **Joanna Mazur**

Ukończyła prawo i filologię angielską. W trakcie studiów filologicznych za przedmiot swoich badań obrała prozę Sylwii Plath, poezję konfesyjną oraz zagadnienia dotyczące przekładu współczesnej literatury amerykańskiej na język polski.

Kobieta pracująca – podczas swojej długoletniej kariery zawodowej pracowała między innymi jako sprzątaczką, prasowaczką, nauczycielką, lektorką, tłumaczką, pracownica banku, sekretarka i urzędniczka.

Prywatnie nałogowa czytelniczka każdego rodzaju prozy, a czasem i poezji. Za swoje najprzyjemniejsze osiągnięcia życiowe uznaje przeczytanie całego cyklu *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta i obejrzenie wszystkich filmów Woody'ego Allena.

### **Hubert Michalak (1983)**

Absolwent Wiedzy o Teatrze na Uniwersytecie Jagiellońskim, doktorant na Uniwersytecie Opolskim, a także pracownik i współpracownik licznych instytucji kultury oraz teatrów w Polsce i za granicą. Dwukrotny stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dziedzinie teatru. Ma za sobą szereg opublikowanych recenzji teatralnych, rozmów z ludźmi teatru oraz artykułów popularyzatorskich i naukowych. Jego debiut literacki będzie poświęcony dziedzinie, na której zna się najlepiej – teatrowi.

### **Agnieszka Migacz (1998)**

Studentka pierwszego roku psychologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Korepetytorka. Autorka scenariusza jasełek wrocławskiego biura Polskiego Stowarzyszenia Studentów i Absolwentów Psychologii. Pracowała jako nauczycielka w Autorskim Centrum Integracji Pozytywka. Trenuje hobbystycznie Wing Tsun Kuen Kung Fu, co bywa jej niezmiernie przydatne. Jako pisarska inspiracja, oczywiście.

### **Aneta Pondo (1971)**

Dziennikarka, założycielka i redaktor naczelna czasopisma „Miasto Kobiet”, prezeska Fundacji Miasto Kobiet. Jej supermocą jest uważne słuchanie rozmówców i wnikliwa obserwacja świata.

Pisze i redaguje teksty własne oraz cudze, a także uczy początkujących dziennikarzy jak nadawać słowom znaczenie. Autorka książki *Ilona Felicjańska. Cała*

*prawda o...* (wyd. Harper Collins, 2013) i trzech innych, które napisała jako ghostwriterka. Kiedy nie pisze, biega, gra w szachy, medytuje i stoi na głowie. Szerzy idee kobiecych kręgów, *global sisterhood* i *women power*.

## Maciej Rożen (1983)

Od ponad dziesięciu lat związany z kinem i telewizją. Pracował jako montażysta, realizator, kierownik planu, redaktor i copywriter. Obecnie odpowiada za kreację w MTV Polska i Nickleodeon Polska. Studiował socjologię (Uniwersytet Jagielloński) oraz montaż (Akademia Filmu i Telewizji). Absolwent kursu pisania powieści z Ewą Madeyską (Storylab 2016), warsztatów Podróż Antagonisty (Storylab 2017), warsztatów Metody Konstrukcji Fabuły (Storylab 2015). Należy do pisarsko-scenicznej grupy improwizacyjnej Alesz Gruppa! Ma na swoim koncie powieść przygodową dla dzieci *Zuzanna Kociółek i Kraina Smaku* ([www.zuzannakociolek.pl](http://www.zuzannakociolek.pl)), która została przyjęta do wydania przez wydawnictwo Kultura Gniewu. Jego opowiadanie *Bogini Smaku* zdobyło wyróżnienie w konkursie literackim Świetlne Piórko 2014. Fascynują go zmiany i tarcia, które zachodzą na styku nowoczesnych technologii, zachowań społecznych i biznesu.

## Marta Wroniszewska (1977)

Absolwentka pedagogiki specjalnej na warszawskiej Akademii Pedagogiki Specjalnej i dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim; ukończyła również Polską Szkołę Reportażu. Dziennikarka i redaktorka przez 11 lat związana z Gazetą Wyborczą i Wysokimi Obcasami. Obecnie pracuje w Vogue.pl. Publikowała w „Dziecku”, Dużym Formacie i Wysokich Obcasach. Matka trójki dzieci.



## KURS KREATYWNEGO PISANIA MIASTA LITERATURY UNESCO

W styczniu zakończyła się trzecia edycja Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO – po pierwszej edycji poświęconej twórczemu pisaniu oraz drugiej dedykowanej kryminałom przyszedł czas na kolejny gatunek, czyli powieść obyczajową. Podczas 10 weekendów od września 2017 roku aż do stycznia 2018 roku 12 młodych pisarzy uczyło się warsztatu pod okiem 13 prowadzących – znanych autorów, specjalistów z branży wydawniczej, marketingowej i psychologii twórczości.

Podobnie jak w ubiegłych latach, kursowi towarzyszyło bardzo duże zainteresowanie. Na podstawie blisko dziewięćdziesięciu zgłoszeń z próbkami opowiadań, wybraliśmy 12 najbardziej zdolnych uczestników. W ramach programu obejmującego 90 godzin wykładów i warsztatów, młodzi pisarze rozwinęli swój warsztat pod okiem twórców-praktyków i zdobyli wiedzę potrzebną do zaistnienia na niełatwym rynku wydawniczym.

Zajęcia prowadziły pisarki: Sylwia Chutnik, Anna Dziewit-Meller oraz Katarzyna Kubisiowska; ekspertka w zakresie prawa autorskiego, czyli Anna Rucińska-Barnaś, oraz Anna Marchewka, krytyczka literacka. Mariusz Czubaj, pisarz oraz profesor antropologii kultury na Uniwersytecie SWPS, opowiedział o sposobach na dobry dialog między bohaterami, a prof. Bogdan de Barbaro poprowadził spotkanie z elementami psychodramy o rolach rodzinnych, motywach zachowania i sposobach dialogowania w rodzinie. Bogna Rosińska, redaktorka w Wydawnictwie Znak opowiedziała jak złożyć propozycję wydawniczą, a Joanna Mika zdradziła jak wygląda proces wydawniczy. Grupę od pierwszego pomysłu do ostatniego zdania powieści prowadził Filip Modrzejewski, redaktor w wydawnictwie W.A.B.

Kurs, którego autorkami są Karolina Macios i Magdalena Zielińska – redaktorki z wieloletnim doświadczeniem wydawniczym – jest elementem programu wsparcia debiutów literackich w Krakowie Mieście Literatury UNESCO. Należy do niego także przyznawana corocznie Nagroda Conrada, mająca wyróżnić najlepszych debiutantów i ułatwić im drogę dalszej kariery.

Organizatorem kursu, realizowanego w ramach programu Kraków Miasto Literatury UNESCO, jest Krakowskie Biuro Festiwalowe.

Copyright © for texts by Authors, 2018

Copyright © for this edition by Krakowskie Biuro Festiwalowe, 2018

Redakcja:

Filip Modrzejewski

Współpraca redakcyjna:

Dorota Dziunikowska, Igor Kuranda, Grzegorz Słacz

Korekta:

Dorota Bednarska

Projekt graficzny:

Izabela Mrugała

Skład i łamanie:

Angelika Duchnik

Wydawca i organizator:

Kursu Kreatywnego Pisania Miasta Literatury UNESCO

Krakowskie Biuro Festiwalowe, ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków

Dyrektor: Izabela Helbin

Koordynator Kursu Kreatywnego Pisania: Oliwia Fryc

Koncepcja merytoryczna Kursu: Karolina Macios, Magdalena Zielińska

Strona Kursu:

[pisz.miastoliteratury.pl](http://pisz.miastoliteratury.pl) / [pisz@miastoliteratury.pl](mailto:pisz@miastoliteratury.pl)

[www.miastoliteratury.pl](http://www.miastoliteratury.pl)



**KRAKOW**  
UNESCO CITY  
OF LITERATURE